

O MIŁOŚCI, KTÓRA WYBACZA  
I DAJE SIŁĘ NA CAŁE ŻYCIE

# Inna niż wszystkie

JOSHILYN  
JACKSON



## **Spis treści**

Karta tytułowa Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3 Rozdział 4 Rozdział 5 Rozdział 6 Rozdział 7 Rozdział 8 Rozdział 9 Rozdział 10 Rozdział 11 Rozdział 12 Rozdział 13 Podziękowania Karta redakcyjna



Inna niż  
wszystkie

JOSHILYN  
JACKSON

Z języka angielskiego przełożyła

Monika Wiśniewska



Z wyrazami wdzięczności dla dobrych nauczycieli.  
Oto niektórzy z moich:

Ruth Ann Replogle  
Dr Yolanda Reed  
Chuck Preston  
Astrid Santana  
Dr David Gushee

*Otóż wiezcie,  
Że po odejściu półbogów  
Bogowie nadejdą.*

Ralph Waldo Emerson, *Give All to Love*

*Kiedy słonie maszerują, trzymając się za ogony,  
a jeśli jeden zbłądzi, cyrk się rozpadnie,  
dla mnie to okrucieństwo, którego źródło  
to wiedzieć, co się dzieje, ale nic nie rozumieć.*

*Więc apeluję do głosu, do niewyraźnego czegoś,  
co ma w sobie każdy z nas, kto mówić potrafi:  
choć oszukiwać się możemy, należy wzgląd mieć na to,  
aby wspólny marsz przez życie nie zgubił się w ciemności.*

William Stafford, *A Ritual to Read to Each Other*

## Rozdział 1

Przyszłam na świat sina.

Gdyby matka nie wypchnęła mnie z siebie na raz-dwa, urodziłabym się nieżywa i jeszcze bardziej sina; wokół szyi miałam ciasno owiniętą pępowinę. Mama przyjrzała się moim sinym ustom, sinym palcom i nadała mi imię na cześć Kali. Kali Jai.

Urodziłam się, kiedy matka była w trakcie półrocznej odsiadki w poprawczaku za kradzieże sklepowe. Spędziła ze mną trzydzieści sześć godzin w szpitalu, a potem zabrano ją z powrotem do domu poprawczego. Ja zaś trafiłam pod tymczasową opiekę dziadków, pary sztywnych, nieszczęśliwych ludzi.

Kai powiedziała im, jak mnie nazwała, ale formularz urzędowy wypełniła moja świętoszkowata babcia, która później twierdziła, że źle usłyszała.

– Wpisałam do aktu urodzenia to, co mi powiedziałaś, tyle że po amerykańsku.

Moja matka dowiedziała się o tym dopiero wtedy, gdy wróciła pod opiekę rodziców. Do tego czasu dla wszystkich byłam już Paulą Jane.

– Nazwałam cię na cześć bogini matki, która przynosi nadzieję i wiosnę – mawiała często Kai, kiedy byłam mała. A zamiast kołysanek ochryplym altem śpiewała hymny pochwalne: – Kali, Jai Kalika! – Kali była też bohaterką wielu historii, które mama opowiadała mi na dobranoc. Zasypiałam, wyobrażając sobie boginię stworzoną ze słońca i kwiatów, złotą i zieloną, śliczną.

Mając pięć lat, w jednym ze szkicowników mamy znalazłam obrazek przedstawiający Kali. Kai kolorowymi kredkami narysowała całą serię prezentującą bogów. W kilkorgu z nich rozpoznałam postacie z jej opowieści. Na przykład Ganeshę, brzuchatego kolesia z głową słonia, tańczącego z zadartą trąbą. Znałam też Hanumana, boga małpę, przedzierającego się przez ocean z pasmem gór w dłoniach. A potem zobaczyłam swoje imię. Kali.

„Nadzieja i wiosna” była czarno-niebieska i straszna, jej skóra jaskrawo kontrastowała z płonącym miastem w tle. Wymachiwała srebrnymi bułatami i pochodniami, stojąc bosą na klatce piersiowej nieżywego człowieka. Jej spódnica zrobiona była z ludzkich głów i rąk. Miała niezwykle długi język w kolorze ognistej czerwieni zwisający aż między nagie piersi. Matka zauważyła, że wpatruję się w ten obrazek, a palcami przesuwam po znajomych literach tworzących moje imię.

– Jestem zła? – zapytałam.

– Nie, skarbie. Oczywiście, że nie. – Usiadła na podłodze i wzięła mnie na

kolana. – Nie wolno ci postrzegać Kali w taki zachodni sposób. – Powagi jej słowom dodawały kupione na pchlim targu sznury modlitewne i tatuaż w dolnej części pleców przedstawiający kwiat lotosu. Wyjaśniła mi, że na półkuli wschodniej, czyli w tej części świata, której ani nie widziała, ani zbyt dobrze nie znała, „Kali” oznacza „zmianę”. – Kali niszczy coś tylko po to, żeby to odnowić, żeby przywrócić sprawiedliwość. Zapewnia nowy początek – oświadczyła. Nachyliła się nade mną. Włosy miała długie i ciemne; opadły na nas niczym namiot i pachniały dymem z ogniska i pomarańczami. – W Indiach twoje imię znaczy dosłownie „Witaj, matko”.

Ale urodziłam się w Alabamie, a moja matka przywoływała Kali na czarnobrunatnej ziemi amerykańskiego Południa i nie otrzymała odnowienia, nadziei ani wiosny. Dostała mnie.

I gdyby znajdowała się tu teraz, czyż nie byłaby ze mnie dumna? No i gdyby ze mną rozmawiała. Siedziałam w samochodzie zaparkowanym przed domem Zacha Birdwine’a w East Atlanta Village i śledziłam go zdecydowana wymusić na nim coś w rodzaju nowego początku. Oczywiście nie zamierzałam wdrapywać mu się na kolana i pytać słodko: Jestem zła?

Takich pytań już nie zadawałam; byłam prawniczką specjalizującą się w rozwodach, która nie pyta, jeśli nie chce znać odpowiedzi. Zapewne usłyszałabym różne. Większość klientów oświadczyłaby, że stanowią uosobienie dobroci, natomiast odpowiedź ich eksmałżonków nie nadawałaby się do druku. Przyjaciele i współpracownicy chyba mnie lubili, ale moja matka dawno temu zmieniła zdanie o mnie.

Wtedy, gdy po raz pierwszy zapytałam ją o to, jeszcze nie zdążyłam zniszczyć jej życia.

A Birdwine? Kiedy pod koniec sierpnia mnie rzucił, dał mi jasno do zrozumienia, że jestem nie tylko niedobra. Jego zdaniem byłam na wskroś zła, a on zachowywał się jak trzy mądre małpy. Uszy i oczy zasłaniał dłońmi. Twierdził, że nie potrafi ze mną rozmawiać.

Wcześniej nie stanowiło to dla mnie problemu. Nie byliśmy parą, która obnosi się z uczuciami czy o nich papla. Jeśli Birdwine potrzebował rozmowy, cóż, czyż nie temu służyły mityngi AA? Jeszcze zanim wylądowaliśmy razem w łóżku, wiedział, że nie jestem typem księdza czy terapeuty. Niemniej pewnego dnia zdecydował – moim zdaniem pochopnie – że skończył ze mną.

Cóż, w porządku. Ale ja nie skończyłam z nim.

O rany, ależ nudne było śledzenie Zacha Birdwine’a. Nie miałam pojęcia, jak radzą sobie z tym szaleńcy, którzy czają się w garderobie swojej ukochanej gwiazdy filmowej, miętosząc bieliznę, wachając buty, i czekają, czekają, czekają. Siedziałam tutaj już tak długo, że musiałam zatankować, by nie marznąć w samochodzie. Najmocniej przepraszam Matkę Ziemię, ale nie byłabym w stanie



śledzić Birdwine'a w lutym bez włączonego ogrzewania. Chyba że chciałabym znowu zrobić się sina.

Dopóki działała bateria w laptopie, pracowałam nad wnioskiem. Zjadłam tacos, które kupiłam w pobliskim lokalu z hiszpańskimi przekąskami, i wszystkie tic-taki ze stacji benzynowej. Przez telefon opłacałam wszystkie rachunki, skończyłam czytać książkę i niemal zdarłam ekran dotykowy, rozwiązując sudoku.

Teraz już tylko się denerwowałam, patrząc na zniszczony bungalow Birdwine'a i zaklinając jego starego forda, by przyturlał się w moją stronę. Może już to zrobił. Może Birdwine pojechał dalej, gdy dostrzegł mojego lexusa. Uważałam go za samochód anonimowy i w mojej dzielnicy rzeczywiście tak było. Ale na tym zadupiu można zapomnieć o czymś takim jak wyższy status. Moje lśniące czarne auto wyróżniało się zaparkowane między małą hondą civic, należącą do jakiegoś baristy-muzyka a wiekowym, rozpadającym się buickiem pani Carpenter.

No ale przecież musiał w końcu wrócić do domu. Tutaj mieszkał i w jednym z pokoi miał gabinet. Na razie zignorował dwie wiadomości, które nagrałam na jego pocztę głosowej, trzy mejle, sześć esemesów i przepłacony koszyk z muffinkami z kremem cytrynowym i miodem od miejscowych pszczół. Teraz czekałam pod jego domem, aż albo stawi mi czoło, albo porzuci psa i wszystkie swoje doczesne dobra.

Zabawne było to, że w tej chwili Birdwine równie dobrze mógł siedzieć w swoim fordzie, zabijać czas tacos i sudoku i kogoś śledzić. Był prywatnym detektywem i taka obserwacja stanowiła dla niego chleb powszedni.

„Być może czekanie nie jest tak uciążliwe, gdy ci za to płacą” – pomyślałam, a potem dotarło do mnie, że właściwie ja też powinnam dostać za to kasę. Zach Birdwine był moim eks, zgoda, ale śledziłam z upoważnienia Daphne Skopes. Kiedy tylko podłączę laptop do prądu, podliczę spędzone tutaj godziny i dodam je do niemałego rachunku, który Daphne ma otwarty u mojego partnera. Nick wciągnął mnie do tej sprawy, ponieważ od początku była beznadziejna.

Zaczęło się od tego, że gdy Daphne Skopes spędzała babski weekend na Turks i Caicos, jej mąż wymienił w domu zamki i zablokował jej karty kredytowe. Ponadto wyczyścił wspólne konta w banku.

Należy wyjaśnić, że towarzysząca jej „koleżanka” miała chromosom Y, jedwabiste wąsy i miejsce we wspólnym łóżku. Z mężem nie udało się dojść do porozumienia; jego ostatnią propozycją ugody było pozostawienie żonie samochodu. Kropka. Żadnych alimentów, żadnego udziału w funduszach emerytalnych, żadnej gotówki i mogła zapomnieć o rezydencji w mieście i letnim domu w Savannah.

Bryan Skopes próbował zmusić żonę, która nie posiadała żadnych aktywów, do przyjęcia takiego ochłapu, jaki zdecyduje się jej rzucić. Na przemian odgrażał



się i zgrywał cierpiętника, gdy tymczasem jego prawnik mącił i grał na zwłokę. Obaj doprowadzili swoje postępowanie do granic absurdu. Dostarczali niekompletne dokumenty lub nieczytelne kopie. Składali niezliczoną ilość wniosków o odroczenie. Przekładali na ostatnią chwilę każde spotkanie mediacyjne. Nickowi nie udało się nawet przedłożyć sędziemu wniosku o pokrycie honorarium. Mijały miesiące, rachunek zrobił się pięciocyfrowy, a nasza kancelaria nie zobaczyła ani centa.

Miałam okazję obserwować, jak Bryan Skopes z upodobaniem posapuje i wścieka się, po czym robi minę głęboko zranionego mężczyzny. Był tak oddany tej roli, że mógłby liczyć na nominację do Oscara, mnie jednak nie zwiódł. Kiedy się poznaliśmy, nastąpiła taka chwila, gdy ukradkiem przebiegł spojrzeniem po moim ciele. Było w tym coś brudnego, seksualnego, co przykleiło się do mojej skóry niczym szlam. Zachowałam obojętny wyraz twarzy, ale w duchu zaczęłam się uśmiechać. A więc miał słabość do kobiet i gdyby udało mi się to udowodnić, odgrywanie skrzywdzonego męża odbiłoby się rykoszetem i obróciło przeciwko niemu. Był jednak cholernie przebiegły; detektyw wynajęty przez Nicka nie przedstawił żadnych dowodów na jego aktywność pozamałżeńską. Potrzebowałam Birdwine'a.

Zaburczało mi w brzuchu i zerknęłam na zegarek; tacos zjadłam kilka godzin temu. Jeśli Birdwine pracował nad sprawą – albo był w ciągu alkoholowym – mógł nie wracać do domu przez kilka dni. Trudno. Mogłabym pójść do niedużego sklepu na rogu i kupić baton energetyczny. Przy okazji kawał niegarbowanej skóry do żucia dla mastifa Birdwine'a. Looper mógł wchodzić i wychodzić dzięki zainstalowanej w drzwiach klapie, a raz dziennie napełniała się miska z automatycznym dozownikiem karmy, ale ucieszyłby go ten przysmak. Jeśli będę musiała, spędzę tu całą noc. Do złożenia zeznań przez Skopsów zostały niecałe trzy tygodnie i Birdwine był mi potrzebny. Natychmiast. Gdyby tylko się do mnie odezwał, mogłabym go wynająć, żeby odnalazł dla mnie siebie.

Rozległo się pukanie w szybę tuż przy mojej głowie i aż podskoczyłam. Odwróciłam się i zobaczyłam znoszoną kurtkę z brązowej skóry i lewisy. Wcisnęłam guzik opuszczający szybę. Birdwine był facetem dobrze umięśnionym, grubokościstym, z dużą kwadratową głową jak u Loopera, a przy tym wysokim, więc aby mnie zobaczyć, musiał się cofnąć krok i schylić.

Przyłożyłam dłoń do serca.

– Nie zauważyłam, że się zbliżasz.

Pochylony wzruszył ramionami.

– Umiem się zakradać. To część mojej pracy.

Wyglądał zdrowo i miał trzeźwe spojrzenie. Gdziekolwiek spędził dzień, na pewno nie był to bar.

– Musimy porozmawiać.

– No co ty – rzucił cierpko.

– Mówię poważnie, Birdwine. Daj spokój. Dziesięć minut.

– Cóż, zaprosiłbym cię do siebie, tyle że cię nienawidzę – oświadczył, ale jednocześnie się uśmiechnął. To był prawdziwy uśmiech, w którym prezentował szparę między jedynkami.

Ja też się uśmiechnęłam, chociaż nie spodobało mi się, że uniósł rękę, by pomasować trzema palcami skronie. Pracowałam z Birdwine’em niemal dziewięć lat i dobrze odczytywałam tego typu sygnały. Od dekady należał do AA, nie najlepiej mu tam jednak szło. Dwa albo trzy razy w roku wpadał w pijacki ciąg i znikał wtedy na kilka dni.

Szybko nauczyłam się przewidywać taki kryzys na podstawie jego gestów, sposobu mówienia czy aury, jaką emanował. Nawet jeśli znikał, nigdy nie zawałił żadnej mojej sprawy; a gdyby tak się stało, winą mogłabym obarczyć wyłącznie siebie, bo znałam jego ograniczenia. Korzystałam z usług Birdwine’a, ponieważ gdy był trzeźwy, nikt mu nie umknął. Potrafił odnaleźć najmniejszą drobinę kurzu, a nie miałam cienia wątpliwości, że Bryan Skopes ukrywa całe orne pole łośwatego, powiązanego z seksem brudu.

– No to wsiadaj – rzuciłam. – Obiecuję, że nie zabiorę ci dużo czasu.

Podniosłam szybę i odblokowałam drzwi. Kiedy Birdwine obchodził samochód, rzuciłam teczkę na tylną kanapę, żeby miał gdzie usiąść. Po chwili podmuch zimowego wiatru przegnał z wnętrza auta całe ciepło. Zadrżałam. A Birdwine zaczął grzebać przy ustawieniach pozycji fotela z taką miną, jakby się szykował na leczenie kanałowe zęba.

Wyjęłam ze schowka na drzwiach akta Skopesów i mu wręczyłam. Uniósł brwi. Przerzucił kilka kartek, po czym odwrócił się w moją stronę. Miał opadające powieki i duże ciemne oczy, dlatego zawsze wyglądał na lekko zaspanego. Zamrugał powoli i chociaż nie przewrócił oczami, jego spojrzenie było znaczące.

– Chodzi o robotę?

– Tak – odparłam. – A o cóż by innego?

Zaśmiał się.

– Nie wiem, Paula. Popatrz tylko na te mejle. – Wychylił się do przodu i z tylnej kieszeni spodni wyjął telefon. Postukał w wyświetlacz i zaczął przewijać folder „kosz”. – Proszę bardzo. Ten ma w temacie „Birdwine, musimy się spotkać”. A ten „MUSISZ do mnie zadzwonić”. Tak na marginesie, „musisz” napisałaś wielkimi literami.

– Ach, rozumiem. – Kiedy pisałam te słowa, nie zastanawiałam się nad kontekstem. Napisałam prawdę, nie myśląc o tym, jak może to odebrać były kochanek. – Sądziłeś, że chcę dokonać analizy porażki naszego związku?

– Aha. A co miałem myśleć?

Cóż za ironia. To on ze mną zerwał, ponieważ „nie potrafiliśmy rozmawiać”,

ale w tym tygodniu zignorował wszystkie moje próby nawiązania kontaktu, gdyż uważał, że chcę się rozsiąść na rozłożonych na podłodze poduchach, zapalić kadzidełka pobudzające uczucie przyjaźni i przeanalizować nasze rozstanie nad kubkiem organicznej herbaty ulung. Tyle jeśli idzie o faceta, który był tak skryty, że gdy mnie rzucił, zupełnie zabił mnie z tropu; nie wiedziałam, że oficjalnie byliśmy parą.

Moim zdaniem byliśmy jak zakupy w dużym centrum handlowym. Często razem pracowaliśmy, a pewnego razu, po wyjątkowo kiepskim wieczorze, wyładowaliśmy w łóżku. Podobało mi się, jak jego duże dłonie przeczesują moje długie, czarne, nieujarzmione włosy, podobał mi się jego głęboki głos. Był szorstkim kolesiem z cienką blizną biegnącą w poprzek jednej brwi i długim nosem, złamanym więcej niż jeden raz. Podobało mi się jego skomplikowane, pokręcone życie.

A gdy już zaczęliśmy, mieliśmy ochotę na więcej. Byłam wysoka i atletycznie zbudowana, ale potrafił rzucić mnie na łóżko, jakbym była lekka niczym piórko. Stanowiło to dla mnie ekscytującą nowość. Seks najczęściej był taki, jaki lubię najbardziej: bezceremonialny i gwałtowny, a czasami leniwy. Przeciągaliśmy go, aż na sam koniec oboje niemal zasypialiśmy.

Przez kilka miesięcy wykańczaliśmy się tak nawzajem niemal każdego wieczoru. Najczęściej u niego. Birdwine nie przepadał za moim loftem. Za otwartą przestrzenią z jedną ścianą całkowicie przeszkloną, za którą rozciągał się widok na panoramę Atlanty. Był typem faceta, który w restauracji zawsze zajmuje miejsce w rogu. Nie był w stanie jeść, gdy siedział plecami do drzwi. Moje mieszkanie wydawało mu się zbyt odsłonięte; ścianami oddzielono jedynie dwie łazienki i pralnię. Mój kot mógł biegać do woli, co też irytowało Birdwine'a. Nie podobało mu się to, że gdy podnosił wzrok, widział Henry'ego przycajonego na komodzie niczym puchaty biały duch, obserwującego nas i mruczącego. Birdwine jest zdeklarowanym psiarzem.

Przyjeżdżaliśmy więc tutaj. Zamykaliśmy drzwi przed Looperem i uprawialiśmy seks, który uznawałam za wygodny i rozsądny. Było świetnie, tak, ale po wszystkim nie leżeliśmy przytuleni i nie zwierzałyśmy się sobie. Zresztą dzięki wieloletniej współpracy i tak sporo na swój temat wiedzieliśmy. Nasze łóżkowe rozmowy dotyczyły szans drużyny Braves na zwycięstwo, prowadzonej obecnie sprawy albo tego, gdzie się podział mój stanik.

Byłam zaskoczona, że to zakończył, i zdziwiona, gdy odrzucał moje zlecenia. Potem w ogóle przestał odbierać telefon. Wycofałam się, dając mu czas, by ochłonął. Ale chociaż minęło sześć miesięcy, nadal nie ochłonął. No więc tak się sprawy miały.

– Nie jestem trzynastolatką ze złamanym sercem, Birdwine – oświadczyłam.  
– Mieliśmy romans. Tobie przestał on odpowiadać. W porządku. Ciągle cholernie

szanuję twoją pracę i chcę ci dawać różne zlecenia. Po co wylewać dziecko z kąpielą?

– Zgodnie z twoją metaforą to właśnie jest to dziecko? – Postukał palcem w akta Skopesów. Kiwnęłam głową. – Zapomniałem, jaka z ciebie beznadziejna romantyczka. – Cały czas mówił lekkim tonem, ale uniósł rękę i potarł oczy; kolejny niedobry objaw. – Czemu w temacie mejla nie wpisałaś „Robota dla ciebie” albo „Czy możesz znaleźć tego faceta?”, albo przynajmniej daty urodzenia i numeru ubezpieczenia tego gościa?

Też się nad tym zastanawiałam. Nie było to w moim stylu; potrafiłam precyzyjnie posługiwać się językiem. Dostosowałam się jednak do lekkiego tonu Birdwine’a i odparłam:

– Cóż, gdy następnym razem będziesz mnie unikał miesiącami, będę wiedziała, co zrobić.

Zachichotał.

– Nadal cię unikam, Paula. To ty się szlajasz po mojej ulicy. – Zamilkł, a po chwili dodał wesoło: – Hej, popatrz! A jednak analizujemy przyczyny porażki naszego związku. Super.

– No to weź tę robotę, a dam ci spokój. – Nie odpowiedziałam, ale nie mogłam odpuścić. Birdwine był niezastąpiony. W końcu oświadczyłam: – A jeśli podwoję ci stawkę?

Tym go w końcu zaciekawiałam. Birdwine nie narzekał na nadmiar gotówki. Przyjrzał mi się uważnie i zapytał:

– Koniec z muffinkami i ponagłającymi dwuznacznymi mejlami?

– Koniec.

– Jeśli chodzi o muffinki, to możesz je dalej przysyłać. Z nimi akurat nie mam problemu. Ale musisz się trzymać swojej części miasta. Niech jeden z twoich pachółków przyśle mi akta, wpisując odpowiedni temat, na przykład „Sprawa dla ciebie”. Ja ci odeślę wyniki swojej pracy w mejlu zatytułowanym „Moje wyniki”. Co ty na to?

Na dłuższą metę było to nie do wytrzymania, niemniej odpowiedziałam:

– Skoro tego trzeba, żebyś wrócił do gry w mojej drużynie, niech tak będzie. – To była prawda. Tyle że nie cała.

Nie mogłam pracować z Birdwine’em na odległość. W każdym razie nie na stałe. Konieczne były regularne spotkania; nie wiadomo było, kiedy pójdzie w tango, ale dało się rozpoznać sygnały świadczące o tym, że pijacki ciąg jest blisko. Być może dopadłby Birdwine’a dopiero za kilka miesięcy. Tarcie powiek, stukanie w skronie – te odruchy mogły przecież świadczyć o tym, że stresuje go nasza nieprzyjemna rozmowa. Możliwe, że Birdwine wejdzie do domu i przez wiele tygodni nie będzie tarł oczu, stukał w skronie ani pił do nieprzytomności. Jeśli jednak sygnały się powtarzały i nasilały, zwiastowały jego nieuchronne

zniknięcie, a w rezultacie mogłam się znaleźć w niezłych tarapatkach.

– Cholera, ale jesteś zdeterminowana, paniusiu. O tym także zdążyłem zapomnieć. – Wyraźnie go to bawiło. – W porządku. Wyjaśnijmy sobie jedno: nie należę do twojej drużyny. Biorę to zlecenie dlatego, że płacisz mi za nie absurdalnie dużo.

– Niech ci będzie. – Udało mi się go zaintrygować. Birdwine miał rację. Potrafiłam być cholernie zdeterminowana.

– Rozumiem, że potrzebny ci szybki zwrot akcji? – zapytał.

Jego dłoń leżała płasko na teczce i niemal ją zakrywała. Jeśli rzadko się go widywało, łatwo było zapomnieć, że natura obdarzyła go dużymi dłońmi i stopami, długimi i grubymi kośćmi udowymi, mocnymi nadgarstkami.

– Facet niedługo zeznaje, a nie mam czym na niego naciskać.

– Jak daleko mogę się posunąć?

– Tak daleko, jak tylko chcesz – odparłam. – To sprawa PDBD.

PDBD to utworzony przeze mnie skrót oznaczający „para dupków bez dzieci”. Tacy byli najlepsi. Mieli kasę i mogłam grać nieczysto, nie martwiąc się, że na linii ognia znajdują się bezbronni nastolatki czy przedszkolaki. Kiedy w grę wchodziły dzieci albo klient był naprawdę sympatyczny, starałam się zachować ostrożność i minimalizować szkody.

– Doskonale – rzekł Birdwine. Lubił zadawać ciosy poniżej pasa, ale on także był czuły na krzywdę dzieci, które często stawały się pionkami w rozwodzie rodziców. Kolejny powód, dla którego tak dobrze nam się współpracowało. – Czego mam szukać?

– Seksu. – W moim głosie słychać było pewność siebie.

Zanim poznałam Bryana Skopesa, wystarczyło, że zajrzałam w jego akta, a wiedziałam, że zasługuje na miano dupka. Owszem, należał do klubu rotariańskiego i udzielał się w swoim kościele. Dbał o to, by jego ojciec staruszek miał dobrą opiekę. Bez wątpienia uważał siebie za „dobrego człowieka”.

Ale jego pierwszej żonie nie przyznano alimentów, a alimenty na dzieci były żałośnie niskie, chociaż sama wychowywała dwie córki, które widywał od wielkiego dzwonu. Druga żona była młodsza od niego piętnaście lat. Pracowała u niego jako recepcjonistka, co zaważyło na przyszłości związku. Nie widziałam „dobrego człowieka”. Widziałam narcyza z kompleksem seksu i władzy, żywiącego względem kobiet autentyczną pogardę.

Poznawszy Skopesa, utwierdziłam się w tej opinii. Ukradkowe spojrzenia rzucające w moim kierunku nie świadczyły o tym, że jest głodnym człowiekiem bez grosza przy duszy, który wpatruje się w bufet, nie licząc na nic więcej niż zapach potraw. Zerkał na mnie jak nasycony łakomczuch, stały bywalec restauracji. Jego spojrzenie odebrałam jako obraźliwe nie dlatego, że zawierało aluzję seksualną. Było obraźliwe, ponieważ wyraźnie czuł się uprawniony, by tak na mnie patrzeć.

Uważał, że to on jest górą, co podniecało go bardziej niż moje ciało. Dlatego w jego oburzeniu wyczuwało się nutę fałszu.

Nasza klientka także niezaprzeczalnie należała do kategorii dupków. Niemniej każdy dupek ma prawo do tego, by ktoś go reprezentował, zwłaszcza gdy musi stawić czoło drugiemu dupkowi. W tym wypadku trafiła mi się mniej niegodziwa połówka pary nikczemników. Daphne była zła, ale nie tak bardzo jak jej mąż. Oczywiście, że Bryan Skopes traktował kobiety jak towar i kupił sobie Daphne. Ona jednak wyraziła na to zgodę. Nie mogłam jej szanować, nie lubiłam jej, ale nie miało to znaczenia. Sprzedała się – cóż, ja byłam jej prawnikiem. Moja praca polegała na tym, żeby zmusić Skopesa do tego, by jej zapłacił.

– Masz na myśli kochankę? – zapytał Birdwine.

Pokręciłam głową.

– Nie trać czasu na doszukiwanie się romantycznych schadzek bratnich dusz. Ten facet ma jakiś brudny sekret, który aż sączy się z jego porów.

Na tym właśnie zasadzała się nasza współpraca; ja odnajdywałam słabe punkty i nakierowywałam na nie Birdwine'a. Razem znacznie częściej trafialiśmy, niż pudłowaliśmy. Jeśli mam rację, a Birdwine'owi uda się przyłapać Skopesa, facet będzie musiał zmienić swoją oskarżycielską śpiewkę zranionego męża i położyć na stole coś zdecydowanie pokaźniejszego niż tytuł własności samochodu.

– Wchodzę w to. Skończyliśmy? – zapytał zwięźle.

– Tak. Dzięki, Birdwine.

– Mów mi, proszę, Zachary. – Obdarzył mnie bladym i nieszczerym uśmiechem.

– Rozumiem. – Kiedy zaczął dla mnie pracować, powiedział, że tylko jego była żona używa jego imienia i że dziesięć minut po uprawomocnieniu się ich rozwodu wyszła ponownie za mąż. Obecnie mieszka na Florydzie, jest zbyt zajęta wydawaniem na świat dzieci i udawaniem, że on nie żyje, aby w ogóle jakkolwiek go nazywać. – Nie będę ci wchodzić w drogę. – Nie dodałam „na razie”.

Wysiadł. Odjechałam, zastanawiając się, co by tu zjeść. Nie martwiłam się już tak bardzo sprawą Skopes przeciwko Skopes. Jeśli tylko Birdwine pozostanie trzeźwy, problem można uznać za rozwiązany.

Nie byłam wcale taka pewna co do jego trzeźwości, zwłaszcza że mijały dni, a on milczał. Zachowywałam jednak spokój. Skopes i jego prawnik Jeremy Anderson od miesięcy grali na zwłokę. Ja też mogłam, do czasu aż Birdwine coś znajdzie albo sama wykombinuję sposób na złamanie męża mojej klientki.

Czternastego lutego siedziałam w kancelarii do późna, analizując skomplikowany precedens. Kiedy skończyłam, było już po dwudziestej trzeciej. Wyłączyłam komputer i wyjęłam książeczkę czekową. Zaznaczyłam możliwość wypłaty gotówki na okaziciela. Moja matka nazywa się Karen Vauss, nie miałam

jednak pojęcia, jakie imię Kai przybrała w obecnym wcieleniu. Podpisałam czek i wydarłam z książeczki.

Włożyłam go do koperty z mojej prywatnej papeterii – luksusowy kremowy papier z napisem Paula Vauss i moim adresem zamieszkania. Jako adresata wpisałam skrytkę pocztową Kai w Austin, po czym zakleiłam kopertę.

Wysyłałam jej czek piętnastego dnia każdego miesiąca, co od piętnastu lat stanowiło zarówno rytuał, jak i jedyną formę komunikacji z matką.

W ten sposób pytałam: „Jesteśmy kwita?”.

Spieniając czek, odpowiadała: „Nadal jesteś moją dłużniczką”.

Zatrzymałam się przed skrzynką nadawczą, mimo że miałam spotkanie z mężczyzną. Umówiliśmy się dokładnie minutę po północy, gdy walentynki będzie można uznać za oficjalnie zakończone. Ociągałam się. Mogłam zostawić kopertę, aby Verona wysłała czek i moje comiesięczne pytanie razem z resztą korespondencji. Albo mogłam ją przepuścić przez niszczarę.

Co miesiąc miałam ten dylemat. Jak zareagowałaby Kai, gdyby nie dostała czeku? Prawdopodobnie zapadłaby między nami cisza i wiedziałabym, że w końcu wystarczająco dużo zapłaciłam za uziemienie jej cygańskiej duszy, kradzież niemal dekady wolności. Milczenie uważałam za zachowanie pokoju. W przeciwnym razie musiałabym się spodziewać, że Kai zjawi się w progu mojego loftu i zażąda półkilogramowego kawałka mojego ciała.

Nie po raz pierwszy zastanawiałam się, co by się stało, gdybym przyjęła bardziej agresywną postawę. Co by było, gdybym zamiast czeku wysłała Kai list? Położyłam przed sobą notes, po czym siedziałam i wpatrywałam się w niego. Mijały minuty, a kartka pozostawała niezapisana. Powinnam jechać do domu, przebrać się przed randką i nakarmić Henry’ego. Na pewno chodził teraz po schodach prowadzących od salonu do znajdującej się na antresoli sypialni i niecierpliwie czekał na mokrą karmę, tymczasem ja siedziałam i patrzyłam na pustą kartkę.

W końcu zamknęłam oczy i poczułam, że moja dłoń zaczyna przesuwac piórem po papierze. Na ślepo napisałam nurtujące mnie podstawowe pytanie: *Czego trzeba, aby nasze rachunki były wyrównane?*

Kiedy popatrzyłam na te słowa, zobaczyłam, że są zbyt obcesowe, zbyt bezceremonialne. Co gorsza, stanowiły przyznanie się do winy. Skreśliłam je i napisałam: *Nazwałaś swoje dziecko na cześć Kali, czego się więc, kurwa, spodziewałaś? Dostałaś dokładnie to, o co się prosiłaś.*

To było bardziej w moim stylu, ale nie brzmiało pojednawczo. No cóż, umiejętność wynagradzania i rekompensowania nie należała do moich mocnych stron; miałam innego rodzaju zdolności. Potrafiłam zepsuć wszystko na tysiąc sposobów – począwszy od chirurgicznego demontażu równie skrupulatnego co praca saperów, a skończywszy na wielkiej destrukcji w stylu burzącej kuli stalowej



stosowanej przy robotach rozbiórkowych. Jeśli coś zepsułam, nie dało się tego naprawić. Jeśli zepsułam coś swojego, żyłam ze skorupami albo zastępowałam je czymś nowym. Wyrwałam kartkę i ją zgmiotłam. Rzuciłam do stojącego w kącie kosza, trafiając do niego za trzy punkty. Pieprzyć to. Umieściłam kopertę z czekiem w skrzynce nadawczej i jak zwykle mi ulżyło. Zapłaciłam Kai, więc na tydzień czy dwa mogłam ją usunąć ze swoich myśli. Niedługo jednak ponownie się do nich wślizgnie i będę siedzieć jak na szpilkach, dopóki nie wypiszę kolejnego czeku.

Kiedy wstałam od biurka, usłyszałam dźwięk przychodzącego mejla. Od Birdwine'a, zatytułowany zgodnie z obietnicą: „Moje wyniki”. Spokojnie mogłam założyć, że nie prosi mnie o to, bym była jego walentynką. Co tu mieliśmy nowego? Ponownie usiadłam i otworzyłam pocztę. Treść była krótka: *No i miałaś rację*. Wiadomość miała dwa załączniki.

Otworzyłam pierwszy i zobaczyłam rachunek opiewający na ogromną kwotę. Wyższą, niż się spodziewałam. Drugi załącznik to plik w PowerPoincie. Zaczęłam klikać między slajdami.

Oto Bryan Skopes, widziany z góry, ale jak najbardziej rozpoznawalny. Był przystojny, w typie dawnego członka bractwa studenckiego, ale twarz i talia zdradzały zbyt duże spożycie szkockiej i smażonych ostryg. Stał w gęstwinie azalii tworzących mały pokoić ze ścianami, ale bez dachu.

Zdjęcia zrobiono z góry i wyglądało na to, że Birdwine wspinał się wysoko na drzewo górujące nad zaroślami. Mógł skrócić kark, ale udało mu się zrobić ujęcia warte kupę kasy. Bryan Skopes nie był sam. Przed nim klęczała panienka z włosami w kolorze fuksji, a twarz miała wciśniętą między jego nogi. Na kolejnych zdjęciach Skopes wygiął plecy w łuk, a rumianą twarz skierował ku górze. Usta miał otwarte. Oczy zamknięte, ale może nawiązał kontakt wzrokowy z Birdwine'em. Uśmiechnęłam się szeroko na tę myśl; ależ by to było żenujące, prawda?

Na widok jednego z ostatnich slajdów przestałam klikać myszką. Na tym zdjęciu dziewczyna nadal klęczała, lecz patrzyła w górę, na Skopesa. Twarz miała okrągłą, z policzkami jak u dziecka i idealnie gładką pod oczami. Poczułam, jak do mojego krwioobiegu zaczyna się sączyć coś kwaśnego i ostrego. Była taka młoda. Miała może piętnaście lat.

Na kolejnym ujęciu stała, gdy tymczasem Skopes doprowadzał się do porządku. Na następnym ich dłonie się stykały w taki sposób, jakby wręczał jej pieniądze. Kwaśność w mojej krwi przybrała na sile. A więc miałam rację i co do tego, że Skopes zdradzał, i co do tego, że w seksie lubił być górą. Ta biedna dziewczyna była tak młoda i nieopierzona, że nie wiedziała, by kasę brać z góry. „Kolejny miesiąc na ulicy uzupełni tę niewiedzę” – pomyślałam i tym razem świadomość tego, że się nie myliłam, nie sprawiła mi przyjemności.

Patrzyłam na dziecięce policzki, wykrzywioną buzię i czułam się, jakbym ją znała. Ba, mogłam nią być.

Będąc pod opieką zastępczą, poznałam dziewczyny, które spotkał podobny los. Czasami śniło mi się, że razem z nimi wypadam ze świata. Pogrążałam się we śnie i stwierdzałam, że schodzę z sekretnej, poszarpanej krawędzi Ziemi. Spadałam obok Joyi, która koziołkowała bezwładnie i w milczeniu, obok Candace, która spoglądała na mnie swoimi spragnionymi uczuć oczami. Obok wszystkiego, aż do bezkresnego niczego. Gdzie nie było nawet gwiazd.

Mogłam skończyć tak jak ta dziewczyna na zdjęciach ze Skopesem, z pomalowanymi henną włosami i pulchnymi policzkami. Mogłam całymi dniami klęczeć przed jakimś stojącym w azaliach dupkiem. I nagle dokopanie Bryanowi Skopesowi stało się dla mnie sprawą osobistą. Nie pracowałam już tylko w imieniu Daphne. Była moją klientką, co oznaczało, że zrobię wszystko, by jej pomóc, ale nie budziła mojej sympatii. Daphne była klasyczną żoną na pokaz. Interesowało ją głównie dbanie o siebie, żeby mogła się prezentować atrakcyjnie podczas koktajli. Była tępa, zapatrzona w siebie i przeraźliwie nudna.

Nie miałam wątpliwości, że wiele razy mijają na ulicy dziewczęta pokroju tego stworzenia z różowymi włosami. Było ich sporo w Atlancie. Ta mała to jedna z tysięcy wycieńczonych uciekinierek, które nie chcą pomocy albo nie są na nią gotowe, więc radzą sobie, jak potrafią.

Na pewno Daphne nie przemknęła nawet przez głowę myśl, żeby kupić takiej dziewczynie kanapkę czy zaoferować podwózkę do schroniska. Wiedziałam jednak, że moja klientka nigdy nie zabrała takiego dzieciaka w krzaki, by wykorzystać jak chusteczkę jednorazową, a potem wręczyć zwitek banknotów. Gdybym to ja miała decydować, Skopes trafiłby do więzienia, gdzie z marszu by się przekonał, jak ciężkie potrafi być życie na kolanach.

Ale to było niewykonalne, nie tylko dlatego, że godziło w interesy mojej klientki. Wykorzystana przez Skopesa dziewczyna zdążyła się rozpułnąć w powietrzu jak dym. Może Birdwine'owi udałoby się ją znaleźć, ale na pewno nie zgodziłaby się na złożenie zeznań czy wniesienie oskarżenia. Ten typ tak ma.

Zostało mi więc porządnie kopnąć Bryana Skopesa w worek z pieniędzmi, w błędne przekonanie o własnej dobroci i, co najważniejsze, w jego triumfalne umiłowanie władzy nad kobietami. Mogłam to zrobić dla Daphne, ale i dla siebie. Na samą myśl o tym poczułam, że staję się wyższa. Przesunęłam językiem po zębach, głodna wyznaczonego na przyszły tydzień składania zeznań pod przysięgą. Ile Skopes zapłacił tej dziewczynie? Szkoda, że nie było widać wyraźnie pieniędzy. Dwie dwudziestki? Pięćdziesiątkę? Nie znałam obowiązującej stawki, ale wiedziałam jedno: za numerek w krzakach Skopes zapłaci więcej, niż potrafiłby sobie wyobrazić.

Zamknęłam PowerPointa i przesłałam kopię mojemu partnerowi Nickowi

z krótką wiadomością: *Czy Daphne może się stawić u nas w tym tygodniu? Muszę ją przygotować.*

Weszłam na stronę PayPala i ze swojego konta przelałam Birdwine'owi całe honorarium ze sporą premią. Odebranie sobie tej kwoty oznaczało sporo upierdliwej papierkologii, ale zależało mi na czasie. Zazwyczaj faktury wystawione przez Birdwine'a musiały przejść przez Veronę.

Napisałam: *Dzięki za sprośne fotki – lepsze niż pudełko czekoladek, ale po chwili to wykasowałam. Z wielkim trudem udało mi się go nakłonić, by znowu dla mnie pracował. Za wcześnie na nasze dawne wojowniczo-kokieteryjne przekomarzanie. Spróbowałam inaczej: *Widzisz, dlaczego bez ciebie nie daję sobie rady, Birdwine? Ale to brzmiało zbyt osobiście. Po chwili namysłu dokonałam małej zmiany: *Widzisz, dlaczego bez ciebie nie daję sobie rady, Zachary?***

Dalej było zbyt osobiście; w samochodzie wyraził się bardzo jasno. Ostatecznie wysłałam pusty mejl, po czym zaczęłam pisać następny, do którego dołączyłam akta innej sprawy: *To, co odkrył ten facet, jest stekiem bzdur. Ukrywa gdzieś pieniądze. Stawiam na coś pretensjonalnego typu rzeźby lub wino. Poszukasz? Normalna stawka. Kliknęłam „wyślij” i czekałam.*

Dwie minuty później przyszła odpowiedź: *Wchodzę w to.*

No i proszę. Birdwine i ja znowu ze sobą współpracowaliśmy. Nadal głównie na jego zasadach, ale trochę go przestawiałam. Zmierzałyśmy we właściwym kierunku.

Jeszcze lepsze było to, że za tydzień – mniej więcej wtedy, gdy Kai spienięży czek – spotkam się z Bryanem Skopesem. Sądził, że dostanie wszystko, o co prosi. No cóż, być może. Matka nazwała mnie w końcu Kali. Facet dostanie to, o co prosi. Dam mu to z prawdziwą przyjemnością.



Zwycięstwo odsłoniło twarz, którą skrywałam pod miedzianą cerą, skośnymi oczami i pełnymi ustami. W tej chwili ta twarz pragnęła pokazać wszystkie zęby. Miałam bystre spojrzenie i język, który chciał się wysunąć i smakować metal w powietrzu. Ta twarz była gotowa na zjedzenie wszystkiego. Nie należała do kancelarii Cartwright, Doyle & Vauss.

Moi partnerzy Nick Cartwright i Catherine Willoughly Doyle pochodzili ze starej arystokracji z Atlanty: dystyngowani zaklinacze deszczu i bywalcy salonów. Byli kuzynami, którzy wyglądali jak rodzeństwo: patykowaci, jasnowłosi, eleganccy. Zamożne pary ze złożoną sytuacją majątkową zjawiały się w naszej kancelarii, gdy liczyły na cichy, cywilizowany rozwód. Tego rodzaju przypadki obfitowały w fundusze powiernicze, intercyzy przedmażeńskie i pytania dotyczące tego, komu przypadnie który dom. Byliśmy drodzy, ale warci swojej

ceny – dzieliliśmy skomplikowane finansowe torty; ci, których nie stać było na nasze usługi, po prostu ich nie potrzebowali. Kiedy w tych uprzejmych podziałach zaczynał się robić kwas, co zdarzało się wcale nie tak rzadko, cóż, wtedy na scenę wkraczałam ja.

Poznaliśmy się z Nickiem na studiach prawniczych. Okazało się, że dobrze się dogadujemy, zarówno w łóżku, jak i poza nim. Ja byłam śmiała i agresywna, on okazał się skrupulatnym urodzonym negocjatorem. Podczas próbnych procesów on odgrywał rolę marchewki, ja kija. Wprowadził mnie do dobrze znanej kancelarii z tradycjami, którą założył jego ojciec, a gdy Cartwright senior odszedł na emeryturę, Catherine i ja stałyśmy się pełnoprawnymi partnerkami. Nasze umiejętności doskonale się uzupełniały, a ja, osoba, która jako dziecko poznała, czym jest opieka zastępcza, miała niejasne pochodzenie rasowe i która dwa razy w roku podejmowała się *pro bono* obrony w sprawach karnych, sprawiałam, że kancelaria wyglądała na postępową i wielokulturową. Byłam tu lubiana szczególnie w takich dniach jak dziś; rozniosłam Skopesa na kawałki.

Od złożenia zeznań pod przysięgą moi partnerzy byli zamroczeni radością. Catherine wzdychała zadowolona, a Nick patrzył na mnie czule, jakbym była jego prywatnym tygrysem w zoo. Zaprosili mnie na wspólne świętowanie, ja jednak odmówiłam. Nie potrafiłam zachować stosownej maski na twarzy, gdy z godnością otworzyli butelkę drogiego szampana. Nick miał kryształowe kieliszki, których używał do wznoszenia toastów przy takich okazjach, a w tej akurat chwili bałam się, że moje roztrzęsione dłonie mogłyby je stłuc.

Oświadczyłam, że idę wcześniej do domu, na co Catherine uśmiechnęła się z aprobatą i powiedziała, żebym zmykała i miło spędziła wieczór, bo na to zasłużyłam.

W domu zatrzymałam się zaraz za progiem, by zrzucić szpilki, gdy tymczasem Henry koszmarnie głośno miauczał i ocierał się o moją łydkę. Skoro wróciłam, był przekonany, że już pora kolacji, bez względu na to, którą godzinę pokazywał zegar.

– Już się robi, chłopie – powiedziałam. – Otworzę ci puszkę tuńczyka. Ale takiego prawdziwego. Porządnego tuńczyka białego.

Henry pobiegł przede mną w stronę kuchni. Dziś była sprzątaczką, w całym łofcie pachniało więc olejkiem pomarańczowym i octem, a moje stopy ślizgały się po lśniącym parkiecie. Odłożyłam iPhone'a i zobaczyłam, że na blacie w kuchni leży stosik korespondencji. Zignorowałam go i włączyłam swoją playlistę zwycięstwa. Usłyszałam Kongos i uśmiechnęłam się szeroko, po czym zgłośniłam. Muzyka nie przeszkadzała Henry'emu. Jak wiele białych kotów był głuchy.

Zwycięstwo sprawiało, że krew szybciej krążyła mi w żyłach, wibrując w moim ciele, kiedy tanecznym krokiem szłam do spiżarni. Boże, jak ja kocham tę euforię. W kancelarii udało mi się powstrzymać, ale teraz miałam ochotę

porwać na ręce Henry'ego i tańczyć z nim tak, aż zacznie się wrywać. Muzyk, z którym spotykałam się co jakiś czas, wyjechał akurat na koncert, ale esemesa przysłał mi Brytyjczyk, z którym kiedyś się umawiałam. Odpiszę mu, żeby wpadł i pomógł w opróżnieniu butelki mojego najlepszego bourbona. Dzień zakończymy w łóżku, ostrym i porządnym rżnięciem. Zasłużyłam na to, by cieszyć się życiem aż do utraty sił.

– Ten dupek niczego się nie spodziewał, Henry – oświadczyłam kotu, przerywając taniec na czas wyłożenia tuńczyka do miski.

Kiedy zjawił się Skopes, obdarzyłam go uśmiechem. Założyłam nogę na nogę i kiwałam stopą, kierując jego uwagę na spódnicę stanowczo zbyt krótką, żebym mogła się w niej pokazać w sali sądowej. Na nogach miałam czarne eleganckie szpilki, których krwiście czerwone podeszwy obiecywały szeroko zakrojoną masakrę. Jego spojrzenie ominęło to ostrzeżenie i, co było do przewidzenia, przesuwało się w górę moich gołych nóg.

Wokół stołu w sali konferencyjnej siedziało sporo osób: Nick, Daphne, prawnik Skopesa, protokolant sądowy. Dla mnie oni wszyscy stanowili jedynie szare cienie za stołem, nieistotne i pozbawione znaczenia. Jedyńm kolorem była czerwień krawatu Skopesa, jedynym światłem blada poświata mojego laptopa. Stał na stole w taki sposób, by Skopes i jego prawnik mogli widzieć mój kojący wygaszacz ekranu – tropikalne ryby pływające wśród rafy.

Zabrałam głos jako pierwsza, recytując numer sprawy, co stanowiło początek każdego takiego przesłuchania. Protokolant zaprzysiągł Skopesa, a ja znudzonym głosem poprosiłam go o podanie swojego nazwiska, adresu i daty urodzenia. Chciałam, żeby jego prawnik Jeremy Anderson także popatrzył na mnie znudzony.

Kiedy formalnościom stało się zadość, poruszyłam bezprzewodową myszką, która leżała obok stosika moich dokumentów. Relaksacyjny wygaszacz z rybkami zniknął, ukazując zdjęcie z przygotowanego przez Birdwine'a pokazu slajdów. Skopes stał w gąszczu azalii, głowę miał odchyłoną, oczy zamknięte, a usta rozchylone. Kolor zastąpił kolor, światło zastąpiło światło. Skopes niczego nie zauważył.

– Jest pan dobrym ogrodnikiem, panie Skopes? – zapytałam.

– Ogrrodnikiem? – W jego głosie słychać było drwinę. – Ja mam ogrodnika.

– Interesujące. Zajmuje się azaliami?

Siedzący u szczytu stołu protokolant na chwilę znieruchomiał. Dostrzegł pokaz slajdów. Następnie ledwie zauważalnie wzruszył ramionami. Jego dłonie wznowiły rytmiczne uderzanie w stenograf ze znużeniem typowym dla jego zawodu. Daphne i Nick wpatrywali się w niego, jakby stenografia była czymś niezmiernie fascynującym, dokładnie tak jak im nakazałam.

– Nie znam się na kwiatach – oświadczył Skopes. Nie takich pytań się spodziewał. Przeczucie mu podpowiadało, że coś nie gra.

– Proszę przejść do sedna sprawy albo darować sobie pytania związane z ogrodnictwem – odezwał się jego prawnik.

– Jasne – odparłam Andersonowi. A potem, po to tylko, by nie wypaść z rytmu, zapytałam Skopesa: – Gdzie pan studiował?

– W Vanderbilt.

– Należał pan tam do bractwa studenckiego?

Pokaz slajdów w końcu przyciągnął uwagę Andersona. Wydał cichy, zdławiony odgłos.

– Mam nie odpowiadać na to pytanie? – Skopes odwrócił się w stronę swojego prawnika. Kiedy zobaczył, jaką ten ma minę, podążył za jego wzrokiem.

W pokoju zapadła grobowa cisza.

Zmienił się slajd.

– Należał pan w Vanderbilt do bractwa studenckiego? – powtórzyłam, jakby nic się nie działo. Jakby nie ukazało się nam teraz najpaskudniejsze oblicze Skopesa, w obecności jego żony, którą kupił sobie w podobnym celu, ale za walutę bardziej akceptowalną społecznie.

– Co za cholerna suka – powiedział Bryan Skopes głosem pozbawionym wyrazu.

Nie miałam pewności, czy chodzi mu o mnie, o Daphne czy może o dziewczynę, w którą się wpatrywał. Tę bardzo młodą, z włosami w kolorze fuksji i okrągłymi policzkami. Tę klęczącą.

Zdjęcie ponownie się zmieniło. Skopes patrzył na nie, a w jego głowie obracały się trybiki. Już wiedział, że drogo go to będzie kosztowało.

– Co za cholerna suka – powtórzył. Głos nadal miał pozbawiony wyrazu, ale twarz czerwoną.

Z miną pokerzysty studiowałam leżące przede mną dokumenty.

– Nie znam bractwa o nazwie „Co za cholerna suka”. Nie nazywało się przypadkiem „Psi Alfa Beta”?

Skopes wstał. Na czoło zaczęły mu występować krople potu. Widziałam, że się zastanawia, jak na te zdjęcia zareagowałaby znacznie większa widownia. Klub rotariański. Jego parafia. Ojciec. Zaniechane córki, które uważał, że kocha, tak jak uważał siebie za dobrego człowieka. Te zdjęcia przedstawiały prawdziwszą historię i w tej chwili to on musiał stawić czoło bezradności. Odsłonięto całą jego wewnętrzną brzydotę.

– Daj jej to, co chce – rzucił. Anderson próbował coś powiedzieć, ale Skopes mu przerwał. – Daj jej po prostu to, co chce.

Moje ulubione słowa.

Skopes uważał, że kieruje je w stronę swojego prawnika, ewentualnie Daphne. Mylił się. Te słowa adresował do mnie.

Kolejne dni będą obfitować w papierkową robotę. Nick i ja będziemy długo

tańczyć z Jeremym Andersonem, dzieląc wielki finansowy tort. To było przyjemne, ale największą radość czerpałam z takiej właśnie chwili. Doskonałej, trudnej do powtórzenia chwili, gdy Skopes został zdemaskowany. Kiedy wszystko, co sobie wmawiał, zniknęło i ujrzał prawdziwego siebie.

Zatrzymałam się, by postawić na podłodze miskę z tuńczykiem. Henry rzucił się na niego łapczywie. Wzięłam do ręki telefon, by napisać do Brytyjczyka, i wtedy dostrzegłam, że ze stosika poczty wystaje róg kremowej koperty. Wyciągnęłam ją i zobaczyłam swoje nazwisko i adres oraz odręcznie napisany adres skrytki pocztowej Kai w Teksasie. To była koperta, którą w ostatnich minutach walentynek wrzuciłam do skrzynki nadawczej. Teraz widniały na niej trzy słowa napisane przez moją matkę.

*Zwrócić do nadawcy.*

Wszystko się zatrzymało. Przestałam oddychać. Moje zwycięstwo wyleciało mi z głowy. Wszystkie plany na wieczór także. Mój kot i moje potrzeby – zniknęły. Nie słyszałam nawet muzyki.

Minęło kilka chwil. Może pół minuty, może kilka sekund. Nie potrafiłam tego określić.

Słyszałam niskie, głośne pomruki Henry'ego; to wibrowało wewnątrz jego klatki piersiowej. Łapczywie jadł tuńczyka. Odwróciłam kopertę i przekonałam się, że jest zaklejona taśmą. Ja jej takiej nie wysłałam.

Ręce trzęsły mi się tak bardzo, że ledwie byłam w stanie ją otworzyć.

W kopercie znalazłam swój czek. Takim samym czerwonym długopisem jak na kopercie matka napisała w poprzek czeku: *NIEWAŻNY*.

Nareszcie inna odpowiedź. Ale dlaczego teraz? Wysyłałam czek każdego miesiąca od niemal szesnastu lat, za każdym razem powtarzając to samo pytanie. Podczas studiów licencjackich w Indianie чеки opiewały na drobne kwoty. Raz było to pięć dolarów i pamiętam, że też zostały ściągnięte z mojego konta. Kwoty nieco wzrosły, gdy przeniosłam się na uczelnię w Notre Dame, a potem w Atlancie, a jeszcze bardziej, gdy je ukończyłam i rozpoczęłam karierę zawodową. Sto osiemdziesiąt kilka czeków ode mnie do Kai, a każdy pytał: *Jesteśmy kwita?*

Odpowiedzią była ich realizacja. Za każdym razem, mimo że matka często się przenosiła. Raz lub dwa razy w roku przychodziła do mnie kartka z informacją o zmianie adresu, bezosobowa i radosna, podająca nową skrytkę pocztową w kolejnym mieście. Matka zawsze pilnowała tego, by odebrać czek i go spieniężyć.

Nieważny czek drżał w moich palcach. Na jego odwrocie znalazłam więcej słów napisanych pochyłym pismem:

*Nie, dziękuję. Pieniądze, które mam, wystarczą mi na resztę życia.*

*To był żart. Rak rozprzestrzenił się po całym ciele, zanim zdążyłam mrugnąć okiem, więc ta „reszta” będzie raczej krótka. Kilka tygodni, o ile szczęście mi*



*dopisze. Wybieram się w podróż, Kali. Wracam do swoich korzeni; śmierć to nie jest koniec. Ty będziesz końcem. Ponownie się spotkamy i przyjdzie czas na nowe opowieści. Wiesz, jak działa karma.*

To było coś więcej niż liścik. To było epitafium. Albo wiersz. Albo groźba. Tak mi się na początku wydawało.

Przeczytałam raz jeszcze i zrozumiałam, czego tam nie ma. Rozgrzeszenia.

Prawdę mówiąc, wyglądało to tak, jakby miało mnie wkurzyć. Nie znosiłam zagadkowych listów, mistycyzmu i protekcjonalności. Oczywiście, że cholernie dobrze wiedziałam, jak działa karma, ale w nią nie wierzyłam. Jak również w reinkarnację, przeznaczenie ani w to, że życie to swego rodzaju koło, o czym ona wiedziała.

Kiedy odrzuciłam te wszystkie brednie, zrozumiałam, co chce mi przekazać. Że mój dług wykracza poza śmierć. Jej i moją. Obie mogłyśmy umrzeć i obrócić się w popiół, a mój popiół i tak pozostanie dłużnikiem jej popiołu.

Nie potrafiłam natomiast zrozumieć tego, że tysiące kilometrów stąd, w Teksasie, moja matka umierała.

Tej informacji nie byłam w stanie przetworzyć.

– Moja matka umiera – oświadczyłam kotu, wypowiadając próbnie te słowa. Nie smakowały zbyt dobrze, ale czuć w nich było prawdę.

Wypowiedziawszy je na głos, nadal niczego nie czułam. To znaczy czułam tak wiele niczego, wzbierającego we mnie i coraz bardziej gęstniejącego, że nie byłam nawet w stanie mrugnąć. Powieki miałam suche i swędzące. Czas przeciągał się w coś niemającego końca.

Minął ponad tydzień, odkąd mój czek powędrował ode mnie do Teksasu i wrócił. Kai równie dobrze mogła już nie żyć.

Na tę myśl odprężyłam się, ale jednocześnie odnosiłam wrażenie, jakby brakowało mi zęba, w który bardzo bym chciała włożyć język. W mojej świadomości panował rozdźwięk. Jeśli ona nie żyje, to nie należałam już do nikogo oprócz Henry'ego.

Ten krótki liścik zajął cały tył czeku, ale na marginesie wypatrzyłam jeszcze małe literki. Zdrętwiałymi palcami przekreśliłam czek, a suchymi oczami przeczytałam sześć słów przy samym brzegu, to były ostatnie słowa, jakie do mnie napisała:

*(Oczywiście nie chcę, żebyś tu przyjeżdżała).*

Moja matka umierała i nie chciała mieć mnie przy sobie.

– No i dobrze – odpowiedziałam jej, a może Henry'emu.

Właściwie cieszyłam się, że mój kot jest głuchy i nie słyszy, jak wypowiadam te prawdziwe i okropne słowa. Z daleka dobiegł mnie własny śmiech, ponieważ to było takie głupie. Czy rzeczywiście sądziłam, że słyszący kot rozumiałby angielski? Śmiałam się, a Kai i tak umierała, mówiąc mi, bym do niej

nie przyjeżdżała, lecz potem przestałam się śmiać, ponieważ moje ciało przestało oddychać.

Jej nieobecność owijała się wokół mojej klatki piersiowej, wokół szyi. Zaciskała mi drogi oddechowe. Czułam, jak żebra napierają mi na serce. Ręka mi zdrętwiała i pomyślałam spokojnie: „Mam zawał”.

Rzuciłam się po telefon. Moja niezdarna dłoń wypuściła go i patrzyłam, jak upada. Zanotowałam beznamiętnie, że pękł ekranik i utworzyła się na nim pajęczyna. Nie bałam się. Coraz bardziej siniałam. Tonęłam w suchym powietrzu.

A potem na czworakach dopadłam telefonu i po raz drugi w życiu wystukałam numer dziewięćset jednaście. Zrobienie tego właśnie w tej chwili zakrawało na ironię i nie wierzyłam, że ten telefon może mnie uratować.

Czułam, jak pępowina matki ponownie owija mi się wokół szyi, pozbawiając moją skórę koloru. Osunęłam się na podłogę. Moje serce biło coraz wolniej. Traciłam czucie w rękach i nogach. Ledwie usłyszałam, jak kobieta w telefonie pyta:

– W jakiej sprawie państwo dzwonią?

Chciałam jej powiedzieć, że mam zawał, i prosić o przysłanie karetki. Ale nie byłam w stanie udzielić odpowiedzi. Nie na to pytanie. Kiedy poprzednio na nie odpowiadałam, zapoczątkowałam bardzo długi proces zabijania swojej matki. Proces, który dopiero teraz dobiegał końca.

Kobieta w telefonie mówiła teraz głośniej, spokojnym i zdecydowanym tonem:

– Halo? Mogą państwo mówić? Co się dzieje?

Zabrakło mi powietrza, żeby odpowiedzieć. Nawet nie próbowałam. Odepchnęłam telefon. Prześlizgnął się po gładkiej drewnianej podłodze, a z jego wnętrza ciągle wydobywał się głos. Odwróciłam się ku ciemności i zobaczyłam w niej karmę. Pozwoliłam, by dopadło mnie wszystko, na co zasłużyłam. Wreszcie na to pozwoliłam.



## Rozdział 2

Lata swojego dzieciństwa odmierzam chłopakami matki: Joe, ponury blondyn z najwcześniejszych wspomnień z Alabamy. Potem Eddie. Tick. Anthony. Hervé. Dwayne. Rhonda. Marvin. Każdy zna inną Kai z innym nazwiskiem i inną historią.

Tego, kim ja jestem, dowiaduję się w przelocie, podsłuchując. Eddie, nauczyciel jogi, wierzy, że mój ojciec był tybetańskim mnichem, który jeden jedyny raz uniósł swoje szaty w kolorze szafranowym i złamał śluby dla Kai. Moja skóra w odcieniu miedzi jest ciut za ciemna dla skinheada Ticka, a chociaż mam jasnozielone oczy Kai, to są niepokojąco skośne. Moja matka jest wysoka i blada – piękna, jeśli komuś podobają się Irlandki. Tickowi tak. Na tyle, by udawał, że wierzy, iż mój tata jest włoskim hrabią, którego matka poznała podczas wakacyjnej wędrowni po Europie. Anthony’emu Kai wmawia, że moim ojcem był nauczyciel jogi pochodzenia azjatycko-afrykańskiego, i pokazuje mu zdjęcie Eddiego. Kai urodziła mnie w tak młodym wieku, że Hervé pyta, czy jestem jej siostrą. Trzymamy się tej wersji i przyzwyczajam się mówić „Kai” zamiast „mama”.

Mężczyźni kładą głowę na jej kolanach i słuchają jak urzeczeni, a ona każdemu z nich snuje nową opowieść. Nigdy nie jesteśmy z Alabamy. Jej rodzice nigdy nie są zgorzkniali i poważni, ojciec nie jest kierownikiem sklepu żelaznego, a matka nie prześladuje pogrążonych w żałobie swoimi zapiekankami. Stać nas na coś więcej niż prawdę. Kai przemienia nas w sieroty umykające przed tragedią albo uciekinierki borykające się z mroczną przeszłością.

Historie, którymi raczy mnie przed snem, są spektakularne: folklor dawnego Południa doprawiony hinduską poezją i opowieściami o bogach. To dziwniejsze połączenie niż masło orzechowe Reese’s – „O nie! Twój paskudny niebieski bóg uderzył mojego królika Brera! Nie, to twój rasistowski królik pchnął mojego boga seksu” – ale Kai robi to naprawdę przekonująco. Podczas wieczorów spędzanych przy ognisku miesza fragmenty książek Stephena Kinga i Edgara Allana Poe’go, w których się zaczytywała.

Z biegiem lat próbuję oddzielać to, co mówi, od tego, co widzę. Ale staje się to niemożliwe. Moja historia jest jak potwór Frankenstein – zszyta z wielu skradzionych fragmentów, z których część jest zbyt mała, aby odnaleźć ich źródło. Mniej więcej raz w roku moja matka odradza się zupełnie na nowo i ze mnie także tworzy nową postać. Podczas każdego wcielenia kurczowo trzymamy się razem.

Teraz, gdzieś w Teksasie, ona nie żyje. *Kilka tygodni, o ile szczęście mi dopisze* – tak napisała. Los na ogół sprzyjał Kai – ale minęło pięć miesięcy. W tej

chwili nie ma już nowej Kai do wymyślenia, nie ma głosu, który opowie mi o wszystkich swoich życiach z czasów, gdy nie miałyśmy ze sobą kontaktu. Pozostały jedynie cisza i nieobecność.

Wobec tego za mały cud można uznać fakt, że kolejny atak paniki dopadł mnie, kiedy zobaczyłam oczy swojej matki. Patrzyły prosto na mnie i znajdowały się tuż przed moim biurowcem.

Najpierw zobaczyłam białego faceta, wysokiego i bardzo młodego, który grzecznie otworzył mi drzwi. Podniosłam wzrok, żeby mu podziękować, i wtedy nasze spojrzenia się skrzyżowały. Miał intensywnie zielone oczy w kształcie półksiężyców, otoczone gęstą firanką rzęs. Oczy mojej matki osadzone w twarzy nieznanego.

Były identyczne. W wyobraźni ujrzałam potworną scenę: chłopak zagłębia się w ziemi niczym długi blady robak. Widziałam jego pozbawioną oczu twarz zagrzebującą się coraz głębiej, aż natrafia na jej ciało. Usłyszałam kliknięcie, gdy wcisnął ukradzione mojej matce oczy w swoje puste oczodoły.

Serce zaczęło walić mi jak młotem. Odetchnęłam płytko i poczułam zapach prażonego nad ogniskiem popcornu, paczuli i haszyszu. Zachwiałam się i wsparłam jedną ręką o framugę, a potem, cholera, jasna cholera, to znowu zaczęło się dziać. Było tak, jakby duch Kai czekał, żeby zaatakować mnie w eleganckim i nowoczesnym holu mojego biurowca.

W oczach chłopaka, które wytrąciły mnie z równowagi, pojawił się niepokój. Ujął mój łokieć, jakbym była jego słabowitą ciotką. Zaprowadził mnie do jednej z białych ławek stojących niedaleko wind i posadził. Oparłam łokieć na kolanach i opuściłam głowę, próbując wciągnąć do zaciśniętych płuc odrobinę powietrza.

Ten dzieciak i ja nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego. To nieznanomy w holu mojego biurowca, który, tak się akurat złożyło, miał intensywnie zielone oczy, ale moje głupie serce obijało się głośno o żebra. Jego dudnienie czułam w ustach, uszach i palcach.

Wkurzyło mnie to. Oczywiście, że każdy ma prawo do epizodu czy dwóch po śmierci matki, nawet jeśli zwykła bezdomna kotka wychowała swoje dzieci lepiej niż ona. Strażacy, którzy zareagowali na mój milczący telefon pod dziewięćset jednaście, wykazali się dużą wyrozumiałością. Nie robiłam sobie wymówek z powodu trzech kolejnych ataków paniki w lutym i marcu – ale w kwietniu powinny już osłabnąć, a do lata zupełnie minąć. Tymczasem nasilały się, stawały się coraz częstsze i coraz łatwiej do nich dochodziło. No a teraz, proszę, panikowałam w lipcu, gdy powinnam zakończyć czwarty etap żałoby i przejść do akceptacji.

– Dobrze się pani czuje? – zapytał chłopak. Był wysoki, chudy, miał wydatne jabłko Adama i brązowomiodowe loki.

– Nic mi nie jest – odparłam.

Oddychałam przez nos, licząc powoli do czterech; gdy ataki zaczęły się powtarzać, sprawdziłam w internecie, co należy robić. Wstrzymywałam powietrze przez zalecaną ilość czasu. W ostatni weekend wybrałam się na festyn i zaczęłam świrować, bo zobaczyłam wieszak z powiewającymi na wietrze jaskrawymi jedwabnymi spódnicami w stylu Kai. Nie minęły trzy dni, a oczy w kształcie półksiężyców doprowadziły mnie do takiego stanu, jakby ataki paniki stanowiły moje nowe hobby.

Wkurzanie się na to nie pomagało mi się uspokoić. Zaczęłam robić wydech, licząc do czterech, jedną ręką uciskając serce, jakbym próbowała wdrożyć je do regularnego, spokojnego bicia.

Chłopak sięgnął do kieszeni luźnych bawełnianych spodni i wyjął z niej małą czekoladkę Hershey w pogniecionym opakowaniu. Podał mi ją. Zamrugalam.

– Zawsze je noszę. Z przyzwyczajenia – wyjaśnił. – Moja mama miała cukrzycę.

– Ja nie mam – odparłam niepotrzebnie opryskliwie. Miałam trzydzieści pięć lat, a ten chłopak ledwie przekroczył dwudziestkę. Wcale nie musiał widzieć we mnie chorej matki. Wtedy pożałowałam, że tak zareagowałam, no bo co teraz powiem? „To nie cukrzyca, mam jedynie epizod psychotyczny”. Wzięłam czekoladkę z jego miękkiej białej dłoni i dodałam: – Nie jadłam lunchu...

Częściowo była to prawda. Rozpakowałam czekoladkę i wsunęłam ją do ust. Ponieważ chłopak trzymał ją w kieszeni, okazała się nieprzyjemnie ciepła.

– Dziękuję. Już mi lepiej – oznajmiłam, starając się nie ubrudzić bluzki rozpuszczającą się czekoladą. Gardło miałam tak zaciśnięte, że ledwie byłam w stanie przepchnąć przez nie powietrze, a cóż dopiero lepką czekoladę.

Chłopak kiwnął głową, ale nie odszedł. Po akcencie, choć lekkim, można było poznać, że pochodzi z Południa. A więc rycerskość miał we krwi.

Według informacji, które znalazłam w internecie, powinnam leżeć teraz w jakimś spokojnym miejscu, skupiać się na oddychaniu i wyobrażać sobie wschód słońca albo plażę. Nie miałam na to czasu; opuszczała nas klientka klasy A. Dobre pół godziny temu Nick przysłał mi gorączkowego esemesa z zapytaniem, czemu, u licha, nie ma mnie w kancelarii.

Zapomniałam. Zamiast na zebranie udałam się do aresztu hrabstwa DeKalb, gdyż zastanawiałam się nad prowadzeniem *pro bono* kolejnej sprawy karnej. Potencjalna klientka była bardzo młoda, a jej głównym przewinieniem okazało się to, że zakochała się w przestępcy. Nie chciała przeciwko niemu zeznawać, tymczasem prokurator okręgowy zamierzał przyszpilić ją do ściany. Odkąd zdałam egzamin adwokacki, takim właśnie dziewczynom pomagałam dwa razy w roku. Od lutego zajęłam się pięcioma tego typu sprawami, zaniedbując własną praktykę. Właściwie nic więcej nie robiłam. Nie było takiej możliwości, żebym wzięła tę nową sprawę, ale i tak wysłałam Birdwine'owi imię i nazwisko potencjalnej

klientki, prosząc go, aby na mój koszt zdobył jakieś informacje.

Kiedy studiowałam w Notre Dame i Emory, wielokrotnie korzystałam z darmowej terapii, nie musiałam więc zaglądać do wyłożonych w poczekalni u dentysty starych periodyków „Psychology Today”, żeby wiedzieć, dlaczego to robię. Te dziewczyny były wcieleniami mojej matki. Szkoda, że rozumienie przyczyn mojego wewnętrznego przymusu nie powstrzymało mnie przed tym, żeby podczas przerwy na lunch jechać na spotkanie z kolejną dziewczyną. Zapomniałam, że obiecałam stawić się u Nicka. Zaparkowałam niedaleko aresztu, zerknęłam na telefon i zobaczyłam serię pełnych paniki esemesów, które mi wysłał, gdy prowadziłam.

Z rykiem silnika wróciłam do centrum, przedzierając się przez korki i omal nie przejeżdżając staruszką na pasach. Gorączkowo wystukałam numer Nicka. Odebrał, pozostawiając klientkę w uspokajających rękach Catherine na tyle długo, aby zdać mi nieciekawą relację.

Ostatni kwartał nie należał do najbardziej dochodowych, głównie z mojego powodu, gdyż Nick i Catherine jak zwykle przykładali się do pracy. Klientka, którą traciliśmy, to była sprawa PDBD. Jeśli ona odejdzie, ten kwartał okaże się jeszcze bardziej fatalny. Nie miałam czasu na kolejną sprawę *pro bono*, nie mówiąc o załamaniu czy innych bzdetach związanych z nieżyjącą matką.

Teraz obok mnie na ławce siedział chłopak, który czekał, aż mój stan się poprawi albo będzie musiał zadzwonić po karetkę. Jego tanie spodnie i niczym niewyróżniająca się granatowa sportowa kurtka nie pasowały do naszego ekskluzywnego holu, ale język ciała miał odpowiedni. Był zgarbiony, czoło miał zmarszczone, a w dłoniach obracał niebieską teczkę. W naszym niedużym budynku swoje siedziby mieli głównie dentyści, prawnicy i terapeuci, więc każdy, kto się tu zjawiał, wyglądał równie radośnie jak on. Może chorująca na cukrzycę mama miała dobre ubezpieczenie, które opłacało mu tutaj leczenie ubytków w zębach lub depresji.

Wzięłam kolejny zalecany przez internet głęboki oddech, w duchu wysyłając chłopaka w próżnię razem ze sprawami *pro bono* i wszystkimi przekłętymi jedwabnymi spódnicami. Musiałam się skupić. Musiałam nakłonić klientkę PDBD, by wróciła do naszej stajni. Musiałam się wytłumaczyć ze swojej nieobecności, nie przyznając się do tego, że zmarnowałam cenną godzinę na jazdę do kolejnej pozbawionej środków do życia przestępczyni. Potem, zakładając, że nie natrafię na żaden tatuaż z henny czy opaskę z koralików i nie zacznę świrować, pojedę do domu. Pod prysznicem zmyję z siebie cały ten dzień. Może rozwiążę kilka sudoku, gdy tymczasem Henry będzie próbował się rozłożyć na książeczce z krzyżówkami.

Te obrazy sprawdziły się w moim wypadku lepiej niż zalecane plaże. Najgorsze minęło. Serce waliło mi jeszcze, ale nie czułam go już w oczach, minęły także zawroty głowy. Udało mi się nawet przełknąć czekoladkę, choć w ustach

została lepka warstwa słodkości.

Wstałam. Chłopak także i odwrócił się w moją stronę. Jego spojrzenie odruchowo prześlizgnęło się po moim ciele. Natychmiast się wyprostował, przez co zrobił się wyższy ode mnie, a gdy jego niepokojące oczy ponownie zatrzymały się na mojej twarzy, uśmiechnął się do mnie z nadzieją. To urocze, jak szybko usunął mnie z kategorii „matka z cukrzycą”. Nie mogłam nie odpowiedzieć mu uśmiechem, mimo że od pięciu miesięcy od szyi w dół byłam praktycznie martwa. Nawet gdybym była w formie, nie zainteresowałabym się tym chłopakiem, nie moja liga. Był miłutki, ale to praktycznie noworodek. Gotowa byłam się założyć, że moja garsonka jest warta więcej niż jego samochód.

On także to wiedział. Zarumienił się aż po korzonki włosów i pokonany uśmiechnął się szeroko. Następnie przechylił głowę i wzruszył ramieniem, jakby chciał powiedzieć „warto było spróbować”.

– Dzięki za pomoc – rzekłam. – Czuję się już dobrze.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł.

Ruszyłam w stronę wind, a on za mną. Serce jeszcze mi szybko biło, musiałam jednak wjechać na górę. Klientka PDBD Oakleigh Winkley miała mnóstwo pieniędzy, ale im więcej pieniędzy miał jakiś klient, tym mniej innych atrybutów. Na przykład nigdy bym nie powiedziała: „Oto Oakleigh Winkley, która ma mnóstwo cierpliwości”.

Wcisnęłam guzik przywołujący windę, a chłopak wyciągnął rękę i także go wcisnął, trzy lub cztery razy.

– Och, przepraszam. Ale jeśli wciśnie się kilkakrotnie, winda przyjedzie szybciej – oświadczył tak poważnie, że dopiero po chwili dotarło do mnie, że żartuje. Nie mówił jak rodowity mieszkaniec Atlanty, ale południowy akcent miał na tyle delikatny, że raczej nie pochodził ze wsi. – Hej, pracuje tu pani? – zapytał, czytając wiszącą między windami tablicę. – Wie pani, gdzie mogę znaleźć kancelarię Cartwright, Doyle i Vauss?

Wypowiedział moje nazwisko w niewłaściwy sposób, jakby rymowało się ze słowem „Klaus”, a nie „los”.

– Jestem właścicielką sporej jej części. Pewnie chcesz się widzieć z którymś z moich partnerów. – Przegapiłam dzisiaj tylko jedno spotkanie, chyba że Birdwine także się liczył. Nieudolna próba flirtu ze strony tego chłopaka była czarująca, ale nie miałam ochoty siedzieć za biurkiem i wpatrywać się w jego oczy przypominające mi Kai.

– Och, super. Jestem Julian Bouchard?

Zabrzmiało to jak pytanie, jakby się zastanawiał, czy o nim słyszałam. Pokręciłam głową – nie słyszałam – i już miałam wyciągnąć rękę i się przedstawić, gdy winda brzęknęła i drzwi się rozsunęły.

Cofnął się o krok i jak przystało na małego dżentelmena, powiedział:



– Pani przodem.

Weszłam do windy i wcisnęłam przycisk.

– Jesteśmy na siódmym – rzekłam do chłopaka.

Julian ponownie przechylił głowę w ten swój zabawny sposób, po czym odwrócił się twarzą do zamykających się drzwi.

– Dziękuję.

Wydawał się zbyt młody, by mieć żonę, nie mówiąc o rozwodzeniu się, a już na pewno nie wyglądał na kogoś, kogo na nas stać. Jego mokasyny nie były skórzane. Dzieciaków jego pokroju delikatnie odsyłałami do tańszych prawników specjalizujących się w podziale używanych mebli i długów.

Winda zatrzymała się na naszym piętrze i gdy drzwi się rozsunęły, zobaczyłam naszą klientkę PDBD. Oakleigh właśnie wychodziła. Zarejestrowała naszą obecność, ale ponieważ podniosła wzrok znad telefonu na zaledwie moment, nie rozpoznała mnie. Stukała w wyświetlacz, czekając, aż oddychające kształty w windzie usuną jej się z drogi.

Na samą myśl o użeraniu się z tą wkurzoną księżniczką ponownie przycisnęłam dłoń do walącego serca. Tak bardzo nagle zapragnęłam, aby nim zdąży mnie zobaczyć, zamknęły się między nami drzwi. Mogłabym zjechać piętro niżej, gdzie przyjmowali psychiatrzy, którzy wypisałiby mi receptę. Z pewnością istniała pigułka zdolna powstrzymać fragmenty nieżyjącej matki przed dopadaniem mnie podczas godzin pracy.

Julian, jak dobrze wychowane, nieopierzone kaczątko, czekał, aż pierwsza wyjdę z windy, gotowy ruszyć za mną.

– To moja klientka – szepnęłam do niego. – Skręć w lewo, jesteśmy na końcu.

Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale zdążyłam już wyjść, blokując przejście Oakleigh i przywołując na twarz rekini uśmiech. Próbowwała mnie ominąć, nadal skupiona na swoim telefonie. Stałam przed nią i jej spojrzenie w końcu zahaczyło o mnie i dotarło do niej, kim jestem.

– Dzień dobry, pani Winkley – powiedziałam. Machnęła ręką, co być może stanowiło gest powitania, a być może w ten sposób mnie odganiała. Zrobiła krok w prawo, ja także, stanowiąc barierę między nią a drzwiami. Julian wymknął się chyłkiem z windy i udał w stronę naszej kancelarii. – Rozumiem, że musimy uzgodnić termin spotkania?

W końcu się odezwała:

– Czyżby? Wydaje mi się, że miałyśmy się spotkać godzinę temu. Nie mam już czasu. Zresztą nie jestem szczególnie zainteresowana przerzuceniem mnie do pani.

Głos Oakleigh zapamiętałam jako wysoki i zalotny. Teraz tak nie brzmiał. Wyglądała na lekko spoconą, miała zaróżowione policzki, a jej wyćwiczona

melodyjna intonacja zamieniła się w skrzeczenie. Podczas dzisiejszego składania zeznań Oakleigh wpadła w szal. Spanikowany esemes od Nicka brzmiał co prawda tak: *w podła szal*, ale doskonale deszyfrowałam takie pomyłki. Przez telefon opowiedział mi szeptem w zwięzłych słowach, że gdy Oakleigh była w szczytowej formie, jej mąż mruknął coś, czego on nie dosłyszał. Ona jednak tak. Zerwała się z krzesła i zaatakowała męża. Biła go po głowie i ramionach wielką torbą od Hermèsa. Kamera nagrywała, a mąż idealnie się kulił. Jego prawnik starał się wyglądać na zszokowanego i zbulwersowanego, nie zaś na tak uszczęśliwionego, że praktycznie przeżywał orgazm. Groził, że jeśli negocjacje nie zakończą się po jego myśli, przedstawi sprawę ławie przysięgłych.

W wypadku większości rozwodów wystarczająca okazywała się mediacja. Jeśli mediacja zawodziła, stawaliśmy przed obliczem sędziego. W Georgii jednak jedna ze stron mogła podjąć decyzję, aby to ława przysięgłych zdecydowała, komu przypadną w udziale psy, a komu srebrne łyżeczki. Była to ryzykowna strategia, ale miała szansę powodzenia, jeśli klient to anielsko cierpliwy święty, którego małżonek grzeszył spektakularnie na YouTube.

Ława przysięgłych bywała znacznie bardziej wymagająca niż sędziowie i cechowała ją stronnictwość. Teraz, gdy istniało nagranie, na którym nasza klientka okłada męża torbą wartą więcej niż średni miesięczny dochód ławnika z Atlanty, takie rozwiązanie zwiastowało klęskę.

Nick był świetny w wielu rzeczach, na przykład w tenisie, seksie oralnym i mediacji, z ławą przysięgłych jednak nie radził sobie. Podobnie Catherine. Moje nazwisko przy sprawie często sprawiało, że strona przeciwna ponownie zaczynała interesować się mediacją. A jeśli nie? Mnie to nie przeszkadzało.

Powodzenie w sprawie rozwodowej z pomocą ławy przysięgłych zależało od tego, który prawnik będzie snuł lepszą opowieść, a mnie wychowała kobieta, która zapożyczone z różnych historii fragmenty łączyła tak, że wydawały się prawdziwsze od prawdy. Potrafiła zmienić opowieść, którą słyszałam tysiąc razy, w taki sposób, że jej przekaz stawał się zupełnie inny. Byłam jej dzieckiem. Działałam zgodnie z etyką swojego zawodu, ale nikt nie snuł opowieści równie dobrze jak ja.

Dlatego właśnie do sprawy Winkley przeciwko Winkley moi partnerzy przypisali mnie. Nie zdążyłam jej jednak złapać. Znowu. Do diaska. Czulałam, jak w lewym oku zaczyna się znajomy, pojawiający się po atakach paniki ból głowy.

– Nie jest pani przerzucana, pani Winkley – powiedziałam, używając najniższego rejestru. Z Oakleigh miałam okazję spotkać się tylko dwa razy, niemniej dobrze znałam ten typ. Przypominała mi białawego kucyka arabskiego, którego miał jeden z dawnych chłopaków Kai. Była zuchwałą flirciarą, ale jeśli odwracałeś się do niej plecami, potrafiła wbić ci zęby w ramię. Zarówno Oakleigh, jak i kucyk lepiej reagowali na alt.

– Evans. Wracam do panińskiego nazwiska – warknęła. – Przez panią odjechała mi winda. – Sięgnęła ręką za mnie i wcisnęła guzik przywołujący.

– Skoro mamy chwilę, równie dobrze może mi pani wyjaśnić, dlaczego podczas dzisiejszego spotkania... – Przyłapałam się na tym, że już-już miałam powiedzieć „wpadła pani w szal” do i tak wkurzonej klientki. Cholerny Julian Bouchard i te jego znajome oczy. Natychmiast się poprawiłam. – ...tak się pani zdenerwowała.

Oakleigh wściekle wzruszyła ramieniem.

– Clark mnie okradł. – Musiała dostrzec na mojej twarzy zakłopotanie, gdyż dodała: – Clark. Mój mąż.

Nie miałam okazji go poznać i nie wiedziałam, kto go reprezentuje. Nick od początku mówił mi, że to ja powinnam się zająć tą sprawą.

– Wczoraj zjawił się w domu, żeby zabrać trochę ubrań – kontynuowała Oakleigh. – Byłam tam, ale gdy się pakował, pozostałam na dole. Wyszedł z torbą na garnitury i tyle. Ale dziś rano weszłam do garderoby i zobaczyłam, że nie zabrał żadnego garnituru. Zaczęłam się rozglądać i wie pani, co tak naprawdę spakował? – Zmrużyła oczy, przez co stały się małe i nieprzyjemne, a usta zacisnęła w brzydką kreskę. Będę musiała ją przeskolić, aby ta mina zniknęła z jej repertuaru. Żaden ławnik nie powinien jej zobaczyć. – Wszystko ze znajdującego się na piętrze sejfu. Trzymaliśmy tam dziesięć tysięcy w gotówce, trochę obligacji na okaziciela i mój zegarek od Cartiera. To był prezent zaręczynowy, więc należy tylko do mnie. A potem podczas składania zeznań spojrzał mi prosto w oczy i zapytał: Jaki zegarek?, uśmiechając się przy tym jak żmija. Przysięgam, że gdy się tak uśmiecha, widzę jego dawny nos, a to ja załatwiłam mu nowy. To był mój prezent dla niego, a skoro on zabrał mi zegarek, ja powinnam dostać z powrotem nos. Powinnam go oderwać z tej jego zadowolonej twarzy.

Przestępowała z nogi na nogę. Miała najmodniejsze tego sezonu kozaki Balmaina. Musiały kosztować co najmniej dziewięćset dolarów, czyli jeden jej but był dużo droższy niż para mojego obuwia.

Przynajmniej ze mną rozmawiała.

– Pani Evans, jeśli ta sprawa trafi pod obrady ławy przysięgłych, potrzebny będzie pani prawnik, który umie zapewnić nagraniu z dzisiejszego spotkania odpowiedni kontekst.

Wydawało się, że mnie słucha, ale nagle zrobiła krok w bok i obeszła mnie, mówiąc:

– Dziękuję. Lepiej będzie, gdy go sobie poszukam.

Chwilę później winda brzęknęła. Dla niej był to sygnał do zakończenia rozmowy. Włożyłam ramię między drzwi, żeby się nie zamknęły. Jej szpilki były pięć centymetrów wyższe od moich, ale ja byłam wysoka, a ona niska, więc i tak nad nią górowałam.

– W tym mieście jest mnóstwo prawników, którzy wywalczą dla pani dobrą ugodę – powiedziałam. – Mam być jednak szczerą? Nie sądzę, żeby panią interesowało takie rozwiązanie. Dobra ugoda to za mało, prawda? Zaprzepaścił szansę na nią, gdy ukradł pani zegarek. – Szukałam w pamięci informacji z jej akt, których mogłabym teraz użyć. Jej mąż miał chyba własną firmę. Konsultingową? Nie pamiętałam, więc postanowiłam nie wdawać się w szczegóły. – Nie chce pani skapujących przez kilka lat alimentów. Chce mu pani odebrać firmę, z której jest dumny, porąbać ją na kawałki i wrzucić do ognia. Kazać mu patrzeć na to, jak sprzedajemy te płonące kawałki za grosze. – Spojrzenie Oakleigh po raz pierwszy skupiło się na mnie, kontynuowałam więc: – Chce pani zrównać z ziemią jego pola i wysypać sól na jego ziemię, tak żeby nic tam nigdy nie urosło. Chce pani przeciągnąć go przez ciernie, aż odda pani wszystkie należne jej pieniądze, byle tylko się uwolnić.

Wielokrotnie wygłaszałam różne wersje tej przemowy. To była moja standardowa gadka w wypadku spraw PDBD i byłam w tym dobra.

– Chce pani wygrzebać spod ziemi jego grzechy i wrzeszczące rzucić w stronę słońca. Chce pani, żeby wyjaśniono naturę pani drobnych grzeszków tak, by stało się jasne, że została pani do nich zmuszona. Przez niego.

Oakleigh stała w kompletnym bezruchu. Nachyliłam się ku niej, żeby się przekonała, o ile jestem od niej wyższa.

– To właśnie zrobię. Prawdę mówiąc, jestem w tym najlepsza. A te wszystkie rzeczy, których pani chce? Pani mąż też ich chce. Chce wybrać się pewnego dnia do Denny's i w roli kelnerki zobaczyć właśnie panią. To właśnie mówi w tej chwili swojemu prawnikowi. Dzisiaj zapewniła mu pani amunicję. Co jeszcze ma na panią? – Spuściła wzrok. Rzęsy miała tak gęste, że musiały być sztuczne. Kiedy ponownie na mnie spojrzała, uśmiechnęłam się zimno. – Chce mnie pani. Żebym stanęła między nim a panią. Między panią a jego prawnikiem. Kogo on ma?

– Deana Macona? – odparła. – Wszyscy mówią, że jest niezły.

– Ja jestem lepsza – oświadczyłam. – Nie raz jadłam Macona prosto z ziemi.

– To była pod wieloma względami prawda, zanim jeszcze zamieniłam libido na ataki paniki.

Miałam ją w garści. Wiedziałam o tym, ale zanim dobiłam targu, winda zaczęła wydawać okropny pikający dźwięk, skarżąc się na to, że zbyt długo ją przytrzymuję. Prysł czar, jaki rzuciłam na Oakleigh.

– Umówmy się na spotkanie – powiedziałam zbyt głośno i zbyt późno.

– Zastanowię się. – Machnęła ręką na wrzeszczące drzwi. – Uch, co za dźwięk!

Wyjęłam z torby wizytówkę i wyciągnęłam w jej stronę, próbując odzyskać jej uwagę.

– Będzie to pani potrzebne.

Nie cofnęłam się. Oakleigh zacisnęła usta, jakbym jej podawała martwego robaka. Nie dawałam jednak za wygraną, gotowa pozwolić windzie piszczeć, dopóki obie nie ogłuchniemy i nie umrzemy ze starości.

W końcu wyrwała mi wizytówkę i włożyła do torebki. Uśmiechnęłam się i zrobiłam krok w tył. Drzwi się zasunęły, a nasza PDBD odjechała.

Uśmiech zniknął z mojej twarzy, gdy się odwróciłam i oparłam o ścianę. Nasza ostatnia prawdziwa sprawa PDBD to Skopes przeciwko Skopes i wydawała się tak odległa od miejsca, w którym się znajdowałam teraz, że można ją było praktycznie uznać za mit. Zbierało mi się na mdłości i nie był to wcale kac związany z atakiem paniki. Nie znosiłam przegrywać i nie znosiłam zawodzić swoich partnerów, zwłaszcza Nicka. W przypadkach takich jak Oakleigh liczył na to, że ja się nimi zajmę.

Odkleiłam się od ściany i zerknęłam na zegarek, choć nie bardzo wiedziałam po co. W grafiku miałam już tylko Birdwine’a. Jeśli bogowie okażą się miłosierni, dostarczy mi dziewięć słusznych powodów, bym odpuściła sobie tę sprawę *pro bono*.

Kiedy otworzyłam drzwi do naszej kancelarii, zobaczyłam Juliana stojącego obok stolika kawowego. Verony nie było przy biurku, ale chłopak miał towarzystwo. Birdwine zjawił się przed czasem. Rozsiadł się na sofie, ręce miał wyciągnięte wzdłuż oparcia, a długie nogi sięgały aż pod stół.

Kiedy weszłam, usiadł prosto i uśmiechnął się szeroko, prezentując szparę między jedykami. Zawsze mi się podobała. Gdy znowu zaczęliśmy ze sobą pracować, na początku obdarzał mnie uśmiechem, przy którym nie otwierał ust, zarezerwowanym dla nieznajomych. Ale teraz? Regularnie widywałam jego diastemę. Nastrój poprawiało mu to, że życie mi się pieprzyło. Nie była to jednak radość z niepowodzenia innych. Chodziło raczej o to, że jeden popapraniec dobrze się czuł w towarzystwie drugiego.

Też się uśmiechnęłam, po czym zwróciłam się do Juliana:

– Przepraszam. Wygląda na to, że nasza recepcjonistka gdzieś sobie poszła. Ktoś za chwilę przyjdzie i się tobą zajmie, okej?

Przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą.

– Och, przepraszam. Nigdzie mi się nie spieszy.

Często rozpoczynał zdanie od „Och” i przeprosin, jakby to był werbalny tik.

– Możesz usiąść, jeśli chcesz – rzekłam.

Przełknął ślinę, mierząc wzrokiem sofę.

– Nie sądziłem, że będzie tu tak, eee, luksusowo.

– Chcesz przejść do mnie? – zapytałam Birdwine’a. Wstał, żeby udać się za mną. A do Juliana rzekłam: – Poczęstuj się, proszę, kawą.

Kiedy Birdwine obszedł stół, Julian ponownie się zarumienił i powiedział:

– Chyba nie powinienem. No bo przecież nie jestem prawdziwym klientem. Przyszedłem tu w sprawie osobistej.

Dziwne. Rzeczywiście wydawał się zbyt młody i zbyt splukany, by być naszym klientem, ale jedynymi osobami, które przychodziły do Nicka w sprawach „osobistych”, były trzydziestoparoletnie brunetki z brzuchami płaskimi dzięki pilatesowi i z ustami pomalowanymi czerwoną szminką. Natomiast w wypadku Catherine, pracującej na pełen etat mężatki i matki trójki dzieci, trudno było mówić o życiu prywatnym.

– Myślę, że przymkniemy oko na jedną kawę. Może nawet i na cukier, jeśli ograniczysz się do jednej saszetki – oświadczyłam z udawaną surowością.

Julian uśmiechnął się i odwrócił w stronę ekspresu. Kiedy on i Birdwine się mijali, Birdwine rzekł:

– Naprawdę jesteś zainteresowana tą sprawą, Paula? Mogę jeszcze pogrzebać, ale...

Kiedy wypowiedział moje imię, Julian odwrócił się na pięcie, zrobił krok w moją stronę i obaj mężczyźni się zderzyli. Chłopak zaczął gmerać przy teczce i cała jej zawartość wypadła na podłogę.

Zdawał się tego nie widzieć. Minął Birdwine’a i podszedł do mnie szybkim krokiem. Po raz drugi chwycił mnie za łokieć i jego twarz znalazła się zbyt blisko mojej twarzy.

– Jesteś Paula? Paula Vauss?

– Vauss – automatycznie poprawiłam jego wymowę. Tak mocno ścisnął mi łokieć, że aż mnie to bolało. Pobladł, a ja poczułam, że między nami przeskakuje coś niedobrego, prawie namacalnego.

Birdwine także to wyczuł. Zignorował rozrzucone dokumenty i zrobił zdecydowany krok w naszą stronę. Pokręciłam lekko głową. Złamałby tę chudzinę na pół. Wyczuwałam zagrożenie, ale nie ze strony tego zdezorientowanego dzieciaka. Miałam wrażenie, że otulało nas oboje.

Birdwine cofnął się, ale tylko o krok. Julian zamrugał powoli, jakby się budził. Spojrzał na leżące na podłodze papiery.

– Och, przepraszam. – Puścił mój łokieć. Padł na kolana i zaczął zbierać dokumenty. Schował kilka do teczki, ale wzrok miał wbity we mnie. Na jego policzkach wykwitły dwa intensywne rumieńce, a między nami nadal przeskakiwały niedobre prądy. – Czy jest jeszcze jakaś Paula Vauss? – zapytał.

– Jestem pewna, że mnóstwo – odparłam.

Uklękłam obok niego, żeby mu pomóc pozbierać papiery. Chciałam, żeby ten chłopak sobie poszedł. Nie miałam ochoty na to świeże elektryczne piekło, jakie ze sobą przyniósł, chowając je w kieszeni razem z miniczekoladkami.

– Ale ty jesteś Paula Vauss, prawniczka. Urodzona w Alabamie? I studiowałaś prawo w Emory?

– Co to ma znaczyć? – odezwał się Birdwine.

Zamarłam.

– Sprawdziłeś moją przeszłość? – zapytałam wojowniczo.

Julian przyglądał mi się z niezwykłą intensywnością, a im dłużej to robił, tym bardziej jego oczy wytręcały mnie z równowagi. Miały dokładnie taki sam kolor jak oczy mojej matki.

– Sądziłem, że będziesz wyglądać inaczej – powiedział. – Wiesz?

Nie wiedziałam. Pokręciłam głową.

– Co tu się dzieje, młody? – zapytał Birdwine.

– Sądziłem, że będziesz wyglądać inaczej – powtórzył Julian, nie zwracając uwagi na Birdwine’a.

Pogrzebał w rozrzuconych papierach, po czym podniósł jeden i podał mi.

To był akt urodzenia wystawiony w stanie Georgia, w jakimś nieznanym mi mieście. Rubryki wypełniono odręcznie i była to trudna do odczytania kopia. Dokument potwierdzał narodziny żywego, prawie trzykilogramowego chłopca. Imię zaczynało się od G. Może Garrett? Nazwisko łatwiej było odczytać, może dlatego, że tak cholernie dobrze je znałam. Brzmiało Vauss.

Płuca mi się zacisnęły, a moje spojrzenie skakało po kartce w poszukiwaniu imienia mojej matki.

Karen Vauss.

– Paula? – odezwał się gdzieś wysoko Birdwine.

Akt urodzenia wystawiono dwadzieścia trzy lata temu. A więc to dziecko przyszło na świat, gdy miałam dwanaście lat i przebywałam w rodzinie zastępczej. Moje serce wyrывało się niczym niecierpliwym rumak czekający na sygnał do przejścia w galop. Jeśli ten blady chłopak rzeczywiście był synem Kai, w takim razie urodził się – tak jak ja – kiedy jego matka odsiadywała wyrok.

„Przynajmniej mamy ze sobą coś wspólnego”, pomyślałam i musiałam mocno zacisnąć usta, żeby nie wypuścić na wolność szalonego śmiechu.

To było możliwe. Kai dzwoniła do mnie z więzienia, ale nigdy jej tam nie odwiedziłam. Jeśli ten chłopiec był jej synem, to cała postrzępiona historia mojego dzieciństwa balansowała na krawędzi odtworzenia, czekając, aby opowiedziano ją ponownie. Jeśli ten chłopiec był synem Kai, kosztowałam ją o wiele więcej, niż to sobie wyobrażałam. W moich uszach wzbierał ryk oceanu i wiedziałam, że nie wróży to nic dobrego. Przy nim wcześniejsze ataki będą się wydawać delikatnym trzepotem motyli w brzuchu.

– Szukasz... – Nie potrafiłam wypowiedzieć słów „swojej matki”. To znaczy „naszej”. Nie chciałam ich usłyszeć. – Szukasz Kai. – Mój głos brzmiał głucho i ochryple.

Zamrugnął.

– Tak na nią mówią? Wynająłem prywatnego detektywa, żeby odszukał moją



biologiczną matkę. Jeszcze jej nie znalazł. Ale znalazł ciebie.

„Na świecie jest mnóstwo Vaussów” – pomyślałam. „Mnóstwo Karen”. Ale moje zaciskające się płuca nie chciały mnie słuchać.

Rubryka z imieniem i nazwiskiem ojca pozostała pusta. Na moim akcie urodzenia także. Zadrżałam, aż zadzwoniłam zębami. Próbowałam odczytać imię dziecka. Nie Garrett. Na końcu zdecydowanie było „h”. Garreth? Tak czy inaczej imię w stylu yuppie. Nic, co wybrałaby Kai, odezwał się cichy, spokojny głos w mojej głowie, gdy tymczasem moje ciało walczyło o oddech.

Wtedy litery odsoniły swoje znaczenie. Nie było tam dwóch „r”, lecz „n”. Chłopiec otrzymał imię Ganesha. Jaka kobieta z Południa nazwałaby swoje dziecko na cześć Ganeshy, hinduskiego boga z głową słonia? Kto nadaje dziecku imię na cześć bóstwa szczęścia i fortuny?

Ale ja wiedziałam kto. Ta sama matka, która potrafiła nazwać dziecko Kali. Odrzuciłam akt urodzenia i wstałam. Ziemia zawirowała, starając się mnie przewrócić.

Birdwine chwycił mnie w talii i tylko dzięki niemu byłam w stanie utrzymać się na nogach.

– Paula! – powtórzył.

Ganesha pojawiał się często w opowieściach Kai jako bóg uczujący, bóg jedzący. Taki, który nigdy nie mógł się najeść do syta.

Julian też wstał. Otworzył usta i zapytał:

– Wiesz, gdzie mogę ją znaleźć?

Widziałam, że jego zielone oczy są pełne nadziei i potwornie, ale to potwornie głodne.

– Sądziłeś, że będę wyglądać tak jak ty, prawda? – zapytałam. Śmiech wydostał się na wolność. Słyszałam go z oddali. – Wyobrażałeś sobie białą siostrę. – Ten mały nazista miał na tyle przyzwoitości, żeby oblać się rumieńcem.

– Siostrę? – zapytał Birdwine.

Julian i ja zignorowaliśmy go, mimo że prawe ramię Birdwine’a powstrzymywało mnie przed upadkiem.

– Och, przepraszam, nie – zaprzeczył Julian. – To znaczy tak. Ale nic nie szkodzi. Nie przeszkadza mi, że jesteś... – zamotał się, nie mając pewności, jaka jestem, a ja nie miałam ochoty mu pomóc. Nie miałam ochoty na nic z wyjątkiem może puszczenia pawia albo wydobywania z siebie krzyku. Nie mogłam oddychać, a serce waliło mi o żebra, jakby próbowało się wydostać. Julian zakończył słowami: – ...w porządku.

Ciemność rosła, napierała na mnie z obu stron jak zasuważące się drzwi windy. W wąskim otworze między czernią widziałam czerwoną twarz Juliana, jego usta wypowiadające to „Och” i „przepraszam”, i znacznie więcej znajomych cech: linia żuchwy, szerokie czoło, drobnokoścista budowa, długie palce. Zobaczyłam

w nim swoją matkę. Czy to właśnie oznaczał jej list? Przysłała Juliana, aby mi pokazać prawdziwą wysokość mojego długu wobec niej? Nie byłam w stanie oddychać.

Julian zrobił krok w moją stronę, a Birdwine siłą przesunął mnie za siebie i nie oglądając się, popchnął bezceremonialnie na krzesło. Wzrok miał wbity w Juliana. Można było odnieść wrażenie, że wyrasta między nami niczym wysoki mur.

– Chyba pora, żebyś sobie poszedł – oświadczył spokojnie i śmiertelnie poważnie.

Przez chwilę panowała pełna napięcia cisza, po czym Birdwine zrobił krok w stronę Juliana; był potężny jak niedźwiedź, a z jego ciała emanowało zdecydowanie. Chłopak otworzył szeroko oczy. Birdwine zrobił jeszcze jeden krok, unosząc ręce, i wtedy Julian odwrócił się i uciekł, porzucając swoje dokumenty.

Zwiesiłam głowę, a dłońmi objęłam kolana.

Birdwine odwrócił się do mnie.

– Czy... – zaczął, ale urwał, jakby nie był pewny, o co zapytać.

– Nikt nie może mnie zobaczyć w takim stanie – wydyszałam. Tak bardzo się trzęsłam, że nawet nie próbowałam wstać. – Nick i Catherine i tak już myślą... Och, cholera, pomóż mi, Birdwine.

Nie musiałam mówić nic więcej. Podszedł szybko i wziął mnie na ręce jak przed rokiem, gdy był moim kochankiem. Niósł mnie przez korytarz w stronę mojego gabinetu.

Pozwoliłam mu na to. Zamknęłam nawet oczy, przeklinając własną głupotę.

Kai odeszła zaledwie pięć miesięcy temu, a ja już zdążyłam zapomnieć najważniejszą – być może jedyną empiryczną – prawdę o niej: moja matka nigdy nie pozostawała w jednym miejscu. Nawet po śmierci.



## Rozdział 3

Jestem myszą z czerwonym siodłem, a popręg mam tak ciasny, że nie mogę oddychać. Oto co wiem: nadszedł Ganesha. Jestem małą myszką Ganeshy i kiedy ogromny bóg wskakuje mi na grzbiet, moje płuca się zgniatają i staję się cienka jak arkusz papieru i pozbawiona powietrza.

Popręg wokół mojej klatki piersiowej luzuje się i nie jestem już myszą. Jestem sobą. Mam jedenaście lat, a Ganesha to mój jedyny sympatyczny i zabawny kumpel z opowieści na dobranoc. Leżę i płaczę w łóżku cuchnącym preparatem na karaluchy. Kai spryskała nim materac, żeby, gdy będę spać, nie przychodziły i nie dotykały mnie swoimi szeleszczącymi odnóżami.

Jakiś czas temu mieszkaliśmy w Asheville z Hervém, który miał konie i spadek, co pozwalało mu nazywać się muzykiem folkowym. Był chłopakiem Kai przez ponad dwa lata, co jak na nią stanowiło rekord. Potem zaczęli się coraz częściej kłócić, a gdy wylałam sok pomarańczowy na jego sitar, nazwał mnie gówniarą.

W weekend, kiedy wybrał się na ryby, Kai kazała mi spakować swoje rzeczy i wrzucić do starej mazdy, którą Hervé pozwalał jej jeździć. To nie była moja pierwsza pospieszna ewakuacja, ale pierwsza, której byłam przeciwna. Wpatrywałam się w Kai, gdy upychała do worka marynarskiego swoje majtki.

Nie szalałam na punkcie Hervégo, ale bardzo lubiłam jego konie, a jeszcze bardziej hipisowską szkołę kooperatywną, za którą płacił. Przed Asheville Kai uczyła mnie w domu. Tak było prościej, niż zapisywać mnie do kolejnych szkół, kiedy zmienialiśmy nazwiska i miasta, zatrzymując się na dłużej tylko tam, gdzie mieszkaliśmy z Eddiem, potem z Tickiem, a później z Anthonym. Kai uwielbiała uczyć – z angielskiego i przedmiotów ścisłych umiałam znacznie więcej, niż nakazywał program – ale byłam klasą jednoosobową. Nawiązywałam jednodniowe znajomości w parkach albo w weekendowych obozowiskach.

W szkole w Asheville miałam przyjaciół na dłużej. Od pierwszego dnia czułam się tam jak u siebie w klasie, której uczniowie byli w różnym wieku, a ich skóry miały tak różne odcienie, że moja miedź stanowiła po prostu kolejny element tej mozaiki. Moje fioletowe spodnie ze sklepu z rzeczami używanymi nie wyglądały dziwnie obok sari i robionej na drutach tęczowej tuniki. Była tam dziewczynka o imieniu Meadow i chłopiec o imieniu River[1], w ogóle ze sobą niespokrewnieni. Moje wypracowanie o torbaczach wisiało na ścianie na honorowym miejscu i udało mi się zebrać dziesięć naklejek w konkursie czytelniczym. Więcej, bo dwadzieścia, miała tylko moja przyjaciółka Poppy.

Kai zobaczyła, że stoję bez ruchu w drzwiach sypialni, i oświadczyła:

– Za trzydzieści minut ruszamy w drogę. To, co nie znajdzie się w samochodzie, zostaje.

Z doświadczenia wiedziałam, że mówi poważnie. Puściłam się biegiem i zaczęłam wrzucać do bagażnika wszystkie swoje ulubione książki, gdy tymczasem Kai skrupulatnie okradała Hervégo. Pojechaliśmy mazdą do Greenville, gdzie jakiś facet, którego znała, kupił ją od nas bez karty pojazdu. Autobusem udałyśmy się do Lexington i nabyłyśmy starego busa volkswagena z materacem, od którego nabawiłyśmy się wszy. Wyrzuciłyśmy materac gdzieś przy drodze i kupiłyśmy futon, i tak powoli zmierzałyśmy na południe w kierunku Georgii.

Dwayne'a poznałyśmy, gdy zaczynało się robić zimno.

Teraz mieszkamy z nim w rozpadającym się wiejskim domu w hrabstwie Paulding. Kępy kudzu zasłaniają dom od strony drogi. A także ścieżkę biegnącą przez rosnący za nami las, dochodzącą do polanek, gdzie Dwayne uprawia marihuanę.

Weszłam w rolę, jaką wymyśliła dla mnie matka, przedstawiając nas Dwayne'owi. Po spędzeniu dwóch lat jako osierocona młodsza siostra Kai dziwnie się czuję, wypowiadając słowo „mama”. To bycie córką uwiera mnie mocno, jakbym musiała chodzić w za małych butach. Nie pasuję do tego miejsca. Mieszkańcy hrabstwa Paulding są albo czarni, albo biali i nie mieszają się ze sobą. Jedyni Azjaci, jakich spotkałam, to trzy kobiety w średnim wieku pracujące w salonie manikiuru. Jeśli mają dzieci, trzymają je w jakimś innym miejscu.

Możliwe, że trochę tu pobędziemy. Dwayne nie jest przelotnym kochankiem mojej matki. Jest jej prawdziwym chłopakiem. Ma szerokie ramiona, kręcone włosy, proste białe zęby, jest wyluzowany i potrafi rozśmieszyć Kai. Najgorsze, że jest dla mnie miły. Nieważne, jak paskudnie się zachowuję, nieważne, jak bardzo go prowokuję, śmieje się i nazywa mnie Wyszczekany Kucykiem, ciągnąc za grzywkę, jakby była końską grzywą. Coś takiego podoba się mojej matce.

Bardzo tęsknię za końmi Hervégo, bardzo tęsknię za szkołą. Tak bardzo i tak głośno, że Dwayne postanawia temu zaradzić. Oprócz marychy i sprzętu stereo wątpliwego pochodzenia sprzedaje fałszywe dokumenty. Zapisuje mnie do miejscowego gimnazjum. Nazywam się tam Pauleen Kopalski; nie wyglądam jak Kopalski i nie potrafię zapamiętać, jak się to pisze.

W tej nowej szkole białe dzieciaki nie wymawiają połowy spółgłosek, czarne – czasowników posiłkowych, a ja mówię jeszcze inaczej. Nie rozumiem ich aluzji. Wszyscy otwarcie się na mnie gapią, praktycznie pożerając wzrokiem moje skośne oczy, miedzianą skórę, zmierzwiłone czarne włosy. Nie dlatego, że jestem ładna. W wieku jedenastu lat jestem płaska jak deska, mam nogi jak bocian i oponkę na brzuchu, a ze stresu całe czoło w pryszczach.

W drugim tygodniu dwie białe dziewczyny z siódmej klasy dopadają mnie w łazience.

– Kim ty w ogóle jesteś? – pyta pierwsza.

Nie odpowiadam. Spuszczam głowę i czekam, aż się znudzą i sobie pójdą.

– Jesteś czarna?

– Nie wydaje się taka ciemna – odpowiada za mnie druga.

Robię krok w bok w kierunku drzwi, ale one przyciągają mnie z powrotem. Kiedy próbuję przesunąć się w bok, pierwsza mnie łapie, a jej dłonie zatrzymują się na moim miękkim brzuchu.

– Jedno jest pewne, to Gruba Grubcia – oświadcza koleżance.

Ta powtarza jej słowa ze śmiechem.

– Gruba Grubcia! Tak ją możemy nazywać.

Z poczucia krzywdy aż brak mi tchu. Te dziewczyny zajmują trzeci najlepszy stolik na stołówce, a jedna z nich ma chłopaka. Ta najpodlejsza nosi prawdziwe džinsy Guess, ma ładne włosy i tyłek tak mały, że ledwie go widać.

Podchodzą bliżej, zapędzając mnie w róg obok kabin. Ta najpodlejsza jadła na śniadanie jajko; wyczuwam je w jej nieświeżym oddechu.

Czuję, jak coś, a raczej ktoś nowy wydostaje się na powierzchnię. Nie Paula, którą dotąd byłam, ale ktoś nowy, a zarazem znajomy.

Odgrywałam wiele ról, ale aż do czasów Asheville zawsze w duecie z matką. Grałyśmy na tamburynie i byłyśmy nauczycielkami jogi, a także festynowymi aktorkami. Przy Eddiem byłyśmy wegankami, a następną zimę spędziłyśmy w squacie z Tickiem. Wróżyłyśmy z dłoni i stawiałyśmy tarota na ulicy niedaleko maleńkiego mieszkania Anthony’ego w Nowym Orleanie. W hipisowskiej szkole w Asheville, z dala od matki, byłam wszystkimi tymi wcieleniami naraz – dziewczynką złożoną z wielu, która była mną.

Tym razem jest inaczej.

– Jesteś chinolką? – pyta ta najpodlejsza, a ja czuję, jak coraz szybciej buzuje we mnie krew.

W sytuacjach typu walcz albo uciekaj Kai zawsze podejmowała za nas decyzję, ale ona składa się ze skrzydeł.

Nie sądzę, abym była taka jak ona – nie w tym sensie. Wsłuchuję się w siebie i do moich uszu dobiega szum przypominający wzburzoną, spienioną wodę, który staje się coraz głośniejszy.

– Puść mnie – mówię do tej najpodlejszej. Postanowiłam, że to ostatnie, co ode mnie usłyszy.

Kiedy mówi: „Nie, dopóki nie powiesz nam, kim jesteś”, i popycha mnie na drzwi kabiny, moja dłoń jest już zwinięta w pięść. Wyrzucam ją w stronę jej brzucha i podoba mi się, gdy dochodzi do kontaktu. Fajnie jest patrzeć, jak zgina się w pół i puszcza pawia na swoje buty. Fajnie jest patrzeć, jak jej koleżanka

blednie, po czym pędzi po nauczycielkę.

Te dwie dziewczyny to białe, wyróżniające się uczennice, które chodzą do tej szkoły od pierwszej klasy. Ja jestem nowa, moja rasa budzi konsternację i nie poszło mi dobrze podczas poniedziałkowego sprawdzianu z ułamków. To ja zostaję zawieszona.

Leżę na śmierdzącym, spryskanym sprejem przeciwko robakom łóżku, chlipię i nie jestem pewna, gdzie się podziała waleczna dziewczyna we mnie. Nie mam nawet pewności, czy przypadkiem nie przemawiała przeze mnie jedynie panika i adrenalina. Płaczę i rzucam się na materacu jak nieszczęśliwe niemowlę, aż zjawia się Kai i kładzie moją głowę na swoich kolanach. Przeczesuje delikatnie palcami moje włosy.

Moje ciało pozostaje sztywno zwinięte w kulkę.

– Nienawidzę tego miejsca. – Nie po raz pierwszy wypowiadam te słowa. Twarz mam mokrą od łez.

– Nie możesz wdawać się w bójki – mówi Kai.

Nie miałam takiego zamiaru. To one zaczęły. Ja tylko uderzyłam dziewczynę, której się to należało.

– Nienawidzę tej szkoły.

Kai nie przestaje głaskać mnie po głowie.

– Nie dałaś jej szansy. Dwayne musiał się natrudzić, żebyś mogła tam chodzić, kotku. Przecież tego chciałaś.

– Nienawidzę tej szkoły – powtarzam. – I mnie też tam nienawidzą.

Obserwuje mnie cała klika. W przyszłym tygodniu pięćdziesiąt białych wieśniaków z Południa będzie mrugać powiekami z różowymi obwódkami, patrząc na mnie i czekając na okazję starcia mnie na miazgę. Może znowu obudzi się we mnie waleczna dziewczyna. To mnie przeraża. Także fakt, że mi się to podoba.

– Skarbie, nie możesz zwracać na siebie w taki sposób uwagi. Jeszcze opieka społeczna zacznie węszyć. Nie możesz wdawać się w bójki ani znikać ze szkoły. – Kiedy nie odpowiadam, Kai dodaje: – Nie rzucaj się w oczy, dobrze? Spróbuj znaleźć sobie przyjaciółkę albo dwie. Będzie lepiej, gdy już się zadomowisz.

– Wszystko w porządku? – pyta ją Dwayne, stając w drzwiach.

– Tak – odpowiada.

– Biedny dzieciak. Gimnazjum to piekło – stwierdza. Pochyla się i na śmierdzącym środku na karaluchy kocu kładzie dwa dolary. – Jeśli chcesz, możesz pojechać rowerem do Dandy Mart. Kup sobie colę i cukierki. Może to ci poprawi humor?

– Później. Daj nam chwilkę – mówi Kai. Czeka, aż Dwayne wyjdzie, po czym kładzie się obok mnie. Jej głos jest cichy i słodki. – Opowiem ci o czymś, co wydarzyło się dawno temu. Bardzo dawno, ale co dzieje się także w tej chwili. – Tak właśnie Kai zaczyna swoje opowieści na dobranoc.

Kiedy mówi, przysuwa się jeszcze bliżej. Otula mnie znajomy zapach trawki i pomarańczy. Leżę nieruchomo i słucham. Chyba opowie mi historię, w której Kali walczy z Czerwonym Demonem. Za każdym razem opowiada ją trochę inaczej, ale to moja ulubiona – w każdej wersji wygrywa Kali.

Zamiast tego opowiada mi o Ganeshy.

*Dawno temu, właśnie teraz, Ganesha ma mysz pociągową. Ta mysz wozi uczującego boga, wozi jego wielki brzuch, ciężką głowę słonia i wszystkie obiady, które Ganesha chowa w sobie na później. Mysz ma na sobie małe czerwone siodło i srebrne wędzidło. Wozi Ganeshę na targ, do świątyni, na śluby i pogrzeby, do łóżek chorych i na wesole uroczystości. Teraz wiezie Ganeshę do domu z uczyty. Bóg kołysze się w siodle swojej małej myszy, trzymając się za okrągły brzuch, tak pełny, że aż jęczy.*

*Na rozstaju dróg mysz Ganeshy napotyka szczura, który biegnie do domu z przytwierdzonym do grzbietu małym woreczkiem ryżu. Szczur mierzy wzrokiem mysz Ganeshy uginając się pod ciężarem boga.*

*– Ty biedaczko! – wykrzykuje szczur. – Jak dajesz radę dźwigać taki ciężar?*

*A mysz odpowiada:*

*– Jaki ciężar?*

Czekam, ale to już koniec. Ściągam brwi. Tej historii też słyszałam wiele wersji. W większości nie spotykają szczura. Spotykają kobrę, która tak przestrasza mysz, że ta zrzuca Ganeshę z siodła, co jest bardzo zabawne. Tej akurat wersji jeszcze nie słyszałam.

Nie podoba mi się. Nigdy jej nie polubię. Nie znoszę jej, ponieważ ją rozumiem. Kai mówi mi, żebym się pogodziła z życiem. Zaakceptowała je, tak jak akceptowałam każdą inną rolę, którą mi przydzieliła.

Ale w Asheville zaczęłam sama tworzyć Paulę. Paula z Asheville była bystra i lubiła rywalizację oraz konie i układanie naklejek za czytanie w równy rząd. Paula z hrabstwa Paulding dopiero się rodzi, ale już wiem, że będę dobra w akceptowaniu, zwłaszcza życia, które śmierdzi jak trucizna na karaluchy. Przekonałam się, jak to jest uderzyć dziewczynę tak mocno, że zwróci zjedzone na śniadanie jajko. Paula z hrabstwa Paulding ma ochotę na opowieść, w której Kali rozrywa na strzępy Czerwone Demony, wygrywając ze wszystkimi przeciwnościami. Zamiast tego matka każe mi przegrywać, aż w końcu stanie się to dla mnie czymś normalnym. Spuszczając głowę i stać się Grubą Grubcią. Według opowieści Kai po jakimś czasie przestanę zwracać na to uwagę.

Nie potrafiłam tego zrobić. Nawet nie próbowałam.

Niełatwo jest wyobrazić sobie Paulę Vauss, którą byłabym dzisiaj, gdybyśmy zostały w Asheville. Jeszcze trudniej jest wyobrazić sobie kobietę, którą byłabym teraz, gdybym posłuchała tamtej opowieści i pozwałała sobie wcisnąć każde gówno. Może spadłabym ze świata. Może byłabym po prostu słodka

i łagodna.

Może dorastałabym, mając brata.

Zastanawiałam się, czy kiedy Kai opowiedziała mi historię o małej myszy Ganeshy, wiedziała, że jest w ciąży. Czy Ganesha – nie, Julian – istniał już wtedy? Być może był jedną komórką skrętnie dzielącą się na dwie. I tak rósł. Teraz był dorosłym bożkiem, który siedział mi na klatce piersiowej i zgniatał żebra.

Wrócił Birdwine i zamknął za sobą drzwi mojego gabinetu. Pozbierał porzucone przez Juliana dokumenty, gdy tymczasem ja leżałam tutaj i zamiast zalecanych przez internet plaż wyobrażałam sobie bogów z głowami słońca i walki demonów. Nie podziałało to uspokajająco. Nic dziwnego, że nadal leżałam na sofie obitej miękką skórą z bosymi stopami wspartymi o stos poduszek i czułam ucisk w piersi.

– Ktoś cię widział? – zapytałam.

– Verona siedziała już na swoim miejscu. Zachowywałam się tak, jakby to były moje rzeczy – odparł, trzymając w ręce teczkę Juliana. – Jak się czujesz?

Nie byłam pewna. Wpatrywałam się ponad stopami we wnękowe półki i zastanawiałam się nad odpowiedzią. Dziwne, że zapamiętałam przezwisko, jakie nadały mi w ubikacji tamte podłe dziewczyny. Od lat nie traciłam energii na to, aby ich nienawidzić czy choćby o nich myśleć. Nigdy nie wróciłam do tamtej szkoły i nigdy już ich nie spotkałam. Nie musiałam się uczyć dźwigać tego ciężaru.

Tuż nad palcami u stóp, na trzeciej półce od dołu wypatrzyłam znajomą kremową kopertę zaadresowaną na skrytkę pocztową Kai w Austin. Nie chciałam trzymać jej w łofcie, ale też jej nie wyrzuciłam ani nie przepuściłam przez niszcarkę. Przyniosłam tutaj, a w środku nadal się krył nieważny czek z wiadomością od niej. Czerwone słowa na kopercie – *Zwrócić do nadawcy* – pasowały do mojego pedikiuru.

Ta koperta była jedynym „śmieciem” na półkach, drobiazgowo urządzonych przez naszą dekoratorkę, aby odzwierciedlały to, co nazywała „prawniczym luksusem”. Oparłam ją o oprawione w skórę książki jak makabryczną pamiątkę po stypie, której nigdy nie wyprawiłam. Po raz pierwszy uznałam to za dziwne. Nie, „dziwne” to za słabe określenie. Jawnie szalone. Postawiłam kopertę, a potem wokół wybudowałam zasłaniający ją mur.

Odetchnęłam głębiej i przekonałam się, że moje płuca pracują. Birdwine usiadł na krześle tuż przy mojej głowie. Jego twarz miała ostrożnie neutralny wyraz, może z minimalną domieszką drwiny. Moje buty stały jeden obok drugiego na stoliku kawowym, za nimi leżała moja marynarka. Birdwine przesunął wszystko na środek, żeby zrobić miejsce na niebieską teczkę Juliana Boucharda.

– No i jak, odzyskałaś przytomność? – zapytał.

– Nie zemdlałam – odparłam rozdrażniona.

– Wiem.



– Nie mam zwyczaju mdleć – oświadczyłam.

Czułam ucisk w piersi, ale wyglądało na to, że serce znajduje się na swoim miejscu i robi, co do niego należy, więc usiadłam. To był błąd. Od razu zakręciło mi się w głowie, a Birdwine rzucił się do sofy i pomógł mi się położyć.

Popatrzyłam na jego dłonie.

– To ty rozpiąłeś mi stanik?

– Aha, ale nie po to, żeby miało ci to pomóc w oddychaniu, o nie – odparł z powagą. – Chciałem cię trochę podotykać.

– Och. Niech ci będzie.

Kiedy mnie niósł, nawet tego nie poczułam. Dłonie nadal trzymał na moich ramionach, a ja leżałam bosa z rozpiętym stanikiem pod bluzką z białego jedwabiu. Po chwili zrobiło się dziwnie. Znowu dla mnie pracował, ale starał się utrzymywać dystans między naszymi ciałami. Puścił mnie i usiadł na krześle.

– Julian wrócił? – zapytałam, mając nadzieję, że nie usłyszę: „Aha. Czeka w recepcji z buzią otwartą jak u głodnego drozda”.

– Nie widziałem go – odparł Birdwine.

To dobrze. Musiałam poleżeć spokojnie w pomieszczeniu wolnym od niespodziewanych braci i jakoś to wszystko ogarnąć.

W końcu będę musiała się z nim spotkać. Oddać teczkę. Będę musiała spojrzeć w te znajome oczy osadzone w bladej gładkiej twarzy i przeprosić. Ten kędzierzawy chłopiec przyszedł do mnie z wyciągniętą ręką, licząc na to, że włożę mu w nią uroczą matkę i będzie mógł zamknąć wokół niej palce. Nie miałam tego. Nie miałam nawet jej prochów w urnie na gzymsie kominka. Mogłam mu dać tylko tę kopertę.

Mogłam powiedzieć: „Ona już nie żyje. Mam tę kartkę. Chcesz ją spalić czy pochować?”.

– Przegoniłem go – dodał Birdwine, a w jego głosie słychać było skruczę.

– Myślisz? – zapytałam, uśmiechając się lekko.

Birdwine wkroczył do akcji, gdy byłam na to za słaba. Potem wziął mnie na rękę i zaniósł tam, gdzie mogłam mieć spokój. Granice, które ustanowił między nami, nieco się powyginały. Nie miałam pewności, jakie zachowanie jest teraz bezpieczne. Zaczęłam od ostrożnego „Dziękuję”. Zabrzmiało sztywno, może dlatego, że czułam się, jakby zdarto ze mnie skórę i nałożono w odwrotny sposób. Spróbowałam raz jeszcze.

– Dzięki, że się za mną wstawiłeś.

– *De nada* – odparł. – Źle się czuję z tym, że przestraszyłem tego dzieciaka. Ale wtedy wyraziłem po prostu swoje uczucie.

– Co ze sobą przyniósł? – zapytałam, zerkając na teczkę.

– Nie czytałem tego. – Teraz jego słowa zabrzmiały sztywno. – Nie wtykałbym nosa w twoje sprawy. – Jedna granica ustanowiona na nowo, ale uniósł

brew i złagodził ją, dodając: – Chyba że ktoś by mi to zlecił.

– Cha, cha – odparłam. – Nie oskarżam cię o nic. Chodzi mi jedynie o to, że kiedy były gliniarz i wykwalifikowany detektyw zbiera z podłogi stertę dokumentów, możliwe, że na coś zwróci uwagę. Nie da się wyłączyć wzroku, Birdwine. Nie da się wyłączyć mózgu. – Zsunęłam się nieco i ułożyłam nogi wyżej na stercie poduszek. Kiedy złączyłam stopy, zupełnie zakryły kremową kopertę. – Zobaczyłeś coś, przelotnie, co każe ci sądzić, że ten chłopak mówi prawdę?

Birdwine pokręcił głową.

– Że to twój brat? Ty mi to powiedz. Zauważyłaś, że dwie dekady temu twoja matka urodziła dziecko?

Tym razem to ja pokręciłam głową.

– Siedziała wtedy w więzieniu. Jeśli urodziła jakieś dzieci, nie pofatygowała się, żeby mi o tym powiedzieć.

– Rozumiem – stwierdził Birdwine i fajne było to, że rzeczywiście rozumiał. Przez lata sporo usłyszał ode mnie na temat Kai. Wystarczająco, aby wiedzieć, że nie zdobyłaby tytułu matki roku. Dotknął teczki. – Wyłącznie przelotnie – odkaszlnął – wyłącznie przelotnie zobaczyłem dokumenty adopcyjne. A więc szuka biologicznej matki.

– I jest nią Kai. – To było bardziej stwierdzenie niż pytanie.

Birdwine rozłożył ręce jakby w geście przeprosin.

– Nie zobaczyłem niczego, co by temu przeczyło.

Jeśli rzeczywiście dręczyła mnie niepewność, łatwo mogłam temu zaradzić. Mój najlepszy przyjaciel był genetykiem. Jeszcze miesiąc będzie na urlopie tacierzyńskim, ale mogłam zajrzeć z Julianem do jego laboratorium. Wystarczyłaby krew, włosy albo splunięcie do kubka.

Problem w tym, że nie targała mną niepewność. Nie chodziło o zbieżność dat czy akt urodzenia z nazwiskiem mojej matki, ani o to, że otrzymał imię Ganesha. Kiedy wszystko do siebie dodałam, po znaku równa się otrzymywałam brata. Chodziło o coś więcej. Zobaczyłam w nim matkę.

Julian był moim przyrodnim bratem i to ja zmieniałam bieg jego życia. Nie mogłam uraczyć go kilkoma podrasowanymi opowieściami o Kai przy kawie i ciastku, poklepać po głowie, jakby był Cindy Lou Who, i odesłać do przybranej rodziny. Byłam mu winna coś więcej.

Jego istnienie zmieniało historię. Wydanie go na świat i jego utrata zmieniły moją matkę i przewartościowały wszystkie jej wybory. Wszystko, co sobie o niej – o nas – opowiadałam, miało inne znaczenie i inny morał. Nie kosztowałam jej dwudziestu dwóch miesięcy wolności i chłopaka. Kosztowałam ją dziecko.

Birdwine jeszcze nie skończył.

– Powiem ci, co tak naprawdę mnie martwi. Zobaczyłem coś wydrukowane na papierze firmowym Worthy Investigations. Tim Worth to sęp, który nie

powinien mieć licencji prywatnego detektywa. Kiedy trafia mu się sprawa dotycząca zaginionej osoby, w dzień czy dwa gromadzi wszystkie informacje. I zazwyczaj jest tego sporo. Jest bardzo dobry. Ale potem wydziela strzępy tych informacji, cały czas wystawiając słone rachunki. Tego chłopaka zwodzi od listopada. – Dostrzegł moje pytające spojrzenie i zaśmiał się. – Zauważyłem, wyłącznie przelotnie, że na papierze firmowym widnieje data.

„Co za potworne wyczucie czasu” – pomyślałam. Dla nas wszystkich. Piętnastego stycznia wysłałam ostatni czek, który Kai zrealizowała. Porządny detektyw odnalazłby ją dla Juliana w zeszłym roku. Chłopak ominąłby mnie i poznał Kai przed śmiercią. Pewnie zanim w ogóle dowiedziała się o chorobie.

Birdwine znowu zaczął mówić, robiąc palcami młynka, jak miał zwyczaj robić, gdy snuł hipotezy.

– No więc chłopak powoli się ześlizguje z haczyka Wortha, dlatego ten w ramach środka tymczasowego daje mu ciebie. Licząc na rachunek za kolejny miesiąc. Dziesięć do jednego, że Worth już dzień po przyjęciu tej sprawy znał miejsce pobytu twojej matki.

– Mojej matki nigdzie nie ma – oświadczyłam.

Rozsunęłam stopy. Pojawiła się między nimi koperta, skromna i zaklejona. Ponownie docisnęłam do siebie duże palce, bawiąc się w a kuku z tym wojennym telegramem. Z papierowym ciałem w papierowym opakowaniu. Birdwine przyglądał mi się podejrzliwie i nagle pomyślałam: „A co mi tam”.

– Myślę, że Kai nie żyje. – Dziwnie to zabrzmiało nawet w moich uszach.

– Och, przykro mi... Chwileczkę, co takiego? – Dopiero po chwili dotarł do niego sens mojej wypowiedzi. – Jak to myślisz, że nie żyje?

Machnęłam ręką w kierunku koperty.

– Zimą przysłała mi list. Jest tam, jeśli chcesz go przeczytać.

Wstał i zdjął kopertę z półki. Kiedy przebiegał wzrokiem tekst, widziałam, jak jego usta robią się pełne pytań. Przesuwały się w nich, jakby policzki miał pełne kulek. Pierwsze, które się wydostało, brzmiało:

– Nie pojechałaś do niej?

– Nie – odparłam. – Odwróć, na marginesie jest jeszcze jedno zdanie.

Birdwine obrócił czek i zmrużył oczy.

*(Oczywiście nie chcę, żebyś tu przyjeżdżała).*

Ponownie spojrział na mnie, jeszcze smutniej.

– Jezu, ostro. Myślisz, że naprawdę tak uważała?

– Jeśli nie, mogła mi to powiedzieć. Na każdym czeku był wydrukowany mój adres i numer telefonu. Tymczasem ja od ponad dekady nie miałam numeru do niej. Nie znam nawet imion i nazwisk, których używała. Przez osiem miesięcy wysyłałam чеki na adres skrytki pocztowej w Austin. Wcześniej na inne skrytki pocztowe w innych stanach. Ja się nie przeprowadzałam ani nie zmieniałam pracy.

Wie, gdzie mnie znaleźć, jeśli tego chce. – Urwałam, a Birdwine uniósł brwi. On też zwrócił uwagę na to, że użyłam czasu teraźniejszego; gramatyką wskrzesiłam swoją matkę. – Wiedziała, chciała – poprawiłam. – Teraz już jej nie ma.

– Nie wydajesz się tego pewna – orzekł.

– Nie. Jestem pewna. W liście napisała: *Kilka tygodni, o ile szczęście mi dopisze*. No więc tak. Dwa pierwsze miesiące okazały się trudne, nie będę kłamać. Każdego dnia zastanawiałam się, czy moja matka znajduje się jeszcze na tym świecie, czy odrodziła się jako szczur laboratoryjny albo mleczna krowa czy coś równie mało chwalebego. – Albo czy skręca się gdzieś z bólu, umierając kawałek po kawałku, nadal nie chcąc, abym przyjechała. – Teraz o tym nie myślę.

Kiedy myślałam, odczuwałam przede wszystkim ogromną ulgę. Naprawdę ogromną, jak osoba, która się dowiedziała, że nie musi już znosić ciężaru swojej zakazanej gangreną i gnijącej lewej ręki. Śmierdzi, boli, dosłownie cię zabija – ale to jedyna lewa ręka, jaką będziesz kiedykolwiek mieć.

– Znalazłbym ją dla ciebie – powiedział Birdwine.

– Wiem. – Odebrałam to jako wyraz życzliwości. – Ale co potem? Miałabym lecieć do Teksasu i pozwolić, żeby osobiście walnęła mnie w zęby? Wystarczająco mocno waliła mnie z odległości tysiący kilometrów. – No ale jak bardzo mogłam ją winić w tym nowym wspaniałym świecie, w którym znajdował się utracony Ganesha? Nie miałam co do tego jeszcze pewności.

Birdwine nadal trzymał obrócony czek. Jeszcze raz przeczytał zdanie: *(Oczywiście nie chcę, żebyś tu przyjeżdżała)*.

– Cholera – rzekł w końcu i włożył czek z powrotem do koperty.

– Tak, trudno coś takiego zrozumieć. Ale ja miałam na to wiele lat. Długo przed śmiercią zmieniła się w osobę, która nigdy nie miała córki.

– Nie – zaprotestował Birdwine, a w jego głosie słychać było pewność siebie. Odłożył kopertę na półkę, na to samo miejsce, z którego ją wziął. Moje wsparte o poduszki stopy ponownie mi ją zasłoniły. – Rodzic nie potrafi tak zrobić.

– Kai potrafi. Popatrz na to, co wydarzyło się dzisiaj. Wygląda na to, że mam brata, a ona nigdy nie napomknęła o jego istnieniu.

A może jednak? Kai, która wyszła z więzienia, była innym człowiekiem. Sądziłam, że powodem są warunki zwolnienia warunkowego uziemiające ją na osiem lat w Atlancie. Kosztowałam ją niemal dwa lata życia, wolność przez osiem kolejnych i Dwayne'a. To wszystko stanowiło jednak tylko kamuflaż dla większej straty. Powięzienna Kai więcej piła, mniej śpiewała, rzadziej snuła opowieści. Nie była już tą Kai, która przytulała się do mnie i szeptała. Już nawet się nie zakochiwała; spotykała się za to z powściągliwym Marvinem, który dokładał się do czynszu i w każdy wtorek przychodził na noc. Czasami, w te popołudnia, gdy była smutna i raczyła się winem, opowiadała o Ganeshy. *Dawno temu, właśnie teraz, mały Ganesha i jego matka bawią się w rzece.*

Birdwine machnął ręką, odganiając od siebie nieprzyjemny temat, i wrócił na krzesło.

– Przykro mi z powodu twojej straty.

– *De nada*. – Rozsunęłam stopy, odsłaniając kopertę. Teraz mnie widzisz. Złączyłam je. Teraz nie. – Jesteś pierwszą osobą, której o tym powiedziałam, wiesz? – Sama byłam zaskoczona tym, że to zrobiłam. Może to kwestia pozycji, w jakiej się znajdowałam. Leżałam na sofie, a krzesło Birdwine’a stało obok mojej głowy, jakby był psychoanalitykiem.

– O tym, że umarła? – Uniósł brwi, gdy kiwnęłam głową. – Ale to się stało kilka miesięcy temu.

– Aha.

Birdwine nachylił się w moją stronę.

– Nie powiedziałaś nikomu?

Wydawał się sceptyczny. Może jednak powinniśmy byli dokonać zimą analizy porażki naszego związku, ponieważ mówiąc „nikomu”, miał na myśli mojego najlepszego przyjaciela Williama. Kiedy Birdwine mnie rzucił, ponieważ „nie umieliśmy rozmawiać”, oświadczyłam, że żadne z nas nie jest w tym dobre. Zaśmiał się wtedy gorzko i odparł: „Ty rozmawiasz z Williamem. Ja rozmawiam podczas swoich spotkań. Ale ty mnie nie znasz, Paula, i nie chcesz poznać. Gdybyś znała, nie bardzo byś mnie lubiła. Równie dobrze możemy to zakończyć”.

Wzruszyłam ramionami.

– Powiedziałam tylko tobie. Teraz. – Co było prawdą. Prawdą było także to, że William i jego żona siedzieli w domu z niedawno narodzonym synem, po ciąży, która od początku była zagrożona. Nie zamierzałam wyklądać na talerz Williama wielkich porcji lodów o nazwie „Moja nieżyjąca matka” czy „Miewam ataki paniki”. I tak był pełen, a Kai nadal będzie nieżywa, kiedy William wyłoni się z tej gęstej mgły, jaką jest rodzicielstwo. – Sama z tym sobie radzę.

Birdwine wyglądał tak, jakby intensywnie się nad czymś zastanawiał. Pozwoliłam mu na to i zapadła cisza. Zastanowiłam się, czy zapiąć stanik, ale nadal czułam napięcie w klatce piersiowej. Zamiast tego sięgnęłam pod bluzkę i na leżąco zaczęłam go z siebie zdejmować. Wiele razy robiłam coś takiego w towarzystwie Birdwine’a, tyle że zawsze w bardziej pogodnych okolicznościach, ba, czasami leżąc pod nim.

Może pomyślał o tym samym, gdyż odwrócił wzrok.

– Sorki, strasznie mi niewygodnie. Skąd wiedziałeś, że trzeba go rozpiąć? – zapytałam, starając się, aby ta scena nie przypominała *Flashdance*.

– Z moją siostrą też dzieje się coś takiego, kiedy przeżywa stres – wyjaśnił. – Pozbywa się wszystkiego, co ją krępuje, i umieszcza nogi wyżej niż głowę.

Wyciągnęłam stanik przez rękaw i rzuciłam go na marynarkę. Był biały, gładki i bez żadnych ozdóbek; miał być niewidoczny pod jedwabiem.

– Nie wiedziałam tego o twojej siostrze.  
– Sporo rzeczy nie wiesz. My, Birdwine’owie, nie jesteśmy wylewni – oświadczył, a potem spojrzął mi prosto w oczy. – Świetnie sobie radzimy podczas gry w pokera.

Wtedy poczułam w brzuchu coś, co przypominało łaskotanie. Dawno czegoś takiego nie czułam. Oparłam się na łokciach; na szczęście pokój się nie kołysał i nie miałam już mdłości. Byłam świadoma tego, jak cienka jest moja jedwabna bluzka, jak goła jestem pod nią. Jedwab miał to do siebie, że czuło się w nim bardziej nagim niż bez niego. Fajnie by było, naprawdę fajnie, wstać i wynieść się stąd. Zabrać Birdwine’a w jakieś ustronne miejsce, zanim znowu wytyczy granice. Nie myśleć o moim bracie ani o tym, jak zmienił moją przeszłość i nadał szarą barwę przyszłości. Pozwolić, by świat kręcił się bez nadzoru.

Pamiętałam, jak słodki i szorstki potrafi być Birdwine. Jak ciskał mnie na łóżko i łapał w locie, podkładając wielką dłoń pod moją głowę, żebym nie uderzyła nią w twarde wezgi. Patrzył na mnie, ale nie potrafiłam niczego wyczytać z jego twarzy. Rzeczywiście nadawał się do gry w pokera.

Rozległo się ciche pukanie – takie od niechcienia – a zaraz potem drzwi otworzyły się szeroko i stanął w nich Nick. A razem z nim klientka: czterdziestoparoletnia niegdysiejsza uczennica prywatnej szkoły średniej, z włosami obciętymi na pazia i pruderyjną opaską w kwiaty. Nie znałam jej, co znaczyło, że jest nową lub, co gorsza, dopiero potencjalną klientką.

Otwierając drzwi, Nick akurat coś mówił, ale gdy mnie zobaczył, znieruchomiał w progu i zamilkł. Klientka wpadła na niego. Opuściłam szybko nogi, rozrzucając przy tym poduszki.

Nick z otwartymi ustami rejestrował scenę. Oto ja, bosa, gramoliłam się z sofy, a mój stanik leżał na stoliku, wyraźnie kontrastując z czarną marynarką. Połowa poduszek leżała teraz na podłodze, a w powietrzu wyczuwałam słaby zapach podniecenia.

– Dobry Boże, Paula – odezwał się Nick.

Spoglądające zza jego ramienia oczy klientki stały się wielkie i okrągłe jak u lemura. Dziesięć do jednego, że jest zagorzałą anglikanką. Takie już moje szczęście.

– Wysuwasz błędne wnioski – rzekłam do Nicka, ale wyraz jego twarzy nie zmienił się. A przecież powinien wiedzieć, że nigdy nie zaprosiłabym do siebie faceta i nie zostawiłabym drzwi niezamkniętych na klucz. Nie w godzinach pracy.

Był jednak zbyt zirytowany, by to wszystko przeanalizować, zwłaszcza po tym, gdy nie zjawiłam się na spotkaniu i straciliśmy klientkę. Teraz Świętoszkowata Opaska wyglądała tak, jakby chciała dać nogę w ślad za Oakleigh. Zasłoniła usta dłonią, a ciężki od brylantów pierścionek zaręczynowy i obrączka powiedziały mi, że to klientka, którą Nick bardzo by chciał pozyskać.

Birdwine wstał z krzesła i stanął między nami.

– Hej, Nick. Dzień dobry pani. Proszę nam wybaczyć. Paula otrzymała właśnie straszną wiadomość. Zmarła jej matka.

Jego słowa przetoczyły się przez mój gabinet niczym druga fala uderzeniowa; zobaczyłam, że klientka walczy ze sobą, na jej twarzy już miało się pojawić współczucie, zastąpiła je jednak konsternacja. Żałoba nie tłumaczyła stanika na stole, a Birdwine, potężny i umięśniony, w wielkich buciorach i pogniecionej, niewłożonej w spodnie koszuli, nie pasował do kręgow, w których obracała się ta kobieta.

– Och, nie wiedziałem – rzekł Nick. W jego głosie pojawiła się troska, ale spojrzenie miał chłodne. Wiedział, że ja i Kai od dawna nie utrzymywałyśmy kontaktu.

– Tak. To był dla niej szok – przyznał Birdwine. Opuściłam ze smutkiem głowę, pozwalając, aby mówił za mnie język ciała. – Jestem Zach Birdwine, prywatny detektyw Pauli. Proszę mi wybaczyć swobodny strój. Jeszcze dziesięć minut temu prowadziłem obserwację. – Uśmiechnął się na swój bardziej formalny sposób, bez prezentowania diastemy, po czym podszedł do Opaski i wyciągnął rękę.

Kobieta trochę się rozluźniła, uściśniła dłoń Birdwine'a i wymamrotała swoje nazwisko, a w moim kierunku posłała kondolencje.

Nick opuścił wzrok i wygładził połą marynarki, która była idealnie skrojona. Widać było, że wątpliwa historia o śmierci matki go nie ułagodzi.

– Niezbyt dobrze sobie z tym radzę, Nick – odezwałam się. – Przepraszam. – Mówiłam poważnie i miałam na myśli nie tylko śmierć Kai.

– A mnie jest przykro z powodu twojej straty. Później będziemy musieli porozmawiać. – Posłał mi twarde spojrzenie, wyraźnie nieudobruchany.

– Tak, powinniśmy porozmawiać – przyznałam. – Może w poniedziałek? Teraz powinnam jechać do domu i zająć się wszystkim.

Niewiele mógł zrobić, gdy obok niego stała klientka. A ona kupiła to, co sprzedał jej Birdwine, i teraz patrzyła na mnie z autentycznym współczuciem.

– Oczywiście. O nic się nie martw. Catherine i ja damy sobie radę bez ciebie. – Ton głosu miał należyty, ale spojrzał mi w oczy, zamieniając te słowa w groźbę. Też na niego spojrzałam; łączyło nas sporo. Nie jestem pewna, co zobaczył w mojej twarzy, ale nieco łagodniej dodał: – Jedź do domu. O ile wiem, nie czekają cię już dzisiaj żadne spotkania. Wygląda na to, że masz sporo na głowie i musisz zdecydować, czego naprawdę chcesz.

– Nie powinien jej pan odwiedzić? – zapytała po cichu klientka. – Albo zadzwonić po kogoś? Nie może być teraz sama.

– Ja ją zawiozę do domu – odezwał się Birdwine. – Zadzwonię do jej ludzi.

*Moi ludzie, jakie to miłe z jego strony. Moi ludzie to przyjaciele*

z noworodkiem, wkurzeni partnerzy, niespodziewany brat i koperta. Niemniej to określenie rodem z dawnego Południa przywoływało na myśl zatroskane ciotki z zapiekankami i cmokających ze współczuciem sąsiadów znoszących domowe wypieki. Opaska uspokoiła się, widząc, że zajmie się mną wysoka osoba z chromosomem Y i w roboczych butach. Mogła ponownie skupić się na swoim rozwodzie.

Wyszli z mojego gabinetu, a Nick celowo zostawił uchylone drzwi. Niepotrzebnie, bo budzące się we mnie libido znowu schowało się do głębokiej nory, w której kilka miesięcy temu umarło. A jeśli chodzi o Birdwine'a, nie miałam pewności, czy w ogóle wyczuł te wibracje. W jego spojrzeniu widać było troskę, nic więcej.

Wstałam i włożyłam marynarkę, a stanik wepchnęłam do kieszeni. Następnie postawiłam szpilki na podłodze i wsunęłam w nie stopy. Wzięłam ze stolika niebieską teczkę Juliana. Musiałam mu ją zwrócić, raczej prędzej niż później, a nie wiedziałam, kiedy wróci do kancelarii. Po chwili namysłu zdjęłam z półki kopertę Kai.

Gdy tylko to zrobiłam, zapragnęłam opowiedzieć Birdwine'owi historię Kai o małej myszy Ganeshy. *To się wydarzyło dawno temu. Dzieje się teraz.* Obróciłam kopertę w dłoniach, raz i drugi, a potem zrozumiałam. Chciałam ją opowiedzieć, ponieważ była to historia o mnie. To ja cały czas byłam myszą Kai. Kiedy wrócił mój czek, jakże wielką ulgą okazał się fakt, że w końcu mogę ją z siebie zrzucić. Tak wielką, że nie zauważyłam, iż wcale tak się nie stało. Wciąż ją dźwigałam, a jej ciężar mnie przytłaczał.

*Jaki ciężar?*

Kai i ja przestałyśmy ze sobą rozmawiać w dniu, w którym wyjechałam do college'u. Zanim wróciłam do Atlanty na uczelnię prawniczą, jej zwolnienie warunkowe dobiegło końca i wyniosła się z miasta. A mimo to od pięciu miesięcy trzymałam na półce jej papierowy wizerunek. Zaniedbywałam pracę i zawodziłam swoich partnerów. Przepracowałam *pro bono* niezliczone liczby godzin na rzecz młodych przestępczyń z niedobrymi chłopakami, jakbym była patronką kretynek. Nie pamiętałam, kiedy ostatni raz się bzykałam, i ogarniały mnie ataki paniki z powodu ducha, którego przejawy widziałam w jedwabnych spódnicach i zielonych oczach.

A teraz pojawił się Julian.

*Jaki ciężar?*

Odróciłam się do Birdwine'a.

– Nie wiem, co robić.

Nieczęsto wypowiadałam te słowa. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek, odkąd uzyskałam prawo wyborcze.

– Ja wiem – oświadczył Birdwine. Wstał. – Pojedziemy do Worthy



Investigations i wyciągniemy od Tima akta Juliana. Ten chłopak zapłacił za nie już z tysiąc razy.

Najwyraźniej zakładał, że zamierzam pomóc Julianowi, czym mnie zaskoczył. Z wyjątkiem niewielkiej grupy osób z mojego najbliższego otoczenia większość byłaby gotowa się założyć, że moim następnym posunięciem będzie zamknięcie drzwi i zerznięcie Birdwine'a na sofie. Albo postawiliby na to, że zasadzę się na Oakleigh Winkley, odzyskam ją jako klientkę i puszcze jej męża z torbami. Jedno i drugie odpowiadało mojej reputacji. Ale ja i pomoc Julianowi? Wydawało się to tak beznadziejnym pomysłem, że nikt, nawet mój barista, nie zawracałby nim sobie głowy.

Nie wiedziałam, że Birdwine potrafi zajrzeć w głąb mojej duszy. Kiedy dzieliliśmy łóżce, a może już wcześniej, w latach, gdy ze sobą pracowaliśmy, najwyraźniej zwracał na wszystko uwagę w ten swój ukradkowy, czujny sposób.

Ja widziałam w nim współpracownika, kumpla, a potem dogodnego kochanka. Prawdą było, że ceniłam go we wszystkich trzech kategoriach. Kiedy mnie rzucił, włożyłam wiele irytującego wysiłku, aby go odzyskać jako współpracownika. Jeśli mam być szczerą, to wydawał mi się zbyt poraniony, żebym go traktowała poważnie. Popapraniec. Nie uznawałam go za równego sobie. Nie sypiałabym z nim, gdybym uważała inaczej.

Nie potrafiłam przewidzieć jego wyborów tak, jak on właśnie przewidział moje. Zaskoczył mnie, gdy w recepcji wstawił się za mną. Zrobiło mi się wstyd, zwłaszcza że nie widziałam między nami większej różnicy. Nie teraz. Może dlatego podeszłam do niego i zaczęłam mówić tonem, jakiego używam tylko w stosunku do Williama albo mojego kota.

– W dawnych opowieściach Kai było dwadzieścia osiem piekieł, które hulały na południe od Ziemi. Bardzo nisko, na samym końcu wszechświata. Czasami jedno odłączało się i pędziło prosto ku Ziemi. Myślę, że dopadły mnie co najmniej cztery takie piekła, Birdwine. – Głos mi się trząsnął. Byłam przerażona i zmęczona i nie próbowałam tego ukrywać. Cóż to była za ulga. – Chcę się zachować w porządku w stosunku do tego chłopaka, ale jak mam to zrobić? On szuka matki.

– Nie samej matki. Przyszedł tutaj, żeby poznać ciebie – powiedział miękko Birdwine.

Prychnęłam.

– Mogę mu więc zaoferować wkrótce bezrobotną przyrodnią siostrę z reputacją suki i szybko rozwijającym się zespołem lęku napadowego.

– Jeśli tak to przedstawiasz... – Birdwine zachichotał. – Odszukaj więc Kai.

– Ona nie żyje – warknęłam.

– Wiem, Paula – rzekł tonem zarezerwowanym dla uspokajania obłąkanych.

– Całe to twoje dyszenie i drżenie mówi, że chętnie zostawisz to tak, jak jest. – Uśmiechnęłam się. – Dowiedz się, kiedy zmarła i gdzie jest pochowana. I ty

poczujesz się lepiej, i ten chłopak. Będzie miał gdzie posadzić stokrotki odmiany „Dziękuję za danie mi życia”. – Pokiwałam głową. Myślę, że Julian oczekuje przynajmniej tego. Birdwine kontynuował: – A patrząc na to od jaśniejszej strony, wygląda na to, że Nick uważa, że przyda ci się trochę wolnego. Rano jedziemy do Worthy Investigations.

My. Na swój sposób po raz drugi poprosiłam go o pomoc. A to była jego odpowiedź twierdząca. Oferował mi coś w rodzaju przyjaźni, a na Boga, teraz bardzo przyda mi się przyjaciel. Jego propozycja była czymś żywym, tak nowym, różowym i mrugającym, że aż się zdenerwowałam. Kiwnęłam głową, przyjmując ją, i nagle Birdwine wydał się równie skrępowany jak ja.

– Podaj mi kartkę – rzekł. – Dane kontaktowe chłopaka znajdują się w aktach, ale daj mi trochę czasu, zanim umówicie się na spotkanie. Zapiszę jego numer ubezpieczenia i szybko go dla ciebie prześwietlę, na wszelki wypadek.

Wręczyłam mu jeden z notesów leżących na moim biurku, a on pochylił się nad niebieską teczką i spisał dane. Następnie wstał i ruszył w stronę drzwi. Zatrzymał się i odwrócił głowę.

– Mam przyjechać jutro po ciebie?

Pokręciłam głową.

– W twoim samochodzie śmierdzi jak w szatni przy sali gimnastycznej. Ja przyjadę po ciebie. O dziewiątej?

– Dziesiątej – odparł. – Nie jesteśmy dzikusami. – Po tych słowach zamknął za sobą drzwi.

Dzień pracy jeszcze się nie skończył. Powinnam poszukać Nicka i spróbować go udobruchać, a przynajmniej poświęcić popołudnie na sprawę klienta, który żyje i za to zapłaci. Niby się wahałam, wiedziałam jednak, że tylko opóźnim to, co nieuchronne. Po dwóch atakach paniki byłam zbyt wyczerpana, żeby się skupić na podziale dóbr rozłoszczonych nieznajomych.

Wzięłam więc laptop, kopertę z wiadomością od Kai i niebieską teczkę Juliana, po czym udałam się do domu. Chciałam się dowiedzieć tyle, ile tylko się da o swoim nowym bracie. Bądź co bądź właśnie odziedziczył mój największy życiowy dług.



1 *Meadow* – (ang.) łąka, *river* – (ang.) rzeka [wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki].

## Rozdział 4

Zaciągam ten dług w hrabstwie Paulding w Georgii pewnego uroczego wiosennego wieczoru, kiedy moja matka gra na mandolinie i śpiewa ogniskowe piosenki. Siedzę skulona na jednej ze starych wielkich poduch na zadaszanej werandzie Dwayne'a. Na moich kolanach leży jeden ze szkicowników Kai. Próbuję skopiować jej sposób rysowania oczu, ale jest już za ciemno. Lampa na werandzie nie działa, więc Kai zapaliła świece. Zresztą i tak nie mogę się skoncentrować.

Mrużę oczy i zerkam na nieduże podwórko otoczone kępami kudzu. Są tam głównie chwasty i piach, a w powietrzu fruwią robaczki świętojańskie. Wszystkie szukają prawdziwej miłości, chowając i wysuwając odwłoki w zapadającym zmierzchu. Wydaje mi się, że w kudzu coś się porusza. Może jelen. Zwierzęta przychodzą tu czasami, licząc, że uda im się dostać do młodych listków marihuany.

Czy to jelen? Nie wiem, czy chcę, aby to był jelen, czy nie. Od kilku dni czuję strach i jest mi niedobrze.

Niczego nieświadoma Kai siedzi na zapadającej się sofie, a długą spódnicę ma zrolowaną niemal do bioder. Jej długie nogi leżą na kolanach Dwayne'a, dlatego gra na mandolinie pod dziwnym kątem. Wsparcie zapewnia jej wydające monotonne dźwięki urządzenie elektryczne do zabijania owadów. Kai nie jest wybitną mandolinistką, ale jej zachrypnięty, leniwy alt zazwyczaj mnie usypia. Nie dzisiaj.

Dwayne nachyla się nad jej nogami i grzebie w popielniczce, szukając drugiej połówki jointa. Zapala go zapalniczką Zippo, po czym przytrzymuje dla Kai, która przerywa piosenkę, żeby się zaciągnąć.

– Pośrodku morza znajduje się rów. – Kai krztusi się, wypuszczając dym, a Dwayne się śmieje. Przyłącza się do niej, kiedy wraca jej oddech. – Pośrodku morza znajduje się rów, a na jego brzegu siedzi żaba...

Zachowuje się tak, jakby to był kolejny rozdział w naszej nieskończonej zmiennej historii: Kai holuje mnie, płynąc od mężczyzny do mężczyzny. Nigdy z tym nie walczyłam ani nawet tego nie kwestionowałam, ponieważ znałam prawdę stanowiącą trzon naszego wspólnego życia: Kai nie kocha mnie tak bardzo jak swoich chłopaków.

Miłość do mężczyzny jest jak światełko na odwłoku robaczka świętojańskiego. Zaczyna się od kłamstw i pocałunków. Przechodzi w kłótnie i znudzenie. Kończy się pospiesznym pakowaniem, a czasami i kradzieżą. Łatwo ją zastąpić nową miłością.

Mnie i Kai zawsze łączyło coś więcej. Ja i Kai zawsze byliśmy jednością. Tylko my. Podobało mi się to aż do Asheville. Wiodłam tam życie niezależne od niej, tak jak ona miała swoje życie z Hervém. Kiedy Hervé nazwał mnie gówniarą, serce mi zamarło, ponieważ wiedziałam, że jego dni są policzone. Nie minął miesiąc, a kosztowało go to dziewczynę, zapas pigułek, starą mazdę i całą utrzymaną w domu gotówkę.

Tutaj Kai ma nas, a także Dwayne'a. Ja mam nas i szkołę, gdzie jestem Grubą Grubcią. Rozumiem, że w Asheville jesteście spalone, ale nie mogę tu zostać. Powiedziałam jej to. A przynajmniej próbowałam, ale ona jedynie opowiedziała mi historię o Ganeshy. Teraz czekam i jest mi niedobrze. Moje ciało przypomina kulę złożoną z gumek recepturek, każda jest mocno naciągnięta i napiera na pozostałe. Jeleń, który możliwe, że nie jest jeleniem, porusza się w kudzu, i teraz ma kolegów. Bardziej wyczuwam, niż widzę, ruchy w ciemnym lesie wokół naszego domu.

– Na żabie... – Kai urywa w połowie piosenki. – Zapomniałam, co znajduje się na żabie.

– Brodawka! – oznajmia wesoło Dwayne, ale nie ma racji.

Kai kręci głową i patrzy na mnie.

– Co znajduje się na żabie?

Mucha. Ale milczę, siedząc tak sztywno, jak to tylko możliwe na starej wielkiej poduszce. Spoglądam w ciemność w poszukiwaniu jakiegoś ruchu w kudzu. Wiatr, jeleń czy moje zbawienie?

– Brodawka! Brodawka! Brrrrrodawka! – warczy Dwayne, udając, że wyje jak wilk. Przez całe popołudnie pił ciepłe piwo i nie zjadł ani jednego hot doga.

– W porządku, cudaku – mówi ze śmiechem Kai i zaczyna od początku, umieszczając brodawkę na miejscu muchy. Śpiewając, odchyła głowę, a kurtyna jej włosów rozsypuje się na wysokim oparciu sofy. Przestaję wpatrywać się w kudzu i patrzę na nią. Jej ciało jest jak wstęga upleciona z eleganckich mięśni, z małymi piersiami i okrągłą pupą. Jej gołe nogi przeciągają się na kolanach Dwayne'a, a skórę ma gładką i jasną niczym porcelana.

Jeszcze bardziej się kulę. Ja mam kudłate włosy i jestem miękka jak gąbka. Gruba Grubcia. Kładę ręce na okrągłym brzuchu i ściskam go. Kiedy Kai kończy zwrotkę, widzi to. Odkłada mandolinę i uśmiecha się, wzdychając.

– Przestań się zamartwiać okrągłym brzuszkiem. Miałam dokładnie taki sam, kiedy byłam w twoim wieku. Niedługo ten tłuszczyczek przemieści się i będziesz mieć śliczne małe piersiatka i dziewczęcą pupę. Spodoba ci się ten tłuszczyczek, gdy tylko przeniesie się we właściwe miejsca. – Posyłam jej gniewne spojrzenie i odrywam dłonie od brzucha. Kai widzi, że jestem nieszczęśliwa, ale źle odczytuje powód. Nie słuchała mnie. – Och, kurczątko się złości, bo wspomniałam o piersiach! – oświadcza. Wstaje i wyciąga do mnie ręce. – Choć tutaj, moje kurczątko.

Jest upalona, a uśmiech ma życzliwy i ciepły. Może to coś poruszające się w kudzu jest rzeczywiście jeleniem. Kiedy moja ładna matka uśmiecha się do mnie i wyciąga ręce, chcę, żeby to był jeleni.

Podchodzę do niej, a ona przyciąga mnie do siebie i otula swoim znajomym zapachem. Moje ciało pozostaje jednak spięte. Nie poddaję się jej uściskowi, ręce mam oplecione wokół swojego ciała. Mówiłam jej, żeby mnie tam nie odsyłała. Mówiłam.

Wyczuwa we mnie sztywność i całuje moje włosy.

– Naburmuszone kurczątko. Dorastanie bywa fajne. Chodźmy do środka. Wybierzesz kolor, a ja pomaluję ci po dorosłemu paznokcie u stóp. – Zaczyna znowu śpiewać, ale nie piosenkę ogniskową. – „Jai Kali, Jai Kalika!” – Obok mojego ucha prześlizguje się jej zachrypnięty, ciepły i słodki głos wyśpiewujący moje dawne dziecięce imię.

„Tutaj, na Zachodzie – opowiadała mi wiele razy – uważamy Kali za mroczną boginię. Ale imię, które ci nadałam – Kali Jai – znaczy dosłownie: witaj, matko”.

Pozwalam jej, by ciągnęła mnie w stronę drzwi. Jednocześnie Kai wyśpiewuje moje imię niskim głosem, a w mojej głowie pojawia się myśl, że nawet jeśli pominię się niebieską skórę i długi czerwony język, spódniczkę z ludzkich rąk i całe uzbrojenie, to i tak cholernie dziwaczne imię. Witaj, matko?

Moją matką jest Kai. Moje imię można więc przetłumaczyć: „Hej, Kai”.

Kiedy otwiera drzwi, zerkam przez ramię. Jelenie w kudzu zdążyły nas otoczyć. Poruszenie w liściach jest na tyle widoczne, że zwraca uwagę Dwayne’a.

– Hej, ćśśś, mała – mówi. Spóźnił się.

Z mroku wyłania się ich całe mrowie. Jestem zdziwiona tym, jak wielu ich jest i jak szybko się poruszają. Potężni prawdziwi mężczyźni w kamizelkach kuloodpornych. Nie potrafię rozróżnić, co jest nimi, a co falującą wokół nich ciemnością. Ich długie czarne ręce są jeszcze dłuższe z powodu broni; wrzeszczą chórem, każąc nam nie ruszać się i paść na ziemię.

Serce rozsadza mi klatkę piersiową. Stoję jak skamieniała, jednocześnie przepełniona triumfem i chora z przerażenia. Chciałam, żeby przyszli, i przyszli. Pragnęłam się stąd wydostać i oni mi to zapewnili, zakradając się lasem i pośród krzaków kudzu. Pojawili się, kiedy Kai śpiewała „Jai Kali, Jai Kalika!”, jakby sygnałem było moje imię.

Teraz będziemy musiały się przeprowadzić. Coś mi świta, że policja konfiskuje takie domy. Szkoda mi Dwayne’a, ale tatę Rivera przymknęli za trawkę tylko na sześć miesięcy. Dwayne odsiedział już kiedyś dwa lata, a jeszcze wcześniej był w poprawczaku. Co to dla niego sześć miesięcy – ale dla Kai to bardzo długo. Rzadko jest singielką choćby trzy miesiące i do czasu, gdy Dwayne wyjdzie z więzienia, nas dawno tu nie będzie.

– Hola, hola, hola! – krzyczy Dwayne, trzymając ręce w górze.

– Na ziemię! – wrzeszczy znajdujący się najbliżej niego gliniarz.

Dwayne ześlizguje się z sofy, ale Kai łapie mnie mocno i krzyczy mi do ucha tak głośno, że nie jestem w stanie jej zrozumieć. Wciąga mnie za sobą do domu. Słyszę, jak policjanci protestują. Kai zamyka drzwi na klucz, po czym biegnie do sypialni, nie puszczając mojej ręki.

– Przestań! – wołam, ale się nie zatrzymuje.

Nie tak to miało wyglądać. Ticka aresztowano raz w Dairy Queen i to był koniec ich związku. Kiedy wkroczyła policja, Kai położyła ręce na stole, po obu stronach deseru lodowego.

– Nie ruszaj się, nie chodzi im o nas – powiedziała do mnie i miała rację.

Ale teraz trzaska drzwiami sypialni i zamyka je na klucz. Biegnie do stolika nocnego i wyciąga z szuflady zapas pigułek Hervégo. Zapomniałam o nich. Wszędzie są jej odciski palców.

– Myślę, że nie powinnaś... – mówię, ale ona już biegnie do łazienki.

Stoję jak wrośnięta w ziemię, słuchając przerażającego walenia, a potem trzasku; ktoś staranował drzwi. Słyszę spuszczenie wody. Kai napyta sobie biedy. Biegnę do okna. Tutaj jest ciemno, ale weranda skąpana jest w świetle i widzę, jak Dwayne został obrócony na brzuch. Ręce ma skute kajdankami. Słyszę, jak moja czarna armia kroczy przez dom, od pomieszczenia do pomieszczenia, i co i rusz rozlegają się krzyki: „Czysto!”.

Kai ponownie spuszcza wodę i klnie. Słyszę odgłos rozłupywanego drewna i cofam się od okna, cofam się od zamkniętych drzwi. Przyciskam się do ściany. Kai przybiega z łazienki i mnie obejmuje.

– Wszystko w porządku – mówi, ale wiem, że to nieprawda.

Drzwi zostają wyłamane. W naszą stronę biegną uzbrojeni krzyżący mężczyźni. Rozdzielają nas. Jeden policjant popycha Kai na podłogę, a mnie odciągają od niej. Zapieram się nogami i czuję, że mnie unoszą. Staję się pękatym workiem rzucających się, wściekłych ziemniaków.

Źle to robią. Kiedy pojechałam rowerem do Dandy Mart i zadzwoniłam z budki pod dziewięćset jednaście, powiedziałam operatorce, żeby nam dano spokój. „Nowy chłopak mojej mamy uprawia strasznie dużo marihuany. Laraby Lane trzydzieści dwa, w Paulding. Uprawia ją, a potem sprzedaje. On, nie my. Moja mama i ja niedawno się tutaj przeprowadziłyśmy”. Ci policjanci chyba tego nie wiedzą. Wiedzą za to, że Kai uciekła, gdy kazali jej się zatrzymać. Kiedy jestem wynoszona z pokoju, widzę, jak mama płacze. Zakuto ją w kajdanki i to moja wina. Ja do tego doprowadziłam.

– Nie! Nie! – wrzeszczę do armii, która jest przecież moja, ale armia nie słucha. Nie wiedzą, że otrzymałam imię na cześć sinoniebieskiej bogini zniszczenia. Nie wiedzą, że jestem siłą, która wprawiła ich w ruch. Nikt nie wie.

Widzą jedynie najniższą dziewczynkę z szóstej klasy, kluskę, zbyt małą, żeby traktować ją poważnie.

– Skarbie? – woła Kai. Ona też nie wie. – Nie martw się. Po prostu z nimi idź. Skarbie? Wszystko będzie dobrze.

Robię się bezwładna i taszczę mnie do mojego śmierdzącego preparatem na karaluchy pokoju. Nie będzie dobrze. Wezwałam ich, a teraz oni zabierają moją matkę. Podzieliłam planetę Ja i Kai na dwie części, gdy tymczasem chciałam jedynie wydostać się stąd razem z nią.

Siedzi ze mną policjantka i czekamy na opiekę społeczną. O jedenastej nie rozumiem różnicy między tatą Rivera, który hodował w doniczkach trawkę o nazwie Lydia i Jilly, a Dwayne'em, długoletnim drobnym przestępcą mającym w piwnicy szklarnię pełną sadzonek i dojrzałe rośliny w lesie za domem.

Za oknem widzę morze czerwonych i niebieskich świateł. Wezwałam ich, a oni się zjawili i zabrali moją matkę. Od Kai biorą odciski palców i okazuje się, że to Karen Vauss, dziewczyna z Alabamy, która była w domu poprawczym i nie ma żadnej historii zatrudnienia. Zostaje oskarżona o utrudnianie i niszczenie dowodów.

Ja trafiam do tymczasowego schroniska. Jest tam głośno i jeszcze bardziej przerażająco niż w gimnazjum. Moje dłonie to pięści. Cały czas, na wszelki wypadek.

– Dlaczego uciekłaś? – pytam Kai, płacząc do słuchawki.

– Zaskoczyli mnie – odpowiada.

Ciekawe, że nie była zaskoczona, kiedy policja przyszła w Dairy Queen po Tickę. Czy to ona zadzwoniła pod dziewięćset jedenaście? Przez jedną szaloną chwilę jestem pełna nadziei. Mogłabym się przyznać, a ona by zrozumiała, ponieważ wcześniej sama zrobiła. Ale słowa więzną mi w gardle. Związek z Tickiem rozpoczął się słodko, ale potem Tick robił się coraz bardziej nieprzyjemny, zwłaszcza wobec mnie. Jeśli to ona nasłała na niego policję, zrobiła to dla nas obu, nie dla samej siebie.

Opieka społeczna kontaktuje się z moimi dziadkami, ale oni nie chcą po mnie przyjechać. Kai nie rozmawia z nimi, odkąd skończyłam trzy albo cztery lata, kiedy zamieniła jasnowłosego Joego na Eddiego, faceta, którego znała z liceum. Eddie był ciemnoskóry, z domieszką krwi azjatyckiej i kropelką indiańskiej. Moi dziadkowie oświadczyli Kai, że albo go rzuci, albo ma się wynieść. Wyniosłyśmy się. Moje jedyne wspomnienie związane z nimi jest mgliste i gorzkie: babcia patrzy na mnie, gdy taszczymy torby do samochodu Eddiego, i woła do Kai: „Skończysz z kolejnym bachorem takim jak ona”.

Może babcia mówiła to dosłownie, ale nie miało to znaczenia. Kiedy aresztowano Kai, nie wiedziałam, gdzie podziewa się Eddie, a chociaż był dla mnie miły, nigdy nie zachowywał się jak ojciec. Nie podałam pracownicy opieki społecznej jego nazwiska i podejrzewam, że Kai też tego nie zrobiła.

Wylądowałam we wschodniej części Atlanty, gdzie prowadzono coś w rodzaju kameralnego domu dziecka. Kai przyznała się do winy w zamian za krótszy wyrok. Dwadzieścia dwa miesiące, żeby opieka społeczna nie zawracała sobie głowy papierkologią związaną z pozbawieniem jej praw rodzicielskich.

Był to okres dwukrotnie dłuższy niż ciąża. Aż do dzisiaj nie miałam pojęcia, że do więzienia zabrała ze sobą mojego brata. Kosztowałam Kai życie jej drugiego dziecka.

W dniu, w którym zadzwoniłam pod dziewięćset jedenastę, sama byłam dzieckiem nieumiejącym przewidzieć konsekwencji swojego postępowania. Dwayne i Kai byli dorośli i regularnie pozwalali sobie na wykroczenia i przestępstwa. Odsiedzieli już kiedyś swoje, a dokonywane przez nich wybory świadczyły o tym, że pewnego dnia znowu do tego dojdzie. Ten sposób rozumowania nie zmienił jednak tego, co czułam, kiedy myślałam o tym, jak potoczyło się później nasze życie. Czy gdy Kai zawarła ugodę z sądem, wiedziała, że jest w ciąży?

Odpowiedź kryła się prawdopodobnie w teczce Juliana leżącej na onyksowym stole w mojej jadalni. Przez szklaną ścianę miałam widok na linię budynków Atlanty wznoszącą się ku błękitnemu, pogodnemu niebu. Na dworze było ponad trzydzieści stopni i chociaż w moim otwartym łofcie trudno przesadzić z klimatyzacją, nie mogłam opanować drżenia. Przebrałam się w bluzę z kapturem i džinsy tak stare i wyblakłe, że były miękkie jak piżama. Następnie zeszałam na dół, aby przejrzeć dokumenty.

Teczka, starannie zamknięta, czekała na mnie obok laptopa. Przyniosłam z kuchni piwo, otworzyłam je, a potem usiadłam i przejrziałam papiery Juliana. Na wierzchu leżał akt urodzenia, który pokazał mi w kancelarii. Włączyłam w laptopie kalkulator i od daty jego narodzin odjęłam datę aresztowania Kai.

Niecałe czterdzieści jeden tygodni. To znaczyło, że tego wieczoru, kiedy policja zrobiła nalot na dom Dwayne'a, Julian był zaledwie blastulą, o której nie wiedział nikt z wyjątkiem niego samego, skrzętnie dzielącego swoje komórki. Czy jego ojcem jest Dwayne? Możliwe, ale gdy się urodził, ważył niewiele ponad trzy kilogramy. To trochę mało jak na donoszone dziecko. Podczas swojej podróży przez system sądowniczy Kai równie dobrze mogła się skumać z jakimś kędzierzawym strażnikiem albo prawnikiem.

Mieliśmy z Julianem coś wspólnego: na moim akcie urodzenia także nie widniało nazwisko ojca. Oczywiście, że mógł nim być ześwirowany na punkcie jogi Eddie. Kai poznała go w liceum, zanim przerwała naukę, i wątpię, aby nawet ona znalazła na naszym zadupiu i pokochała drugiego Afroazjatoamerykoindianina. Ale to nie on był moim ojcem. Eddie ochoczo zaakceptował wyjaśnienie, że mój tata jest tybetańskim mnichem. Jasne. Przecież każdy tybetański mnich marzy o pielgrzymce do Dothan w stanie Alabama.



Kiedy nadejdzie Boże Narodzenie, Julian i ja będziemy mogli raczyć się ajerkoniakiem i bawić w „Zgadnij, kto jest naszym tatą”. Nie był to co prawda tradycyjny sposób na tworzenie więzi między rodzeństwem, ale mogłoby się udać, gdybyśmy wypili wystarczająco dużo alkoholu. „Za niejasne pochodzenie!” – wzniósłabym toast. „I za facetów, którzy nie chcieli pracować!” – zanuciłby w odpowiedzi i stuknęlibyśmy się kieliszkami.

Odłożyłam kartkę, próbując wziąć się w garść. Julian i ja nie spotkaliśmy się jeszcze na pełnym zakłopotania lunchu, a ja przeskoczyłam już dziewiętnaście stopni do wymyślonych okropnych świąt – świąt rodzinnych, których nawet nie obchodziłam. Chyba że policzymy firmową Wigilię, która była praktycznie obowiązkowa.

Zaczęłam przeglądać pozostałą zawartość teczki. Kartki zostały rozrzucone i pozbierane w moim biurze i teraz dokumenty związane z adopcją Juliana były wymieszane z potwierdzeniami ubezpieczenia społecznego, tytułami własności samochodów, aktami urodzenia i informacjami dotyczącymi hipoteki jakiegoś domu na północnych przedmieściach Atlanty. Wyglądało na to, że to teczka ważnych dokumentów rodziny Bouchardów, którą się trzyma w skrytce depozytowej. Zamiast skserować stosowne dokumenty, Julian przyniósł ze sobą wszystko. A potem porzucił to na podłodze w mojej kancelarii.

– Ach, to pokolenie milenijne – rzekłam do Henry’ego, który właśnie cicho stapał na dół po schodach. Porzucił swoje nasłonecznione miejsce na komodzie, idealne na popołudniową drzemkę, i przyszedł sprawdzić, co robię.

Zaczęłam sortować dokumenty na stole. Henry, który jak każdy kot szóstym zmysłem wyczuwał, gdzie jego obecność jest najbardziej kłopotliwa, wskoczył na blat. Rozłożył się na akcie małżeństwa państwa Bouchardów. Machnęłam na to ręką i podrapałam go pod brodą, ciesząc się, że mam w domu towarzystwo. Znalazłam oryginalny wniosek o adopcję, a pod nim oficjalne zrzeczenie się praw rodzicielskich przez Karen Vauss. Z trudem przełknęłam ślinę, gdy odkładałam na stół te dokumenty.

Potarłam oczy. Musiałam to potraktować jak pracę. Część sprawy sądowej innej osoby, przypadkowe papiery opowiadające historię nieznanego.

W porządku. W adopcji pośredniczyła prywatna agencja Horizon Family Services. Zajęła się komplikacjami wynikającym z faktu, że biologiczna matka odsiaduje wyrok w więzieniu. Ganesha Vauss opuścił szpital z Michaelem i Anną Bouchardami dwa dni po przyjściu na świat, a biologiczna matka wróciła do więzienia. Do faktycznej adopcji doszło sześć miesięcy później, kiedy opieszale działające sądy w Georgii w końcu uporały się ze wszystkimi dokumentami i wizytami domowymi. Wtedy został wydany nowy akt urodzenia dla Juliana Reného Boucharda.

I znowu mnie to ruszyło. Imię Ganesha zostało legalnie zastąpione

proszym, wybranym przez inną kobietę i wpisanym na nowym akcie urodzenia. Babcia pozbawiła mnie imienia Kali, a przybrana matka Juliana zrobiła to samo, chociaż miałam nadzieję, że kierowała się życzliwymi motywami.

To już drugie, co nas łączyło. Krótko byliśmy pozbawionymi ojców bożkami z tego samego panteonu. Teraz byliśmy zwykłymi śmiertelnikami: Julianem i Paulą.

Przesunęłam palcem po drugim imieniu mojego brata, próbując sobie wyobrazić, że moja matka, ta z czasów przed więzienia, oddaje swoje dziecko.

No cóż, została przyparta do muru.

Moi dziadkowie być może wzięliby Juliana. Był przecież białym wnukiem. Ale czy Kai oddałaby Ganeshę tym zgorzkniałym rasistom, którzy pozwolili, żebym wylądowała w instytucji sprawującej opiekę zastępczą? Albo dołączyłby do mnie i tego całego systemu i rzuciłby kostką „rodzice zastępczy”. Kiedy Kai wyszłaby z więzienia, on już by mówił i chodził, a swoje piętno odcisnęliby na nim przypadkowi rodzice zastępczy. Mógł zresztą trafić do niedobrych rodziców, którzy nie przytulaliby go i pozwalali mu płakać bez końca. Nie wiedziałby nawet, że ona gdzieś tam jest, kocha go, czeka, aż będzie go mogła zabrać do siebie. Dzięki adopcji mogła mu wybrać dobry dom. To była jedyna droga z gównianego lasu i posłała go właśnie nią.

Nie poinformowała mnie, że jest w ciąży, ale tym akurat wyświadczyła mi przysługę. Przebywałam w domu dziecka i przed spadnięciem ze świata powstrzymywała mnie głównie niezachwiana wiara w to, że Kai mnie ocali. Jak można obiecać dwunastolatce, że się po nią przyjdzie, i powiedzieć jednocześnie, że się wyrzeka jej maleńkiego brata?

Henry przeciągnął się i rozłożył na dwóch innych stosikach. Odsunęłam się z krzesłem od stołu i pozwoliłam mu na to. Żałowałam, że nie mam dziesięciu kotów, które zakryłyby każdy fragment tej historii. Nie udawało mi się zachować profesjonalnego dystansu. Spomiędzy liter na dokumentach wyzierały kolejne sposoby, którymi zniszczyłam życie swojej matce. Powinnam była oddać tę teczkę Birdwine'owi. On by ją przejrzał, wyciągnął z niej wszystko, co istotne, i przedstawiłby mi to punkt po punkcie, a nie wszystko na raz. Mógłby mi to wysłać mejlem zatytułowanym: „Moje wyniki”.

Może lepiej mi pójdzie szperanie w obecnym życiu Juliana. Im bardziej jego życie oddalało się, odsuwało od naszego wspólnego pochodzenia, tym mniej się angażowałam emocjonalnie. Zanim skontaktuję się z tym chłopakiem, Birdwine chciał go prześwietlić, ale wyszukanie go przez Google trudno nazwać kontaktem. Przyniosłam krzesło do stołu i przestawiłam laptop, ciesząc się, że Juliana nie adoptowała rodzina Smithów i nie dała mu na imię John.

Szybkie przeszukanie Facebooka przyniosło trzy strony Julianów Bouchardów. W połowie pierwszej zobaczyłam swojego. Na zdjęciu miał dłuższe

włosy niż obecnie. Kiedy się uśmiechał, jego oczy w nieznośnie znajomy sposób przybierały kształt półksiężyców.

Kliknęłam w link. Na zdjęciu w tle widać było orła szybującego nad kanionem. Dzięki niezbyt restrykcyjnym ustawieniom prywatności mogłam zobaczyć część jego postów: zdjęcie twarzy Yody i cytat o próbowaniu i robieniu, GIF przedstawiający mrówkę niosącą na plecach wielki okruch, filmik z ładną dziewczyną z Singapuru grającą coś smętnego na hangu. A więc mój brat miał naturę romantyczną.

Na górze strony Facebook pytał: „Czy znasz użytkownika Julian? Aby móc zobaczyć, co udostępnia znajomym, wyślij mu zaproszenie do grona znajomych”. Najechałam myszką na przycisk. Kliknięcie z całą pewnością liczy się jako kontakt. Poza tym nie podobało mi się określenie „zaproszenie do grona znajomych”. Było takie ponaglące, niemal inwazyjne. A jeśli chłopak ma dość wsadzania nosa w jego sprawy i niekończących się zaproszeń do udziału w grach? Zresztą zyskałam już dzisiaj przyjaciela. Birdwine to pierwszy od lat prawdziwy dodatek do mojego niewielkiego kręgu.

Ta myśl sprawiła, że się roześmiałam. „Dwójka nowych przyjaciół! Uważaj, Paula, jeszcze coś ci się stanie”. To była wirtualna znajomość, oparta na jednym kliknięciu, ale jeśli Julian miał choć trochę sprytu, to mnie przejrzy. Dotrze do niego, jakie mam wielkie oczy. „Żeby cię lepiej śledzić, mój drogi”. Jeśli przyjąłby zaproszenie, to pewnie tylko dlatego, żeby móc z kolei śledzić mnie.

No cóż, powodzenia. Jak każdy prawnik na tej planecie miałam profil na Facebooku, ale wyłącznie do użytku zawodowego.

Przesunęłam myszkę w bok i kliknęłam „wyślij wiadomość”. Kiedy otworzyło się okno, wpisałam: *Hej. Z tej strony*

A potem siedziałam i trzy minuty wpatrywałam się w ekran, nie mogąc się zdecydować, czy napisać: *Z tej strony twoja przyrodnia siostra*, czy: *Z tej strony drugie dziecko Karen Vauss*. Julian Bouchard, tajemniczy młody człowiek, dzięki więzom krwi był członkiem mojej rodziny. Tak po prostu. Nie zamierzałam wychodzić za mąż, nigdy nie chciałam mieć dzieci. Moja matka i ja zrzekłyśmy się siebie nawzajem, a nie dało się śledzić Kai w internecie. Żyła tak, jakby internet nie istniał.

Raz na jakiś czas wpadałam na kogoś, kogo poznałyśmy podczas naszego długiego, wymuszonego zwolnieniem warunkowym pobytu w Atlancie. Niektórzy dzielili się ze mną opowieściami o Kai, czasem uroczymi, czasem pełnymi goryczy. Na tym etapie Kai była dla mnie postacią niemal fikcyjną. A Juliana przecież oddała. Miał inną matkę. Annę Bouchard. Ciekawe, jaka ona była. Mistrzyni domowych wypieków o łagodnym głosie? Energiczna mama kibicująca podczas meczów futbolowych? Nie byłam jego siostrą w prawdziwym sensie tego słowa.

Postanowiłam napisać tylko swoje imię i nazwisko oraz bezpośrednią i zwięzłą informację.

*Cześć, Julianie. Z tej strony Paula Vauss. Przepraszam za swoją reakcję na Twoją wizytę. Nie miałam pojęcia, że moja matka miała jeszcze jedno dziecko. Z przykrością muszę Cię poinformować, że Karen Vauss i ja od wielu lat nie miałyśmy ze sobą kontaktu i jestem przekonana, iż ona nie żyje. Wynajęłam rzetelnego prywatnego detektywa, który to potwierdzi. Ten, którego Ty wynajęłaś, jest oszustem; nie kontaktuj się z nim, proszę, i pod żadnym pozorem nie dawaj mu już żadnych pieniędzy. Gdy otrzymam wyniki śledztwa, od razu Ci je przekażę.*

Czułam się niezręcznie, informując chłopaka, że Kai nie żyje, za pośrednictwem listu – a właściwie wiadomości na Facebooku – ale utrzymywanie go w nieświadomości byłoby jeszcze gorsze. Na pewno czekał niespokojnie, aż się z nim skontaktuję. Zwłaszcza że u nieznajomej osoby zostawił dokumenty bankowe, kartę ubezpieczenia społecznego, nazwisko panięskie matki i mnóstwo innych poufnych danych.

Przeczytałam swoją wiadomość; jej ton był formalny, na wskroś prawniczy. Chyba wiało chłodem, ale ja go nie czułam. Prawdę mówiąc, czułam dziewięć rodzajów paniki, może więc lepiej pozostać przy chłodzie.

Zastanawiałam się, co tu dodać miłego, i w końcu napisałam: *Mam trochę jej zdjęć i kilka rzeczy, które do niej należały. Chętnie się z Tobą spotkam w dogodnym dla Ciebie terminie i Ci je udostępnię. Odpowiem także na wszystkie Twoje pytania, jeśli tylko będę w stanie.*

No proszę. Prawda, ale nie cała. Grzecznie, lecz nie inwazyjnie. Kliknęłam „wyślij” i mój krótki liścik pofrunął w eter.

Oparłam się wygodnie, zastanawiając się, kiedy Julian przeczyta mój mejl. Jak zareaguje. Musiałam się czymś zająć. Odniosłam wrażenie, że mój loft jest ogromny, a pełne energii odcienie fioletu i złota na wybranych przeze mnie nowoczesnych obrazach nie do końca zapełniają dzisiaj wysokie białe ściany. Przestrzeń wołała o jeszcze jedną duszę. Większą niż Henry’ego.

Obecnie z nikim się nie spotykałam. Miałam kadrę miejscowych byłych, którzy często wyrażali ochotę na przyjacielskie wspominki, ale nie byłam w nastroju, żeby do kogoś z nich zadzwonić. Przez niemal pół roku cierpiałam na metaforyczny ból głowy. Aż do dzisiaj.

W gabinecie, w towarzystwie Birdwine’a, coś się we mnie obudziło. Próbowałam pozbyć się stanika i przypomniałam sobie, jakie to przyjemne uczucie, kiedy moje ciało oplata się wokół szorstkiego i podnieconego mężczyzny, nagiego i silnego. Poczułam w podbrzuszu słodkie mrowienie przypominające mi o tym, że składałam się z kości, krwi i ciepłego ciała.

Nie czułam już tamtej energii. Teraz tak naprawdę potrzebowałam towarzystwa. Ale może gdybym je miała, moje ciało znowu by się obudziło?

Wzięłam do ręki telefon i zaczęłam przewijać kontakty. Davonte odebrał, ale akurat w tej chwili był w Nashville, sądząc po odgłosach, na jakiejś imprezie. Numer Jacka okazał się nieaktualny. U Remiego włączyła się poczta głosowa, a telefon Raja odebrała jakaś kobieta.

– Kto dzwoni? – zapytała ostro.

Nie wiedziałam, czy to żona, dziewczyna czy pretendenta do tego miana, więc powiedziałam coś niewinnego i się rozłączyłam. Połowa moich zleceń to efekt rzezi wywołanej zdradą, dlatego nigdy świadomie nie pomogłabym żadnemu facetowi złamać obietnicy danej innej kobiecie.

Rzadko zresztą znajdowałam się w sytuacji, w której mogłoby do tego dojść. Postmodernistycznym kowbojom, z którymi się umawiałam, nie spieszyło się do ślubu. Kiedy jeden z nich się chajtnął, więcej się do mnie nie odezwał, a gdyby to nawet zrobił, dla mnie był już skreślony. Przestrzegałam surowej zasady żadnych dupków, a nie spotkałam jeszcze osoby zdradzającej, nieważne jakiej płci, która nie byłaby dupkiem tłumaczącym się: „On mnie nie rozumie”, „Oddaliliśmy się od siebie” i „Ona nie chce robić w łóżku tego, co lubię”.

Zawęzało to mój krąg – na świecie nie brakowało dupków – ale bez przesady. Nie miałam preferencji co do wyglądu. Spotykałam się z niskimi i z wysokimi, cherlawymi i dobrze zbudowanymi, czerwonymi i żółtymi, czarnymi i białymi. Podobał mi się każdy czarujący popapraniec, który stawał na mojej drodze, obiecujący ciekawą rozmowę, dobry seks i zero komplikacji. Na świecie nie brakowało także związkofobów, którzy autentycznie lubili towarzystwo kobiet – tyle że dzisiejszego popołudnia nie mogłam ich znaleźć. Chyba że miałabym ochotę wyjść z domu i wyrwać jakieś świeże ciało.

Nie miałam. Na studiach dałam sobie spokój z przygodami na jedną noc. Zbyt duże ryzyko, a seks prawie zawsze rozczarowywał. Znalezienie i pielęgnowanie relacji, jakie lubiałam, mogło potrwać tygodnie, a nawet miesiące. Z frustracją odłożyłam telefon na stół.

Ponieważ nie miałam żadnej sprawy, którą mogłabym się zająć, czekało mnie nieznośnie długie popołudnie. Mimo to nie chciało mi się wracać do kancelarii. Może jednak powinnam była wziąć tę sprawę *pro bono*.

Henry przekreślił się na grzbiet i na mój widok zaczął ugniatać łapkami powietrze, co było urocze, ale robiło bałagan w dokumentach. Wzięłam go na ręce jak małe dziecko, wtuliłam twarz w jego szyję i wdychałam przyjemny zapach ciepłego kota. Oczywiście dopóki mi na to pozwalał. Po minucie miał dość moich uczuć i odpychał mnie łapkami, aż go w końcu postawiłam na podłodze. Popatrzyłam na leżące na stole dokumenty. Dokumenty popatrzyły na mnie.

Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby na szczęście mój iPhone nie zaczął dzwonić. Odebrałam, nie zerknąwszy nawet na wyświetlacz.

– Halo?

– Zadzwońska już do niego? – zapytał Birdwine, nie bawiąc się w powitania.  
– Nie – odparłam obronnym tonem.  
– Gówna prawda. Chyba że wysłałaś mejl? – Milczałam. Facebook to nie to samo co poczta elektroniczna. Birdwine zaczął się śmiać. – Mam cię. Do diaska, kobieto, uwijałam się, jak tylko mogłam. No i sprawa wygląda tak. Poszperałam w finansach tego dzieciaka. I zmartwiłam się.

Chyba nawet bardzo, skoro tak szybko do mnie zadzwonił.

– Rodziną adopcyjną czy nim?

– Nim. Rodzice byli typowymi przedstawicielami amerykańskiej klasy średniej.

– Czyli mieli spore długi – skwitowałam i wtedy dotarło do mnie, jakiego czasu użył. „Byli”. Zaczęłam niespokojnie chodzić po salonie. – Jego przybrani rodzice nie żyją?

– Aha. Mama miała cukrzycę typu pierwszego. Kiedy Julian był nastolatkiem, pojawiły się komplikacje. Celiakia, potem nowotwór jelita. Tato zmarł na zawał pod koniec jej choroby. Wykończył go stres. – Birdwine wypowiedział to takim tonem, jakby to był fakt, wiedziałam jednak, co robi. Opowiadał mi, co wyczytał między wierszami dokumentów i arkuszy kalkulacyjnych. Wiedziałam, że gdybym siedziała z nim teraz w jednym pomieszczeniu, kręciłby palcami młynka, przedstawiając swoje hipotezy. – Tak więc kiedy chłopak rozpoczyna ostatni rok studiów w Berry College, jego tata odwała kitę. Julian rzuca studia. Wraca do domu. Od tej chwili opiekuje się matką. W październiku ona także umiera. Chcesz, żebym przeczytał nekrolog?

Zostawałam kilka zdań za nim, próbując wszystko przetrawić, chodząc cały czas tam i z powrotem między stołem a sofą. Birdwine oddestylował informacje tak, że były dla mnie zbyt esencjonalne.

– Nie wiem. Chcę?

– Nie. Jest długi, cała kolumna w „Marietta Daily Journal”. Aktywna działaczka kościoła, lokalnej społeczności, bla, bla, bla. Umiera „po długiej chorobie”. Na końcu napisano: „Pozostawiła ukochanego syna Juliana”.

Serce mi zamarło.

– Tylko tyle? Żadnych więcej dzieci? Żadnej siostry albo kuzynów?

– Tylko tyle. Oboje rodzice byli jedynakami i już nie żyją. Tymczasem jego dawni przyjaciele wyjechali na studia, nowi są w Berry. Chłopak nie ma nikogo. W listopadzie wynajmuje Tima Wortha, żeby odszukał Kai.

Westchnęłam. Julian i ja byliśmy sierotami, a zatem to już trzecia paskudna okoliczność, która nas łączy. Jeśli zgodzi się na spotkanie, oby lubił the Braves albo filmy Davida Cronenberga, żebyśmy mieli o czym normalnie porozmawiać. W przeciwnym razie lunch w jego towarzystwie może sprawić, że będę musiała wznowić terapię.

– Słyszę, jak oliwi się twój gruczoł współczucia – odezwał się Birdwine. – Poczekaj. Chłopak jest kompletnie splukany, Paula. Gorzej. Leczenie i hospicjum pochłonęły pieniądze Bouchardów przeznaczone na emeryturę. Dzieciak ma za sobą trzy czwarte studiów na wydziale nauk humanistycznych i pracę w Mellow Mushroom<sup>2</sup>. Wszystkie pieniądze, jakie miał, trafiły do Wortha. Nie ma mowy, żeby wrócił do Berry. Zjawia się w twojej szpanerskiej kancelarii w centrum miasta, widzi w niej luksusową wykładzinę, twoje bajeranckie buty. I tak się zastanawiam, co wtedy myśli?

W głosie Birdwine’a słychać nutę dezaprobaty, ale dla mnie to dobra wiadomość. Wszystko stałoby się prostsze, gdyby Julianowi chodziło o kasę. Miałam wobec niego dług, miałam też pieniądze. Jeśli jest dupkiem, mogłam spłacić swój dług w najbardziej dosłowny sposób i posłać go do wszystkich diabłów.

W moim komputerze rozległ się dźwięk. Podeszłam do stołu i zobaczyłam, że reakcją Juliana na moją wiadomość było wysłanie mi zaproszenia do grona znajomych. Był mniej nieufny niż ja, a może to po prostu kwestia przynależenia do innego pokolenia. Ale może też podejrzenia Birdwine’a były słuszne i był to pierwszy krok planu położenia łap na mojej kasie.

– Słuchaj – rzuciłam do Birdwine’a. – Dziesięć minut temu wysłałam Julianowi wiadomość na Facebooku. Już mi odpowiedział.

– Widzisz, jaki gorliwy. Kolejny sygnał ostrzegawczy.

– Nie, taka jest dzisiejsza młodzież – rzekłam tonem zrzędlivej staruszki. – Myślę, że w ogóle się nie wylogowują.

– Nawet na siku – przyznał. – No ale jednak.

Na dole ekranu otworzyło się małe okienko czatu. Usiadłam i nachyliłam się, żeby przeczytać wiadomość.

*Halo?*

Z powodu znaku zapytania proste powitanie wydawało się płacziwe. Przypomniały mi się oczy Juliana w kształcie półksiężyców, jego nerwowość. Łatwo się rumienił, zdradzając w ten sposób uczucia. Dobrze mi szło czytanie w ludziach, a on pachniał nadzieją, zdenerwowaniem i niepokojem podszytymi odrobiną desperacji. Nie uważałam, żeby Julian Bouchard okazał się zwykłym dupkiem. Kliknęłam „Akceptuj”.

I tak oto w ciągu kilku godzin zyskałam dwóch przyjaciół. Teraz przez telefon rozmawiałam z jednym, a przez Facebook z drugim. Cóż za dzień!

– Rozpoczął chat – powiedziałam do Birdwine’a.

– Wydajesz się tym podekscytowana.

– Zapomniałam, co znaczy to słowo. Chodzi o nerwowe wymioty?

– Coś w tym rodzaju. No dobra, poczatuj z tym swoim kanciarzem. Rano pojedziemy do gościa, który z kolei kantuje jego – oświadczył Birdwine.

Zacząłam mu dziękować, ale zdążył się rozłączyć. Nie dla niego „Cześć, co słychać?” czy „Miłego dnia”, albo „Do zobaczenia”.

Wbiłam spojrzenie w migający kursor pod *Halo?* Juliana.

Zadzwoił telefon, który nadal trzymałam w dłoni. Zerknęłam na wyświetlacz.

Oddzwaniał Remi. Mój kciuk zawisł nad zielonym przyciskiem i tak pozostał. Właściwie nie wiem dlaczego. Zamiast Remiego miałam do wyboru czat na Facebooku, ale czy nie wystarczy mi już kontaktów z nowym bratem jak na jeden dzień? Lubiłam Remiego. Bardzo go lubiłam. Miał intensywnie czarne oczy, które czasami widuje się u mieszkańców Luizjany, i był mojego wzrostu, co w łóżku okazywało się przydatne. Zawahałam się, nasłuchując ewentualnych wibracji w podbrzuszu.

Cisza. Libido, które się obudziło przy Birdwinie, znowu umarło albo spało kamiennym snem. Przysunęłam laptop.

*No hej* – wystukałam do mojego brata.



2 Sieć pizzerii w Stanach Zjednoczonych.



## Rozdział 5

Mama i ja odsiadujemy swoje wyroki. Osadzono nas w wolno stojących niskich budynkach, które wyglądają jak parki przemysłowo-biurowe. Razem ze mną mieszka około trzydziestu nastolatków, a z Kai grupa kilkusetosobowa. W moim domku jest miejsce na sześć gimnazjalistek i opiekunkę, panią Mack. Na bloku Kai jest czterdzieści kobiet pilnowanych przez uzbrojonych strażników. Siedzi w więzieniu za utrudnianie i niszczenie dowodów, ja natomiast mieszkam w domu dziecka, bo moje przestępstwo polegało na tym, że przeze mnie trafiła za kratki. To nie fair, że miejsce, w którym przebywam, jest mniejsze i o łagodniejszym rygorze.

Zwłaszcza że moja matka nie jest taka jak ja.

Gdyby Kai mogła mnie teraz widzieć, też by powiedziała, że nie jestem sobą. Nie jestem jej dziewczynką z tamburynem w wyszywanej paciorkami sukience ze sklepu z używaną odzieżą ani Cyganką gruchającą: „Jaka długa linia życia”, zerkającą ponad jej ramieniem na czyjaś dłoń. Ledwie pamiętam osobę, jaką zaczęłam się stawać w Asheville. Coraz bardziej przypominam Paulę, która narodziła się w hrabstwie Paulding tamtego dnia, kiedy musiała wybrać między ucieczką a walką. Tutaj się przekonałam – czy też zdecydowałam – że nie lubię biegać.

W pierwszym tygodniu mojego pobytu w domu dziecka chodzący do liceum chłopak spadł przypadkiem ze schodów i złamał rękę w nadgarstku. Prawda była taka, że szedł za mną po schodach i miał złe zamiary. W drugim tygodniu odwiedziła mnie dziewczyna z sąsiedniego domku, a potem wpadła na drzwi i miała lima pod obojgiem oczu. Prawda była taka, że szarogęsiła się i mnie szturchnęła, więc uderzyłam jej twarzą w klamkę. Oczywiście, ja też nie raz oberwałam. I to mocno, ale zawsze się zrewanżowałam. Ci, którzy próbowali mnie sobie podporządkować, musieli poszukać bardziej potulnych myszy.

Bardziej niż o siebie martwię się o Kai. Taktyka obronna mojej matki polega na zniknięciu, wymknięciu się, ucieczce. Kai z daleka wyczuwa kłopoty i do czasu, gdy niemile ją zaskoczył zainicjowany przeze mnie nalot, zawsze zdążyła nas ewakuować. Od aresztowania przebywa wciśnięta między kraty, ściany i drzwi i nie ma jak uciec.

Kiedy przebywała w areszcie w Atlancie, mogłam ją przynajmniej odwiedzać. Po wydaniu wyroku przeniesiono ją do kobiecego więzienia w południowej części Georgii. Jej prawnikowi i mojej kuratorce udało się wywalczyć prawo dzwonienia do mnie – miałyśmy szczęście, że trafiła na

przyjaznego rodzinom sędziego – ale nie mogłam już czytać z jej twarzy, języka ciała, patrzeć w oczy. Było mi tym trudniej, że wiedziałam, iż kłamię.

– Jesteś bezpieczna? – zapytałam podczas naszej pierwszej rozmowy po przeniesieniu Kai.

– Oczywiście! Nic się nie martw, skarbie. Mam już więziennego chłopaka, Rhondę. – Powiedziała to lekkim tonem, jakby żartowała, ale nie było jej do śmiechu. – Zaprzyjaźniłaś się z kimś?

– Nie tak jak ty – odparłam, ale opowiedziałam jej o Joyi, wiecznie zaspanej ósmoklasistce, w której oddechu czuć trawkę. Przyjaźnimy się, chociaż jest czarna. Większość tutejszych przyjaźni określa przynależność rasowa, a więc powinnam być sama jak palec, tak jak w Paulding. Ale Joya do mnie pasuje, ponieważ jej matka przebywa na odwyku, na który wysłał ją sąd. Ona i ja należymy do kogoś. Dwie pozostałe czarne dziewczyny w naszym domku mogą zostać adoptowane. Należą tylko do państwa i do siebie nawzajem.

Teraz, pięć telefonów później, Kai i ja zadajemy prostsze pytania.

– Jesz dużo owoców? – pyta.

– Tak – kłamię. – Całe mnóstwo.

Słuchawkę przyciskam do ucha tak mocno, że gdy skończymy rozmawiać, będzie czerwone i obolałe. Jestem głodna jej głosu, jej śmiechu, jej opowieści.

Siedzę po turecku na podłodze w spiżarni, wciśnięta między sterty papieru toaletowego i półki z zupami w puszkach i kartonami ziemniaczanego piure w proszku. Jestem w dużym budynku w centrum ośrodka, gdzie znajdują się stołówka i świetlica. Pani Mack pozwala, żebym telefony od Kai odbierała tutaj, w sąsiadującej z kuchnią spiżarni. Przewód telefonu dla personelu jest na tyle długi, że mogę go tu przeciągnąć i zamknąć cienkie drzwi.

– Świeżych? – pyta Kai. – Te w puszkach to głównie cukier.

– Tak, świeżych – mówię, choć na wysokości oczu mam cały rząd ogromnych puszek z mieszanką owocową. Znajdujące się w środku żółte kostki są tak przesiąknięte gęstym syropem, że nie jestem w stanie odróżnić gruszki od ananasa. Na pewno wie, że moje jedzenie niewiele się różni od jej. Kluski z małymi kawałkami kurczaka, zapiekanka ziemniaczana, spaghetti. Ale i tak dobrze się rozwijam, jedząc owoce czy nie. Tłuszcz z brzucha zaczął się powoli przemieszczać, tak jak zapewniała. Moje ciało się wydłuża, nabiera kobiecych krągłości; przybieram kształt tego, za czym tęsknię.

– Czy pani Mack jest miła? – chce wiedzieć Kai.

– Raczej tak. To znaczy jest do bani – kłamię z nadzieją, że mama odbierze to jako „Nikt nie zastąpi mi ciebie”.

Lubię panią Mack. Jest Murzynką w średnim wieku, która nazywa mnie panienką. Wszystkie nas tak nazywa. „Kocham moje panienki” – śpiewa każdego ranka, kiedy nas budzi, a ja jej wierzę. Kocha nas wszystkie tak jak moja matka

kochała swoich chłopaków.

– Dobrze sypiasz? – pytam.

– O tak – odpowiada moja matka.

Nasze rozmowy mają określony schemat. Zaraz ona mnie zapyta, jak ja sypiam i jak mi poszło na sprawdzianie z matematyki, a ja ją o to, jaką czyta książkę. Te pytania, te małe kłamstwa, którymi się wzajemnie raczymy, są składanymi sobie obietnicami. „U mnie będzie dobrze, jeśli u ciebie będzie dobrze”. A gdy będzie nam się kończył czas, opowie mi kolejny fragment dawnej historii na dobranoc. Jesteśmy teraz w połowie *Małego Ganeshy i uczyty*. Zamknę oczy i pozwolę, żeby jej chrapliwy alt otulał mnie niczym ciepła mgła. Tym razem jednak Kai łamie schemat.

– Posłuchaj, musisz coś dla mnie zrobić. Jeśli dasz radę.

W jej głosie słyszę napięcie i od razu się prostuję.

– Okej. – Jest jednocześnie zgoda i pytanie.

Słyszę, jak przelyka ślinę, po czym mówi szybko i cicho:

– Robię coś. Piszę. To... wiersz.

Dziwne, że o czymś takim mówi mi cicho i pospiesznie. Kai jest za pan brat ze sztuką. Opowiada historie i pięknie rysuje, dobrze śpiewa, nie najgorzej gra na mandolinie. Zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że nie pisze w więzieniu wierszy, ale ona mówi to takim tonem, jakby rymy i metrum okazały się nielegalne. Brzmi to mniej więcej tak, jakby powiedziała: „Pędzę wino w rezerwuarze w ubikacji” albo „Ukradzioną łyżką wykopuję tunel ku wolności”.

– Okej – powtarzam.

– Opowiadam od nowa *Ramajanę* – dodaje równie szybko, a w jej głosie słychać ponaglący niepokój. – Tylko tę część, w której demon porywa Sitę. Pamiętasz to? Sita mieszka razem z Ramą w lesie. Wtedy Rawana porywa ją i zamyka w czymś w rodzaju więzienia. To bardzo przypomina więzienie. Rozumiesz?

– Tak – mówię i czuję ucisk w brzuchu. Wybrała ten fragment *Ramajany* dlatego, że odzwierciedla jej obecne życie. To ja powinnam się znaleźć w jej wierszu, odgrywając rolę demona.

– Gdy tylko skończę, wyślę ci ten wiersz – mówi Kai.

– Nie mogę się doczekać, kiedy go przeczytam – kłamię.

– Chcę, żeby przeczytał go ktoś jeszcze. Wiesz, kogo mam na myśli? – Milczę. Nie wiem. – Pomyślałam, że mogłabyś go wysłać swojemu wujkowi. – Nadal pustka w głowie. Nie mam żadnego wujka. – Temu, który nazywał cię Wyszczekany Kucykiem.

Chodzi jej o Dwayne’a? To on tak się do mnie zwracał.

– Chyba wiem – mówię. Nie wypowiadam jego imienia, ponieważ nie mam pojęcia, kto nas słucha. Obok niej mogła stać jakaś donosicielka więźniarka albo

linia mogła być na podsłuchu. Od więziennego telefonu nie można oczekiwać prywatności, chyba że rozmawia się ze swoim prawnikiem. – Chodzi ci o tego, który miał w domu karaluchy.

– Tak, to ten wujek. – W głosie Kai słychać zdecydowanie. – Udałoby ci się wysłać mu ten wiersz?

Ona nie może tego zrobić. Osadzeni nie mogą się kontaktować z osadzonymi z innych zakładów karnych, chyba że są najbliższą rodziną. W szczególności nie wolno jej rozmawiać z Dwayne'em, którego tocząca się w sądzie sprawa powiązana jest z jej sprawą.

Obie milczymy. Dwayne był tylko chłopakiem, i to nawet niedługo. Dlaczego pisze dla niego wiersze? Poza tym boję się, że zostanę przyłapana.

Ale w głosie mamy słyszę desperację. Nie jest bezpieczna i to ja się do tego przyczyniłam.

„Co się stało? Nagły wypadek?” – zapytała operatorka, gdy zadzwoniłam z Dandy Mart pod dziewięćset jedenaście. Nie, nie uległam żadnemu wypadkowi. Nie wiedziałam nawet, co mogłoby się stać. Teraz wiem. Nagły wypadek to Kai zamknięta sto pięćdziesiąt kilometrów ode mnie. Nagły wypadek mieszka w domkach pełnych brutalnych dzieci.

Wczoraj w nocy nowa koleżanka z pokoju uklękała przy moim łóżku. Wsunęła rękę pod kołdrę, szukając miejsca między moimi nogami.

– Mogę z tobą spać? Będę grzeczna. – Candace nauczyła się tego od ojczyma. Joya mi powiedziała, że dlatego właśnie trafiła do domu dziecka.

Usiadłam i pchnęłam ją, aż się przewróciła.

– Odpierdol się, lesbo. Nie potrzebuję więziennego chłopaka.

Candace jest cherlawą białą dziewczyną, która kuli się, gdy do niej mówię, podchodzi ukradkiem i siada zbyt blisko, kiedy ją ignoruję. Oddycha przez usta, ma wieczny katar z powodu alergii, a na widok jej popękanej do krwi skóry pod nosem robi mi się niedobrze. Poza tym pachnie stęchlizną, jakby ktoś napełnił ją wilgotnym praniem, a potem o nim zapomniał.

Candace podniosła się z podłogi, zamrugała, a białka oczu miała różowe od histamin.

– Dam ci dwa dolary.

Uszczypnęłam ją w ramię, aż syknęła. Na tyle mocno, żeby został ślad. Spuściła głowę, jakby taki już był jej los. Gdyby była psem, pokazałaby mi brzuch. Była nowa, ale ja miałam tutaj reputację. Dałam jej spokój i odwróciłam się do niej plecami. Została tam, gdzie była.

Po pewnym czasie usłyszałam, jak pociąga nosem. Przesunęłam się, robiąc miejsce na brzegu łóżka.

– Tylko bez macania. Chcę te pieniądze jutro z samego rana.

Położyła się i przycisnęła do moich pleców. Spałyśmy przytulone jak

zziębnięte szczenięta.

Jeśli zostanę przyłapana na przekazywaniu wiadomości Kai, jej wyrok zostanie wydłużony. Ja też pozostałabym tutaj dłużej. Państwo mogłoby odebrać Kai prawa rodzicielskie. Jeśli zostaniemy złapane, żaden przyjazny rodzinom sędzia nie okaże się na tyle przyjazny, by przymknąć na coś takiego oko.

Mimo to mówię jej:

– Nie znam jego adresu. Ale jeśli uda mi się go zdobyć, to wyślę.

To nie jest „nie”, ale także nie „tak”. To znaczy „postaram się”.

Otwieram drzwi spiżarni i przekonuję się, że po drugiej stronie stoi Candace. Odskakuje z wytrzeszczonymi oczami. Najwyraźniej nie usłyszała, jak odkładam słuchawkę. Wcześniej myślałam o więźniarkach donosicielkach albo o podsłuchu na linii, nie przyszło mi jednak do głowy, że mnie tutaj może ktoś podsłuchiwać.

– Co tu robisz? – pytam groźnie, próbując sobie przypomnieć, co powiedziałam na głos.

– Przyszłam sprawdzić, czy są jakieś ciastka. – Kuli się bojaźliwie. Przepycham się obok niej, a ona rusza w ślad za mną. Kąciki jej suchych różowych ust unoszą się. – W ogóle nie słuchałam, jak rozmawiasz ze swoją mamą o wysłaniu czegoś.

Odwracam się, chwytam ją za nadgarstek i zaciskam na nim dłoń tak mocno, że czuję, jak przesuwają się drobne kości Candace. Wydaje pisk, a ja podchodzę bardzo blisko. Ostatnio sporo urosłam i dzięki temu mam nad Candace kilkucentymetrową przewagę.

– Nie chcesz ze mną zadzierać. Śpimy w tym samym pokoju, rozumiesz?

Przełyka ślinę i ucieka spojrzeniem w bok, ale kiwa głową. W tej samej chwili puszczam jej rękę i uśmiecham się słodko. Najpierw klaps, potem cukierek, gdyż wygląda na to, że same klapsy w wypadku Candace nie zdają egzaminu. Może za bardzo do nich przywykła? Muszę być teraz ostrożna, przynajmniej do czasu, kiedy otrzymam od Kai *Ramajanę*. Do czasu, kiedy zdecyduję, co powinnam z tym zrobić.

Matka przysłała mi ten wiersz dwadzieścia trzy lata temu i nadal go mam. Granatowy atrament wyblakł, a papier stał się suchy i postrzępiony na brzegach, ale wszystko było czytelne. Przez wszystkie te lata trzymałam go w kufierku żołnierskim w szafie wnękowej, na najwyższej półce, za pudełkami z kozakami. Razem z innymi szczątkami z mojego dzieciństwa: poczerniałym łańcuszkiem na kostkę wykonanym z dzwoneczków, zabytkową szklaną klamką w formie gałki, którą ukradłam z domu Hervégo, trzema sznurami kolorowych koralików.

Teraz leżał w mojej teczce. Wyjęłam go z kufierka, zanim wyszłam z domu, żeby jechać po Birdwine'a. Zamierzałam wpaść do Kinkos i zeskanować kartki. Chciałam mieć kopię elektroniczną, ponieważ uznałam, że oryginał powinnam podarować Julianowi. Należał się jemu – poemat miłosny napisany przez jego

matkę być może dla jego ojca, gdy nosiła go pod sercem.

– Jak tam chat z chłopakiem? – zapytał Birdwine. To pierwsze, co powiedział, nie licząc mrukliwego „Możemy zatrzymać się na kawę?”, odkąd wszedł do mojego samochodu. Kiedy pokazałam na kubek, który kupiłam dla niego po drodze w Starbucksie, natychmiast się do niego przyssał.

– Nie wiem. Dziwny. Sztywny. Zaprosiłam go do siebie w ten weekend – odparłam, a GPS kazał mi zjechać na nieduży parking. Zatrzymałam się przed ciągiem sklepów, który nie zasługiwał na określenie „centrum handlowe”: lokal z chińszczyzną na wynos, salon tatuażu, sklepik spożywczy z punktem Lotto. – Przyjdzie do mojego loftu, ale może powinnam go zabrać na tapas albo na steki? Do jakiegoś neutralnego miejsca.

– Improvizuj – rzekł Birdwine.

Wysiedliśmy, a do mnie dotarło, że powinnam była jednak pozwolić, by to on po mnie przyjechał. Do tej dzielnicy zdecydowanie bardziej pasował samochód Birdwine’a. Po drugiej stronie ulicy, w cieniu wielkich domów w stylu wiktoriańskim, podzielonych na niewygodne mieszkania, stały bungalowy w różnym stadium degeneracji.

Birdwine wskazał na drzwi prawie na samym końcu, między salonem manikiuru a maleńkim sklepem z używanymi książkami. Pełno było na nim szyldów. Na tym na samej górze napisano: „Powierzchnia biurowa do wynajęcia”. Pod nim wisiał szyld reklamujący kancelarię Krauss & Spaulding, której pracownicy byli tak kiepscy, że zamiast korzystać z ich usług, lepiej było się rozwieść samemu. Następny w kolejności był szyld The Worthy Investigations, a jego górną część zasłonił ręcznie napisany plakat, który zachęcał: „Masaż! Depilacja woskiem! Tarot! Bez rezerwacji!”. Do tego entuzjastyczna czerwona strzałka skierowana ku górze.

– Dziwka? – zapytałam.

– Aha – odparł Birdwine.

Nie był gadułą ani nie należał do porannych ptaszków, ale teraz przesadzał. Zachowywał się tak, jakby na chłodno podjął decyzję o naszej przyjaźni, a teraz cierpliwie ją tolerował. Gdybym nie wiedziała, że tak nie jest, uznałabym, iż dręczy go kac. Ja jednak wiedziałam. Gdyby Birdwine zaczął wczoraj pić, w tej chwili nadal by to robił.

– Zaraz sprawdzę ci puls – oświadczyłam.

Wziął się w garść i zażartował:

– Założę się, że gdybyś ją poprosiła, żeby ci coś wydepilowała, zrobiłaby to.

– Sklep wielobranżowy – rzekłam równie lekkim tonem.

Weszliśmy po schodach. Na górze natknęliśmy się na kolejne drzwi z mnóstwem zamków i domofonem. Ktoś – pewnie dziwka – podłożył pod nie zgniecioną puszkę po coli, żeby pozostały uchylone. W kryjącym się za drzwiami

wąskim korytarzu śmierdziało przypalonym hinduskim żarciem.

– Jak to możliwe, że Julian wynajął Wortha? Ta nora od razu powinna go przestraszyć i kazać w te pędy wracać na przedmieścia – rzuciłam.

Jeszcze zanim Birdwine zaczął grzebać w finansach Juliana, tanie spodnie chłopaka powiedziały mi, że nie stać go na stawki dysponujących nowoczesnym sprzętem ekip z siedzibami w centrum miasta. Znałam jednak kilka małych, działających etycznie agencji detektywistycznych, które pachniały lepiej zarówno dosłownie, jak i w przenośni.

– Wątpię, by ją w ogóle widział – stwierdził Birdwine. – Worth ma świetną stronę internetową.

Spojrzałam na niego z aprobatą.

– Hej, synapsy ci zaskoczyły. Gotowy jesteś się obudzić i zająć się ze mną tym facetem?

Birdwine wciągnął przez nos powietrze, długo i bardzo głośno, po czym poruszył ramionami niczym budzący się po zimie niedźwiedź.

– Kryję tyły – oświadczył.

Wisząca na górze tablica poinformowała nas, że agencja Worthy Investigations ma siedzibę na samym końcu. Minęliśmy lokal do wynajęcia. Drzwi były otwarte, więc zobaczyliśmy, że jest to jedno duże pomieszczenie z cienkimi ściankami działowymi. Jedyнным meblem było nieporęczne drewniane biurko. Podłogę zakrywała niebieska wykładzina, brudna i wystrzępiona.

– Cały budynek wygląda jak miejsce zbrodni – orzekłam.

– Bardzo w stylu Sama Spade’a. I Philipa Marlowe’a. Julian uważa pewnie, że tak powinno wyglądać biuro szpicla.

– Kto używa słowa „szpicel”? – zapytałam, ale być może tak mówił mój brat o łagodnym spojrzeniu, który lubił cytaty z Yody i inspirujące zdjęcia przyrody.

Szłam korytarzem, a Birdwine za mną, występując w roli narratora z całkiem przyzwoitym akcentem Bogarta:

– Kiedy tak poruszała się na tych swoich długich, spektakularnych nóżkach, wiedziałem, że ta pani równa się kłopoty.

– Ty to mnie znasz – powiedziałam, uśmiechając się szeroko.

Mając przy sobie rozbudzonego i gotowego do działania Birdwine’a, rzeczywiście tak się czułam. To było dobre uczucie. Powiem więcej: cholernie fantastyczne. O rany, ależ mi tego brakowało. Nie czułam się tak od – cóż, od przesłuchania Skopesów. Tamtego dnia wrócił do mnie czek z wiadomością od Kai.

Do Worthy Investigations prowadziły drzwi ze szkła dymnego. Widać było światło. Pan detektyw był u siebie.

Przywołałam na twarz swój najsympatyczniejszy uśmiech, ten, który rezerwuję dla ławników. Zaprezentowałam go Birdwine’owi i zamrugałam jak

słodka łania. Zamiast garsonki miałam na sobie krótką spódniczkę i jedwabną koszulkę z krótkimi rękawami. Makijaż delikatny: jasne błyszczące usta i żadnych kresek wokół oczu. Nie wyciągnęłam włosów na szczotce i teraz opadały mi na plecy czarnymi spiralami. Kiedy tak się ubierałam, ludzie, zwłaszcza biali, brali mnie za dwudziestoparolatkę.

– A więc ja jestem złym gliną? – zapytał cicho Birdwine.

– Chyba tak, ale zrobmy najpierw rozeznanie w sytuacji.

Birdwine był dobry w improwizacji. Sięgnął do klamki, ale ja zamokłam cicho.

– Najpierw panie i dobrzy gliniarze.

Worth siedział za biurkiem na samym końcu długiego wąskiego pomieszczenia. Kiedy weszłam, podniósł głowę i na mój uśmiech zareagował uśmiechem. Miał około pięćdziesiątki i nieźle się trzymał. Miał kwadratową twarz, gęste, przedwcześnie posiwiałe włosy i wydatne wąsy. Wyglądał jak tata z sitcomu z lat osiemdziesiątych, a rdzawoczerwony krawat i koszula z przypinanym kołnierzykiem świetnie wpasowywały się w ten klimat.

– Pan Tim Worth? – zapytałam z lekkim wahaniem.

Podnosił się już zza biurka.

– To ja! Zapraszam. Moja dziewczyna jeszcze nie przyszła, ale zaparzyłem kawę. Napije się pani?

Mijałam właśnie niewielką recepcję i nie odniosłam wrażenia, że istnieje jakakolwiek „moja dziewczyna”. Na biurku obok kawiarki stał telefon stacjonarny i lampka, ale nie było ani komputera, ani kwiatka w doniczce, ani rodzinnych zdjęć. Moim zdaniem wyglądało to jak dekoracja. Interesujące, że uczynił swoją wymagowaną asystentkę młodą kobietą, a potem dodał zaimek dzierżawczy. „Moja dziewczyna”. Zdążyłam zrobić dziewięć kroków i już miałam faceta na muszce. Jeśli odpowiednio to rozegram, otworzy się jak gotowany małż.

– Nie, dziękuję. – Starłam się, żeby w moim głosie słychać było niepewność.

– Czym służyć mogę pani? – zapytał Worth, celowo uroczo kalecząc gramatykę. Był dość atrakcyjny, jeśli gustowało się w takim typie albo miało się problemy z ojcem. Mnie nie groziło ani jedno, ani drugie. Wtedy spojrzenie Wortha pomknęło za mnie i jego uśmiech nieco przybladł. – Och, witaj, Zachary.

– Worth – rzekł Birdwine.

Krzesła dla klientów przed biurkiem były niskie i wyłożone miękkimi poduszkami. Worth najwyraźniej przeczytał jakiś poradnik biznesowy zatytułowany *Jak być dupkiem*, skąd dowiedział się o strukturze miejsc do siedzenia. Nie usiadłam; zatrzymałam się obok biurka, ustawiając tak, by mieć na oku całe pomieszczenie.

Birdwine rozsiadł się na stojącej w recepcji kwiecistej sofce. Zaskrzypiała



pod nim. Wyluzowany rozłożył na oparciu długie ręce. Jego obecność wzbudziła czujność Wortha; przyjrzał mi się uważnie.

Zmarszczył brwi.

– Chwileczkę. Czy skądś panią znam?

– Jestem Paula Vauss. – Intonacja wznosząca sprawiła, że zabrzmiało to jak pytanie. – Przekazał pan moje dane klientowi. Julianowi Bouchardowi.

– Och, biologiczna siostra, no tak. – Stał, głowę mając wyżej od Birdwine'a i na równym poziomie z moją. – To znaczy siostra przyrodnia. Oczywiście.

Poczułam, że mój uśmiech staje się szerszy, jak u rekina.

– Oczywiście.

Worth zaczął mówić powoli, nie spuszczać ze mnie wzroku:

– Mam panią na liście osób, do których chciałem zadzwonić w tym tygodniu.

– Jasne. Ręce trzymałam opuszczone, brwi zaś miałam uniesione, żeby język mojego ciała mu mówił, że jestem na niego otwarta, a przynajmniej na jego historię. – Przykro mi, że chłopak wyszedł przed orkiestrę i skontaktował się z panią. – Nie tak przykro, jak mu będzie za chwilę. Zmarszczyłam uroczo nos. Czułam, jak Worth przesuwając palcem po moim ciele, licząc, że znajduje się na nim pismo Braille'a.

Pozwoliłam, aby zapadła między nami cisza. Na kilka miesięcy wypadłam z gry, ale oto wróciłam i przypominałam sobie wszystkie reguły. Obudziły się dawne mięśnie, o których zdążyłam zapomnieć. Ależ to było fantastyczne uczucie. Nie przerywałam ciszy.

Facet był manipulatorem, i to nie najgorszym. Wystarczająco dobrym dla młodych, zdesperowanych albo nieszczególnie bystrych. Ale nie świetnym. Gdyby był świetny, miałby lepszą siedzibę, a „moja dziewczyna” nie byłaby fikcją. Dobry, ale nie świetny oznaczało, że mogę pozwolić, by cisza ziała otworem jak dziób małego ptaszka, czekając, aż Worth ją wypełni.

Birdwine znał tę taktykę – jak wszyscy gliniarze. Sięgnął po stary magazyn „People” i zaczął przerzucać kartki. Worth poruszył się i odwrócił wzrok. Odkaszlnął, po czym postanowił przystąpić do badania terenu.

– To musiał być dla pani szok. Mam nadzieję, że pani brat zachował się rozważnie? – To było rozsądne podejście, bardzo bezpieczne. Jeśli swoim pojawieniem się Julian mnie zdenerwował, lekka dezaprobata w głosie Wortha umieszczała nas w jednej drużynie. Nie była jednak na tyle duża, abym czuła, że muszę stanąć w obronie chłopaka. Była niemalże dobroduszną.

– W żadnym razie – zaprotestowałam szybko. Nachyliłam się ku Worthowi, jakbym chciała mu powiedzieć coś poufnego. – Zjawił się w mojej kancelarii podczas godzin pracy. Twierdzi, że jest moim bratem przyrodnim, ale pomyślałam... – Zerknęłam na Birdwine'a siedzącego swobodnie na sofie,

zaabsorbowanego relacjami ze ślubów celebrytów i sesjami z niemowlętami.

– Rozumiem, oczywiście. Jest pani osobą zamożną, a pani brat pojawia się nie wiadomo skąd. Ma pani prawo zachować ostrożność – oświadczył Worth, zmierzając w kierunku, w którym go wysłałam. – Więc... wynajęła pani własnego detektywa? – Również zerknął w kierunku Birdwine'a. Kiedy w odpowiedzi przewróciłam oczami, jakbym na temat Birdwine'a miała takie zdanie jak on, zaryzykował i zarzucił wędkę nieco dalej: – Pani matka nie mogła potwierdzić tożsamości Juliana?

Spuściłam wzrok, żeby Worth nie zobaczył w moich oczach błysku zainteresowania. Według Birdwine'a *modus operandi* Wortha polega na szybkim gromadzeniu jak największej ilości informacji, a następnie wydzieleniu ich przez długie, podlegające niemałym opłatom miesiące. Jeśli znalazł Kai w listopadzie, to wtedy jeszcze nie miała świadomości, że jest chora. Wiedział, że ona nie żyje? Jeśli nie, czekała na niego niezła pułapka. Zarzuciłam przynętę.

– Moja matka i ja nie mamy ze sobą kontaktu – wyjaśniłam. – A o Juliana nie zapytałabym jej nawet, gdybyśmy rozmawiały. Nie jest, że tak to ujmę, osobą uczciwą.

Worth obszedł biurko, zmniejszając dystans między nami. Zniżył głos, licząc na to, że Birdwine go nie usłyszy.

– A więc zatrudniła pani pomoc z zewnątrz. – Kiwnęłam głową, a on zapytał, niemal szeptem: – Dlaczego akurat jego?

– Pan Birdwine wykonywał zlecenia dla mojej firmy. Ale w tym wypadku... – także szepnęłam, pozostawiając zdanie niedokończone.

Worth nachylił się jeszcze bliżej i położył dłoń na swojej piersi.

– No cóż, teraz przysłała pani bezpośrednio do źródła Juliana. Tak naprawdę od razu powinna była pani to zrobić. – Odgrywał rolę tatki Wortha pomagającego wyjaśnić wątpliwości dotyczące tożsamości Juliana. Chciałam się dowiedzieć, czy Julian jest oszustem, który chce mnie oskubać, czy rzeczywiście bratem, który został oddany do adopcji. Tato Worth to wiedział, a Birdwine nie. Otwierając szeroko oczy, weszłam w rolę dziewczynki, która potrzebuje tatusia.

– Chciałam pana zapytać, po co Julian zjawił się u mnie. Wygląda na to, że nie wie, gdzie mieszka moja matka. Pan znalazł mnie, a, cóż... – Zerknęłam na Birdwine'a i ponownie ściszyłam głos, ale nie do szeptu. Chciałam, żeby mnie słyszał. – Można podążyć śladem pieniędzy. Tak powiedział mi pan Birdwine, i to ma sens. Na pewno szybko trafiłby pan ode mnie do niej. Co miesiąc wysyłam jej czek.

Birdwine prychnął.

– Mówiłem, że porządnemu detektywowi nie zajęłoby to dużo czasu. Czy pani matka ukrywa się koło jego tyłka? Wolno mu używać obu rąk?

Zacisnęłam usta, jakby jego soczysty język mnie uraził, następnie spojrzałam

na Wortha, jakbym mówiła: „Widzi pan, przez co muszę przechodzić?”. Worth z dezaprobatą pokręcił głową, no i proszę, byliśmy już parą sprzymierzeńców.

– No cóż, oczywiście, że ją znalazłem – rzekł specjalnie głośno ze względu na Birdwine’a. – Jedyne niefortunnie się złożyło, że pani przyszła do mnie, a nie odwrotnie. Prześledziłem drogę pani czeków do Austin, gdy tylko powiedziałem Julianowi o pani, ale lubię być dokładny. Chciałem to potwierdzić, zanim zdenerwuję Juliana. Sama pani widziała, że potrafi być porywczy.

– Potwierdzić? Widział pan moją matkę? – zapytałam tak, żeby w moim głosie słychać było sceptycyzm.

– Nie, nie. My, prywatni detektywi, mamy swoją sieć. A przynajmniej ci, którzy są w dobrych stosunkach z resztą. – Skierował kolejne świdrujące spojrzenie na Birdwine’a. – Kolega z Austin się tym zajął. Przesłał mi na potwierdzenie kilka zdjęć. Planowałem skontaktować się z panią w tym tygodniu, a potem zapoznać panią z Julianem w znacznie mniej stresujący sposób.

Uśmiechnęłam się zachęcająco zarówno do niego, jak i do siebie, ponieważ miałam dupka w garści.

– Zdjęcia? – zapytałam. – Och, mogłabym...? – Naśladując język jego ciała, nachyliłam się ku niemu i położyłam dłoń na piersi. – Jak już mówiłam, moja matka i ja nie mamy ze sobą kontaktu. Od lat nie przebywamy w tym samym stanie. – Pozwoliłam sobie na tę bolesną prawdę. Prawda zawsze była najlepsza. Jedną porządną prawdą potrafiła zapewnić wsparcie całej gromadce półprawd i niedomówień. Popatrzyłam na Wortha błyszczącymi oczami. – Bardzo bym chciała zobaczyć zdjęcia, które pański kolega zrobił w tym tygodniu.

– Och, oczywiście – odparł. – Kilka wydrukowałem, mogę je pani dać.

– Dziękuję – rzekłam bez tchu.

Worth odwrócił się w stronę stojącej pod ścianą za nim szafki na akta i otworzył górną szufladę. Przesunął palcem po literce B i wyjął akta Juliana. Przejrzał je i po chwili wyjął arkusz papieru fotograficznego. Odłożył zamkniętą teczkę z aktami na biurko i przesunął zdjęcie w moją stronę.

To była Kai. Kiedy spojrzałam na nią, powietrze stało się ciężkie, jakby prawda, którą przed chwilą wypowiedziałam, przekształciła się w ciśnienie barometryczne.

Ile lat miała na tym zdjęciu? Pięćdziesiąt? Wyglądała na więcej i była bardzo chuda. Może to z powodu choroby, ukrytej, ale rozprzestrzeniającej się już po całym ciele. Może po prostu dlatego, że była palaczką i ektomorfikiem. Siedziała na dworze w słońcu. To było zbliżenie, głowa i ramiona, a za nią chyba rzeka. Nadal miała kaskadę ciemnych włosów, ale widać w nich było srebrne pasma. Oczy okalała siateczka zmarszczek, a linia zuchwy złagodniała. Wokół ust miała głębokie nawiasy, jakby często się w życiu uśmiechała.

Kiedy minął szok, jakiego doznałam na jej widok, zrozumiałam, dlaczego

Worth wybrał właśnie to zdjęcie. Widać było na nim jedynie kołnierzyk czegoś, co wyglądało jak haftowana bluzka z tkaniny z wypukłym wzorem. W Austin w lipcu było co najmniej trzydzieści stopni i cholernie wilgotno; to zdjęcie zostało zrobione w listopadzie, kiedy Julian wynajął Wortha. Nie chciał, bym dostrzegła, że na tym „zupełnie nowym” zdjęciu Kai jest ubrana stosownie do łagodnej teksańskiej zimy.

– Och, proszę tylko na nią spojrzeć – powiedziałam i nachyliłam się ku niemu. – Zrobiono je w poniedziałek, tak pan mówił?

Kiwnął głową.

– Otrzymałem je w poniedziałek późnym wieczorem.

– Niesamowite! – oświadczyłam. Mój zachwycony uśmiech stawał się coraz szerszy, aż Worth widział jedynie moje zęby i jakież to było przyjemne. Zapomniałam już, jak uwielbiam tego typu chwile. – Prawdziwy cud. Zważywszy na to, że moja matka zmarła zeszłej zimy.

Zapadła cisza. Worth przełknął ślinę, a jego twarz zrobiła się czerwona, co w porównaniu z białymi wąsami wyglądało jak bożonarodzeniowy poranek.

– Cóż, chwileczkę. Powiedziałem, że dostałem je w poniedziałek, ale kto wie, kiedy mój człowiek w Austin... to znaczy nie. Może ja... – zaplątał się i zamilkł.

– Hej, Worth? – odezwał się Birdwine, nadal nie podnosząc głowy znad „People”. – Jako porządny detektyw nie skapnąłeś się, jaki zawód wykonuje pani Vauss?

Wzruszyłam skromnie ramionami i nic nie powiedziałam. Nie musiałam. Birdwine wprowadził do naszej rozmowy słowo „prawnik”. Minęło kolejnych dziesięć sekund, a za nim wtoczyły się inne sugerowane słowa: „Proces”. „Odszkodowanie”. „Zarzuty”. „Oszustwo”.

Wzięłam z biurka akta Juliana. Worth zamachał rękami, ale nie śmiał próbować mi ich wyrwać.

– Uważam, że to należy do mojego brata, a pan nie będzie już dla niego pracował. – Wsunęłam zdjęcie Kai do teczki i schowałam ją do mojej okazałych rozmiarów torby na ramię. Zaczęłam się odwracać, lecz się zawahałam. – Jeszcze jedno. Od listopada nie ruszył pan w tej sprawie nawet palcem, a mimo to Julian otrzymywał od pana rachunek za rachunkiem. Wyciągał pan z niego co miesiąc około czterystu dolarów. Czy to nie interesujące, Birdwine?

– Zaciekawiłaś mnie – odparł. Odłożył gazetę i szybko wstał, wypełniając sobą pół pokoju. – Hej, Paula, nie sądzisz, że należy się zwrot?

Worth zamrugnął, a usta otwierały mu się i zamykały jak u ryby.

– No cóż, mógłbym, to znaczy... – rzekł.

– Właściwie tak, Birdwine – przerwałam mu. – Przyjmę czek, panie Worth, co zważywszy na zaistniałą sytuację, jest ukłonem w pańską stronę. Dziesięć tysięcy wystarczy.

Wzdrygnął się, słysząc kwotę.

– To znacznie więcej niż...

– Dodałam do tego odsetki – oświadczyłam. Wcześniej przeanalizowałam jego ubranie, biuro i fikcyjną asystentkę i uznałam, że jakoś przeżyje dziesięć tysięcy. Ale nieźle go to uderzy po kieszeni. – Coś takiego nazywamy fiskalnymi przeprosinami. Bardzo rozsądnymi fiskalnymi przeprosinami, zważywszy na zaistniałą sytuację.

Worth pobladł.

– Nie pozwolę na to wyłudzenie.

– Wyłudzenie? – warknęłam. Po słodkiej, trzepoczącej rzęsami córeczce tatusia nie został nawet ślad. – To cholerny prezent.

Obeszłam powoli biurko, zbliżając się ku niemu, a stukot obcasów o porysowany parkiet był niczym odgłos bębna.

– Jeśli w ciągu sześćdziesięciu sekund czek nie znajdzie się w mojej dłoni, wycofam swoją ofertę, podejmę się reprezentowania swojego brata i zniszczę pana. – Im byłam bliżej, tym bardziej odsłaniałam swoją prawdziwą twarz, skrywaną pod drogim błyszczkiem i dobrymi manierami. – To jawne oszustwo. Wezwę policję, otrzyma pan zarzuty i zostanie skazany wyrokiem sądu. A to zaledwie podstawy mojej sprawy z powództwa cywilnego. Odbiorę panu licencję, firmę i przyszłość. Jeśli dopisze panu szczęście, sędzia nie odda mi pańskich jaj przewiązanych wielką różową wstążką. Ale o nie poproszę. Niech mi pan wierzy.

Przez chwilę panowała kamienna cisza. Worth wpatrywał się w moją nagą, odsłoniętą twarz, a potem bez słowa otworzył szufladę biurka i wyjął książeczkę czekową. Spojrzałam na Birdwine'a, a on na mnie.

Naprawdę spojrzał i zobaczył to wszystko, co wyłoniło się zza mojej maski uprzejmości. Między nami przeskakiwały iskry. Przygryzłam dolną wargę, tak bardzo potrzebowałam coś ugryźć. To była nasza chwila, moja i jego, a w tle grała muzyka, którą tworzył odgłos przesuwającego się po czeku długopisu Wortha.

Z trudem oderwałam wzrok od Birdwine'a, kiedy to jednak zrobiłam, zobaczyłam, że w rubryce przeznaczonej na imię i nazwisko osoby realizującej czek Worth wpisuje moje dane. Zastukałam w biurko.

– Myśli pan, że potrzebna mi krwawica mojego brata?

Worth zawahał się, następnie unieważnił czek i zaczął wypisywać nowy, tym razem poprawnie.

Czułam na sobie spojrzenie Birdwine'a. Kiedy się odwróciłam, uśmiechnął się szeroko. W chwili zwycięstwa nie wyglądałam ładnie, ale Birdwine'owi się podobałam. Zawsze mnie taką lubił, jak mogłam o tym zapomnieć? Bardzo lubił. Czułam na skórze jego spojrzenie i było równie gorące, jak zimne było spojrzenie Wortha.

Worth wydarł czek i podał mi go bez słowa.

Wzięłam go i tytułem pożegnania oświadczyłam:

– W poniedziałek zanieś go do banku. Nie ma takiego boga na ziemi czy pod nią, który panu pomoże, jeśli okaże się bez pokrycia.

Widziałam, że w myślach dokonuje szybkich obliczeń; w końcu pokręcił lekko głową i zrozumiałam, że Julianowi uda się zrealizować czek. Widziałam także, jak mocno go to boli, i dzięki temu powietrze miało jeszcze słodszy smak.

Wysłałam, a Birdwine za mną. Cicho zamknął drzwi. Przepelniała mnie stara znajoma euforia. Tak bardzo mi brakowało tego podniecenia, tego uczucia, że w moim ciele nie ma ani jednego miękkiego miejsca. Że cała składałam się z kości, zębów i krwi.

Szłam brudnym korytarzem, a gdy znalazłam się przy pustym biurze, ta twarda, wyposażona w zęby ja zatrzymała się i odwróciła do Birdwine'a. Byłam głodna tego delikatnego miejsca, gdzie czuć puls, głodna jakiegokolwiek miejsca, w którym mogłabym zatopić zęby. Spojrzałam na niego i nie zobaczyłam niczego takiego. Birdwine nie bał się ani nie był miękki. Na jego twarzy malował się wyraz, jakiego nie widziałam, odkąd mnie rzucił. Znowu pracowaliśmy razem przy moich sprawach *pro bono*, ale wtedy tak na mnie nie patrzył. Ani razu, chociaż wiedział, że nie mam nic przeciwko wspominkom z byłymi facetami.

Położyłam dłonie na jego piersi. Czułam, jak bije mu serce, szybko, głośno. Pchnęłam go ku otwartym drzwiom, a on wszedł do środka, jakby sprawiło to moje pchnięcie. Ale to nieprawda. Birdwine był górą, a nie czymś małym i miękkim, co mogłabym przesunąć. Moje pchnięcie okazało się skuteczne, ponieważ on tego chciał. Zatrzasnęłam za nami drzwi i w końcu byliśmy sami. Wyciągnęłam rękę w jego stronę, a on w tym samym momencie zrobił to samo. Podniósł mnie.

Oplotłam go nogami w pasie, a spódniczka podjechała mi aż na biodra. Chwyciłam go za włosy. Zbliżył moją nagą twarz do swojej. Przez jedną oszałamiającą sekundę oddychałam jego oddechem, a potem nasze oczy się zamknęły, a usta złączyły. Jego dłonie znajdowały się teraz na moich biodrach, przyciskały do siebie, a ja zapłaciłabym dziesięć tysięcy dolarów za to, żebyśmy byli teraz nadzy jak zwierzęta, żeby żadne ubrania nie ograniczały naszych ciał.

Potarłam policzkiem o jego policzek, przywarłam twarzą do jego szyi i ugryzłam go, a potem przesuwając językiem do miejsca, gdzie szyja łączy się z ramieniem. Wyszeptałam do jego skóry:

– Jedźmy do ciebie.

W chwili, gdy to powiedziałam, wiedziałam, że nie powinnam była tego robić. Powinnam była pozwolić, aby to się stało, szybko i słodko, właśnie tutaj. Powinniśmy byli miotać się po pomieszczeniu, burząc cienkie ścianki. Powinniśmy byli pościć się nawzajem na gruzach.

Tymczasem poczułam, że Birdwine rozluźnia uścisk.

– Jak za dawnych czasów – rzekł. Wziął drżący oddech i posadził mnie na

biurku. Odsunął się, a ja mu w tym nie przeszkodziłam. Jego oczy ponownie były otwarte i niemal zagniewane. Kiedy się odezwał, w jego głosie nie słychać było jednak gniewu. – To się nie uda, Paula. Jeśli zaczniemy, dojdziemy do tego samego muru, z którym się zderzyliśmy ostatnim razem, a ty znowu złamiesz mi serce.

Poczułam się, jakby mnie ktoś przedziurawił. Uszło ze mnie całe podniecenie. Teraz widziałam brudną wykładzinę, łuszczącą się farbę. Czułam przypalony kmin. Z powodu słowa „znowu”.

Nie miałam pojęcia, że był we mnie zakochany. To miał na myśli, gdy powiedział, że zderzyliśmy się z murem? Że mnie kochał? Kiedy ze mną zerwał, zarzucając mi brak komunikacji, uznałam, że zrobiłam coś, co go wkurzyło. Kiedy przestał odbierać moje telefony, założyłam, że porządnie go wkurzyłam. Później skupiłam się na odbudowaniu naszej współpracy. Osobiste relacje z mężczyznami nie zajmowały w mojej głowie dużo miejsca. Celowo szukałam mężczyzn, którym to nie przeszkadzało.

– Birdwine – odezwałam się. – Nie wiedziałam, że złamałam ci serce.

Dziwnie zabrzmiały te słowa. Nie były to słowa, które zwykłam wypowiadać, ale byliśmy teraz przyjaciółmi. Ja pierwsza wyciągnęłam do niego rękę i to ja zamknęłam kopniakiem drzwi. Zasługiwał na to, by je usłyszeć.

Powinłam była odebrać telefon, kiedy Remi do mnie oddzwaniał. Powinłam go była zaprosić do siebie na wieczór wspomnień. Tymczasem zaciągnęłam do tego brudnego pomieszczenia ducha dawnej miłości. Zabiłam ją rok temu, zanim się dowiedziałam o jej istnieniu. I przekonałam się, że martwa wcale nie podoba mi się bardziej.

Wstałam i wzdrygnęłam się, czując pod bosymi stopami chropowatą wykładzinę. Pospiesznie włożyłam buty. Kiedy stałam tyłem do Birdwine’a, obciągnęłam spódnice i przyglądałam włosy. Doprowadziłam się do porządku i odwróciłam się. Birdwine stał spokojnie obok biurka. Wielką dłonią pocierał skroń, co nigdy nie było dobrym znakiem. Włosy miał potargane i przypomniało mi się, jak to było czuć w dłoniach jego włosy i desperacko go do siebie przyciągać.

Spuściłam wzrok. Mieliśmy przecież szukać mojej nieżyjącej matki. Oboje postanowiliśmy spróbować przyjaźni – czegoś, co akurat w tej chwili było mi bardzo potrzebne. Co ja, u licha, sobie myślałam?

Prawda była taka, że w ogóle nie myślałam. Ja chciałam, ja działałam.

W końcu odezwałam się:

– Nie rżnę swoich przyjaciół, Birdwine. Ani dosłownie, ani w przenośni. Zachowałam się jak dupek. Przepraszam.

Podniosłam z brudnej wykładziny swoją szpanerską torbę, którą w chwili szaleństwa tam rzuciłam. Czułam się, jakbym i jej była winna przeprosiny.

– *De nada* – powiedział Birdwine, chociaż nie mogłabym go winić, gdyby

poszedł teraz szukać przystanku autobusowego i zablokował w swoim telefonie mój numer. Kiedy się wyprostowałam, przerzucając sobie torbę przez ramię, przestał już trzeć skroń.

– Nie zamierzam ci niczego łamać – oświadczyłam. Nie mogłam znowu wypowiedzieć tego słowa. „Serce”. Nie chciałam ponownie go przywoływać. – Możemy udawać, że to się nie wydarzyło? Albo zrzucić winę na azbest w tym budynku? Zatrulałam się azbestem.

Zaśmiał się. Lekko.

– Taa. Wszyscy wiedzą, że azbest to znakomity afrodyzjak. – Kiedy ponownie się odezwał, jego głos brzmiał rzeczowo, ale nie zimno. – Daj mi kluczyki. Będę prowadził, żebyś mogła przejrzeć akta Wortha. Zaczniemy poszukiwanie Kai w miejscu, gdzie on je zakończył.

Teraz moje ciało miało już miękkie miejsce. Czułam na szyi pulsowanie swojego serca.

– Dzięki.

Musiałam pozostać po właściwej stronie narysowanej przez niego granicy. W tej chwili oznaczało to rzucenie mu kluczyków. Złapał je w powietrzu, a potem opuściliśmy paskudne biuro i zesliśmy po schodach. Okazało się, że nikt nie ukradł mojego auta, kołpaki też były wszystkie, co postanowiłam uznać za kolejne zwycięstwo. A dzień się przecież jeszcze nie skończył. Może podeszłam zbyt blisko krawędzi nowej przyjaźni z Birdwine'em, ale moim najlepszym i najstarszym przyjacielem było wygrywanie. Z nim mogłam bez żadnych komplikacji chodzić do łóżka.

Atmosfera między nami pozostawała nieco napięta, kiedy wsiedliśmy do samochodu. Zignorowałam to. Poranek okazał się zbyt udany, żeby kończyć go z poczuciem niesmaku. Wyjęłam z torby akta Wortha, a Birdwine się uśmiechnął. On także bardzo lubił wygrywać.

– Powiedz nam, Vanno, co się znajduje w tej cennej teczce?

– Zajedź do Kinkos niedaleko ciebie. Chcę wszystko zeskanować. Możesz dostać kopie – rzekłam. Przy okazji będę mogła zeskanować wiersz matki.

Otworzyłam teczkę i moim oczom ukazało się zdjęcie, które już widziałam. Przekręciłam je jak kartkę i zobaczyłam ujęcie całej Kai w tej samej bluzce, z tą samą rzeką w tle. Stała tyłem do aparatu i obserwowała, jak mała dziewczynka rzuca kaczkom chleb. Bluzka miała długie rękawy, a do niej Kai włożyła dzinsy. Dobrze się prezentowała od tyłu, ale raczej nie powinnam w tym momencie o tym mówić. „Hej, Birdwine, zerknij na moje geny. Mój tyłek za piętnaście lat też będzie tak dobrze wyglądał”.

– Kai zawsze mówiła, że kaczki to wredne sukinkoty – rzekłam. – A tu, proszę, karmi je chlebem.

Birdwine posłał mi spojrzenie wyrażające pytanie: „Serio? Rozmawiamy



teraz o kaczkach?”.

– One gryzą – kontynuowałam uparcie. Nie chciałam, żeby w samochodzie panowała cisza.

Chociaż nie powiedział tego wyraźnie, nie potrafiłam zapomnieć, że rok temu Birdwine był we mnie zakochany. Co on sobie wtedy myślał? Jeśli szukał miłości, to nie tędy droga. Ja byłam drogą naszpikowaną drutem kolczastym i dynamitem, a znaki ostrzegawcze mówiły: „Niczego tu dla ciebie nie ma”.

Zerknęłam na niego ukradkiem i zobaczyłam, że znowu przyciska palce do skroni. No tak. Birdwine był alkoholikiem; ciągnęło go do rzeczy, które nie były dla niego dobre. Rzeczy znacznie gorszych ode mnie. Ciągle wracał do czegoś, co mogło go zabić.

Jakby czytając w moich myślach, a przynajmniej widząc moje spojrzenie, oderwał palce od skroni. Odłożył dłoń na kierownicę.

– W weekend dostałem odznakę za osiem miesięcy.

– Gratuluję – odparłam, choć z jego strony było to ostrzeżenie, a nie przechwałki. Rzadko udawało mu się wytrzymać dłużej niż sześć miesięcy i z tego, co wiedziałam, nigdy nie wytrwał w abstynencji przez rok. Teraz nastał niebezpieczny okres.

– To już wszystkie zdjęcia? – zapytał, zmieniając temat.

Przejrzałam kolejne ujęcia Kai patrzącej, jak grube kaczki stają się jeszcze grubsze.

– Nie, na końcu jest papier fotograficzny. Notatki albo... – Urwałam, gdy zobaczyłam kolejne zdjęcie. Kai obejmowała na nim karmiącą kaczki dziewczynkę. Przyjrzałam im się lepiej. Zabrakło mi tchu.

– Co tam? – drażył Birdwine.

– O cholera. To jakiś żart?

Była to przysadzista biała dziewczynka, niemniej odcień jej skóry i szopa ciemnych włosów świadczyły o tym, że może zawdzięczać część genów Meksykowi. Spojrzałam na kolejne zdjęcie, tym razem zbliżenie. Stała wtulona w moją matkę i uśmiechała się, a jej oczy były intensywnie zielonymi półksiężycami. Nie potrzebowałam tego zbliżenia ani oczu, żeby wiedzieć. Zdążyłam już rozpoznać tę sylwetkę, te długie bocianie nogi, ten okrągły brzuch. W jej wieku wyglądałam identycznie.

– Gruba Grubcia – powiedziałam do Birdwine’a. Zabrzmiało to tak, jakbym się dusiła. Zdjęcia zrobiono osiem miesięcy temu. Za rok albo dwa lata jej ciało zacznie się zmieniać, tłuszcz z brzucha przesunie się powoli w bardziej odpowiednie miejsca. Cholera, ależ świetne geny miała moja matka.

– Zjeżdżam – oświadczył Birdwine i skręcił ostro na parking przed stacją benzynową.

Zgasił silnik, a ja wepchnęłam mu do rąk zdjęcie. Na jego twarzy malowała

się najpierw ciekawość, a potem pustka. Niczego nie byłam w stanie z niej wyczytać.

– Paula? – zapytał. – Co to za dzieciak?

– Nie wiem – odparłam, ale jednego byłam pewna. – To córka Kai. Spójrz tylko na nią. Wygląda na to, że moja matka wyciska z siebie dziecko za każdym razem, gdy mnie przy niej nie ma. – Grzebałam gorączkowo w teczce, rozrzucając zdjęcia i dokumenty, szukając imienia. Za to też odpowiadał Worth. – Podam tego faceta do sądu. Nie, zabiję go. Wracamy, muszę go zabić, natychmiast.

– Kim jest ta mała dziewczynka? – zastanawiał się z dziwną niecierpliwością w głosie Birdwine.

– To jest... Hana – odparłam. Spodziewałam się imienia w rodzaju Lakshmi, a może Dharma. – Hana May. – Kiedy wypowiedziałam to na głos, zrozumiałam źródło. To żeńska wersja Hanumana. Boga małpy, porywczego, ale tak bardzo lojalnego, że zawsze był ulubieńcem Kai. Czytałam dalej.

Wiek dziewięć lat, teraz więc mogła mieć już dziesięć. Ojciec nieznany, chociaż wiedziałam, że Kai ma chłopaka. Szokująca wiadomość.

Wszystko to znalazłam w spisie faktów sporządzonym przez Wortha. Ten dupek zebrał informacje w jeden dzień, umieścił w teczce, a potem wydzielał Julianowi, żeby móc zgarnąć więcej kasy.

– Gdzie ona jest? Gdzie? – mruczał pod nosem Birdwine, zerkając na kartkę ponad moim ramieniem. Wydawał się wstrząśnięty. Równie mocno jak ja. Stuknął palcem w środek kartki. – Tutaj. Adres.

Prawdziwy adres, nie skrytka pocztowa Kai: 1813 Bellman Avenue w Austin, lokal B, a więc to było mieszkanie. Widniał także numer telefonu. Sięgnęłam do torby po telefon, ale Birdwine okazał się szybszy – wyjął swój i zaczął wystukiwać cyferki.

Musiałam jeszcze raz przeczytać wiadomość od Kai. Zaczęłam grzebać w torbie, szukając koperty. Dlaczego miałam tyle szminek? Znalazłam ją na samym dnie.

*Nie, dziękuję. Pieniądze, które mam, wystarczą mi na resztę życia.*

*To był żart. Rak rozprzestrzenił się po całym ciele, zanim zdążyłam mrugnąć okiem, więc ta „reszta” będzie raczej krótka.*

Trzęsły mi się ręce. Zdjęcia zrobiono w listopadzie i Kai wyglądała dobrze. Nieco starszej niż na swój wiek, chudo, ale dobrze. Tę wiadomość otrzymałam w lutym: *Kilka tygodni, o ile szczęście mi dopisze.*

Ile szczęścia mogła mieć jedna kobieta? Minęło ponad dwadzieścia tygodni łączących się w miesiące. Musiała więc już nie żyć. Prawda? Wiedząc, jak mało zostało jej czasu, na pewno zadbała o przyszłość najmłodszego dziecka.

W ostatniej dekadzie Kai przeprowadzała się czternaście razy – na dowód miałam listę adresów skrytek pocztowych. Worth nie znalazł ojca Hany May i nie

wpisał jej nazwiska. Vauss? Przeczytałam, że matka mieszkała w Teksasie jako Kira Redmond. Czy Hana też nosiła nazwisko Redmond? Jak nazywała się teraz?

– Abonent niedostępny – rzekł Birdwine i rozłączył się. – Nie podano nowego numeru.

Jeszcze raz spojrzałam na wiadomość od matki. *Wybieram się w podróż, Kali. Wracam do swoich korzeni...*

Korzenie. To mogło znaczyć, że zabiera Hanę do swoich rodziców. Ale nie chciało mi się w to wierzyć. Mieli ponad siedemdziesiąt lat, o ile jeszcze żyli, i byli rasistowskimi dupkami. Wyrzekła się Juliana, żeby trzymać go z dala od nich; nie oddałyby im swojego trzeciego dziecka. Co więc było korzeniami, początkiem? Cholerna Kai i jej romans z mistycznymi, zagadkowymi bzdetami. Czasami poezja nie dawała odpowiedzi. Powiedziałabym nawet, że nigdy.

– *Śmierć to nie jest koniec. Ty będziesz końcem* – przeczytał Birdwine ponad moim ramieniem. – Miała na myśli to, że zabiera małą do ciebie?

– Jeśli tak, sfuszerowała to – odparłam. Byłam tak spięta, że wydawałam się wściekła. – Raczej zauważam, kiedy na moich kolanach ląduje sierota. Dowód: Julian.

– Ale pisze, że się z tobą spotka? – Birdwine pokazał palcem.

*Ponownie się spotkamy i przyjdzie czas na nowe opowieści.*

– To nie znaczy, że w obecnym życiu – wyjaśniłam i przeczytałam na głos ostatnie zdanie: – *Wiesz, jak działa karma.* Kai wierzyła w reinkarnację.

– Ale wiedziała, że umiera. Musiała mieć jakiś plan dotyczący dzieciaka.

– Mam nadzieję, ale... – Zawahałam się. – Kiedy u Kai zdiagnozowano raka, mieszkali w Austin od kilku miesięcy. Da się tak szybko znaleźć kogoś, komu się będzie bezbrzeżnie ufać? Kogoś, kto wychowa twoje dziecko? A jeśli...

Tego pytania nie można było dokończyć pozytywnie. „A jeśli” miało wiele potwornych ciągów dalszych. Wiedziałam, co się działo z młodymi dziewczętami, gdy traciły kotwicę i żyły na łasce świata. Te, którym dopisało szczęście, twardniały pod opieką zastępczą. Inne lądowały na kolanach wśród azalii. Tak czy inaczej ich dzieciństwo definitywnie się kończyło. I mówię o tych, które żyły. Pozostałe znikwały nad krawędzią planety, spadając ze świata w bezkresną ciemność. – Birdwine...

– Nie mów – przerwał mi. Trzy palce tak mocno dociskał do skroni, że skóra wokół nich zrobiła się biała. – Nie musisz.

Powiedział to tak, jakby wiedział, że zamierzam go błagać. A zamierzałam. Zamierzam go błagać i oświadczyć, że nie może potraktować znalezienia ciała Kai jako kolejnego punktu na liście rzeczy do zrobienia. Nie mógł wysyłać mi mejli zatytułowanych „Moje wyniki”. Nie mógł też przyssać się do najbliższej butelki. Nie chodziło teraz o mnie ani o niefortunne uczucie, jakim swego czasu mnie obdarzył, ani o moją dyskusyjną powściągliwość w niezdejmowaniu majtek. To

wszystko bzdety. Przy Hanie to są bzdety.

Wezbrała we mnie dzika fala emocji, zarazem nowych i potwornie znajomych. Moja rodzina to nie tylko ja. Nie czułam tego od niemal dwudziestu pięciu lat, odkąd posłałam Kai do więzienia. Nie czułam tego nawet w obecności Juliana, dorosłego faceta, który miał swoją drugą rodzinę. Tę falę wywołał fakt zdublowania mnie samej. Wiedziałam, jak to jest być zagubionym dzieckiem. Pochodziłam z tego samego plemienia.

Musiałam dopilnować, żeby moja młodsza siostra nie przynależała do niego.

– To coś, co potrafię naprawić – oświadczył z dziwną mocą Birdwine.

Sądziłam, że chodzi mu o nas, że chociaż nasz romans okazał się niewypałem, pomoże zapewnić bezpieczeństwo mojej siostrze. Ale gdy na niego spojrzałam, zobaczyłam, że spojrzenie utkwił w dali, a to, czego nie potrafił naprawić, nie ma nic wspólnego ze mną.

– Co masz na myśli? – zapytałam.

Zamrugnął, po czym przeniósł wzrok na Hanę.

– To, że ją znajdę – wypowiedział najpiękniejsze słowa w języku angielskim. Spojrzał na mnie i obdarował mnie nimi raz jeszcze. – Znajdę ją.



## Rozdział 6

*Ramajana* Kai dociera do mnie w dużej pomarańczowej kopercie z ćwiekiem na końcu. To tylko kilka kartek, więc spokojnie mogła je złożyć na pół i włożyć do mniejszej koperty. Na marginesach widnieją ilustracje, niekończące się szlaczki i spirale. Tego rodzaju koperta pochodzi z więziennej kantyny i trzeba do niej dokupić dodatkowe znaczki. Albo coś na nie wymieniła albo dostała dzięki uprzejmości Rhondy.

Siedzę z Joyą na moim wąskim łóżku, plecami opieramy się o ścianę i czytamy *Ramajanę*. Joya jest drobnokoścista i wielkooka i ma fryzurę z małych warkoczyków; wydaje się młodsza i słodsza, niż jest naprawdę. Wydaje się młodsza i słodsza ode mnie, mimo że chodzi do wyższej klasy. Siedzimy blisko siebie, więc możemy czytać jednocześnie. Zaczyna się tak:

*Jak żona węża zostaje wydarta ze swego domu i miłości prawdziwej,  
A szpony orla unoszą ją z dala od miejsc znanych jej sercu,  
Tak Sita jest zabrana od Ramy. W jej sercu rozpacz zamieszkała,  
Ale okowom nie udało się złamać jej woli.  
Odmówiła demonowi, który ją porwał, i pozostała w wierności –  
I choć zdarzyło się to dawno temu, dzieje się także teraz.*

Joya beknęła.

– Czemu mamy są takie ckliwe?

– Cholera wie.

Lubimy opowiadać sobie o tym, jakie są matki, bo obie nadal je mamy. Dlatego inne dziewczyny z domku nas nienawidzą, z wyjątkiem Candace, która jest zbyt dziwna i poplątana, by się połapać, że powinna. Joya i ja stanowimy jedno plemię. Mamy nawet nazwę; Candace mówi na nas Maciemamy.

– Dlaczego? – zapytałam ją, słysząc, że wypowiada to jako jedno słowo.

– Ba, dlatego, że obie macie mamy – odparła i wzdrygnęła się, jakby wypowiadając słowo „ba”, zasłużyła na policzek. Pewnie tam, gdzie kiedyś mieszkała, tak właśnie było. Ale ja się do niej uśmiecham. Podoba mi się to określenie: świadczy o tym, że należę do Kai i, razem z Joyą, do dwuosobowego plemienia.

Reszta poematu wygląda podobnie: jest pretensjonalna, czasem się rymuje, a Sita to oczywiście Kai. Chłopiek roztropek Dwayne to jej Rama. Sita-Kai to istna czara miłości, tak pełna, że ma miłosny menisk. Jest niezachwiana i wierna;

Rhonda nie pojawia się pod żadną postacią.

Na ostatniej stronie widnieje rysunek wykonany kolorowymi kredkami.

– Och, hej, niezłe – orzeka Joya.

To prawda. Rysunek jest znacznie lepszy od wiersza.

– Kai rysuje czasem dla kasy – wyjaśniam Joyi. – Rozstawia sztalugi w miejskim parku albo niedaleko jakiejś turystycznej atrakcji, gdzie przychodzi dużo ludzi. Rysuje ich chudszych, niż są, albo z mniejszym nosem, ubiera w stroje księżniczek albo astronautów. Kasuje dwadzieścia dolców za sztukę.

Na obrazku Sita siedzi na piętach na górze strony, uśmiechnięta i pogodna. Na kolanach ma mnóstwo kwiatów lotosu i tuli je do brzucha. Kai jest wyjątkowo dobra w rysowaniu twarzy i na wypadek, gdyby przekaz poematu okazał się niewystarczająco jasny, dała Sicie swoją twarz. Rama ma błękitną skórę pokazującą jego boską naturę, ale rysy Dwayne'a. Kai dorysowała nawet temu boskiemu księciu starożytnych Indii szopę loków w kolorze miodu.

– Mogę już wrócić? – pyta błagalnie Candace, która czeka za drzwiami.

Joya ją wyrzuciła, kiedy przyszedł list, więc ta czmychnęła do łazienki, żeby się wykąpać. Formalnie rzecz biorąc, ten pokój w połowie należy do niej, a mniej formalnie to boi się ona Joyi. Candace jest obecnie jedyną białą dziewczyną w naszym domku, w dodatku bardzo, ale to bardzo białą. Pochodzi z zachodniej części Georgii, jej cera jest mlecznobiała, a włosy mają kolor masła i są puszyste jak wata cukrowa. Tam, skąd pochodzi, czarni i biali się nie mieszają, dlatego dziwne, że przykleiła się do mnie. U mnie czerń miesza się z bielą, w moich żyłach płynie spora porcja krwi azjatyckiej i Bóg wie jakiej jeszcze.

– Spierdalaj, Candace! – odkrzykuje Joya.

– Odejdź od drzwi – mówię w tym samym czasie.

Demon Rawana jest narysowany w poprzek kartki, a jego krótkie robakowate ciało zapędziło Sitę do rogu. Każda z jego dziesięciu głów jest osadzona na długiej szyi i tworzą coś na kształt krat. Widać, że ta część demona Rawany odzwierciedla system więzienny stanu Georgia.

Największą część kartki zajmuje Rama. Skrada się w stronę Rawany z bułatem w ręce, gotowy zaatakować demona. W tym miejscu pnąca na marginesie obsypane są kwiatami, ale przyglądam się uważniej. Pośród roślinności najbliższej Ramy dostrzegam kilka spiczastych liści; jestem dzieckiem Kai, więc rozpoznaję ten kształt.

– Trawka – pokazuję Joyi.

Uważam to za zabawne, ale ona mruży oczy. Bierze ode mnie poemat i zaczyna czytać go od nowa.

– Myślisz, że przesyła mu wiadomość? O zarzutach za narkotyki albo...

– Nieee. To tylko żart.

– Mam nadzieję – odpowiada Joya. – Bo jeśli mówi mu, żeby zaczął się

zadawać z ludźmi od dragów, oni go zabiją. Zabiją go na amen.

Kręcę głową. Koledzy Dwayne'a na parkingach przed koncertami sprzedają kanapki z musztardą i kwas. Kradną w sklepach i obrabowują puste domy, jasne, że to dupki z tatuażami z pacyfą. Ale zabiliby kogoś jedynie przez przypadek, na przykład gdyby jechali pijani albo naćpani.

– Ci, którzy biorą crack, są inni niż ci, co popalają trawkę – mówię. Mama Joyi przed trafieniem na odwyk należała do tej pierwszej kategorii.

Joya prycha.

– Nie ma czegoś takiego jak baron narkotykowy w wersji light.

– Nie ma tu żadnej sekretnej wiadomości o dragach – mówię, jeszcze raz czytając poemat. Nie chcę go wysłać, ale nie dlatego, że boję się hipisów. Jest taki ckliwy – czy Kai rzeczywiście tak mocno zakochała się w Dwayne'ie? Owszem, był miły, ale tak naprawdę mieszkaliśmy w busie, a ona skumała się z nim po części dlatego, że noce zaczynały się robić coraz dłuższe i zimniejsze.

Joya błędnie interpretuje moje milczenie.

– I tak nie możesz tego wysłać. A jeśli się kapną, że Kai za twoim pośrednictwem kontaktuje się z Dwayne'em? Cholera, nie ty za to bekniesz. Wszystko będzie na twoją mamę. OPR jak nic.

To skrót dla odebrania praw rodzicielskich. Głos Joyi drży, gdy go wypowiada.

– Mogę już wejść? – wołała Candace zza drzwi, głośniejsze i coraz bardziej błagalnie.

– Joł, jeśli chcesz, żebym skopała ci tyłek – odkrzykuje Joya. – Zabieraj go z powrotem do kibla.

Mówi to naprawdę „po czarnemu”, szturchając mnie łokciem. Tłumię śmiech. Rozmawia w taki sposób z innymi czarnymi dzieciakami, ale czasami lubi postraszyć Candace, która wtedy niemal sika w majtki.

Po drugiej stronie drzwi zapada cisza.

– Ona nie poszła – szepczę. Udaję Candace, zaciskając usta w cienką linię i przykładając ucho do niewidzialnych drzwi.

– Mam ją załatwić? Ukręcę jej łeb jak krewetce.

To nie jest czcza pogróżka. Kiedy Joya tu przyjechała, dwie pozostałe dziewczyny z naszego domku próbowały się na niej wyżywać. Shar i Karice zasadziły się na nią w świetlicy, uśmiechając się nieprzyjemnie, gotowe nauczyć ją tutejszej hierarchii. Spodziewały się, że się skuli, rozplacze i bez słowa przyjmie cios albo dwa. Była jedna, a one dwie, była taka drobna i urocza. Błąd. Joya rzuciła się na Shar i złapała za jej kolczyki w kształcie kół. Pociągnęła za nie tak, że rozerwała jej uszy. Kiedy Shar z wrzaskiem upadła na podłogę, Joya rzuciła się na Karice i ugryzła ją w twarz, a potem zaczęła okładać pięściami, aż ta skuliła się w kłębek. Joya wstała, bez ani jednego zadrapania, i gdy dokładnie w tej chwili

nadbiegła pani Mack, oświadczyła, że Shar i Karice się biły. Patrzyła przy tym na krwawiące dziewczyny, czekając, czy zaprzeczą jej wersji. Nie zaprzeczyły.

– Candace nie jest warta tego, żeby narobić sobie kłopotów – mówię, po czym wołam: – Jeszcze chwileczkę!

Wstaję i wyjmuję spod łóżka swój żołnierski kuferek. To jedyna należąca do mnie rzecz, którą można zamknąć – co nie znaczy, aby to powstrzymywało Candace. Otwieram go i zaczynam wyciągać zdjęcia, kolczyki z pawimi piórami, fragment grzywy z nanizanymi na nią koralikami, który obcięłam wielkiemu wałachowi Hervégo. Chcę, by *Ramajana* leżała płasko na dnie, żeby się nie pogniotła.

– Heeeej! Stoję tu w samym ręczniku! – jęczy Candace.

Ostrożnie wkładam wszystko z powrotem do środka, a potem ją wpuszczam. Przez kilka następnych nocy czuję obecność tego wiersza za każdym razem, gdy próbuję zasnąć. Jakbym czemuś żywemu i niebezpiecznemu pozwalała poruszać się pod moim łóżkiem. Przewracam się z boku na bok i mam problem z zaśnięciem. Straciłam też apetyt. Powinnam spalić *Ramajanę*, ale tego nie robię. Kai poprosiła mnie, abym ją wysłała, tego jednak również nie robię. Powstrzymuje mnie drżenie w głosie Joyi, gdy wypowiada skrót OPR.

W noc poprzedzającą kolejny wyznaczony przez sąd telefon od mojej matki w ogóle nie jestem w stanie zasnąć. Tuż za oknem stoi latarnia i odnoszę wrażenie, że to światło szperacza. Mogłabym powiedzieć Kai, że wiersz nie dotarł. Mogłabym wymyślić, że dorwał go pies. Mogłabym zrzucić winę na Candace. Przez telefon dałabym sobie radę, ale co będzie, gdy w końcu ona po mnie przyjedzie? Jak większość pierwszorzędných kłamców Kai miała nosa do prawdy. Nie udałoby mi się kłamać, patrząc jej prosto w twarz.

Słyszę, jak trzeszczy łóżko Candace, jakby samo pomyślenie jej imienia wystarczyło, by ją przywołać.

Moje łóżko zbyt jest pełne niepokoju, żeby znalazło się w nim miejsce dla Candace. Przesuwam się na jego skraj.

Kłamstwo nie rozwiąże sprawy. Jeśli powiem Kai, że wiersz zaginął albo został zniszczony, może go na nowo napisać i raz jeszcze wysłać.

Candace czai się przy łóżku, a ja naciągam na głowę koc.

– Mogę wejść? – pyta szeptem, jakby koc nie stanowił wystarczającej odpowiedzi.

– Spadaj na drzewo, Candace – mówię nieprzyjemnym tonem, ale ona jest na to impregnowana. Jej gąbczaste ciało jest w stanie zaabsorbować ponadludzkie ilości złościwości.

– Mam lizalki – nęci.

„Lizalki” to określenie wsioków z Południa na moje ulubione słodczyce. Wychylam głowę spod koca, żeby się przekonać, czy rzeczywiście je ma. Pokazuje



mi małe paczuszki. Brakuje limonkowych, ale są wiśniowe i winogronowe.

– Skąd je masz?

– Od Jeremy’ego.

Jeremy jest pryszczatym licealistą, który mieszka w jednym z domków dla chłopców. Ma nieustanny wzwód i martwe spojrzenie.

– Fuj, pewnie są na nich soki tego zboka – mówię. Nigdy nie dałby jej słodczy, chyba że coś dla niego zrobiła. Albo jemu. Mam ochotę uszczypnąć Candace tak mocno, jak się da, jednak zamiast tego oświadczam: – Jesteś wstrętna.

Candace zadziornie zakłada puszące się włosy za uszy i zmienia temat.

– Uważam, że wiersz twojej mamy jest naprawdę dobry. Bardzo romantyczny.

Szybko siadam i rzeczywiście ją szczypię.

– Ręce precz od moich rzeczy! – Przyjmuje uszczypnięcie i czeka na kolejne. Przyjmie je i dalej będzie czekać pogodzona z tym, co się dopiero stanie. – Jak złamałaś mój szyfr?

Ignoruje to pytanie.

– Wiem, w jaki sposób możesz przesłać ten wiersz Dwayne’owi, żeby twoja mama nie narobiła sobie kłopotów.

– I przestań podsłuchiwać – burczę. Pociągam z wściekłością nosem. Myszkowanie Candace nie zna granic. Ale teraz jest w posiadaniu dwóch rzeczy, których pragnę. Przesuwam się, żeby zrobić jej miejsce. – Dawaj wiśniowe.

Siedzimy wsparte o cienkie poduszki, liżąc białe wiosła i zanurzając je w paczuszkach kolorowego cukru. Staram się zachować dystans między nami. Candace nie jest lojalna. Obrabia mi tyłek z białymi dziewczynami z liceum. Ale nocami jest niczym pnące z marginesów Kai. Wije się i oplata, aż w końcu mnie dusi. Muszę ją ciągle od siebie odklejać, inaczej zaczną wyrastać mi z nosa.

Patrzy na mnie znad cukierka, a na jej twarzy błąka się przebiegły uśmiech. Czeka. Jej usta są pełne cukru i pomysłów.

– Jak? – pytam w końcu.

– Powiem ci na ucho. – Candace wie, jak wykorzystać to *quid pro quo*.

Zaciskam usta, ale nie ruszam się, gdy przysuwa się tych kilka dzielących nas centymetrów. W jej oddechu czuję sztuczne winogrona.

– Napisz do niego długi, nudny list, na przykład o tym, co oglądałaś w telewizji, i napisz dużo o tym, jak pracujesz nad wierszem do szkolnego projektu. Potem przepisz ten wiersz.

– Mmm – mówię lekko, nieco się odsuwając.

Candace kładzie mi głowę na ramieniu, aż w ciało wbija mi się jej spiczasty podbródek.

– Jeśli to będzie twoje pismo i jeśli spalisz oryginał, nikt nie dojdzie, że to dzieło twojej mamy.

A niech mnie, dobry pomysł. Czasem zapominam, jak przebiegła potrafi być Candace. Jestem teraz jej dłużniczką, nie wykopuję jej więc z łóżka, gdy słodczy się kończą. Odwracam się plecami, a ona przytula się do nich. Nie mijają dwie minuty, a śpi twardo jak kamień.

W swoim łóżku nigdy tak nie sypia. Płacze, rzuca się i krzyczy: „Nie, nie, nie” i „Nie chcę”. Kiedy to słyszę, czuję mdłości. Ciekawe, czy ja też tak żałośnie płaczę przez sen. Mam własne nocne koszmary, podczas których dzwonię pod dziewięćset jedenaście.

„Co się stało? Nagły wypadek?” – pyta we śnie operatorka i widzę, jak radiowozy krążą wokół Dandy Mart, są ich całe setki, prześlizgują się szybko jak długi rząd czarnych karaluchów. „Żaden! Żaden!” – wołam, ale jest już za późno. Widzę za kępami kudzu czerwone światło, jakby paliło się w kominku. Słyszę, jak moja matka krzyczy, i to zawsze mnie budzi. Nigdy, nawet w snach, nie byłam w stanie powtórzyć tego, co powiedziałam operatorce.

Teraz Candace śpi tak mocno, że głowa jej się poci jak u niemowlęcia. Czuję, że moczy mi T-shirt. Długo nie mogę zasnąć, przytulona do ściany w łóżku, w którym jest pełno rozsypanego cukru.

Do rana podejmuję decyzję. Udaję się do pani Mack i wyciskam z oczu kilka łez. Jestem dzieckiem Kai i wiem, że należy zacząć od prawdy:

– Zawsze nazywał mnie Wyszczekany Kucykiem i pomagał mi w matmie.  
– Prawdziwe fragmenty stanowią fundament, dzięki któremu kłamstwo jest sztywne i silne. – Wiem, że to nie jest mój prawdziwy ojciec, ale to jedyny tata, jakiego znam. – A potem, na szczycie tej struktury, ustawiam to, na czym mi zależy: – Gdybym tylko mogła do niego napisać. Chcę wiedzieć, że u niego wszystko okej.

Pani Mack zdobywa dla mnie jego adres, daje mi nawet znaczki. To była łatwizna.

Realizuję plan Candace, to znaczy wysyłam Dwayne’owi długi, nudny list łącznie z wierszem, który, jak twierdzą, piszę w ramach szkolnego projektu. Nie mogę wysłać rysunków. Brakuje mi talentu, żebym mogła je odtworzyć, a oryginał zbyt łatwo zaprowadziłby do Kai. Nie będę ryzykować OPR-u. Dwayne i tak będzie wiedział, że wiersz jest od niej. Na okrągło opowiadała historie z *Ramajany*, no i wiersz jest napisany w jej stylu.

Najbezpieczniej byłoby zniszczyć oryginał, ale to moja matka napisała ten wiersz i dorysowała Sicie swoją znajomą, nieobecną twarz. Ukrywam go na samym dnie kufereka i zmieniam szyfr. Po raz kolejny. Co nie znaczy, aby to w jakikolwiek sposób utrudniło Candace dostęp do niego. Nie potrafię pojąć, jak jej się udaje włamywać.

Rozwiązałam tę zagadkę dwie dekady później, kiedy wyjęłam *Ramajanę* Kai dla Juliana. Zdjęłam kuferek z najwyższej półki w szafie, po czym dotarło do mnie,

że nie pamiętam szyfru. Do diaska, nie pamiętałam nawet, kiedy ostatnio go otwierałam. Spróbowałam z datą swoich urodzin, datą śmierci Jimiego Hendrixa i moim dawnym kodem pocztowym. Tak się wkurzyłam, że uderzyłam w kłódkę, a potem pociągnęłam ją ze złością w bok.

Tania kłódka otworzyła mi się w dłoniach. Przez chwilę wpatrywałam się w nią z niemądrym wyrazem twarzy, a potem wybuchłam śmiechem. Zamknęłam kłódkę, po czym ponownie pociągnęłam, starając się zrobić to pod tym samym kątem. Zajęło mi to mniej niż minutę. Cholerna Candace. Zastanawiałyśmy się z Joyą, czy to dzięki swoim wielkim uszom wszystko słyszy, czy może w innym życiu była międzynarodową złodziejką biżuterii. Mogłam zmienić szyfr na liczbę Pi, a ona i tak do woli grzebałaby w moim kufierku.

Teraz ilustrowana *Ramajana* Kai leżała na stole w kuchni obok innych pamiątek z czasów mojego dzieciństwa, a Julian właśnie do mnie jechał. Zniknęły warkoczyki z końskiej grzywy, ale całą resztę wyeksponowałam, jakby to było minimuzeum reliktyw po mojej matce. Ekspонатów było żałośnie mało, ale nie powstrzymało mnie to przed dziewięciokrotnym ułożeniem ich na nowo. Julian spóźnił się już ponad dwadzieścia minut.

Jeśli się pojawi, będzie to nasze pierwsze spotkanie twarzą w twarz od fatalnego poznania się w mojej kancelarii, kiedy ja zaczęłam świrować, a Birdwine mu groził. Kontaktowaliśmy się przez Facebook. Opowiedziałam mu, jak wyciągnęliśmy jego akta od Wortha, to znaczy przedstawiłam mu wersję ocenzurowaną. Tak ocenzurowaną, jakby to była powieść przerobiona na haiku, ale przesłałam mu zeskanowane zdjęcia Hany z naszą matką nad stawem. Odpisał: *Łał. A godzinę później: Sporo do przetrawienia.*

No naprawdę.

Te interakcje nie okazały się wystarczające, bym poczuła, że go znam.

Dzisiaj rano napisał: *Wciąż oglądam zdjęcia Hany. Co powinniśmy zrobić?*

Odpisałam: *Dałam Birdwine'owi bilet na samolot do Austin, swoją kartę kredytową i wolną rękę. Znajdzie ją.*

*Jest teraz w Austin? Jak mogę pomóc?* – naciskał Julian, więc powiedziałam mu wszystko, co wiem. Nie było tego dużo.

Birdwine zameldował się wczoraj, gdy zaszedł do malutkiego mieszkania Kai na Bellman Avenue. Jej chłopak Dave Tolliver nadal tam mieszkał. Myślał, że Kai nazywa się Redmond i że dziewczynka to Hannah Redmond. Dziewiętnastego lutego, kiedy był w pracy, Kai i Hana zapakowały większość swoich rzeczy do jego starego kombi i zniknęły.

To była klasyka postępowania Kai. Porzuciła wszystko, co nie zmieściło się do auta. Kazałam Birdwine'owi zapłacić Tolliverowi za samochód – wart był tylko z tysiąc dwieście dolarów. W zamian Tolliver dał Birdwine'owi wszystko, co zostawiła. W piwnicy trzymał cztery duże kartony, wypełnione głównie książkami,

listami i zdjęciami, na wypadek, gdyby Kai zdecydowała się wrócić. Birdwine przejrzał wszystko dokładnie, wyczytując prawdę z karteczek od lekarza, pustych fiolek po lekarstwach, napisanych odręcznie liścików, fotografii, niezapłaconych rachunków i, co było najgorsze, z broszurki poświęconej rakowi. Staralam się nie myśleć o tym, że jakiś nieznajomy w białym kitlu wręcza Kai złożoną na trzy błyszczącą ulotkę o tym, co ją zabija.

Zamiast tego powiedziałam:

– Kiedy się tak zmywałyśmy, czasami chodziło o innego mężczyznę.

– Może nie tym razem – odparł Birdwine. – Jest kiepsko. Jak wiele szczegółów chcesz znać?

– Trzymaj się suchych faktów, jakby to była każda inna sprawa – rzekłam. Na samą myśl o broszurce poświęconej rakowi – że też istniało coś takiego – robiło mi się słabo.

W telefonie zapadła przez chwilę cisza, w końcu Birdwine odezwał się:

– Ale to nie jest in...

– Proszę – przerwałam mu. Te dwie sylaby zabrzmiały ostro niczym wystrzał z pistoletu. – Suche fakty, Birdwine.

– W porządku. No więc tak. Rak pojawia się w płucach. Od lat cierpi na rozedmę płuc, a kiedy się orientuje, że to coś więcej, wszędzie są przerzuty. – Birdwine wpadł w swój rytm. Wiedziała, że kręci palcami młynka. Ton głosu miał rzeczowy, niemal beznamiętny, tak jak chciałam. – Wątroba, kości, mózg. Zaczyna mieć delirium, urojenia. Proces decyzyjny ma upośledzony. Przyjmuje silne leki, dziwnie się zachowuje i ktoś wzywa opiekę społeczną. Dave twierdzi, że to nie on, i ja mu wierzę. Nieźle się durzył w Kai, nie złożył nawet doniesienia o kradzieży samochodu. Mógł to być ktoś z grupy szkolnej, w której bywała Hana. Nie sądzę, by chodziło o innego mężczyznę. Dały drapak, bo nastraszyła ją opieka społeczna.

Im dłużej mówił, tym szybciej biło mi serce, a w płucach zaczęłam czuć dziwną lepkość. Jego słowa zmieniły sens zdania w nawiasie napisanego w poprzek czeku: (*Oczywiście nie chcę, żebyś tu przyjeżdżała*). Sądziłam, że Kai nie chce mnie widzieć, ale podróż, o której wspomniała na początku, rozumiała dosłownie. Być może nie kazała mi do siebie jechać dlatego tylko, że bym jej nie zastała.

– Kai wiedziała, że umiera – odezwałam się. – Nie wyruszyła przecież na pielgrzymkę do miejsca, gdzie zobaczy największy kłębek włóczki na świecie. Musiała mieć jakiś plan dla Hany.

– Tak, ale jaki? Na pewno nie taki, który spotkałby się z aprobatą opieki społecznej.

Nie miałam pojęcia. Teraz, gdy wiedziałam, że była otępiała i na silnych lekach, wiadomość od niej nie wydawała mi się już przesiąknięta hipisowskim

mistycyzmem, lecz niebezpiecznym połączeniem przerażenia i szaleństwa.

– No więc co dalej? – zapytałam.

– Mogę spróbować pogadać z matkami z grupy szkolnej i opieką społeczną, dostałem też od Dave’a kilka nazwisk. Mam twoją listę adresów skrzytek pocztowych, więc wiem, gdzie mieszkała wcześniej. Dave podał mi numer rejestracyjny samochodu, więc może tak uda mi się ją namierzyć. Przychodzi ci do głowy coś jeszcze?

Nie przychodziło. Nie po ponad piętnastu latach opowieści z drugiej ręki i milczenia.

– Birdwine – zaczęłam i urwałam. W moim gardle utknęły dwa słowa pulsujące w rytm bicia mojego serca: „znajdź ją, znajdź ją, znajdź ją”.

– Zrozumiałem – odparł cicho, spokojnie, śmiertelnie poważnie.

Wyczuł niecierpliwe bicie mojego serca, jakby dręczyło go to tak jak mnie. W poszukiwaniu zaangażował się, jakby dotyczyły jego samego. Być może napędzała go własna motywacja, ale byłam mu zbyt służalczo wdzięczna, by zadawać pytania. Brałam po prostu to, co mi dawał, a teraz uzbrajałam się na najgorszą część: czekanie.

Byłam beznadziejna w czekaniu, nie miałam jednak wyboru. Hana zniknęła w czeluściach świata Kai. Wychowałam się w nim. Nazwiska, relacje i tożsamości były płynne. Przestrzeganie prawa nie było konieczne. Nie było siatek asekuracyjnych. Nie było nic, co mogło mnie złapać, gdy Kai trafiła do więzienia. Zniknęła, chora i odurzona lekami, a Hana mogła wylądować w każdym miejscu na terenie kraju. Kai niemal na pewno już nie żyła. Moja siostra mogła być teraz wszędzie.

Rozległ się dźwięk domofonu i aż podskoczyłam. Julian spóźnił się pół godziny. Wstukałam kod, żeby wpuścić go do budynku, po czym zaczęłam przemierzać tam i z powrotem odcinek drzwi – kuchnia. Moje obcasy wystukiwały tak nerwowy rytm, że leżący na sofie Henry uniósł z niezadowolaniem głowę, zastanawiając się, skąd te wibracje. Kiedy po raz kolejny go minęłam, położył po sobie niespokojnie uszy i czmychnął do pralni. Miał kryjówkę za suszarką.

Dotarcie na moje piętro zabrało Julianowi tyle czasu, że chyba szedł schodami. Może umarł po drodze i już nigdy go nie zobaczę. Obecnie był to motyw przewodni naszej puli genów. Podeszłam do drzwi i otworzyłam je.

Stał w progu. Był wyższy ode mnie, ale dzięki moim obcasom twarze mieliśmy na tym samym poziomie. Otworzył szeroko oczy i spłoszył się jak jelen. Uniósł ręce. Jeśli stał tam i przekonywał samego siebie, żeby zapukać, trochę się spóźnił.

– Cześć – odezwał się.

– Cześć – odparłam. – Chciałeś wejść? Albo zapukać? Albo...? – Miał to być żart, ale gdy się denerwowałam, ton mojego głosu stawał się wojowniczy.

– Aha – rzekł, ale nie zrobił żadnego ruchu, żeby wejść do środka. Przełknął głośno ślinę i potarł dłonią policzek, jak Birdwine walczący z pokusą. – Najpierw muszę coś powiedzieć. Stałem przed drzwiami i próbowałem zdecydować, jak mam cię przeprosić za to, co się stało podczas naszego pierwszego spotkania. Szybciej powinienem był się zorientować, że jesteś moją siostrą. – Słowa wypływały z jego ust, jakby był studentem pierwszego roku prawa fuszerującym swoją pierwszą przeciwionową mowę przed udawaną ławą przysięgłych. – Ale myślałem... to znaczy zakładałem... ale nie dlatego, że jestem...

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Ćwiczyłem to całą drogę, a potem siedziałem w samochodzie, pocąc się i powtarzając, ale i tak to partaczę, co? – Wziął się w garść, po czym spojrzał mi w oczy. – Próbuję ci powiedzieć, że nie jestem rasistą.

Zbił mnie z tropu. Zupełnie zapomniałam o tamtej niezręcznej chwili; Julian zakładał, że jego siostra będzie biała, tak jak on. Bez wątpienia zadrećzał się tym, a teraz emanował tak autentyczną szczerością, że było to zarazem słodkie i niepokojące.

– Ciesz się mnie to – skwitowałam, chcąc zamknąć ten temat.

Najwyraźniej odebrał to jako sarkazm, gdyż jego twarz poróżowiała.

– Ale ja mówię prawdę. Nie jest dla mnie ważne, że jesteś... – Nie wiedział, jak dokończyć zdanie, i zamotał się. Szczerze mówiąc, nikt nigdy nie wiedział. W końcu rzekł: – ...jaka jesteś. – Zdusiłam w sobie śmiech, który był teraz zupełnie nie na miejscu. Nie miałam pewności, co robi moja twarz, ale chyba nie wyglądało to dobrze, bo Julian nawijał: – Moi rodzice nie byli tacy. W żadnym razie. – Głos miał coraz wyższy. – Rozumiem, dlaczego możesz tak myśleć, bo chodziłem do Berry College, a to uczelnia WASP-ów, wiem, ale miałem tam czarnoskórą dziewczynę i to nie było...

– Moja ostatnia dziewczyna też była czarna – wtrąciłam, żeby powstrzymać jego potok słów. Udało się. Zamarł.

– Och, przepraszam. Myślałem... – Urwał i przełknął ślinę. – Nie wiedziałem, że jesteś lesbijką.

– Nie jestem – odparłam, a potem zaczęłam się śmiać. Nie mogłam się powstrzymać. – Stroję sobie z ciebie żarty.

Jego oczy stały się jeszcze większe.

– Homofobem też nie jestem! – wyrzucił z siebie. Wyglądało na to, że zaraz się rozpłaczę. Co ze mną było nie tak?

– Przepraszam, to nie jest śmieszne – powiedziałam, mimo że na mojej twarzy nadal widniał uśmiech. – Ja tylko... popatrz na mój strój.

Jego spojrzenie przesunęło się na moją marynarkę, by po chwili wrócić na twarz. Był wyraźnie skonsternowany.

– To, eee, bardzo ładny strój.

– Wiem – odparłam. Ubrałam się, jakbym się wybierała na wyjątkowo krwawe składanie zeznań. Wysuszyłam włosy, a usta pomalowałam matową szminką. – Dla ciebie włożyłam strój pierwszorzędnej suki. Spójrz na moje buty. Jedyne słowo, jakie pasuje do takich wysokich obcasów, to „bezwzględność”. A ty się denerwujesz, co wcale nam nie pomaga. – Odwróciłam się, zrzuciłam buty i stanęłam przed nim boso.

Dotarło do mnie, że ja się wcale nie denerwowałam. Ten chłopak dźwigał ciężar największego niespłaconego długu w moim życiu i bardzo się go bałam. Nie zauważyłam tego wcześniej, gdyż strach nie był zazwyczaj moim *modus operandi*. Ale ubrałam się tak, jakbym miała stanąć do walki z potworami. Ułożyłam nawet nasze wspólne dziedzictwo w równych rzędach, jak prokurator dowody. Teraz, gdy Julian drżał na korytarzu, trochę się uspokoiłam, jak dama, gdy sobie uświadomi, że mały ogrodowy wąż pewnie bardziej boi się jej niż ona jego. Może.

– Zacznijmy jeszcze raz, dobrze? – zaproponowałam. Zdjęłam marynarkę i położyłam ją na stoliku obok drzwi. Wężę ogrodowe umiały zachowywać się czarująco, jeśli dało im się chwilę i odpowiednio ugościło. To było zwykłe spotkanie. Musiałam jedynie wy badać, czego on chce, a potem mu to dać. Nie różniło się to zbyt od mojej pracy, w której – pomijając sześć ostatnich miesięcy – byłam bardzo dobra. – Po pierwsze, nie uważam cię za rasistę ani homofoba. Na razie w ogóle cię nie znam. Wejdz więc i to zmienimy. – Odsunęłam się na bok i gestem zaprosiłam go do środka.

– Dzięki – odparł. Brwi miał nadal ściągnięte, ale nie wyglądał już, jakby miał zaraz puścić pawia. Wszedł z wahaniem, po czym znieruchomiał, kiedy zobaczył szklaną ścianę. – Wow. Ale widok! – Rozejrzał się, omiatając spojrzeniem wysokie sufity, białe ściany i proste linie mebli stanowiących tło dla abstrakcyjnych obrazów w intensywnych kolorach, które bardzo lubiłam. – Masz bardzo ładne mieszkanie.

Tymczasem ja przyglądałam się jemu. Miał wystarczająco wiele znajomych cech, abym doznała *déjà vu*: oczy mojej matki, wysokie czoło i długie kości. Miał nawet jaśniejszą, bardziej owłosioną wersję moich dłoni z długimi palcami. Było to niepokojące.

Spojrzałam mu w oczy i przekonałam się, że on z równym napięciem przygląda się mnie. Oblał się rumieńcem i pokręcił głową.

– Och, przepraszam. Strasznie to dziwne. Mamy prawie takie same nosy.

Miał rację, choć zwróciłam na to uwagę dopiero teraz, gdy o tym wspomniał.

– Dziwne jak cholera – przyznałam, ponieważ takie właśnie odnosiłam wrażenie, mimo że takie są przecież prawa biologii.

Kolejna niezręczna chwila milczenia. W końcu zapytał:

– Jakieś nowe wieści od... zapomniałem, jak się nazywa. Od tego straszego faceta, którego wysłałaś do Teksasu?

– Birdwine’a. Na razie nie. Ale on ją znajdzie – powiedziałam szybko, po czym zmieniłam temat. – Skoro mowa o prywatnych detektywach, to gdy odwiedziliśmy tego, którego wynająłeś, kazałam mu przemyśleć życiowe wybory. Zwrócił ci pieniądze.

Czek Wortha czekał w kieszeni mojej spódnicy. Wyjęłam go teraz i podałam Julianowi.

Kiedy zobaczył, jaka widnieje na nim kwota, jego oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

– To więcej niż...

Machnęłam ręką.

– Uznaj to za odszkodowanie. Gdybym uważała, że go na to stać, zaciągnęłabym jego dupsko do sądu i kazała mu zapłacić jeszcze więcej.

Wpatrywał się w czek z zaciśniętymi ustami. W końcu powiedział:

– Nie masz pojęcia, ile to dla mnie znaczy. Naprawdę. Kiedy mama zachorowała... – Urwał i pokręcił głową.

– Nie ma sprawy – rzekłam. Birdwine nie mylił się co do jego finansów; to spotkanie, którym tak bardzo się denerwowałam, mogło mieć bardzo proste zakończenie.

Zaczął chować czek do portfela, lecz nagle znieruchomiał.

– Och, przepraszam, ale czek jest na moje nazwisko. Mam ci coś zapłacić? No bo przecież tam pojechałaś i mnie reprezentowałaś.

A więc to było na tyle, jeśli chodzi o proste zakończenie. Potrzebował każdego dolara, zwłaszcza jeśli chciał dokończyć studia. Mimo to stał pośrodku mojego loftu za pół miliona dolarów, wpatrując się w białą sofę wartą więcej, niż wynosiła kwota na czeku Wortha, a którą kupiłam, aby pasowała do mojego kota, i oferował mi prowizję. Jeśli ten chłopak grał, to był wirtuozem.

– Dostałeś stawkę przewidzianą dla przyjaciół i rodziny – wyjaśniłam. Uśmiechnął się, kiedy usłyszał słowo „rodzina”; a niech to, chyba go polubiłam. Nie czułam się komfortowo z tym, że lubię chłopaka, wobec którego mam dług, chłopaka, który miał męskie wersje mojego nosa i moich dłoni. – Napijesz się kawy? Coli albo czegoś innego? – Sama chętnie napiłabym się piwa, bo stało się jasne, że jakkolwiek zakończy się ta sprawa, na pewno nie stanie się to dzisiaj.

– Poproszę colę.

Udał się za mną do kuchni i zatrzymał, gdy dostrzegł wszystkie wyłożone przeze mnie na stole rzeczy.

– Och, łał. – Wziął do ręki *Ramajanę* Kai, tę część zilustrowaną, i spojrzał na Sitę. – Ona to narysowała?

– Aha. To autoportret – powiedziałam, podchodząc do lodówki. – Ten niebieski koleś z bułatem to jeden z jej dawnych chłopaków. Z moich wyliczeń wynika, że może być twoim tatą.



Julian nachylił się nad rysunkiem.

– Cóż, jeśli to prawda, nie odziedziczyłem po nim koloru skóry.

Otworzyłam dwie kole i usiadłam obok niego.

– Trafił do więzienia za narkotyki. Kai kazała mi przesłać mu kopię tego wiersza, a jeśli spojrzysz tutaj i tutaj... – Przerzuciłam kartki, pokazując mu wers, który brzmiał: *Brzuch Sity, jak księżyc pełny miłości*, i jeszcze jeden: *Sita rosła, a miłość z każdym kolejnym księżycem była coraz większa*. – Do tego na rysunku Kai ma kolana pełne kwiatów lotosu. Widzisz, jak je trzyma? Jej dłonie? To, jak stykają się kciuki? To symbol płodności. Przekazywała Dwayne'owi, że jest w ciąży.

Joya podejrzewała, że ten poemat jest szyfrem. Oczywiście, że był; Kai nie ryzykowałaby OPR, wysyłając chłopakowi list miłosny.

– A niech to – mruknął Julian. – Czemu to zrobiła?

– Nie wiem – odparłam. – Prawo adopcyjne w Georgii jest skomplikowane, a kiedy wysłała wiersz, Dwayne'a nie uznawano za twojego ojca. Myślę, a raczej zgaduję, że nie chciała go wskazywać jako ojca i przyznawać mu praw rodzicielskich. Chyba że Dwayne wykombinowałby jakiś świetny plan. Kiedy mi to przysłała, była mniej więcej w połowie ciąży. O ile pamiętam i jak wynika z dat na dokumentach adopcyjnych, zaledwie kilka tygodni później wybrała Bouchardów i zgodziła się na adopcję. Może miała nadzieję, że Dwayne'owi przyjdzie do głowy jakieś cudowne rozwiązanie? W wierszu Rama ratuje Sitę, zjawia się z armią i jeszcze jednym bogiem, Hanumanem, i ją uwalnia. Myślę, że tak naprawdę nie chciała cię oddawać.

Julian trawił chwilę moje słowa, po czym zapytał:

– Naprawdę myślisz, że ten facet był moim biologicznym tatą?

Wzruszyłam ramionami.

– Nie wiem. Myślę, że interesom Kai służyło powiedzenie mu, że nim jest, na wypadek gdyby mógł jej jakoś pomóc. Możesz to zbadać, jeśli chcesz. Tylko wynajmij lepszego detektywa niż Worth. Mogę ci powiedzieć tylko tyle, że wysłałam mu wiersz Kai, ale nie otrzymałam żadnej odpowiedzi.

Siedzieliśmy w ciszy, która z jego strony była dziwnie tęskna, z mojej niezręczna. Kai poszła do więzienia przepelniona szczęściem, a wyszła z niego pusta. Emanowała poczuciem straty. Jej spojrzenie było pozbawione wyrazu i odległe. Oddawałam się szaleństwu z chłopakami, picciu piwa i drobnym przestępstwom, próbując zwrócić na siebie jej uwagę. Gotowa byłam zrobić wszystko, żeby ją obudzić, żeby znowu jej wzrok skupiał się na mnie.

Nie miałam pojęcia, jak wiele ją kosztowałam, dopóki w mojej kancelarii nie zjawił się chłopiec o imieniu Ganesha.

Julian odłożył rysunek i sięgnął po zdjęcia. Patrzyłam mu przez ramię i odgrywałam rolę narratora. Pokazałam mu nastoletnią Kai pozującą

w towarzystwie innych hipisów, parterowy dom na obrzeżach Dothan, gdzie wychowała się pod opieką naszych wspólnych zgorzkniałych dziadków. Następnie powiodłam go przez serię zdjęć dokumentujących nasze cygańskie życie po wyjeździe z Alabamy.

– Masz jakieś zdjęcie tego faceta, któremu wysłała wiersz? – zapytał.

Nie miałam. Uświadomiłam sobie, że nie mam żadnych zdjęć chłopaków Kai. Nie w sensie bezpośrednim. Na fotografiach, które zdecydowałam się zachować, byli obecni jedynie jako obiekty w tle. Oto Kai zwijająca się w precel na fioletowej macie do jogi Eddiego. Kai pijąca kawę z cykorii w kafejce pod mieszkaniem Anthony’ego. Cztery różne ujęcia Kai i mnie na koniach Hervégo.

– Przykro mi, ale nie mam.

Julian przechylił głowę i wyglądał na zasmuconego.

– W porządku. Może to i lepiej. W ciągu roku straciłem troje rodziców. Dziwne, nie? Nawet gdybym nie został adoptowany, i tak byłbym teraz sierotą.

„Ale nie jednakim” – pomyślałam.

Gdybym nie zadzwoniła pod dziewięćset jedenście, wychowywalibyśmy się razem. Próbowalam to sobie wyobrazić – świat, w którym Kai nie trafiła do więzienia, a ja do domu dziecka. W którym nie nauczyłabym się uderzać mocno, zanim sama zostanę uderzona, i w którym miałam młodszego brata. Karmiłabym go, kołysała, czytała mu bajki – robiłabym to wszystko, co robią dużo starsze siostry. Na pewno bym go kochała. Kim bym była, gdybym siedziała teraz obok Ganeshy, a nie Juliana?

Nie miało to znaczenia. Tego świata nigdy nie było, a teraz siedziałam obok smutnego chłopca i oboje byliśmy pogrążeni w żalu. Czułam, że powinnam coś zrobić. Przytulić go? Poklepać po ramieniu? Ale nie byłam wylewna, a on nosił większą żalobę po utracie przybranych rodziców niż naszej wspólnej matki. Sama dopiero się uczyłam, jak ją oplakiwać.

– Dziwna jest myśl, że urodziłem się w więzieniu – odezwał się Julian. – Nie bardzo to do mnie dociera. Jakbym się dowiedział, że mój pradziadek był szmuglerem albo piratem. To fascynujące, ale wydaje się nieprawdziwe. Bo przecież miałem mamę i tatę, no nie? – Pokręcił głową i odwrócił się w moją stronę. Oczy miał czerwone. – Ale zdaję sobie sprawę z tego, że dla ciebie to nie była fikcja.

A potem zrobił to, czego ja nie byłam w stanie. Nachylił się i mnie przytulił. Tak naprawdę, z zaangażowaniem. Zesztywniałam – nic nie mogłam na to poradzić – ale on najwyraźniej był typem psiarza, więc się nie odsunęłam. Trwało to przez kilka sekund; Julian klepał mnie po plecach, jakby chciał, żeby mi się odbiło.

Wpatrywałam się ponad jego ramieniem w przedmioty z mojego żołnierskiego kuferka. Niewiele ich było. Staralam się nie ruszać, czując bicie jego serca. Jakkolwiek niezręczne to wszystko było, ten chłopak był większy i bardziej

żywy niż całe moje dzieciństwo. Moje dzieciństwo zajmowało niecałe pół stołu.

Zaczął dzwonić telefon podłączony do ładowarki w kuchni i niemal rzuciłam się w jego stronę. Julian spuścił z zakłopotaniem głowę.

– Och, przepraszam, ja...

– Nie, nie, w porządku. Powinam odebrać. To może być Birdwine.

Julian wyprostował się i kiwnął głową, a ja obeszałam stół, żeby pójść po telefon. Wciąż zaskakiwał mnie jego dźwięk. Pół roku temu ten odgłos słyszałam niemal bez przerwy: oznajmiał telefony od partnerów, znajomych, pracowników, prawników strony przeciwnej, klientów. Nie tak dawno temu byłam tak przyzwyczajona do noszenia w uchu bluetootha, że potrafiłam z nim zasnąć.

Wzięłam do ręki telefon i zerknęłam na wyświetlacz. To nie był Birdwine, lecz Oakleigh Winkley.

A to niespodzianka. Wpisałam sobie jej numer, kiedy Nick sprowadził ją do kancelarii. Sądziłam, że będę brać udział w większości posiedzeń. Ale to spartaczyłam i straciliśmy Winkley. Teraz, niecały tydzień później, dzwoniła do mnie.

– Muszę odebrać – rzuciłam do Juliana. – To klientka. – Z tysiąc razy wypowiadałam te słowa, ale ostatnio miałam przerwę. Przyjemnie było zrobić to ponownie. Przesunęłam palcem po wyświetlaczu i powiedziałam: – Paula Vauss.

– Och, dobrze, że pani odebrała – W zalotnie śpiewnym głosie Oakleigh słyszeć było niepokój. – Sygnał wybierania powtarzał się co najmniej pięć razy. Byłam pewna, że włączy się poczta głosowa.

– Dzień dobry, pani Winkley, w czym mogę pomóc? – zapytałam.

– Chyba mam kłopoty. Policja chce ze mną rozmawiać. Właśnie dzwonił do mnie ich człowiek, policjant – odparła Oakleigh i już wiedziałam, że w jej głosie słyszę nie niepokój, lecz strach. Do którego nie była przyzwyczajona. Powitałabym ją w klubie, ale nie miałam ochoty być w nim razem z nią. – Mogłam zadzwonić do mojego nowego prawnika, tego od rozwodu, ale on chyba nie ma żadnych kontaktów z policją. Wtedy przypomniałam sobie, jak Nick mówił, że pani się zajmuje sprawami kryminalnymi, charytatywnie? – Niemal się uśmiechnęłam, ponieważ to było tak bardzo w stylu mojego współnika. Moje splukane klientki kryminalistki najpierw go niecierpliwiły, a potem zaczęły wkurzać, ale nie na tyle, żeby nie obrócił tego na naszą korzyść: „Paula i jej działalność *pro bono* egzemplifikują fakt, iż nasza kancelaria nastawiona jest na dawanie”. Oakleigh mówiła dalej: – Mówił, że właśnie dlatego nie zjawiała się pani na tamtym spotkaniu, więc wygrzebałam z portfela pani wizytówkę...

– Dlaczego policja chce z panią rozmawiać? – zapytałam.

– Mój eks, mój prawie eks. To znaczy mój mąż. Jest w szpitalu, a przynajmniej był dziś rano. Uważa, że próbowałam go zabić. Tak powiedział policji.

Zamrugałam skonsternowana. Kiedy Julian usłyszał słowo „policja”, wyprostował się i patrzył na mnie pytająco.

– Dlaczego pani mąż tak uważa? – Udało się. Zabrzmiało to spokojnie i nieoceniająco.

Oakleigh fuknęła gniewnie:

– Och, to jego wina. Zakradał się do domu i robił różne rzeczy. Potworne rzeczy, a teraz nie mogę jechać na zajęcia spinningu! Ale większość jego ubrań nadal tam była, więc... Proszę posłuchać, to dość skomplikowane. I nie wiem, kiedy się zjawi policja. Może pani do mnie przyjechać?

– Policja chce rozmawiać z panią w domu?

Julian wstał i szeroko otwartymi oczami wpatrywał się we mnie, jakby to był film z nieoczekiwanym zwrotem akcji. Uznałam jego zachowanie za urocze i tylko pokręciłam głową na znak, że coś takiego przytrafia mi się codziennie.

– Tak, już to mówiłam. Powiedzieli, że przyjadą dziś po południu, co jest mało konkretnym określeniem.

Nie zaniepokoiło mnie to. Gdyby Oakleigh postrzeliła Clarka albo wlała mu wybielacz do margarity, policja nie dzwoniłaby i nie umawiałaby się grzecznie na spotkanie. Funkcjonariusze zjawiliby się bez uprzedzenia, chcąc zobaczyć jej reakcję. Zabraliby ją na komendę i tam bombardowali pytaniami. Wyglądało mi to na jakąś kretyńską rodzinną kłótnię, coś, z czym poradziłyby sobie każdy dobry prawnik od rozwodów. Niemniej odzyskanie Oakleigh Winkley jako klientki byłoby niezłym wyczynem. Zapunktowałabym u swoich wspólników, a teraz bardzo tego potrzebowałam.

– Zaczeka pani chwilę? Muszę sprawdzić, czy uda mi się przesunąć spotkanie – rzuciłam do Oakleigh. Wyciszyłam telefon, nie czekając na jej odpowiedź.

– Musisz jechać? – zapytał Julian.

– Muszę – odparłam z autentycznym żalem. Cała zeszywniałam, gdy mnie przytulił, a przy pierwszej nadarzającej się okazji dałam nogę. Nie chciałam, żeby nasze spotkanie zakończyło się w takim tonie.

– O nie! Nie doszliśmy jeszcze do Hany. – Julian wciąż do niej nawiązywał, ale nie było o czym rozmawiać. Birdwine ją dla mnie znajdzie. Musiał, i to było na tyle. – W pracy mam się zjawić dopiero jutro. Mogę tu poczekać na twój powrót?

Od razu się spięłam. Nie mogłam pozwolić, by ten chłopak spacerował sobie po moim łofcie. Wydawało się to bardziej intymne i inwazyjne niż klepanie po plecach. Zaprzyjaźniłby się z moim kotem i przejrzał zawartość moich szaf. Co nie znaczy, że bym go o to winała. Gdyby zostawił mnie samą u siebie, z całą pewnością zajrzałabym do szuflad. Byliśmy ciekawi siebie nawzajem.

Gdyby był pięć lat młodszy, dałabym mu czterdzieści dolarów i zostawiła go przed centrum handlowym albo kinem i odebrała w drodze powrotnej. Nie miałam

pewności, czy coś takiego przeszłoby z dwudziestokilkulatkiem.

– Mógłbyś jechać ze mną.

– Naprawdę? Na policyjne przesłuchanie? – W jego głosie słysząc było podekscytowanie.

– Czemu nie? – odparłam. Niemal podskakiwał z radości, lecz co mi tam. Nie sprawdziłam w kalendarzu, być może dzisiaj jest dzień przyprowadzenia do pracy swojego pupila. – Będziesz musiał trzymać buzię na kłódkę, ale nie potrwa to długo, a potem możemy pojechać na kolację.

– Jasne. Super.

Uśmiechnęłam się i uświadomiłam sobie, że naprawdę chciałam, by ze mną pojechał. Częściowo powodowała mnie urażona duma. Kiedy się poznaliśmy, trzęsłam się podczas ataku paniki. Dzisiaj zaczęłam przerażona tak, że ratowałam się strojem suki, a skończyłam sztywna i niemal wzruszona. Chciałam, aby zobaczył mnie taką, jaka rzeczywiście jestem. Przyłożyłam telefon do ucha.

– Mogę załatwić sobie wolne popołudnie – oświadczyłam Oakleigh, przechodząc do części biurowej. – Ale proszę mnie dobrze zrozumieć: jeśli się tego podejmę, to ja będę pani prawnikiem, kropka. Porzuci pani tego nowego faceta, a pani rozwodem zajmie się moja kancelaria.

– Dobrze – odparła bez chwili wahania. Wyraźnie jej ulżyło.

– Przywożę umowę. Musi ją pani podpisać, zanim powie mi pani więcej na temat tego, co pani zrobiła, a czego nie. – Poruszyłam myszką, żeby wybudzić komputer.

– Okej, wspaniale. Może się pani pospieszyć? Policjant mówił...

– I będzie potrzebna zaliczka – przerwałam jej. Zaczęłam drukować naszą standardową umowę.

Przez chwilę panowała niezręczna cisza.

– No cóż, ale moje fundusze są ograniczone. Clark zachowuje się tak nierozsądnie. – Pozwoliłam, aby odpowiedział za mnie moment zawieszenia; ten punkt nie podlegał negocjacji. – Mogłabym uzbierać ze dwadzieścia pięć tysięcy. Czy to wystarczy? Na początek?

– Dobrze – odparłam takim tonem, jakbym oddawała jej przysługę. Pieniądze to rzecz względna. Według Oakleigh nędzne dwadzieścia pięć tysięcy jest równoważne z byciem bankrutem. Ciekawe, co by na to powiedział Julian. Wydrukowałam także formularz dla stażysty. Jeśli Julian miał ze mną siedzieć na spotkaniu z klientką, musiałam go na jeden dzień zatrudnić. – Zaraz wyjeżdżam. A gdyby policja zjawiała się pierwsza? Proszę być miłą, zaproponować kawę lub herbatę, ale grać na zwłokę. Proszę powiedzieć, że jestem w drodze. – Jeśli ktoś miałby zamienić zwykłą rodzinną kłótnię w coś poważniejszego, to na pewno udałoby się to Oakleigh Winkley podczas rozmowy z policją bez mojego nadzoru.

– Tylko proszę się pospieszyć – powiedziała, po czym rozłączyłyśmy się.

Trzymając wydruki, skierowałam się do drzwi, gdzie czekały moje buty i marynarka; teraz cieszyłam się, że zdecydowałam się na taki strój. Trzy minuty i będę gotowa. Julian podążał za mną.

– Powinno być ciekawie – powiedziałam, wkładając z powrotem swój uniform. – Przynajmniej dowiemy się, jaki lakier do paznokci jest najbardziej odpowiedni na policyjne przesłuchanie.

Uśmiechnął się nieco niepewnie. No cóż, nie znał jeszcze Oakleigh Winkley. Po godzinie w jej towarzystwie zrozumie żart.

– Cieszę się. Tak mnie zainteresowały te zdjęcia, że zaczęło mnie to niepokoić – rzekł.

– Co? – zapytałam, wygładzając spódnicę.

– Hana – odparł takim tonem, jakby to było oczywiste.

Posłałam mu rozdrażnione spojrzenie.

– Mówiłam ci. Birdwine...

– Znajdzie ją, wiem. Super, ale co potem?

Z torbą w ręce odwracałam się w stronę drzwi, ale jego pytanie sprawiło, że znieruchomiałam. Wszystko po „znajdź ją” było niejasne, a jej terażniejszość zniekształcała moja przeszłość. Myśli o Hanie cofały mnie w czasie, do momentu gdy sama byłam zagubioną dziewczynką.

Przekonałam się, że nie jestem w stanie wyobrazić sobie tego, co będzie później. No bo jak? Hana była zawieszona w terażniejszości niczym kot Schrödingera. Była jednocześnie żywa i martwa, bezpieczna i przerażona, głodna i nakarmiona, nie miała problemów ze snem i płakała w ciemności. Nie widziałam przyszłości Hany. Widziałam tylko jej balansowanie na krawędzi niepewnej terażniejszości.

Proste pytanie Juliana zbiło mnie z tropu i zrozumiałam, że Hana i ja nie byłyśmy takie same. Ja byłam kiedyś Maciemamą, dziewczyną, którą kochano i która miała linę ratowniczą. Kiedy zabrano mi matkę, to tylko do więzienia. Cały czas miałam niezachwianą wiarę w to, że Kai po mnie przyjedzie. Jaką nadzieję mogła mieć Hana po śmierci Kai? Ta dziewczynka tkwiła tam, gdzie Kai ją zostawiła, tam, gdzie postanowił – albo i nie – o tym jej otumaniony chorobą i lekami umysł.

Hana nie wiedziała o moim istnieniu ani tym bardziej, że jej szukam. Nie wiedziała, że ktokolwiek jej szuka. Nie była taka jak ja. Była jak Candace, Shar, Karice – każda zagubiona dziewczynka na świecie, która czuła się nic niewarta i porzucona. Nie mogła wiedzieć, że gdzieś na świecie w tej właśnie chwili ktoś przywołuje jej imię.





## Rozdział 7

*Wydarzyło się to dawno temu i dzieje się teraz. Demon Raktabija stanął przeciwko Ziemi. Przyszedł ją spalić, a w popiele ogrzać swoje wielkie czerwone stopy.*

*Ziemska armia skrzyknęła się i uniosła miecze, aby chronić swoją matkę. Armia ruszyła na demona i pocięła go na tysiąc kawałków. Upadł, a armia wydawała radosne okrzyki.*

*Ale kiedy armia świętowała, jego krew wsiąkała w ziemię, a ziemia to taka płodna matka. Tam, gdzie spadała kropla krwi, pojawiał się kolejny Raktabija, tak więc tysiąc cięć oznaczało tysiąc nowych demonów. Ziemska armia zaczęła uciekać przed atakującymi ją demonami.*

*Walczyli odważnie synowie Ziemi, jednakże na próżno. Za każdym razem, kiedy zabijali jednego demona, tryskała z niego krew. Każda kropla stwarzała kolejnego demona i kolejnego, i kolejnego, aż armia demonów stała się liczniejsza od ziemskiej armii. Ciała synów Ziemi leżały jedno na drugim i wkrótce miały zostać unicestwione.*

*Wtedy pojawiła się Kali. Nie dlatego, że wezwali ją ludzie; wszystkie ludzkie stworzenia wzywają swoich bogów, ale niewielu otrzymuje odpowiedź. Kali nadeszła, ponieważ słyszała jęki serca samej Ziemi.*

*Na widok Kali demony się przestraszyły, ale potem się przekonały, że bogini nie ma ani jednej szabli. Tylko dzwonki. Ależ się śmiali i wytykali ją palcami. Miała małe dzwoneczki na palcach, większe na nadgarstkach i kostkach, a największe, najgłośniejsze dzwony wisiały na pasie wokół jej talii.*

*Śmiali się, ale szybko przestali się śmiać. Kali zaczęła tańczyć do muzyki wydawanej przez jej dzwonki, a kiedy tańczyła, wysunęła z ust swój długi język. Trzaskała nim jak biczem. Wirował jak derwisz. Jej język prezentował własny taniec, a był bardziej czerwony i szybszy od całej hordy demona Raktabija.*

*Ziemska armia zebrała siły i zaczęła zabijać demony. Kali tańczyła między nimi, trzaskając i kręcąc swoim czerwonym językiem, przechwytyjąc krew w powietrzu, zanim ta zdążyła spaść na ziemię. Zlizwała każdą kroplę, kiedy więc demony umarły, były puste i przezroczyste jak plastikowy worek. Pozbawione krwi ich ciała były takie lekkie, takie puste, że unosiły się w powietrzu, gdy Kali tańczyła między nimi. Ziemska armia atakowała i cięła, a Kali piła i piła, aż wszystkie demony stały się wirującymi na wietrze dmuchawcami.*

*– Kończ gadać, suko – mówi kobiecy głos na drugim końcu linii tak głośno, że aż słyszać trzaski.*



Joya i ja podskakujemy. Siedzimy skulone na podłodze w spiżarni, stary aparat jest przełączony na głośnik i z przechylnymi głowami słuchamy opowieści mojej matki.

Patrzemy na siebie szeroko otwartymi oczami i wtedy wraca Kai.

– Już dobrze. Rhonda rozmawia z tą nieuprzejmą kobietą o tym, czym są dobre maniery. Och, przepraszam, jeszcze chwileczkę.

Słyszemy stłumioną, gniewną rozmowę.

Joya obejmuje się ramionami i szepcze:

– Cholera, twoja mama to potrafi opowiadać.

– Aha – przyznaję.

Historie mojej matki nie mają wersji disnejowskich; jeśli są przerażające, opowiada je tak, że po plecach przechodzą ciarki. Może zbyt przerażające, gdy będzie musiała walczyć o telefon z panią o niemiłym głosie, która może się okazać niebezpieczna.

– Wróciłam. Mamy jeszcze kilka minut – mówi Kai.

– Czy to naprawdę koniec historii? – pyta ją Joya.

– Nie – odpowiada Kai.

– Tak – mówię jednocześnie.

Nie chcę, by matka miała w kimś śmiertelnego wroga dlatego, że nie pozwoliłam jej skończyć. Chcę, żeby była bezpieczna. Podoba mi się także taki finał tej opowieści. Gdyby to była pora snu, a Kai otulałaby mnie kołdrą, powiedziałaaby teraz: „Każdy z tych fruujących dmuchawców to twoje życzenie. Zamknij oczy i je wypowiedz”. Nie zdążyłabym tego zrobić, bo już bym twardo spała.

Nie lubię ulubionego końca Kai, gdy Kali, pijana krwią demonów, nie potrafi przestać tańczyć. Jest tak szalona i silna, że zaczyna pękać pod nią ziemia. Armia ucieka i wszystko wydaje się stracone, dopóki nie zjawia się jej kochanek. Kładzie się na jej drodze, a kiedy jej bosa stopa styka się z jego pierśnią, Kali natychmiast nieruchomieje. *Żeby nie zmiażdżyć jego cennego serca*, mówi Kai w tej wersji, a dla mnie to sygnał, by udać, że wymiotuję.

– Ma pani czas, żeby dokończyć? – pyta Joya, ignorując mnie.

Posyłam jej rozdrażnione spojrzenie. Powinna teraz siedzieć za drzwiami i strzec mnie przed wielkimi uszami Candace. Ale gdy Kai zaczęła opowiadać historię o demonie Raktabija, zawołałam ją. Uznałam, że Joya powinna ją usłyszeć, zwłaszcza że niedawno do naszego domku wprowadziła się nowa dziewczyna. Kim jest klocowata, ma gęste brwi i trzyma się z Shar i Karice. Maciemamy są teraz w mniejszości. Shar patrzy na Joyę groźnie za każdym razem, gdy ich ścieżki się krzyżują. Nie odpłaciła się jeszcze za uszy, a mama Joyi zakończyła odwyk i przeprowadziła się do ośrodka przejściowego. Shar kończy się czas.

W opowieściach mojej matki jest moc, a ta historia to nawoływanie do

walki. Chciałam, by Joya też jej wysłuchała. To na tę historię liczyłam tamtego dnia, kiedy białe dziewczyny z hrabstwa Paulding nazwały mnie Grubą Grubcią. Gdyby Kai mi ją wtedy opowiedziała, możliwe, że wróciłabym do szkoły z dzwoneczkami na nadgarstkach, gotowa na podbój świata. Zamiast tego wysłuchałam opowieści o myszy Ganeshy i zadzwoniłam pod dziewięćset jedenście.

– Musi skończyć rozmawiać, zanim narobi sobie kłopotów – mówię do Joyi na tyle głośno, żeby Kai mnie usłyszała.

– Ale chcę poznać koniec – marudzi Joya.

– Każda historia ma tysiąc zakończeń – odzywa się Kai. W jej głosie słychać spokój, a może jest po prostu zmęczona. – Mogłabym ci opowiedzieć takie zakończenie, jakiego nie zna nawet Paula.

– Och, proszę – nalega Joya.

Teraz mnie zaciekawiła. Lubię kończyć na tym, jak Kali wygrywa walkę, ale Kai woli element romantyczny. Trzeciego zakończenia nie znam.

– Dawno temu, właśnie teraz – zaczyna Kai – Kali urodziła chłopca.

– Chwileczkę, co takiego? – przerywam.

Nigdy nie słyszałam opowieści, w której Kali jest matką. Kali to Matka, oczywiście, ta, która pali prastare lasy. A potem z popiołu wyrasta trawa zielona jak nigdy dotąd. Ale nie umiem wyobrazić sobie Kali jako czyjejs mamy używającej dwóch ze swoich wielu rąk do zmieniania pieluch, gdy tymczasem przytwierdzone do jej nadgarstków ludzkie kości drapią i szeleszczą.

– Powiedziała, że Kali urodziła dziecko. Cicho – mówi Joya, a Kai zaczyna raz jeszcze.

*Dawno temu, właśnie teraz, Kali ma niedawno narodzonego chłopca. Ale Kali jest pijana krwią Raktabii. Tańczy swój taniec zwycięstwa z taką mocą, że wielkie dzwony u pasa brzmią jak wystrzały armatnie. Dzwoneczki na palcach dzwonią tak przenikliwie, że aż bolą uszy, a dzwonki na nadgarstkach ujadają i brzęczą. Tańczy z taką siłą, że świat zaczyna pękać. Miasta się trzęsą. Oceany wzbierają i pienią się.*

*Najodważniejszy żołnierz bierze na ręce jej maleńkiego syna i przynosi go na pobojuwisko. Podchodzi tak blisko Kali, na ile pozwala mu odwaga, i ostrożnie kładzie dziecko na stercie ciał poległych ziemskich żołnierzy. I ucieka. Ciała są zimne, a dziecko nagie. Chłopiec nie jest zadowolony z tego, że jest sam i jest mu zimno. Otwiera maleńkie usta i wydaje z siebie cichy płacz.*

*Ale Kali go słyszy. Przestaje tańczyć, a jej dzwonki nieruchomieją. W ciszy, jaka zapadła, wszyscy słyszą płacz dziecka. Biegnie do niego szybko. Oceany się uspokajają, a Ziemia na powrót się zrasta. Kali bierze dziecko na ręce i siada na stercie ciał. Zaczyna go karmić piersią, kołysać je i śpiewać. Dzwonki brzęczą słodko i cicho. Otaczające ją dmuchawce zaczynają się zbijać ze sobą i opadają*

*w stronę ziemi niczym śnieg. Po chwili cały świat jest jasny, świeży i nieskazitelny. Jedyne kolory pochodzą od Kali i jej syna siedzących razem na białym wzgórzu.*

Kai przestaje mówić i zapada cisza. Dla Maciemam to dobre zakończenie opowieści. To odpowiednie zakończenie, gdy jest ci zimno i źle, a wtedy zjawia się twoja matka i bierze cię w ramiona. Nawet oczy Joyi zrobiły się różowe. Wzdycha, a potem zza drzwi spiżarni dobiega nas ciche pociągnięcie nosem.

Rozpoznaję ten dźwięk; to ta cholerna Candace, która zawsze się zakrada, żeby podsłuchać kolejne nasze rozmowy. Zdradziła ją alergia. Albo alergia, albo coś, czego nie powinna czuć. Joya zrywa się w ułamku sekundy i wypada ze spiżarni z groźbą mordy w oczach. Słyszę, jak Candace wycofuje się i ucieka, wołając:

– Czekaj, czekaj, czekaj, czekaj, nie, nie, nie!

A potem słychać odgłos ich biegnących wokół świetlicy stóp.

Wyłączam głośnik i w ciszy, jaka zapadła, słyszę urywany oddech Kai.

– Mamo? – mówię. Rzadko tak ją nazywam. Kiedy była z Hervém przyzwyczaiałam się do mówienia jej po imieniu. Nie powiedziałabym tak, gdyby istniała choć mała szansa, że usłyszysz to Candace. To święte słowo zarezerwowane dla mnie i Joyi. – Mamo, ty płaczesz?

– Nie, skarbie – kłamię. Jest w tym dobra, ale nie aż tak. Przez chwilę panuje cisza i chwytam mocno słuchawkę, nachylając się ku niej. Tak dobrze znam jej oddech, tak dobrze znam jej milczenie, że wyczuwam, iż bierze się teraz w garść. Wiele kilometrów dalej czuję, jak moja matka prostuje się, więc ja także to robię. Czuję, jak jej smutne usta posłusznie wyginają się w uśmiech. Kiedy ponownie się odzywa, głos ma dziarski i pogodny. – Skarbie, mój czas już się skończył. Kocham cię. Dbaj o siebie, a niedługo się zobaczymy. Bardzo niedługo. Tych kilka ostatnich miesięcy minie nie wiadomo kiedy. – Kłamstwo, ale jakie przyjemne. W jej głosie słychać taką pewność, że obie w to wierzymy.

Nie widziałam mojej matki przez półtora roku. Miałam w tym czasie urodziny, urosłam osiem centymetrów i dostałam okres. Ona się skurczyła, była mniejsza o mojego brata. Do tego czasu Ganeshy już nie było, zdążył się przemienić w Juliana.

Widziała niemowlę? Trzymała je na rękach? Karmiła? Kiedy wyjęto go z jej ciała, musiano jej powiedzieć, że to chłopiec, czy też wcześniej to wiedziała, tak jak wiedziała, że ja jestem dziewczynką?

„Miałaś tyle kobiecej energii” – tak mi zawsze mówiła.

Dziwnie myśleć o sobie jak o małej, ślepej i przywiązanej do niej. W tamtym czasie sprzed wspomnień wszystko, czego dotknęłam, było nią. Słyszałam w środku jej głos i nie miałam pojęcia, że jest oddzielną osobą. Wtedy była po prostu moim światem.

Chłopak siedzący na fotelu pasażera także rozpoczął swoje życie właśnie

tam, w porzuconym przeze mnie pokoju. Czy gdy Kai opowiadała nowe zakończenie historii o demonie Raktabija, to on był dzieckiem, które wymyśliła? Zdążyła go już przekazać rodzicom, których mu wybrała, starannie, stosując własne kryteria.

Bouchardowie należeli do porządnej klasy średniej – wychowawczyń w przedszkolu i agent ubezpieczeniowy – ponieważ Kai nie ufała bogatym. Byli w sobie zakochani, ponieważ Kai zależało na miłości. Kobieta, która ze względów zdrowotnych nie mogła urodzić dziecka, to chłopczyk Kai prawdopodobnie będzie jedynakiem, wokół którego będzie się kręcił cały ich świat. Zerknęłam na niego, czytał z powagą. Popatrzyłam na jego różowe policzki i loki. Oczy miał duże i błyszczące. Wyglądał jak chłopak, którego wybrałoby się do reklamy pełnotłustego mleka albo organicznych brzoskwiń. Żadne dziecko nie trafiło nigdy do porządniejszego miejsca niż on.

Kiedy dojechaliśmy do kolonialnej McRezydencji w stylu południowym, moja nawigacja oznajmiła, że jesteśmy na miejscu. Skręciłam na podjazd, ciesząc się, że nie widzę tam żadnego innego samochodu. Policja jeszcze nie przyjechała, to dobrze. Musiałam nałożyć na twarz maskę profesjonalistki. Całą drogę do Oakleigh, obserwowałam kątem oka, jak mój przyrodni brat stara się rozszyfrować prawniczy bełkot umowy stażowej, i rozmyślałam o Hanie i opowieści Kai o demonie Raktabija.

To ja byłam dzieckiem na pobojuwisku Kali. W rzeczywistości byłam wtedy tyczkowatą jędzą z pryszczami na czole i biodrem zgiętym permanentnie pod zuchwałym kątem. Ale dla Kai byłam ukochanym maleństwem leżącym na stosie ciał, zmarzniętym i opuszczonym. Zrzekła się dziecka ze swojego brzucha i byłam jedynym dzieckiem, jakie jej zostało. Chciała przyjść i mnie uratować. Wypełniłabym jej puste matczyne ramiona, także zapewniając jej ocalenie.

Nigdy nie rozumiałam w pełni tej opowieści; zaczęłam pojmować jej sens dopiero wtedy, gdy chłopiec, którego straciła Kai, zapytał mnie, co zrobię z Haną, kiedy ją znajdę. Julian, obeznany w kwestiach rodzinnych, spojrział na tę sytuację pod zupełnie innym kątem niż ja. Co ja, u licha, zrobię?

Po przerzuceniu ostatniej kartki mój przyrodni brat posłał mi nerwowe spojrzenie. Wiele spraw pojmowaliśmy zupełnie inaczej, zwłaszcza znaczenie słowa „rodzina”. Kiedy byłam mała, rodzina oznaczała mnie i Kai, a zmieniający się kochankowie i przyjaciele tak naprawdę się nie liczyli. Nie miałam lalek niemowlaków ani Barbie, ale czasami, gdy byłam mała, bawiłam się z Kai w dom. Byłam mamusią i karmiłam ją łyżeczką. Zapewne uważałam, że pewnego dnia zostanę matką. Potem zadzwoniłam pod dziewięćset jedenaście i coś między nami pękło. I pękało coraz bardziej, aż moja rodzina rozpadła się na dwie części. Nigdy nie próbowałam stworzyć innej.

Miałam trzydzieści pięć lat, a biologia jeszcze się o mnie nie upomniała. Nie

potrafiłam sobie wyobrazić, że tak mogłoby się stać. Zawsze żartowałam, że jeśli mój zegar biologiczny zacznie tykać, cisnę nim z całej siły o ścianę.

Ale potrzeba odnalezienia Hany okazała się silna jak biologia. Stała się kwestią zasadniczą i nieracjonalną. Pragnęłam ją znaleźć, tak jak głodujący marzy o kanapce, a osoba pod wodą płynie prosto do góry ku powietrzu. Wystarczyło, że pomyślałam jej imię, a cały świat nagle się cofał. Wiedziałam, co to znaczy być zagubioną dziewczynką, zalaną falą uczuć tak silnych, że nie mogły być tylko wspomnieniem. Moje serce wystukiwało rytm: „znajdź ją, znajdź ją, znajdź ją”.

Trudno było dostrzec wtedy cokolwiek innego, dlatego że konieczność oddychania, jedzenia czy nakarmienia płaczącego dziecka nie podlega prawom logiki. Wywodzi się ona z najgłębiej ukrytej części świadomości. Zadając proste pytanie, Julian przywołał mnie do rzeczywistości. Kiedy Hana się znajdzie, co, u licha, zamierzam z nią zrobić?

Wychowanie dzieci to nie moja domena. Mało tego, nie miałam nawet gdzie jej umieścić; mieszkałam w radykalnie otwartej przestrzeni zaprojektowanej z myślą o singlach. Brak ścian deklarował, że jestem typem samotnika, głośniej, niż oznajmiłoby to tysiąc zamkniętych drzwi. W moim życiu nie było miejsca, dosłownie, na założenie rodziny.

Julian nadal był pochłonięty czytaniem. To był ten sam chłopak, który przejechał całe miasto z teczką wypełnioną wszystkimi swoimi najważniejszymi dokumentami. Rzucił je na moją podłogę, a potem uciekł spanikowany. No cóż, był porywczy i uczuciowy, ale otrzymał należyte wychowanie, to znaczy należyte dla mieszkańca Południa. Wiedział, że na kolanach rozkłada się serwetkę, otwierał drzwi starszym paniom i czytał umowę, zanim ją podpisał.

– To umowa dla stażysty – powiedziałam. – Musisz ją podpisać głównie dla zawartych w niej przywilejów.

– Aha. To naprawdę dobry pomysł – zgodził się Julian, nie podnosząc głowy. – Dzisiejszy dzień to dobra praktyka.

– Praktyka? Czego?

– Tego, czy potrafimy ze sobą współpracować – wyjaśnił. Otworzyłam usta, by wyjaśnić, że to tylko dzisiaj, ale on nadal mówił: – Będziemy musieli, gdy znajdziemy Hanę.

Próbowałam mruknąć coś niezobowiązującego, ale zabrzmiało to, jakbym się dusiła. Po raz kolejny przestawił mój punkt widzenia.

Powiedział „my”, jakby miał już swoje miejsce w moich nieistniejących na razie planach. Jakby miał prawo je kształtować. Ale on nie należał do mojego plemienia, zresztą do Hany także.

Ten chłopak wychowywał się na przedmieściach z mamą i tatą, rowerem i prawdopodobnie psem wabiącym się Duke albo Fido. Miał za sobą trzy czwarte studiów w Berry College i nie był w stanie wyobrazić sobie świata, z którego

pochodzimy Hana i ja. Nigdy nie postawił nogi w miejscach, w których Birdwine będzie jej szukał. Jedynym, co mieliśmy wspólnego, były geny mojej matki wymieszane z genami różnych mężczyzn. Chciał dostać kawałek ciasta, którego nigdy nie wahał ani nie smakował.

Podał mi podpisaną umowę.

– Gotowe – oświadczył. Aż buzowała w nim energia.

Nie mogłam teraz o tym myśleć. Miał rację. Musiałam zająć się swoją pracą, która stanowiła zupełne przeciwieństwo tego wariactwa, które on proponował. Ja dokonywałam wiwisekcji rodzin, on zaś, sierota, pytał, jak stworzymy coś, co w pracy zawodowej niszczy bez mrugnięcia okiem. Pokręciłam głową i wysiadłam z samochodu, by zająć się tym, co rozumiem.

Julian także wysiadł i udał się za mną na panoramiczną werandę. Zmusiłam się do tego, by odsunąć na bok jego założenia i się skupić. Wcisnęłam dzwonek, uśmiechając się do kamery. Co prawda nie widziałam małego szklanego oka wpatrującego się we mnie, ale bogacze instalowali kamery zamiast judaszy. Czułam słabe prądy pełzające po moim ciele, gdy byłam obserwowana.

Nachmurzona Oakleigh niemal natychmiast otworzyła drzwi. Omiotła wzrokiem Juliana, jego zeszyt z żółtymi kartkami i trzymany w pogotowiu długopis i zlekceważyła jego obecność, uważając zapewne, że jest kimś w rodzaju sekretarki. Nie bawiła się w powitania ani prezentacje, tylko od razu zaczęła marudzić.

– Nie rozumiem, dlaczego muszę rozmawiać z policją. To Clark się tu włamał i wszystko zaczął. Możemy to odwrócić i kazać go aresztować? Bezprawnie tutaj wkracza, chodzi po domu i niszczy moje rzeczy, codziennie. – Zniknął strach, który słyszałam w jej głosie podczas rozmowy przez telefon, a jego miejsce zajął gniew. Julian uchylił się przed jego siłą; oczy miał szeroko otwarte. Weszliśmy za Oakleigh do sklepionego holu.

– Zmieniłam kod alarmu. Dwukrotnie. Co mam teraz zrobić?

– Przebrać się – zasugerowałam.

Miała na sobie obcisłą i bardzo krótką czerwoną sukienkę oraz czarne kozaczki sięgające aż do ud. Między kozakami a skrajem sukienki widać było kilka centymetrów szczupłych opalonych ud i kiedy szliśmy za nią, przyłapałam Juliana na tym, że się gapi. Zarumienił się i odwrócił od razu wzrok. Cóż, nie znałam wielu mężczyzn hetero, którzy potrafiliby patrzeć wyłącznie w niebo.

– Już to zrobiłam. Kiedy do pani dzwoniłam, miałam na sobie spodnie do jogi – oświadczyła, pokazując gestem, byśmy przeszli dalej. Na piętro prowadziły szerokie schody, a za nimi widać było ogromny salon. Pokonała trzy stopnie, po czym zatrzymała się i odwróciła w naszą stronę, jakby pozowała. – Policjanci kochają tę suknię. Miesiąc temu uratowała mnie przed mandatem.

– Mmm – skwitowałam, modląc się do bogów, żeby nie przyjechała

policjantka.

Następnie Oakleigh odwróciła się do ściany i stuknęła w nią palcem.

– Proszę na to spojrzeć!

– Widzę białą farbę – rzekłam. – To jest Juli...

– Białą? – przerwała mi Oakleigh i w tej chwili dziesięć procent swojego gniewu skierowała na mnie. – To polarna wanilia, czyli bardzo ciepły kremowy. Ale czy widzi pani ten kwadrat? – Ponownie stuknęła palcem w ścianę.

Julian i ja nachyliliśmy się ku niej niczym para krytyków specjalizujących się w kolorach farb i wtedy dostrzegłam minimalną różnicę w odcieniu. Nieduży prostokąt wydawał się nieco jaśniejszy od reszty, a na górze widać było małą dziurkę po gwoździu.

– To, czego pani nie widzi, to mój szkic Picassa. A nie widzi go pani dlatego, że Clark go zdjął i schował do szafki z alkoholem, bym myślała, że ktoś go ukradł. Co zamierza z tym pani zrobić?

Oakleigh traktowała mnie jak służącą, a Juliana jak mebel. Pora pokazać dziewczynie, gdzie jej miejsce. Przywołałam na twarz wyraz znudzenia i podałam jej umowę, trzymając ją w dwóch palcach.

– Nic, dopóki pani tego nie podpisze. I poproszę o czek.

Przewróciła oczami, ale zesłała i wzięła ode mnie papiery, po czym gestem nieznoszącym sprzeciwu wyciągnęła rękę w stronę Juliana. Podał jej długopis. Odwróciła się na pięcie i stukając obcasami, ruszyła w stronę salonu. A my za nią.

Duża, popielata, złożona z kilku części sofa, zarzucona przesadnie dużą liczbą czarnych i białych poduszek dekoracyjnych stała naprzeciwko kominka tak ogromnego, że dałoby się w nim upiec całe prosię. Oakleigh podeszła do sekretarzystki. Otworzyła szufladę i wyjęła książeczkę czekową.

Julian rozglądał się po pomieszczeniu, a ręce trzymał wzdłuż tułowia.

– Wyluzuj – szepnęłam.

Pokręcił głową i również wyszeptał:

– Jeśli stłukę wazon, będę musiał sprzedać samochód, żeby go odkupić.

Zabawne było widzieć jego onieśmielenie tym ostentacyjnym bogactwem. Moja kancelaria i loft także zrobiły na nim takie wrażenie, choć może nieco mniejsze, ale kiedy ja byłam mała, dom Bouchardów wydałby mi się na pewno pałacem.

– Oakleigh chyba nie przeszkadza niszczenie różnych przedmiotów – powiedziałam cicho, pokazując na wiszący nad kominkiem obraz. Był to ślubny portret jej i Clarka.

Stali razem na szerokich kręconych schodach z czasów sprzed wojny secesyjnej, Oakleigh w sukni *haute couture*, w której wyglądała jak wielka beza, a Clark w szytym na miarę smokingu. Po raz pierwszy miałam okazję widzieć męża swojej klientki. To znaczy jego fragmenty. Był elegancki i szczupły, miał

artystycznie potargane jasne włosy i rzeźbione rysy twarzy – mniej więcej tego się spodziewałam. Zaskoczyły mnie jednak diabelskie rogi, hitlerowski wąsik i krwście czerwone oczy demona z czarnymi źrenicami, zajmujące górną połowę jego twarzy. Oakleigh w ogóle nie miała twarzy, a jedynie czarne gryzmoły. Cała jej głowa została potraktowana z taką siłą, że na płótnie widać było rozcięcia i dziury.

– Proszę – powiedziała, wydarłszy czek. Przeszła przez salon i dołączyła do nas. – Widzi pani? Nie powinnam była dorysowywać mu tego wszystkiego, ale przynajmniej zdjęłam obraz i schowałam go do szafy. A on zamalował mi twarz i z powrotem powiesił. Zostawiłam go, żeby pokazać policji.

Podawała mi czek i umowę, podpisane. „O” w „Oakleigh” było duże, a pozostałe litery tak okrągłe jak króliczki anime.

– Proszę nie podpisywać niczego, czego pani nie przeczytała – powiedziałam, chowając dokumenty do torby.

Wzruszyła lekceważąco ramionami i odparła:

– Sądziłam, że czytanie moich umów to pani obowiązek.

– Dobrze. Następnym razem dołożę klauzulę, że oddaje mi pani swoją duszę – oświadczyłam i na jej twarzy w końcu pojawił się cień uśmiechu. Wierzyłam jej na słowo, uznając, że rzeczywiście ją posiada.

Spojrzenie Juliana przesunęło się na sofę i jego twarz się rozpromieniła.

– Kocięta! – zawołał i od razu do nich poszedł. Były dwa, jedno czarne, drugie białe. Spały wtulone w siebie jak jin i jang i wcześniej wzięłam je za kolejne poduszki.

Czegoś takiego nie można było uznać za profesjonalne zachowanie i Oakleigh uniosła wysoko brwi, kiedy Julian siadł na jej sofie i wziął zwierzaki na kolana. Spojrzał na mnie niczego nieświadomy, szeroko się uśmiechając i drapiąc uszy czarnego kota. Ten zaczął entuzjastycznie mruczeć, z kolei biały ziewnął. Miał intensywnie niebieskie oczy. Gdyby Julian był moim prawdziwym stażystą czy asystentem, przeprosiłabym, wyszłabym z nim przed dom i od razu go zwolniła. Ale na widok Juliana tulącego puszyste kociaki straciłam rezon. Moje serce znowu zaczęło bić w rytmie „znajdź ją”.

– Myślałam, że jesteś psiarzem – odezwałam się, a pełen niedowierzania wzrok Oakleigh przeniósł się teraz na mnie.

– No tak, jasne – odparł. – Ale kto nie lubi kociąt? – Zwrócił się do Oakleigh: – Jak mają na imię?

– Nie wiem. – Prychnęła. – Czarny i Biały? Kupiłam je wczoraj, gdy Clark znowu się tu włamał.

Julian przejechał paznokciem po szwie na spodniach. Czarny usłyszał ten dźwięk i rzucił się na palec. Biały musiał najpierw zobaczyć, jak Czarny podskakuje, a dopiero potem poruszający się palec. Pewnie był głuchy, tak jak



Henry.

Nie widziałam związku między nachodzeniem żony a kupnem kociąt.

– Nie lepszy byłby doberman?

– Nie, bo Clark ma alergię na koty – warknęła Oakleigh.

Była rozdrażniona, ponieważ służący siedział na jej sofie i bawił się z jej zwierzętami. Zdziwiło ją to, że zjeżyłam się na nią, bo przecież ona była klientką, a Julian w ogóle się tutaj nie liczy.

„A więc tak smakuje nepotyzm” – pomyślałam. Przekonałam się, że nawet lubię ten smak.

– Pani Winkley – powiedziałam tonem na tyle ostrym, aby odzyskać jej uwagę. – Jaką alergię? Typu „dotknę kota i umrę”? Czy może objawia się zwykłym katarem?

– Skąd mam wiedzieć? Nigdy go nie widziałam w pobliżu kota. Miał alergię – odparła tak, jakby rozmawiała z kimś bardzo powolnym. – Nie nosił przy sobie epipenu ani niczego w tym rodzaju. Mówił jednak, że bliskość kotów ma na niego fatalny wpływ, więc gdy nie przestawał się włamywać i niszczyć moich rzeczy, sprawiłam sobie dwa.

– Co zostało zniszczone, poza tym, co oczywiste? – zapytałam, zerkając na ślubny portret. Podchodziłam sceptycznie do informacji, że Clark w ogóle bywał w tym domu. Nie zdziwiłabym się, gdyby Oakleigh niszczyła swoje rzeczy, licząc na to, że postawi męża w kiepskim świetle.

Zarumieniła się.

– To wariactwo. Pojechałam do fryzjera, a gdy wróciłam, brakowało Picassa. Pomyślałam, że może zrobił to wcześniej, kiedy przyszedł opróżnić sejf, a ja tego nie zauważyłam. Tak czy inaczej zmieniłam kod w alarmie i wyszłam na kolację. Kiedy wróciłam, alarm pozostawał włączony, ale połowa moich butów znajdowała się w wannie. Z kranu leciała woda. Wszystkie zamszowe do wyrzucenia. Wtedy właśnie znalazłam Picassa w szafce z alkoholem. Ponownie zmieniłam kod, a wczoraj pojechałam odebrać tonę rzeczy z pralni. Zupełnie o nich zapomniałam w całym tym chaosie. Obok pralni był sklep zoologiczny. No i kupiłam te koty. Kiedy mnie nie było, on... – Urwała, po czym dodała oburzonym szeptem: – Naprawdę, naprawdę uważam, że nasikał mi do kuferka z kosmetykami. Mało nie oszalałam, zastanawiając się, gdzie jeszcze mógł nasikać. Wyrzuciłam jedzenie, a szczoteczkę do zębów noszę teraz w torebce. No więc dziś rano pojechałam na zajęcia pilates, a w tym czasie on wszedł, zamazał mi twarz i powiesił z powrotem ten portret. Nie wiem, co jeszcze zrobił. Boję się sprawdzać. Przez balustradę były przewieszane rzeczy z pralni. Głównie jego garnitury i koszule. Kiedy wychodził, musiał zabrać je ze sobą.

– Zobaczylby koty – powiedziałam, patrząc, jak szamoczą się na kolanach Juliana. – Czemu miałyby zabrać ubrania?

– No cóż, znajdowały się w plastikowych pokrowcach z pralni. Wyglądały na świeżo wyprane – rzekła Oakleigh. To ciekawe, że użyła określenia „wyglądały”, zamiast powiedzieć po prostu „były”. Wbiła wzrok w podłogę i dodała wojowniczo: – Może uznał, że lepiej będzie je zabrać, zanim znajdą się na nich kocie alergeny.

Uniosłam brew.

– Chciała pani, żeby je zabrał.

– Tego nie powiedziałam. – Brzmiało to tak nieszczerze, że równie dobrze mogła szurać dużym palcem u nogi po podłodze.

Julian posłał mi skonsternowane spojrzenie, ale ja byłam równie zagubiona. Na jego granatowych spodniach już widać białą sierść. Nieustannie szcztokowałam Henry’ego, gdyż miałam dużo czarnych ubrań, ale i tak za każdym razem, gdy wychodziłam z domu, musiałam użyć rolki. Ale sierści Czarnego na granatowym spodniach nie było widać. I wtedy zrozumiałam. Oakleigh wybrała takie fabryki alergenów, kierując się kolorem ich sierści.

– Przejechała pani kotami po jego ubraniach – powiedziałam zaskoczona. Julian także wyglądał na zdumionego. – Białym po rękawach jasnych koszul, a czarnym po garniturach. Ile razy?

– Och, nie wiem. Kociaki są niemądre. Co mogę zrobić, jeśli lubią się chować w rękawach?

– A niech mnie – odezwał się Julian.

– Potem umieściła pani rzeczy z powrotem w pokrowcach i powiesiła w miejscu, w którym mógł zobaczyć, po czym pojechała pani na pilates.

– Tego nie powiedziałam. Ale nie powinien był niszczyć moich rzeczy. – Złożyła buzię w ciup, ale w jej głosie słychać było dumę.

Teraz już wierzyłam, że Clark się włamuje. Kiedy rozwód nie odbywa się w pokojowej atmosferze, małżonkowie obwiniają się nawzajem o wszystko, także o chlamydię, którą, o czym doskonale wiedzą, zarazili się podczas kontaktów pozamałżeńskich. Ale nie wymyślają skomplikowanych pułapek z kociętami w roli głównej, jeśli to oni są stroną poszkodowaną.

Ze też nie zadzwoniła do mnie po pierwszym włamaniu! Wszędzie umieściłabym kamery i przyłapałabym go na sikaniu do kosmetyków. Ależ by to był środek nacisku podczas negocjacji. Koty stanowiły złośliwą odpowiedź, która nastawiona była bardziej na zrobienie krzywdy mężowi niż chronienie własnych rzeczy. Takie zachowanie stawiało Oakleigh co najmniej sześć stopni wyżej na schodach szaleństwa, niż miało to miejsce w wypadku standardowego rozwodu. Sprawa PDBD zazwyczaj dotyczyła egoistów próbujących ugrać jak najwięcej dla siebie. Ale przez nią Clark trafił do szpitala. Wiedziała, jak bardzo mu zaszkodzi? Może. Jeśli tak, była szaleńczo bystra. Gdyby wykitował z powodu kociej sierści... cóż. Chętnie zobaczyłabym prokuratora, który by coś takiego zakwestionował.

– Myśli pani, że grożą mi kłopoty? – zapytała jak nadąsane dziecko.

Pokręciłam głową.

– Jeśli pozwolę, żeby aresztowano panią za zemstę z użyciem kotów, to zjem swoją licencję prawniczą i zajmę się smażeniem frytek, okej? Kiedy przyjedzie policja, proszę wyglądać tak skromnie, jak tylko się da w tej sukni, i pozwolić, żebym głównie ja mówiła.

– Czy niepowiedzenie o tym, że pozwoliłam kotom bawić się w jego ubraniach, jest niezgodne z prawem?

– Jeśli nas o to nie zapytają, w ogóle nie poruszymy tego tematu. A nie zapytają – rzekłam z roztargnieniem.

A więc Clark jej nie okradał. Wślizgiwał się do domu i niszczył wszystkie ulubione rzeczy żony po to tylko, by zrobić jej na złość. Nie mogłam się już doczekać, kiedy poznam tego topiącego buty i sikającego do szminek kolesia i przekonam się, jak wygląda bez dodatkowych ozdób. Czysta złośliwość jego małostkowych ataków stawiała go na schodach szaleństwa równie wysoko jak Oakleigh. Poza tym miał jakiś sekretny sposób na wchodzenie i wychodzenie z domu, no i wiedział, kiedy nikogo w nim nie ma.

– On panią obserwuje – powiedziałam. – Domyśliła się pani tego, prawda? Zjawia się zaraz po pani wyjściu z domu.

– Myśli pani? – Jej to rzeczywiście nie przyszło do głowy. Potwierdzało to moją teorię, że jest jedynie wyjątkową suką, a nie kryminalnym mózgiem planującym morderstwo doskonałe przy użyciu uroczych kociąt. Moje słowa sprawiły, że wróciła paskudna wściekłość, którą już u niej widziałam. – A to drań!

– Zgłosimy to policji, ale chcę tu przysłać swojego detektywa, który poszuka pluskiew.

– Myśli pani, że Clark mnie nagrywa? – zapiszczała Oakleigh z taką paniką w głosie, że od razu zaczęłam się zastanawiać, z kim się bzyka. Musiałam się przygotować, jeśli istniała szansa, że podczas mediacji Clark rzuci nam w twarz sekstaśmą.

– Nie sędzę. Proszę się uspokoić. Gdyby rzeczywiście panią filmował, zobaczyłby, co zrobiła pani z kociakami.

W ogóle się nie uspokoiła.

– Wynajął kogoś, kto mnie śledzi?

– Możliwe – odparłam. Równie dobrze sam mógł ją obserwować.

Potrzebowałam Birdwine'a, ale nie miałam zamiaru odrywać go od poszukiwań Hany. Nawet gdyby Oakleigh płonęła, a on miał przy sobie jedyną pozostałą na świecie gaśnicę. Żałowałam, że nie mam dodatkowych Birdwine'ów, co najmniej trzech albo czterech. Zdumiewające, ale niektórzy nie mieli żadnego. Będę musiała skorzystać z usług ludzi Nicka, którzy przeszukają dom i wybadają, w jaki sposób Clark omija zainstalowany alarm.

– Jak on się tu dostaje? – zapytał Julian. Bystry chłopak, podążał moim tokiem myślenia.

– Nie wiem – odparłam. – Ale dowiemy się tego. A potem albo zamkniemy dom na cztery spusty, albo zainstalujemy kamery...

– Pieprzyć to. Niech stoi otwarty. Niech on tu wejdzie. A wtedy go zastrzelę – przerwała Oakleigh. – Mieszkamy w Ameryce. Wolno mi strzelać do włamywacza, no nie?

Julian znieruchomiał, ale ja przewróciłam oczami.

– Proszę nie planować w mojej obecności zabójstwa, pani Winkley. Jeśli rzeczywiście go pani zabije, a potem będę musiała pani bronić, od moralnej strony okaże się to bardzo nieciekawe. – W moim głosie słychać było znudzenie, co powiedziało Julianowi, że nie traktuję poważnie jej groźby. Moi współnicy przekazywali mi najbardziej nieprzyjemne rozwody, więc takie groźby to dla mnie nie pierwszozna. Słyszałam je setki razy, ale żaden klient nie zrealizował swoich pogroźek. Przynajmniej na razie.

– To nie jest śmieszne – oświadczyła skrzekliwie. Stukając obcasami o podłogę, przeszła do części telewizyjnej. – Mamy dwa pistolety, jeden w sypialni i jeden tutaj. – Wysunęła dużą szufladę i zaczęła wyciągać z niej stare piloty i pozwijane przewody, rzucając je na podłogę. Następnie wyjęła schowaną z tyłu drewnianą skrzynkę. – Clark mi go kupił, na wypadek gdyby podczas jego nieobecności ktoś się włamał. No cóż, miałby nauczkę, gdyby... – Urwała, kiedy otworzyła skrzynkę. Była pusta. Oakleigh zbladła i wytrzeszczyła oczy; nie ma nic brzydszego niż zdradzona miłość. Kiedy ponownie się odezwała, jej twarz wykrzywiła się i zamarła w grymasie wstrętu. – A to drań. A to drań. Ukradł moje pistolety!

Znajdowaliśmy się teraz kilka poziomów powyżej średniej nawet jak na moje sprawy. Wstałam i uniosłam ręce.

– Okej, uspokójmy się. Proszę to zamknąć. Schować wszystko z powrotem do szuflady. Policja może się zjawić w każdej...

Nie słuchała. Biegła już do holu. Usłyszeliśmy, jak wali obcasami w schody, chcąc sprawdzić drugi pistolet. Nie minęła minuta, a usłyszeliśmy mrozący krew w żyłach stek przekleństw, a więc tam także nic nie znalazła.

– A niech mnie! – szepnął Julian. – Czy ona...

Machnęłam ręką.

– To trochę dużo, te koty, mocz i kradzież broni, ale widywałam gorsze przypadki.

Wcale jednak nie byłam tego taka pewna, także tego, czy mówiłabym takim uspokajającym tonem na przykład do Verony. Ale Julian wydawał się bardzo zaniepokojony, a nie był przecież moim pracownikiem. Był kimś innym.

– Powiedziała, że go zastrzeli – powiedział nieustająco zdenerwowany.

Słyszeliśmy, jak Oakleigh chodzi na górze tam i z powrotem i zajmuje się czymś, co brzmiało jak terapia krzykiem i rozbijanie komody siekierą.

– Jestem przekonana, że zrobiłaby to, gdyby teraz stanął przed nią, a ona miałaby pod ręką broń. W takiej chwili każdy mówi poważnie. Ale w tysiącu na tysiąc jeden przypadków ta chwila mija.

– A co z tym jednym przypadkiem?

– Czyta się o nim w gazetach.

– Powinniśmy... powinnaś pójść do niej?

Pokręciłam głową i usiadłam obok Juliana, aby wygodnie zaczekać na sofie, aż Oakleigh nieco się uspokoi. Policją się nie martwiłam. Nie spotkałam jeszcze gliniarza, który na wieść o tym, że użytą bronią był kociak, poświęciłby tej sprawie więcej niż pięć minut. Kiedy przyjadą, złożę doniesienie o włamaniach. I kradzieży pistoletów. Nie lubiłam broni. Jeszcze bardziej nie lubiłam jej w rękach Clarka Winkleya. W wypadku tak nieprzewidywalnego rozwodu fakt, że jedno z małżonków posiada broń, nie było dobrym pomysłem. Zawsze był możliwy tysiąc pierwszy przypadek. Ale przynajmniej odgłosy na górze stały się cichsze.

– Słyszysz? Uspokaja się.

– Ludzie się tak nie zachowują – rzekł.

– Oczywiście, że się zachowują – odparłam i poczułam ulgę, że moja opiekuńczość wobec tego chłopaka ma swoje granice. Nie chciałam, aby się bał, ale nie mogłam też pozwolić, żeby jego optymistyczny światopogląd pozostał niezachwiany. – Każdy ma to w sobie. Nie rozwódź się nigdy, Julianie.

Zachichotał nerwowo.

– Nie mam nawet żony.

– To jedyny pewny sposób na uniknięcie rozwodu – rzekłam. A potem, ponieważ wcześniej zapytał mnie o coś niemożliwego: co zrobimy, kiedy Hana się znajdzie, dodałam: – Zakładanie rodziny to niebezpieczna sprawa.

Podniósł na mnie wzrok znad kociąt.

– Jeśli mówisz teraz o nas, to pamiętaj, że chodzi o coś zupełnie innego. My szukamy małej dziewczynki.

A niech mnie, jaki ten chłopak był bezpośredni. Przyglądałam mu się z kamienną twarzą. Hana nie będzie niezapisaną dziecięcą kartką ani dziesięcioletnim telewizorem. Dziewczeta w jej wieku były w najlepszym wypadku czasochłonne, kłopotliwe i trudne. Wiedziałam o tym, gdyż sama taka kiedyś byłam. Dziewczynka, której szukamy, miała skomplikowaną przeszłość. Julian uważał, że rzuci się nam w ramiona uradowana jak pies ze schroniska? My nie byliśmy Kai. Byliśmy nikim dla Hany. Zaangażowałam się dlatego, że widziałam w niej siebie i swoje dzieciństwo, ale ona nie zobaczy we mnie siebie. Nic jej nie będzie łączyło ze słodkim, wychowanym pod kloszem Julianem. Mnie samej trudno było wyobrazić sobie, jak wyglądało jego dzieciństwo, a byłam przecież

dorosła.

– Czy kiedy byłeś dzieckiem, jadaliście z rodziną kolacje? – zapytałam.

Zmarszczył brwi.

– No tak, jadaliśmy wspólnie kolacje.

– Przy stole? We troje? I rozmawialiście o tym, jak wam minął dzień, albo o planach na jutro?

– Tak, ale to przecież normalne.

– Mmm. Co potem robiliście?

– Po kolacji? Nie wiem – odparł. – Czytaliśmy albo oglądaliśmy telewizję. Ja i moja mama lubiliśmy gry planszowe. No co? To nic nadzwyczajnego.

– Myślisz, że tak będzie z nami? Z tobą, ze mną i z Haną? Zapiekanka z tuńczykiem, a potem rummikub?

– Nie – rzekł, a po chwili dodał: – Nie na początku.

W tych czterech słowach ujrzałam całą wyimaginowaną przyszłość, radosną, w różowych barwach, formującą się w jego głowie. W ogóle nie przypominała tego, co ja sobie wyobrażałam: rodzina Frankensteina poskładana z martwych kawałków. Ten chłopak niewiele paskudnych rzeczy widział w życiu – świadczyła o tym jego reakcja na zachowanie Oakleigh. Nie był przygotowany na Hanę ani na „po” czy „my”. Ja także, jeśli mam być szczerą, ale przynajmniej realistycznie postrzegałam rzeczywistość.

– Julianie, być może w ogóle jej nie znajdziemy. A jeśli znajdziemy, nie będzie dziewczynką z kucykami, rodem z serialu z lat pięćdziesiątych. Ona...

– Wiem, Paula – przerwał mi. – Nie wychowały mnie troskliwe misie.

– Okej, okej – rzuciłam lekkim tonem, chcąc go udobruchać. – Ale podejrzewam, że w domu sprzątaję ci krasnoludki.

– Właśnie że nie – oświadczył jeszcze bardziej rozeźlony. – A moja mama nie wyciera kurzu w perłach na szyi i... – Urwał i jego wzrok stał się szklany. – To znaczy nie wycierała. Byliśmy normalną rodziną.

– Przepraszam. – To nie była dobra taktyka wobec chłopca, który niedawno stracił matkę. Kai wybrała mu dobrych rodziców; mogliby się okazać nawet świetni, gdyby nie umarli. – Nie chcę cię denerwować, ale to, co nazywasz normalną rodziną, jest chlubnym wyjątkiem.

Moje słowa miały go uspokoić, stało się jednak dokładnie na odwrót. Po jego policzku spłynęła duża łza i zdjął kotki z kolan.

– Myślisz, że nie dam sobie rady? Myślisz, że jestem za miękki? Albo za głupi? Co? – Głos miał ochryply.

Nie miałam pojęcia, jak to się stało, że rozmowa szybko wymknęła się spod mojej kontroli.

– Na górze jest moja klientka i nie powinnam poruszać tutaj tego tematu – oświadczyłam zdecydowanie.

Wstał gwałtownie i udał się do miejsca, gdzie Oakleigh narobiła bałaganu. Czarny zeskoczył z sofy, a zaraz za nim Biały. Julian przykląkł i tyłem do mnie zaczął zwijać kable. Uznałam, że w ten sposób bierze się w garść, ale wtedy odwrócił się do mnie i zobaczyłam, że po jego policzkach płyną kolejne łzy. Jego oczy wydawały się dużo starsze od reszty ciała. Ponownie się odezwał, cicho, głosem pełnym napięcia.

– Jestem twardszy, niż mogłoby się wydawać, wiesz? Rok temu taki nie byłem. Ale teraz? Kiedy umarł tata, zostałem sam. Tylko ja i moja matka przez tych kilka ostatnich tygodni. To było... – Zawahał się, a niezwiniony kabel zadrżał w jego dłoniach. Szukał odpowiedniego słowa, ale nie potrafił go znaleźć. Ujął to więc inaczej. – Zmieniłem jej pieluchę. Pod sam koniec, w hospicjum. Tamtego dnia salowym był mężczyzna. Normalnie trzy kobiety pracowały na zmianę i trzymałem się od tego z daleka. Ale tamtego dnia jedna z nich zachorowała i zastępował ją mężczyzna. Był starszy, mniej więcej w jej wieku.

Kiedy mówił, trzęsącymi się dłońmi nie przestawał zwijać kabla. Czarny rzucał się na poruszający się koniec; kociak był uroczy i niezbyt pomocny. Patrzyłam na niego zamiast na drżące dłonie mojego brata.

– Czułem to, wiesz? Że trzeba... czułem. Zamierzałem pójść po salowego, ale ona zaczęła płakać. Przez większą część czasu nie kontaktowała, ale nie tamtego popołudnia. Trzęsła się i z trudem połykała powietrze. Zobaczyłem, że płacze, więc pochyliłem się nad nią i zapytałem: „Co się stało, mamo?”. Mama i tata byli ze sobą od liceum. Powiedziała mi, że żaden inny mężczyzna nie widział jej nigdy bez ubrania. Nawet lekarze, do których chodziła, byli kobietami. Była wtedy już taka chuda jak wysuszona wersja mojej matki, a skórę miała tak luźną, że aż zwisała jej z kości.

Oakleigh była na górze, a chłopak teraz otwarcie płakał. Byłam jak sparaliżowana w obliczu jego samotności i smutku i, co gorsza, nie potrafiłam przestać się zastanawiać nad tym, czy Kai pod koniec też była taka krucha i bezradna? Czy ktoś z nią był? Nie chciałam słyszeć niczego więcej, ale on mówił dalej.

– Patrzyła w sufit i płakała, a ja opowiadałem o prowadzonym przez nas kiedyś dzienniku obserwacji ptaków i ją oporządzałem. Zmusiłem się do tego, żeby nie mieć odruchu wymiotnego, bo nie chciałem, żeby to usłyszała i żeby było jej przykro. Było strasznie, ale to zrobiłem, ponieważ była moją matką. Tym właśnie jest rodzina, Paula. To właśnie robi rodzina, a Hana nie ma żadnej. Więc musimy nią dla niej być. Chcę, żebyśmy zrobili dla niej coś dobrego. Musimy, i nie wiem, dlaczego jesteś tak cholernie przerażająca. Próbuję się z tobą zaprzyjaźnić, ale co rusz odnoszę wrażenie, że się ze mnie śmiejesz albo mnie nienawidzisz. Jesteś jednak tym, co mi pozostało. A my jesteśmy tym, co pozostało Hanie. Mamy we troje tylko siebie...

Na końcu podniósł głos, ale potem mu się załamał i Julian spuścił głowę i cicho szlochał. Po sześciu pełnych napięcia sekundach odwrócił się do mnie plecami i zaczął chować do szuflady pilota i kable, odsuwając delikatnie kocięta. Nadal płakał, kiedy oba próbowały wdrapać się do szuflady. Zamknął ją, po czym otarł dłonią twarz.

– Wcale cię nie nienawidzę – powiedziałam cicho. – Jeśli chcesz wiedzieć, to ty także cholernie mnie przerażasz.

Przygarbił się i dalej pociągał nosem. Nie miałam pojęcia, co zrobić z płaczącym chłopakiem w domu mojej okropnej klientki, zwłaszcza takim, który mi opowiedział, jak wyglądała jego matka, gdy była chora i powoli umierała.

Jedno było pewne: jego także Hana dopadła niczym biologia. Błędnie go oceniłam. Ciekawe, czy on również odczuwał to jako bicie serca „znajdź ją, znajdź ją, znajdź ją”.

A tymczasem na górze zrobiło się niebezpiecznie cicho. Oakleigh w każdej chwili mogła zejść. Uświadomiłam sobie, że moje skrępowanie wynika bardziej z troski o Juliana niż o siebie. Nie chciałam, by pełne pogardy oczy tej kobiety widziały mojego brata zapłakanego i z sercem na dłoni. Podeszłam do niego i wręczyłam mu kluczyki.

– Przepraszam – powiedziałam najłagodniej jak potrafiłam. – Jestem kiepska w czymś takim. Zaczekaj w samochodzie, dobrze? Załatwię tutaj wszystko najszybciej jak się da, a potem porozmawiamy.

Wziął kluczyki, nie patrząc na mnie, po czym cicho wyszedł.

Do diaska, niedobrze to wszystko rozegrałam i źle zrozumiałam Juliana na wielu płaszczyznach. Musiałam zrobić miejsce nie tylko dla Hany, ale i dla niego. Przynajmniej w przerośni. Ale nie w tej chwili. Wypuściłam powoli powietrze z płuc i podziękowałam bogom, że potrafię szufladkować.

Zadzwoiłam z komórki do kancelarii prawnika Clarka, Deana Macona. Zostawiłam wiadomość na poczcie głosowej, że teraz to ja reprezentuję Oakleigh. Zeszła, gdy kilka minut później do drzwi zadzwoniła policja. Pozostała część popołudnia okazała się prosta. Policjanci tylko pobieżnie zainteresowali się sprawą kociąt. Złożyliśmy oficjalne doniesienie na Clarka. Po wszystkim Oakleigh udała się na górę, żeby wziąć kąpiel, ja zaś zadzwoniłam do agencji detektywistycznej współpracującej z Nickiem. Poprosiłam, by jak najszybciej przysłali tu kogoś, kto przeszuka dom i wybada, w jaki sposób Clark dostaje się do środka.

Czekając na detektywa, wyszłam do samochodu. Julian siedział na fotelu pasażera i czytał coś w telefonie. Kiedy wsiadłam, zerknął na mnie z wyraźnym zażenowaniem, chociaż po łzach nie było już śladu i tylko oczy miał lekko spuchnięte.

– Przepraszam, że się rozkleiłem – odezwał się. – To naprawdę stresujący dzień.



Machnęłam ręką i bez żadnego wstępu zapytałam:

– Co ty na to, gdybym zaproponowała ci pracę do końca lata?

Zaśmiał się zaskoczony.

– Jasne, ponieważ dzisiaj tak świetnie sobie poradziłem.

– Mówię poważnie. Mógłbyś przychodzić w te dni, gdy nie pracujesz w pizzerii, raz albo dwa razy w tygodniu. Stopniowo moglibyśmy lepiej się poznać.

Na jego twarzy malowała się niepewność.

– Nie jestem pewny, czy pasowałbym do tego, no wiesz, bezwzględnego środowiska.

Dotarło do mnie, że nie wiem, co studiował w Berry, i zrobiło mi się wstyd, że tak mało pytań mu zadałam. I dzisiaj, i wcześniej na Facebooku. Zapytałam więc:

– Co studiujesz?

– Psychologię. Chcę być terapeutą. Z całą pewnością nie nadaję się na prawnika.

– Nie zawsze jest tak stresująco – odparłam. – Weź ten staż. I tak potrwa tylko do końca lata. Mogę ci obiecać rozkosznie nudne odbieranie telefonów, kiedy Verona wyjdzie na lunch. No i nie zapominajmy o stosach dokumentów do nudnego ewidencjonowania.

– Okej, tym mnie kupiłaś. – Udało mi się przywołać uśmiech na jego twarz.

– Wspominałam, że będziesz dostawał dwadzieścia dolców za godzinę?

– A niech to, obudziła się we mnie miłość do ewidencjonowania! – Spojrzał na brzydki dom w stylu kolonialnym. – Za dwadzieścia na godzinę mógłbym nawet pokochać panią Winkley.

Pieniądze były czymś bardzo względnym. Dla niego to majątek, ale ja mogłam mu płacić z własnej kieszeni – tak jak Catherine, kiedy na okres letni zatrudniła swojego najstarszego syna – i wcale bym tego nie odczuła. Dzięki temu będę mogła mu przelać trochę pieniędzy. Jeśli woda robi się za zimna, za głęboka, pojawiają się w niej rekiny, albo po prostu zbyt mokra, będzie dysponował środkami, żeby oddalić się do niewinnego świata Berry College.

Nie sądziłam jednak, że to zrobi. Ten chłopak był nieugięty i równie mocno jak ja pragnął odnaleźć Hanę. Musiałam to uszanować i znaleźć sposób na połączenie naszych wizji dotyczących przyszłości.

– No to umowa stoi? – zapytałam.

Kiwnął głową, a gdy uścisnęliśmy sobie dłonie, za nami zaparkował detektyw z agencji Nicka.

Okazało się, że Clark wymontował czujnik z okna w łazience na piętrze i przeprogramował system alarmowy tak, żeby go nie rejestrował. Aby dostać się do okna, musiał przemknąć chyłkiem przez ogród sąsiadów, wejść na drzewo i ześlizgnąć się po stromym dachu. Detektyw sprawdził tę drogę i okazało się, że

jest możliwa do pokonania, ale cholernie niebezpieczna. Skoro Clark to robił, musiał być w dobrej formie fizycznej, ale kiepskiej psychicznej. Ryzykował życie więcej niż raz, żeby nasikać do kosmetyków Oakleigh i zniszczyć jej buty.

Na oknie z powrotem zainstalowano czujnik. Chociaż chętnie umieszczę w domu kamery, nie chciałam, żeby wślizgnął się tu pewnej nocy i ją udusił. Zakładając, że ona nie załatwiłaby sobie kolejnego pistoletu i pierwsza by go nie zabiła.

Następnego ranka wkroczyłam do kancelarii z czekiem od Oakleigh i umową. Rzuciłam je od niechcenia na biurko Nicka, jakbym była dawną Paulą, która regularnie zajmowała się sprawami PDBD i otrzymywała wysokie honoraria. Nagrodą był jego znajomy uśmiech. W tym nowym wspaniałym świecie, w którym po znalezieniu Hany czekała nas jakaś przyszłość, musiałam na cito naprawić stosunki ze współnikami. Będzie mi potrzebny urlop, gdy zajmę się wprowadzaniem młodszej siostry w nowe środowisko. Dziesięć kolejnych dni spędziłam na zaznajamianiu się ze wszystkimi otwartymi sprawami i listą naszych klientów, nabijając jakąś potworną liczbę godzin. Kiedy już wszystko sobie poukładałam, w mojej głowie pojawiła się niepokojąca myśl: być może tak właśnie wyglądało wicie gniazda.

Cały czas czułam jednak na sobie badawczy wzrok Nicka, który często w ciągu dnia zaglądał do mnie, żeby sprawdzić coś zupełnie niepotrzebnie. A gdy minęły kolejne dni, nie dopadł mnie żaden napad paniki i nie wzięłam żadnej sprawy *pro bono*, moi współnicy wyraźnie się odprężyli. Atmosfera w kancelarii znowu się ociepliła.

Kiedy ogarniał mnie niepokój, kiedy moje serce przyspieszało, wybijając wołanie „znajdź ją, znajdź ją, znajdź ją”, przypominałam sobie, że nie tylko ja tak czuję. Julian także czekał, a Birdwine intensywnie pracował.

W końcu pojawiły się wieści, ale nie były dobre. Birdwine przysłał mi mejl bez żadnego tytułu. Nie napisał nawet „Moje wyniki”, ponieważ ich nie miał. Czułam, że jest mu wstyd, gdyż nawet się nie podpisał:

*Prześledziłem ich trasę przez cztery stany, a potem ślad się urwał. Nie ma nic. Zupełnie nic, Paula, i nic już nie jestem w stanie zrobić. Wracam do domu.*



## Rozdział 8

Joya siedzi bokiem na moim łóżku. Pokoje są małe, mieszczą się w nich tylko dwa łóżka, wspólna toaleta i szafa. Na dole jest pokój z biurkami do odrabiania pracy domowej, starą granatową sofą, kozetką i wielkimi poduchami robiącymi za fotele, ale Shar, Karice i Kim praktycznie obsiakały to terytorium. Joya dzieli pokój z Kim, więc pozostaje nam mój. Możemy wykopać z niego Candace, oprzeć się o ścianę, siedzieć ramię w ramię i nogi mieć poza łóżkiem. Po półtora roku wyczuwam na materacu zagłębienie w miejscu, gdzie zawsze leżę.

Dzisiaj jestem nie w sosie. Przesunęłam się do odrapanego wezgłowia, tak że nasze ramiona się nie stykają. Joya albo tego nie zauważa, albo ma to gdzieś. Jest tak rozradowana, że nie potrafi usiedzieć w bezruchu. Patrzę na nasze bose stopy, moje dwie, potem przerwa, a potem jej dwie. Ma małe stopy i okrągłe palce. Wysuwa je i zaciska, jakby machały. Wesołe stopy, machające na do widzenia.

– Przez ciebie całe łóżko skacze – mówię. Moje stopy są większe, bardziej kościste i zupełnie nieruchome.

– A ty się zachowujesz jak jędra – odparowuje Joya, ale się uśmiecha. Ja nie.

Nasze głosy wydają się takie donośne w panującej tutaj ciszy. Jesteśmy naprawdę same i cały domek mamy dla siebie. Cała reszta poszła na stołówkę do głównego budynku. Pani Mack powiedziała, że przyniesie mi kanapkę, jeśli chcę zostać z Joyą. Joya wybierała się ze swoją mamą do prawdziwej restauracji. Zamówią smażony stek, tłuczone ziemniaki i deser i będą świętować, ponieważ Joya już tu nie wraca. Wszystkie swoje rzeczy spakowała do dwóch toreb, które stoją teraz na dole.

Im dłużej czekamy, tym większy czuję żal i rozgoryczenie. Powinna była szybko ją uściskać, powiedzieć „cześć” i pójść na stołówkę.

Ale to by oznaczało siedzenie w pojedynkę. Podczas posiłków czarnoskóre dzieciaki i dwóch białych chłopaków, którzy mówią i ubierają się jak czarni, zajmują stoliki pod oknami. Białe dzieci, łącznie z Candace, siedzą niedaleko drzwi. Jest tylko czworo Latynosów. Trzymają się razem i siedzą na jednym końcu ośmioosobowego stołu najbliżej kuchni, rozmawiając ze sobą po hiszpańsku. My, Maciemamy, zajmujemy drugi koniec ich stołu. Przez ponad rok byliśmy jedną małą nacją, ale teraz widzę, jaki bywa problem z Maciemamami: wraca czyjaś mama. Nie moja.

Gdybym siedziała sama na stołówce, dostałabym przynajmniej ciepły tost z masłem czosnkowym. Tutaj, gdy patrzę, jak Joya otrzymuje to, czego pragnę najbardziej, skręca mnie z głodu, dosłownie i w przenośni.

– Omija mnie wieczór spaghetti – mówię nieprzyjemnie, żeby ją zdenerwować.

– Nie możesz się cieszyć ze mną?

– Cieszę się – odpowiadam. Chciałabym się cieszyć.

– Przemaglowali moją mamę tak, że mało brakowało, a to ty byś wyszła stąd pierwsza.

– Wiem.

Jej mama już wiele miesięcy temu opuściła odwyk i umieszczono ją w ośrodku przejściowym. Mogła odwiedzać córkę, ale zawsze pod nadzorem. Musiała znaleźć pracę, utrzymać się w niej, co tydzień poddawać się testom na obecność narkotyków, odłożyć określoną sumę. Za każdym razem, gdy udawało jej się spełnić jeden wymóg, nakładano na nią kolejny. Ale teraz miała własne mieszkanie w południowej części miasta z miejscem dla Joyi. W zeszłym miesiącu Joya spędziła u niej noc, a potem dwa weekendy. Dziś wieczorem w końcu matka zabiera ją na dobre.

– No to przestań się wkurzać – mówi Joya.

– Nie wkurzam się. – Kai zostały do odsiadki trzy miesiące, a kto wie, jak długo po jej wyjściu będą utrudniać nam życie. – A jeśli nawet, to dlatego, że zostawiasz mnie z taką kupą gówna.

– To znaczy? – pyta. Jest zbyt szczęśliwa, żeby mi dogadywać, ale ja nie daję za wygraną.

– To znaczy Shar i Karice. To ty je stłukłaś, ale Shar nigdy ci nie oddała. Kiedy wyjedziesz, naskoczą na mnie.

Lekceważąco macha ręką.

– Proszę cię, jakbyś nie potrafiła im dołożyć?

Potrafiłabym, i to nawet na pewno. Joya to zrobiła, a ja jestem wyższa, silniejsza i niemal równie nieprzyjemna. Ale one nie są już we dwie.

– Teraz mają Kim.

– Kim nie jest twarda. Tylko wyjmij kolczyki. Dopóki nie załatwisz sprawy z nimi, nie noś nawet wkręcanych. – Siada i podkula pod siebie nogi. Joya lubi opracowywać taktykę. – Najpierw musisz uderzyć Shar, od razu, tak mocno, jak tylko potrafisz. Celuj w twarz, lubi być ładna. Gdy ją powalisz, pozostałe rozbiegną się jak robactwo.

– Dam sobie radę – burczę.

– Jasne – mówi Joya. Patrzy na mnie oceniającym wzrokiem, po czym kiwa głową. – Dasz sobie radę. – To nie jest stwierdzenie. To rozkaz.

– Ty też dasz sobie radę – rozkazuję jej w zamian i tylko trochę słychać w moich słowach żal.

Shar i Karice tak naprawdę nie mają znaczenia. Uczestniczyłam w wielu bójkach. Nie z ich powodu czuję ucisk w brzuchu. Chcę do Kai. Tak bardzo chcę,

żeby Kai tu po mnie przyjechała, że mam wrażenie, jakby setka dłoni zaciskała się na każdym organie w moim brzuchu.

Nie mam już ochoty rozmawiać z Joyą. Ani trochę. Powinnam jak zwykle siedzieć z nią ramię w ramię i czekać. Gdybym tak zrobiła, mogłybyśmy milczeć. Joya nie jest mazgajem ani gadułą.

Ale nie potrafię. Nie potrafię się zmusić do tego, żeby sięść blisko niej. To już nie jest Joya. To jakaś dziewczyna, która mnie zostawia, jakaś dziewczyna, która dostaje to, czego ja tak bardzo pragnę.

Jej jednak się wydaje, że między nami wszystko w porządku. Pomogła mi zaplanować obronę przed Shar, jest więc super. Przysuwa się nieco bliżej. Oczy ma ciemnobrązowe, ale w poświacie zmierzchu wydają się czarne.

– Paula? Będę do ciebie dzwonić, okej? Nadal będziemy się widywać.

Wzruszam niezobowiązująco ramieniem. Rzuciła mi okrucieństwo, ale wystarczająco zdążyłam poznać życie, by wiedzieć, że to nieprawda. Może raz czy dwa zadzwoni. Może nawet będzie chciała mnie odwiedzić. Ale jej mieszkanie znajduje się czterdzieści pięć minut stąd, w innej strefie szkolnej, a jej mama pracuje na pełny etat. Czasu mało, a benzyna kosztuje. Prawda jest taka, że między nami koniec. Chce udawać, że jest inaczej? Pieprzyć ją.

– Mówię poważnie – nie daję za wygraną.

– Zobaczmy – stwierdzam stanowczo. Czy ona nie może się zamknąć?

– Moja mama ma samochód. Przywiezie mnie tutaj.

Wzbiera we mnie ciemność, kiedy Joya mówi, co jej mama ma, co jej mama, która przyjeżdża dzisiaj po nią, robi.

– Nie wrócisz tutaj – oświadczam. – Ja bym nie wróciła i ty także tego nie zrobisz. Chyba że w sikach twojej mamy wykryją narkotyki i z powrotem tu trafisz.

Joya mruży oczy. Tego właśnie najbardziej się boimy, a ja wypowiedziałam to na głos. Nigdy tego sobie nie robimy, nie mówimy o tym, że jej mama może wrócić do cracku, a mojej mogą nie skrócić odsiadki. Nie kusimy losu.

Mówimy o tym, jakie są mamy i co będziemy z nimi robić i o czym rozmawiać, kiedy po nas przyjdą. Z tysiąc razy słyszałam o kolacji, na którą Joya wybiera się dzisiaj do Demy's Blues-N-Burgers. Wiem, że na ścianach wiszą tam zdjęcia Hound Doga Taylora i Muddy'ego Watersa. Ziemniaki tłuczone z cheddarem i szczypiorkiem opisała mi tyle razy, że mam wrażenie, jakbym zjadła je dawno temu. Ona wie, że kiedy Kai wyjdzie z więzienia, naszym pierwszym wspólnym posiłkiem będą jej słynne naleśniki ze skórką pomarańczową. Kai zawsze pomagała mi malować mój pokój i bez końca debatowałyśmy nad tym, jaki kolor powinnam wybrać. Szczegółowo planujemy nasze życie z matkami, jakby ich przybycie było czymś stuprocentowo pewnym. Każda inna opcja byłaby nie do zniesienia. To milczący pakt, który nas łączy, który czyni z nas Maciemamy. Łamię naszą najsekretniejszą i niewypowiedzianą głośno zasadę.

– Tak się nie stanie – mówi Joya i w jej głosie słyszę coś więcej niż ostrzeżenie. To okienko, propozycja. Zrobiła miejsce, żebym mogła cofnąć swoje słowa.

– Mam nadzieję. Ale sama wiesz, jak jest. – Wzruszam ramionami, jakbym żałowała, że szanse jej mamy są bardzo małe.

Joya klęka i prostuje się, jak tylko może.

– Tak się nie stanie i o tym wiesz. Powiedz to.

Mam w ustach gorzki smak, ale jest on także przyjemny jak masło cytrynowe. Ja także klękam, jestem wyższa od niej i zakładam włosy za uszy, by się przekonała, że nie potrzebuję jej głupich rad. W uszach już dawno nie mam kolczyków.

– Jestem po prostu szczerą. Głupio robić taki cyrk z pożegnania, skoro za sześć tygodni tu wrócisz. O ile twoja mama wytrzyma tak długo.

Joya kręci głową.

– Mnie tu już nie ma, suko. Mnie nie ma, ale twoje żalosne dupsko tu zostaje. – Mówi głośno, a w jej czarnych oczach iskrzy słabość. Dokopałam jej i czuję się z tym naprawdę świetnie.

– Na razie, ale nie widzisz, żebym płakała z tego powodu – drwię. Mówię to, jakbym była twardsza, niż jestem. Ale nikt taki nie jest. Nikt, kogo znam.

Joya nachyla się w moją stronę. Tak blisko, że czuję na twarzy jej gorący oddech.

– Ale będziesz płakać. Twojej mamie lesbie podoba się w tamtym więzieniu. Nie chce po ciebie przyjechać. Woli tam zostać i się pukać.

Moje usta mimowolnie drgają. Joya wie, że sprawa z Rhondą mnie gryzie. Nie chcę, aby Kai czuła się tak samotna, że musi mieć więziennego chłopaka, albo, jeszcze gorzej, żeby wymieniała swoją urodę i ciało na dłuższe rozmowy przez telefon i pomarańczowe koperty i znaczki. Dlatego właśnie ta kłótnia jest tak niebezpieczna. Obie znamy swoje słabe punkty. Trafiam w jeden z jej.

– No cóż, twoja mama wróci do kurwienia się. One zawsze wracają.

– Kto zawsze wraca – mówi Joya, ale to jest wyzwanie, nie pytanie. Rzuca mi wyzwanie, żebym to powiedziała. W jej głosie słychać obietnicę bólu i pragnę tego. Chcę, żeby rzuciła się na mnie z zębami i paznokciami. Lepiej czuć ból na zewnątrz, na skórze.

– Kurwy – odpowiadam. To podłe, ale jakże dobrze się z tym czuję. – Kurwy takie jak twoja mama. Twoja mama kurwa.

Jestem gotowa na jej atak. Chcę, żeby mnie uderzyła. Zasługuję na to. Powiedziałam coś wyjątkowo podłego.

Nie wyobrażam sobie, że cokolwiek może ją powstrzymać przed rzuceniem się na mnie, ona jednak znajduje w sobie potrzebną do tego siłę. Jej oczy błyszczą jak wyszczerbiony onyks. Przechyla głowę i zbliża się ku mnie, jakby

w zwolnionym tempie nachylała się do pocałunku. Przesuwa się jednak w bok i jej usta znajdują się przy moim uchu.

– Odszczekasz to. Możesz mnie pocałować w tyłek, ponieważ wiem, co zrobiłaś. Przemyciłaś wiersz twojej mamy do jej chłopaka. – Gorący oddech owiewający mi twarz jest gorszy niż pięści. – Mogłabym cię wydać. Mogłabym zbić cię teraz na kwaśne jabłko i zabrać kuferek. Zachowałaś wiersz, a to dowód. Wtedy nie ma co liczyć na wcześniejsze zwolnienie. Dobiorą jej się do tyłka. Będziesz tu tak długo, aż staniesz się pełnoletnia.

Wszystko we mnie spowite jest w czerni. Nie oddycham i nic nie mówię. Zrobiłaby to. Zbyt mocno założyłam jej za skórę.

Jej ciało pozostaje blisko mojego i wiem, że jest gotowa się na mnie rzucić. Jestem większa, ale ona jest cholernie twarda. Jeśli przegram, nie mam wątpliwości, że to zrobi. Zabierze kuferek i dokopie Kai.

Odchylam się, żeby widziała moje oczy. Nie okazuję strachu. Znam Joyę. Niezawodnie potrafi wyczuć słaby punkt. Nie mogę go więc mieć. Zachowuję spokój i kręcę głową drwiąco, jakby powiedziała coś tak słabego, że aż zabawnego. Uśmiecham się lekko.

– Mam gdzieś, czy moja mama tam zdechnie. To ja wsadziłam ją do więzienia.

Wypowiadam te słowa cicho, a mimo to słyszać w nich siłę. Prawda zawsze brzmi tak bardzo prawdziwie. Joya to słyszy. Prawda w samym środku jest tym, co sprzedaje kłamstwo.

– Co? – pyta. Mruga nawet powiekami. Tak ją zaszokowałam, że nie ma już nade mną przewagi.

– Wezwałam gliny, kretyńko – mówię. Nigdy wcześniej nie wypowiedziałam tych słów na głos. Wyrażają największą prawdę, mój największy sekret. Jakże dobrze się czuję, mogąc je wypowiedzieć, wyznać wszystko dziewczynie, która nie udzieli mi rozgrzeszenia. Znienawidzi mnie za to. Zrobiłam coś, czego ona nigdy by nie zrobiła. – To ja wrobiłam Kai.

Opada na kolana.

– Dlaczego?

– Bo ze mną zadarła – odpowiadam. Joya zna już jeden sekret, który może nas zniszczyć; teraz podaję jej na tacy kolejny, gorszy. To ryzykowna strategia, ale muszę ją wykorzystać, by odpuściła. Nachylam się ku niej. Każde słowo to niewiele więcej niż oddech. – Zachowałam ten wiersz jako swoje zabezpieczenie. Jeśli mi podpadnie, sama go pokażę cholernemu kuratorowi Kai. – Robię pauzę. Chcę mieć pewność, że Joya rozumie tę ostatnią część. – Nie ma granicy, jeśli chodzi o to, co zrobię komuś, kto ze mną zadrze. Rozumiesz? Nie ma. Własną matkę wsadziłam do pudła, bo wywiozła mnie z Asheville, a ten wiersz zachowałam, żeby móc zrobić to ponownie. Jeśli ze mną zadrzesz... jak myślisz,

co ci zrobię?

Patrzy mi niepewnie w oczy, balansując na granicy niedowierzania i chęci rzucenia się na mnie. Nie mrugam. Ani razu. Nie poruszam się ani na milimetr. A potem ona spuszcza wzrok.

– Ty zimna narkosuko – mówi tak, jakby zwracała się do innych czarnoskórych dzieciaków. Albo do Candace, żeby ją nastraszyć. Do mnie nigdy tak nie mówiła. Otwiera oczy i teraz jest kimś nieznanym, kto macha między nami ręką. – Z nami koniec. I tak nie potrzebuję twojej nędznej dupy, bo jadę do domu.

Wzruszam ramionami, ale jej cios zawiera prawdę. Jedyne, co Joya musi zrobić, żeby wygrać, to zostawić mnie tutaj, o czym obie wiemy. Opuszcza brodę i to by było na tyle. Schodzi z mojego łóżka i idzie na dół, żeby tam czekać na mamę. Ja jestem Rzymem stającym za nią w płomieniach. Ona się nie ogląda, a ja nie płaczę. Maciemamy to zgłiszcza i popiół, jakbyśmy nigdy nie istnieli.

Nigdy więcej nie widziałam Joyi. Nie rozmawiałam o niej i starałam się nie wypowiadać w myślach jej imienia. Dopóki podczas studiów nie trafiłam na porządną darmową terapię. Moja terapeutka w Emory wyjaśniła mi, że sposób, w jaki zakończyliśmy naszą znajomość, nie był u dzieci naszego pokroju niczym nadzwyczajnym. Powiedziała, że tak wiele zdążyliśmy stracić w swoim krótkim życiu, iż wołałyśmy kauteryzować nasze rany, jeszcze zanim się pojawiły. Zniszczyliśmy naszą relację, zanim zrobił to czas.

Przed laty miałam klientkę, która przypominała mi Joyę. Była to jedna z moich wczesnych spraw *pro bono*, rekompensata dla karmy, nie licząc comiesięcznych czeków dla Kai. Dziewczyna dopiero skończyła osiemnaście lat, była drobnej budowy, miała skórę w kolorze mlecznej czekolady i oczy tak ciemnobrązowe, że wydawały się czarne. Klasyczny przykład syndromu sztokholmskiego. Alfonsa nazywała swoim chłopakiem i za krycie jego tyłka groziło jej dziesięć lat.

Kiedy wkroczyłam do akcji, skończyło się to tak, że za kratki trafił alfons, a mojej klientce sąd nakazał terapię i pięć lat nadzoru sądowego. Po wszystkim uściskała mnie, drżąca, a ciało miała delikatne i drobniutkie jak u wróbelka. Tamtego wieczoru wypiałam trochę za dużo bourbona i zadzwoniłam do Birdwine'a. Powiedziałam, że mam zlecenie, za które zapłacę ja, nie kancelaria, co zazwyczaj znaczyło, że chodzi o sprawę *pro bono*. Podałam mu imię i nazwisko Joyi.

Powinno być więcej rozumu. Ba, znałam wskaźnik recydywy, wiedziałam, że rzadko historie osób pokroju Joyi mają szczęśliwe zakończenie. Statystyki mówiły, że jeśli jej mama trafi do dawnego środowiska, odnajdzie dawnych znajomych, wróci do dawnych nawyków, to pociągnie za sobą Joyę. Córki kokainistek i prostytutek prawie nigdy nie uczyły się w szkole dla higienistek



stomatologicznych, nie mówiąc o Yale. Ale Joya była twarda. Miałam nadzieję. Głupią i usilną nadzieję. Na tyle mocną, żeby zadać to pytanie.

Birdwine szybko ją znalazł, bo była karana. Narkotyki i prostytutka. Kiedy miała dziewiętnaście lat, zginęła w strzelaninie między gangami w południowej części Atlanty.

– Nie mam zbyt wielu szczegółów – powiedział Birdwine. – Czarna dziewczyna pracująca na ulicy, raczej szkoda było na nią papieru. – Jego burkliwy głos był podejrzanie łagodny. – Mam grzebać głębiej?

Przez krótką chwilę milczałam. Przepęłniało mnie zupełnie niemądre pragnienie, żeby odnalazł kelnera, który lata temu obsługiwał stoliki w Demy's Blues-N-Burgers. Chciałam się dowiedzieć, czy Joya i jej mama dobrze się wtedy bawiły. Potrzebowałam dowodu, że nasze rozstanie nie zepsuło jej przyjemności ujrzenia, jak zajeżdża samochód jej mamy, i smakowania ziemniaków z serem i szczypiorkiem.

Ale niemal w tym samym momencie, gdy ta myśl pojawiła się w mojej głowie, odsunęłam ją na bok. Przecież miałam okazję przekonać się, jak wiele trzeba, by zepsuć radość wywołaną tym, że ktoś – najlepszy i najdroższy na świecie – przyjeżdża po ciebie, tak jak obiecał. Bez względu na to, co wydarzyło się później, tamta kolacja na pewno się udała.

– Nie – powiedziałam. – Przyślij mi rachunek.

– To było na koszt firmy – odparł, po czym, zanim się rozłączył, dodał: – Przykro mi z powodu twojej przyjaciółki.

Albo jego śledztwo okazało się na tyle dokładne, by nas ze sobą powiązać, albo po prostu wyczuł mnie i uznał, że to sprawa osobista. Tak czy inaczej było to łąbskie. Wtedy właśnie uznałam, że warto przymknąć oko na jego ciągi. Od tamtej pory wykorzystywałam go do wszystkich znaczących spraw i nigdy nie żałowałam tej decyzji. Aż do teraz. Aż do mejla, w którym mi napisał, że zgubił Hanę. Swobodnie spadała zagubiona w tym samym świecie, który pochłoniął Joyę. Chciałam wypytać Birdwine'a, przejrzeć zgromadzone przez niego akta, przekonać się, czy może czegoś nie przeoczył. Ale był niedostępny.

Wiedziałam, gdzie jest. Kiedy zniknął, miejsce jego pobytu nigdy nie pozostawało tajemnicą. Zawsze udawał się do tego samego miejsca: Alkoholu. Alkoholu nie było na mapach Google'a, a podróż do Alkoholu trwała tyle, ile trwała.

Byłam zniecierpliwiona, ale nie byłam zła. Birdwine był, jaki był, i gniew by tego nie zmienił i nie dałby mi szybciej tego, czego chcę. Kiedy tylko wynurzy się na powierzchnię, podbuduję go i wyciągnę z niego informacje. A jeśli mi się nie uda, wyrwę mu je siłą.

Trzy razy dziennie, przed pracą, w czasie przerwy na lunch i po zjedzonej przy biurku kolacji, jechałam do Birdwine'a i czekałam. Ale nie w samochodzie.

Pierwszego ranka wczołgałam się do środka przez klapę dla psa i wyjęłam z biurka zapasowy klucz. Gdyby próbował to zrobić ktoś obcy, Looper odgryzłby mu twarz, ale na mój widok bardzo się ucieszył. Cieszył się, drzemiąc obok mnie na sofie, cieszył się, oddychając i odkrywając na nowo, że świat jest pełen powietrza. Psy łatwo było zadowolić.

Trzeciego dnia mojego czuwania Julian miał wolne w Mellow Mushroom. W południe zjawił się na „staż”. Byłam zawalona robotą, przekazałam go więc Veronie. Około siódmej wysłałam go po chińszczyznę, żebym mogła coś zjeść i jednocześnie pracować, i zapytałam, czy chce zostać dłużej i jechać potem ze mną do domu Birdwine’a.

W samochodzie przed domem Oakleigh mówiłam poważnie. W dni, w które zjawiał się w kancelarii, zabierałam go na lunch, zadawałam mu pytania i przyzwyczajałam się do jego zwyczaju rzucania się na mnie i ściskania przy każdym powitaniu i pożegnaniu. Teraz ja także go ściszałam, starając się pozwalać mu być moim bratem w bardziej namacalny sposób, niż jakbym wypełniała na Facebooku ankietę pod tytułem „Jak dobrze znasz Juliana?”. Uznałam, że byłoby dobrze, gdyby chłopak rzucił okiem na sąsiedztwo Birdwine’a.

A sąsiedzi byli różni: czarni, biali i brązowi, młodzi i starzy; część zatrzymywała się tutaj na chwilę w drodze do jakiegoś lepszego miejsca, dla innych było to zesłanie. Po drugiej stronie ulicy miały swoją siedzibę rękodzielnik, *taquería*, w której śmierdziało koniną i sprejem na karaluchy, oraz zapuszczony męski zakład fryzjerski. Dwa domy dalej znajdowała się melina narkomanów, w której kwitła sprzedaż. Na całej ulicy panował niebezpieczny klimat niepewności, który dobrze znałam z większości rozdziałów swojego dzieciństwa. Hana też go znała.

Kiedy zajechaliśmy przed dom Birdwine’a, zobaczyłam, że drzwi wejściowe są otwarte. Na środku trawnika siedział Looper; wyglądał na zmartwionego i miał cierpiętnicze spojrzenie.

– Cholera! Jest w domu – rzuciłam i zaparkowałam na krawężniku. Spodziewałam się, że zobaczę go nie wcześniej niż jutro.

Kiedy tu jechaliśmy, Julian praktycznie nie zwracał uwagi na rozpadające się domy i dziury w jezdni, gdy jednak zorientował się, że dotarliśmy na miejsce, od razu się wyprostował.

– Tutaj mieszka? – zapytał.

– Aha.

Kiedy wysiedliśmy, od razu usłyszeliśmy dochodzące z domu głośnie walenie. Looper podbiegł do mnie i wcisnął pod moją rękę swoją wielką kwadratową głowę. Poklepałam ją, a on od razu się odwrócił i przebiegł kilka kroków w stronę drzwi, po czym zatrzymał się i zerknął na nas wyraźnie niespokojny.

– Wiem, piesku. Pan wrócił do domu – powiedziałam do niego.

Julian znieruchomiał, wysiadając z samochodu.

– Czy to... ten wielki koleś? Tutaj?

Wydawał się zdenerwowany. Zdążyłam zapomnieć, że miał okazję poznać Birdwine'a u mnie w pracy. Ja miałam wtedy atak paniki, a Birdwine o mało nie rzucił się na niego.

– Aha. – Usłyszeliśmy jakiś łomot. Birdwine nie robił dobrego drugiego wrażenia. – Gdyby dom płądował jakiś nieznajomy, Looper rozrywałby go teraz na strzępy – wyjaśniłam. Słyszac swoje imię, Looper zamachał ogonem i zrobił kolejny krok w stronę drzwi, starając się nakłonić mnie do tego, żebym poszła za nim. Oparłam się o samochód. – Jeszcze nie, piesku.

– Jak możesz być taka spokojna? – zapytał Julian. Drzwi od strony pasażera były jeszcze otwarte, a on obracał głowę raz w jedną, raz w drugą stronę, lustrując ulicę. Przypomniało mi się, jak podczas jednej z kolacji emocjonował się tym, że sąsiadka o imieniu Marietta pozwoliła, aby mniszek lekarski przeszedł na jego trawnik.

– Jeszcze nigdy nikogo nie zabił – zapewniłam. Widziałam już Birdwine'a na końcu jego ciągu. Nie miałam żadnych złudzeń odnośnie do tego, co zobaczymy w środku. – Może nie będzie tam ładnie, ale nie niebezpiecznie.

– Mam wrażenie, że ktoś nas obserwuje – oświadczył Julian, rozglądając się niepewnie, ale zamknął w końcu drzwi i stanął obok mnie. – Czujesz to?

– Nie – odparłam, ale gdy o tym wspomniał, uświadomiłam sobie, że jednak tak. Ostatnio w kancelarii czułam się jak pod ostrzałem i przyzwyczyłam się do dziwnego prądu przebiegającego po mojej skórze. – To pewnie ten meliniarski sklep wielobranżowy dwa domy dalej. Diler ma oko na ulicę. – Nie tylko ze względu na gliny; czasami stara pani Carpenter, która mieszkała w domu między nimi, wychodziła na ulicę w samym staniku. Pilnowali jej zarówno Birdwine, jak i diler.

Moje wyjaśnienie nie uspokoiło Juliana, ale przynajmniej w domu zrobiło się cicho. Oczekałam jeszcze minutę, po czym zdecydowałam się wejść. Nie chciałam dawać Birdwine'owi czasu na odpłynięcie.

– Możesz tu poczekać, jeśli chcesz. – Odkleiłam się od samochodu i podniosłam rękę z kluczykami. – Pozwolę ci włączyć radio.

Julian zawahał się i przełknął ślinę. Słońce niemal zaszło.

– Nie. Chodźmy.

Salon wyglądał tak, jakby atak na niego przypuścił niedźwiedź. Drewniany fotel nadawał się już tylko na podpałkę, a ława została przewrócona do góry nogami i częściowo wepchnięta do kominka. W płytach gipsowych widniały dziury i pęknięcia. Jakby cały pokój nieźle wkurzył Birdwine'a i postanowił kijem bejsbolowym dać mu nauczkę. Kij był pęknięty i leżał na środku podłogi.

Z kuchni dobiegało głośnie, niezbyt melodyjne nucenie. A więc skończył z dewastowaniem mebli, ale był jeszcze przytomny. To dobrze.

Looper wskoczył na szeroką, obitą kraciastym materiałem sofę i opadł na fragmenty płyty gipsowej, które na jego futrze wyglądały jak płatki śniegu. Położył głowę na łapach i poruszając brwiami patrzył to na mnie, to na Juliana. Cokolwiek się działo w dalszej części domu, był to problem ludzi. On zaczeka tutaj.

– Tchórz – powiedziałam, a on uderzył o sofę ogonem. I tyle.

Kiedy szłam w stronę kuchni, Julian deptał mi po piętach. Denerwował się, ale odnosiłam wrażenie, że zapewnia mi wsparcie. Znowu go nie doceniłam, kiedy uznałam, że wszedł ze mną do domu dlatego, iż na dworze robiło się ciemno. Ten dzieciak był lepszym psem niż Looper, na wskroś lojalnym.

Znaleźliśmy Birdwine’a przy kuchence w okropnym kolorze awokado. Jeden elektryczny palnik świecił na pomarańczowo, a patelnia, pełna rozbitych jajek, znajdowała się na sąsiednim, zimnym palniku. Birdwine stał tyłem do nas, nucił i mieszał jajka, które w ogóle się nie smażyły. Kiedy weszliśmy, obejrzał się przez ramię. Wyglądał jak nieboskie stworzenie. Lewe oko było tak spuchnięte, że niemal niewidoczne, a w kącikach ust miał zaschniętą krew.

– Mmm, Pau – wymamrotał, co miało być powitaniem. Był tak pijany, że wystarczyło, że odwrócił głowę, a cały się zachwiał jak człowiek stojący na małej łodzi pośrodku morza. – Smżejajsznis. – Smażę jajecznicę.

– Moim zdaniem jesteś na najlepszej drodze do wzniesienia pożaru – odparłam.

Obdarzył mnie niechlujną wersją swojego szerokiego uśmiechu, który zawsze lubiłam, prezentując diastemę. Zęby miał nadal wszystkie, tak mi się przynajmniej wydawało.

– Boże, wolę nie wiedzieć, jak wygląda ten drugi – szepnęła Julian, mrugając szybko.

– Nie ma żadnego drugiego – odparłam.

Birdwine wracał ze swoich ciągów z połamanymi zębami, chwiejącymi się zębami i nowymi, ekscytującymi garbami na długim nosie. Kiedyś się martwiłam, że przez przypadek ktoś zabije. Był wielki, no i potrafił się bić. Ale on ani razu nie miał złamanego palca czy choćby siniaków na knykciach; na zakończenie popijawy wkurzał ludzi, a potem zbierał cięgi.

Kuchnia była duża, z miejscem na duży stół z drewnianym blatem i dwa krzesła. Na stole stał otwarty stary laptop Birdwine’a, wielka, powolna bestia, którą nazywałam laptozaurusem. Podeszłam do niego i zerknęłam na ekran.

Był zalogowany na Facebooku, co mnie tak zdziwiło, że musiałam się upewnić. Birdwine nie był obecny w mediach społecznościowych. Chyba że pijany próbował pracować, a strona miała związek z Haną? Miałam ochotę usiąść na krześle i zacząć szukać, ale rękaw Birdwine’a wisiał niebezpiecznie nisko nad

włączonym palnikiem. Porzuciłam laptop i podeszłam do kuchenki.

– Julian, dokończysz robić jajecznicę? Umiesz, prawda? – zapytałam, łapiąc Birdwine’a za ramiona i odwracając go od kuchenki.

– Każdy umie – odparł z przesadną jowialnością.

Przepchnęłam Birdwine’a przez kuchnię. Chwiał się, ale krok za krokiem szedł w kierunku, który mu wskazałam.

– Słuchaj, Birdwine, to Julian, pamiętasz go? – A do Juliana rzuciłam: – I nalej mu wody.

Posadziłam Birdwine’a na pustym krześle, po czym sama zajęłam drugie, bliżej komputera. Facebook był otwarty na stronie niejakiej Stelli Martin. Jej posty były pełne zdjęć czegoś, co wyglądało na rodzinne wakacje nad morzem. Nie znałam żadnych Martinów, ale imię coś mi mówiło.

– Strasznie dużo tu skorup – odezwał się Julian. – Myślę, że wszystkie jajka wbił ze skorupami.

Zerknęłam na chwiejącego się na krześle Birdwine’a.

– Zostaw to. Wyłącz palnik i przynieś wodę – rzuciłam do Juliana, a potem wymamrotałam do siebie: – Stella, Stella, Stella. Kim jesteś?

– Stellaaaaa! – ryknął nagle Birdwine niczym pijany Marlon Brando.

Julian podskoczył i z brzękiem upuścił do zlewu patelnię z jajkami. Birdwine zarechotał.

Popatrzyłam na niego surowo.

– Widzisz coś na temat Hany? – zapytał Julian.

– Jeszcze nie wiem. Birdwine? Tu chodzi o moją sprawę? Co? – Do diabła, powinnam była mu kazać zdawać codzienną relację. Ale tego nie chciałam. Byłam bardzo zajęta tym, żeby nie myśleć o miejscach, w których Hana może się znajdować, ani o tym, co Birdwine może znaleźć. Próbowałam też poprawić swoje notowania w kancelarii.

Nie odpowiedział. Zdjęcie profilowe Stelli Martin przedstawiało atrakcyjną, nudną jak flaki z olejem blondynkę około czterdziestki. Wszystkie ostatnie posty dotyczyły rodzinnych wakacji. Przejrzałam sporo zdjęć Stelli z głupkowatym piegowatym mężczyzną, którego oznaczyła jako „Mężuś”. Mieli gromadkę dzieci: nastoletniego chłopca, który był już wyższy od matki, a oprócz niego stadko blondwłosych dziewczynek. Najstarsza mogła mieć z dziesięć, może jedenaście lat – była w wieku zbliżonym do Hany, ale oprócz tego nie widziałam żadnego związku.

Wtedy sobie przypomniałam. Była żona Birdwine’a miała na imię Stella. Ta, która mówiła na niego Zachary. Zostawiła go dla innego faceta i mieszkała teraz na Florydzie.

– Pisziesz coś na tablicy swojej Stelli, Birdwine? – zapytałam. Zamierzałam zrobić to cicho i zaskoczyło mnie, jak głośny i ostry okazał się mój głos.

– Nie-e – odparł. – Tykjosieze. – Tylko ją śledzę.

– Co się stało? – zapytał Julian. Znalazł duży plastikowy kubek z Hulkiem i nalewał do niego wodę z kranu. – Kim jest Stella?

Oparłam się. To były bzdety związane z byłą żoną, a nie sprawa Juliana. Moja też nie, jeśli mam być szczerą, ale i tak przebiegłam wzrokiem po stronie i zobaczyłam, że Birdwine jest zalogowany jako Jennifer James.

Mój głośny głos zapytał:

– Kto to jest Jennifer James?

– Ja – odparł, tym razem wyraźnie, Birdwine. Powinien się ograniczać do odpowiedzi jednosylabowych.

– Na co patrzysz? – zaciekawił się Julian, przynosząc wodę. Podał kubek z Hulkiem Birdwine'owi, a ten zaczął żłopać wodę w chciwy, mało apetyczny sposób.

– Nie chodzi o Hanę. Za chwilę przeszukam inne pliki, okej? Czy mógłbyś...

– Urwałam, szukając w głowie jakiegokolwiek powodu, żeby pozbyć się Juliana z kuchni. Chciałam zapytać Birdwine'a, czemu, u licha, śledzi swoją byłą żonę. Poza tym potrzebowałam trzydziestu sekund, żeby wziąć się w garść. – ...zmienić mu pościel? Powinniśmy położyć go do łóżka, a pewnie jest obrzydliwa.

Julian wyglądał na zaniepokojonego.

– Chcesz, żebym grzebał mu w szufladach i szukał pościeli?

– Komplet na zmianę znajdziesz w bieliźniarce. Wąska szafa w połowie korytarza, obok łazienki. A sypialnia jest na samym końcu.

– Dobrze znasz ten dom, co? – zapytał, przechylając głowę.

– Julian, proszę cię. W każdej chwili może zasnąć, a wtedy za cholere nie uda nam się go przenieść.

Zacisnął usta i wyglądał jak pełne dezaprobaty króliczki, których zdjęcia krążą w internecie, ale poszedł.

Spojrzałam ponownie na ekran. Niegdyś Stella Birdwine, obecnie Martin, była jedną z tych osób, które akceptowały każde zaproszenie do grona znajomych. Miała ich prawie sześciuset, ułatwiając Birdwine'owi sprawę; mógł wymyślić sobie profil, wysłać jej zaproszenie, a potem oglądać jej życie, jakby to była telewizja.

– To się wydaje naprawdę zdrowe – odezwałam się do niego.

Kiwnął głową i ruch ten sprawił, że mało brakowało, a spadłby z krzesła. Miałam ochotę pozwolić mu spaść. Pozwolić, by obił się jeszcze bardziej. Czym było jedno limo więcej?

Lepsze pytanie – czemu tak bardzo wkurzył mnie fakt, że wzdycha do Stelli? Nie lubiłam implikacji. Zanim wyruszył na poszukiwanie Hany, dotarło do mnie, że kiedyś był we mnie zakochany. Nie zadałam sobie wtedy pytania uzupełniającego. Czy ja byłam zakochana w nim?

Musiałam być, przynajmniej trochę.

Nie zauważyłam tego. Ale z perspektywy czasu widziałam, że systematycznie zabijałam w sobie to uczucie. Nie musiałam się nad tym zastanawiać. Wiedziałam jak. Miałam w tym dużą praktykę.

W liceum zakochałam się w swoim najlepszym przyjacielu Williamie. Raz się z nim przespałam. Ba, to z nim pierwszym poszłam do łóżka, ale nigdy nie doszło do powtórki. Zaczęłam się bzykać z facetami z college'u, a Williamowi pomogłam zdobyć dziewczynę jego marzeń. Skończyło się tak, że przyjaźnimy się we trójkę. Na studiach prawniczych mnie i Nicka połączyło coś, co mogło się przerodzić w poważny związek. W pewnym momencie on tego chciał. Dałam mu jasno do zrozumienia, że nie jestem zwolenniczką monogamii, opowiadając mu o swoich podbojach tak, jakbyśmy byli kumplami od kieliszka. Zaczęłam się zachowywać jak jego skrzydłowy, zarówno podczas pozorowanych procesów, jak i wtedy, gdy zaczynała mu się podobać jakaś dziewczyna. Seks się skończył, a lata później staliśmy się współnikami.

Potem Birdwine. Popatrzyłam na niego, posiniaczonego, cuchnącego jak padlina. Mój Boże, nie zabiłam tego, co nas łączyło. A przynajmniej nie sama. Jasne, był moim współpracownikiem i przyjacielem, a role te miały znacznie dłuższy okres przydatności do spożycia niż bycie moim kochankiem; tak się stało w wypadku Nicka i Williama. Ale wtedy przestałam szukać nowych mężczyzn. Dałam sobie spokój z późnowieczornymi telefonami do swoich byłych. I z całą pewnością nie dążyłam do tego, żeby zwracał uwagę na inne kobiety.

Nieważne. Ten sukinsyn świetnie sobie radził ze śledzeniem byłej żony.

Oko miał bardzo mocno spuchnięte. Wstałam i zajrzałam do zamrażalnika. Obie tacki na lód były puste. Znalazłam jednak paczkę mrożonego groszku.

– Trzymaj – powiedziałam, przykładając groszek do jego oka. Coś zaburczało, ale dał radę unieść wielką łapę i przytrzymać foliowy woreczek z warzywami. Śmierdział starym potem i jeszcze starszym bourbonem.

Kiedy próbowałam się odwrócić, wolną ręką chwycił mnie za nadgarstek. Popatrzył na mnie jednym okiem i wymamrotał ciąg niecierpliwych słów.

Dopiero po chwili dotarło do mnie ich znaczenie.

Mam w dupie Stellę.

Patrzył mi w oczy i raczej nie kłamał.

– A co mnie to obchodzi. – Mój głos złagodniał i wyglądało na to, że jest inaczej.

Nie zachowywałam się, jak to ja, w stylu „wszystko albo nic”, chociaż pozornie Birdwine wydawał się w moim typie: wyluzowany, popaprany na tyle, żeby można o nim zapomnieć. Ale nie zapomniałam, prawda? Zabawne, zawsze mówiłam sobie, że Birdwine jest zbędnym udogodnieniem, lecz moje wcześniejsze zachowanie świadczyło o czymś zupełnie innym. Śledziłam go, żeby przywołać na

swoją orbitę. Traktowałam go tak, jakby był Nickiem albo Williamem: czymś doskonałej jakości.

A tu proszę, okładałam mu twarz groszkiem i wkurzałam się, że obserwuje w mediach społecznościowych byłą żonę. Niemal tak, jakby miłość pozostawała kwestią otwartą. Niemal tak, jakbym chciała Birdwine'a dla siebie, zarówno w życiu, jak i łóżku.

No cóż, dzisiaj na pewno nie w łóżku. Nie pijanego i śmierdzącego. Nie z czającym się w pobliżu młodszym bratem, który w tej norze czuł się równie skrępowany jak w rezydencji Oakleigh Winkley.

– Paula? – zapytał Julian. Już wrócił. Zobaczył, że Birdwine trzyma mnie za rękę i nasze twarze są blisko, i podbił stawkę w swojej grze w dezaprobatę: przyjął rolę pruderyjnej i religijnej ciotki. – Myślę, że pościel na zmianę jest jeszcze brudniejsza od tej, którą teraz ma ubraną.

Wyprostowałam się i strząsnęłam z siebie rękę Birdwine'a. Zresztą zmiana pościeli i tak by nic nie dała. Tak cuchnął, że rano trzeba pewnie będzie spalić łóżko. Przypomniało mi się, że gdy byliśmy razem, zawsze miał w domu czystą pościel. Miał odpowiednią motywację. A więc teraz sypiał sam? Nie spodobało mi się to, jak bardzo mnie ucieszyła ta myśl.

Zaczęłam go podnosić z krzesła.

– Pomożesz mi?

Julian podszedł i złapał go z drugiej strony i razem udaliśmy się do sypialni. Dla mnie to była znajoma ścieżka. Nigdy nie przypuszczałam, że będę nią iść w towarzystwie nadopiekuńczego młodszego brata.

Birdwine mocno się o nas wspierał.

– Gdzie masz akta Hany? – zapytałam go.

Wybełkotał kilka słów, których nawet ja nie byłam w stanie przetłumaczyć, po czym opuścił rękę i położył mi dłoń na tyłku.

– Nawet o tym nie myśl – oświadczyłam, a on znowu pijacko zarechotał.

– Niesymaszytek – wymamrotał.

Usta Juliana zacisnęły się w jeszcze cieńszą linię.

– Wiem – powiedziałam i zostawiłam jego rękę tam, gdzie była. Jeśli wierzyć zdjęciom przedstawiającym Kai, jeszcze wiele lat będę mieć taki tyłek, aczkolwiek ostatnio nie był doceniany.

Pomogliśmy Birdwine'owi przejść przez drzwi i skierowaliśmy się w stronę łóżka.

– Położymy go twarzą do dołu, na wypadek gdyby puścił pawia – rzuciłam do Juliana, który tym razem się nie wzdrygnął. Może i był naiwny, ale był studentem.

Obróciliśmy Birdwine'a i zaraz potem padł na materac. Do poduszki wypowiedział najwyraźniejsze słowa dzisiejszego wieczoru:



– Połóż się ze mną.

Julian wyglądał na zbulwersowanego, ale ja uśmiechnęłam się szeroko, widząc, że w Birdwinie coś się jeszcze tli.

– Ani trochę mnie to nie kusi – oświadczyłam mu. – Ale spróbuj ponownie, gdy wykąpiesz się w wybielaczu. – Mówiłam poważnie, choć rankiem może już tego nie pamiętać.

Spojrzałam na jego zapuchnięte oko. Na kącik pokrwawionych, spuchniętych ust. Wszystkich tych obrażeń doznał, nadziewając się na pięść innego faceta, raz za razem, gdy tymczasem jego dłonie pozostały tak gładkie i bez winy jak u dziecka. Wtedy pomyślałam: „Nie, on nadal jest we mnie zakochany”. Jeśli chodziło o miłość, byłam chodzącym wcieleniem pięści, opakowanym w ładną kobietę z fajnym tyłkiem.

Wyciągnęłam mu koc spod stóp i przykryłam. Julian czekał za mną, a jego zakłopotanie było tak ogromne, że niemal namacalne.

Oddech Birdwine’a stał się głęboki i tubalny. Przywołał Loopera, który przybiegł wesoło i wskoczył na łóżko. Ułożył się w nogach.

– Och, teraz się zjawiasz, ty nic niewarta kupo kłaków – rzekłam i potarł mi uszy.

Wycofaliśmy się z sypialni. Julian zerknął na mnie spod opadających mu na czoło loków.

– No co? – zapytałam.

Oblał się rumieńcem i odwrócił wzrok.

– Zrozumiałaś go? – zapytał. – Gdzie są akta Hany?

– Będziemy musieli poszukać. Sprawdzę komputer, ale to mogą być prawdziwe akta, papierowe. Birdwine jest zwolennikiem starej szkoły. Może się rozejrzysz, co?

Znajdowaliśmy się teraz w salonie i Julian rzekł:

– Chcesz, żebym przetrząsnął dom potężnego, szalonego, pijanego gościa.

Machnęłam ręką na strzaskane krzesło i przewrócony stół.

– A myślisz, że się o tym dowie?

– Punkt dla ciebie.

Uśmiechnęłam się. To było coś, co ja bym powiedziała, i nawet tak samo modulował głos. Położyłam ręce na jego ramionach i pokierowałam go do stojącego w rogu biurka.

– Zaczynaj tutaj – zaproponowałam, a sama udałam się do kuchni.

Usiadałam przed laptozaurusem i poruszyłam myszką. Pojawiła się strona facebookowa Stelli Martin. Nadal widać było zdjęcie całej rodziny pozującej na tarasie domku na plaży. Na chwilę przestałam oddychać. Teraz, gdy nie skupiałam się tylko na byłej żonie, od razu to dostrzegłam.

Która z tych rzeczy jest inna od reszty?

Jasnowłosa Stella trzymała za rękę wymoczkowatego rudowłosego mężusia. Widziałam, jak ich cechy i ich kolory mieszają się w trzech dziewczynkach. Chłopiec górował pośrodku, ciemnowłosy i rostry.

Cofnęłam się o dwa zdjęcia, do tego, gdzie chłopak stoi na desce surfingowej, wysoki i krzepki, a najmłodsza dziewczynka wspina się po nim, jakby był drzewem. Nachyliłam się, żeby lepiej się przyjrzeć jego twarzy. Miał duże brązowe oczy i opadające powieki. Włosy gęste i sztywne i oliwkową cerę. Był opalony, gdy tymczasem skóra reszty rodziny znajdowała się w różnych stadiach różowości. Zęby miał bardzo proste, ale między jedynekami widać było diastemę.

Znałam ją. Zawsze mi się podobała u Zacha Birdwine'a.

Dokonałam w myślach szybkich obliczeń. Chłopak był wysoki, ale nie miał jeszcze włosów na klatce piersiowej, jedynie trochę na nogach, a jego twarz była jeszcze po dziecięcemu okrągła. Maksymalnie piętnaście lat, minimalnie dwanaście. Tak czy inaczej to czasy przede mną. Jego istnienie pokrywało się częściowo z małżeństwem Birdwine'a.

Wyprostowałam się. Niemożliwe. Pracowałam z nim niemal od dekady. Przez ponad pół roku byliśmy kochankami. Teraz podobno łączyła nas przyjaźń. A tu kawał takiej historii przemilczanej.

Sądząc po zdjęciach, chłopakowi się poszczęściło: miał wakacje nad morzem i stadko uroczych sióstr. Ręka mężusia spoczywająca na ramieniu chłopca wydawała się zaborcza i jednocześnie swobodna. Język ciała całej rodziny wyglądał dobrze: odwracali się ku sobie i lekko nachylali. Wyglądali jak regulaminowo szczęśliwa rodzina. Przynajmniej na Facebooku.

Dlatego właśnie Birdwine go porzucił? Jeśli tak, to była kiepska wymówka. Ten chłopak postrzegał to inaczej. Mimo że pani Mack była miła, nie czułam ulgi ani wdzięczności, kiedy stan Georgia pozbawił mnie towarzystwa matki.

W drzwiach stanął Julian. Twarz miał poważną, a w ręce trzymał szarą teczkę.

– Była w jego samochodzie.

Zminimalizowałam szybko okno przeglądarki. Choć byłam wkurzona, nigdy bym nie wydała Birdwine'a, prezentując jego prywatne życie Julianowi, który i tak go nie lubił. Poza tym nie chciałam patrzeć na szczęśliwą rodzinę prezentującą szczęśliwe historie, które mogły być nawet prawdą. Musiałam się zająć poszarpanymi końcami rodzin, którym się nie udało.

Było nas więcej. Świat był nas pełen, porzuconych i porzucających, pogrążonych w żałobie i złamanych.

– Dobra robota – powiedziałam i wzięłam od niego teczkę. Julian stał nade mną i wykręcał dłonie.

Na pierwszych kartkach znajdowały się notatki z wywiadów sporządzone pochyłym, nieco niewyraźnym pismem Birdwine'a. Na początek wywiad

z Tolliverem, chłopakiem Kai z Austin. Jej nagłe zniknięcie bardzo go zaskoczyło. Nie powiedziała mu nawet, że jest chora, chociaż według niego byli w sobie zakochani. Jasne.

Zerknęłam na Juliana, ale on nie czytał. Nadal wykręcał dłonie, patrząc na mnie.

– Co cię gryzie? – zapytałam.

– Nie wiedziałem, że jesteście parą. Ty i Birdwine.

– Nie jesteśmy – odparłam, przerzucając kartkę.

– Och. Okej. – W jego głosie słychać było niedowierzenie.

– Julian, przestań tak nade mną wisieć. Nie jesteśmy parą – oświadczyłam, a ostatnie zdanie wypowiedziałam głośno i gniewnie. Głównie dlatego, że zaledwie przed kilkoma minutami zobaczyłam kukułcze jajo Birdwine’a podrzucone do gniazda innego faceta i pozostawione. Zastanawiałam się nad nim. Zastanawiałam się nad nami.

Julian usiadł naprzeciwko mnie i położył dłonie na stole.

– No to dobrze. Bo to straszny koleś. I wyraźnie ma problem z używkami.

– No co ty – powiedziałam, przerzucając szybko cztery kolejne kartki. – Daj spokój. To nie jest istotne.

– Ale będzie. Kiedy znajdziemy Hanę. Ten facet, on nie... Nie wygląda na takiego, który by się nadawał dla dziecka.

Zalewa mnie fala gniewu. Gdyby powiedział to pół godziny temu, ostro bym zareagowała. Warknęłabym: „Nie zachowuj się jak uprzywilejowany gówniarz”. Ale między krępującą scenką pod tytułem „Dobranoc, słodki książę” przy łóżku Birdwine’a a tą chwilą zaszła we mnie kolosalna zmiana.

Jedno spojrzenie na syna Birdwine’a porzuconego na Florydzie i moja lojalność zmieniła adresata. Julian rozpaczliwie się starał. Głowę miał pełną optymistycznych planów dotyczących stworzenia Hanie rodziny. Birdwine tak gruntownie usunął dziecko ze swojego życia, że chłopak nie pojawiał się w ogóle w jego rozmowach.

Część mnie miała ochotę wyjść stąd teraz z teczką i zlecić tę cholerną sprawę nowemu detektywowi. Takiemu, którego nie znałam. Najlepiej kobiecie.

Mimo to nie mogę pozwolić, by ta naiwna opinia Juliana pozostała bez komentarza. Powiedziałam więc spokojnie:

– Uważasz, że Birdwine to nie nasz typ, rozumiem. Ale nie ma czegoś takiego jak nasz typ, mój i twój. Jasne, że Birdwine to dupek. Tyle że to jest mój typ. A dziewczynka, której szukamy? Ona także będzie moim typem. Myślisz, że to... – Machnęłam ręką, mając na myśli zdezelowany dom, szemraną okolicę i nieprzyjazne spojrzenia na ulicy – zraniłoby jej wrażliwe uczucia? Skarbie, ty jako dziecko miałeś Małą Ligę i posiłki z piramidy żywieniowej, ale Hana pochodzi z takiego właśnie miejsca, gdzie ludzie porzucają innych ludzi,

wykorzystują ich albo zjadają w całości.

Kiedy mówiłam, Julian robił się coraz bardziej czerwony, więc umilkłam, zanim stracił panowanie nad sobą.

– Wiem – powiedział, a w jego głosie nie było śladu gniewu. – Ale czy nie na tym polega ratunek? Zabierasz kogoś z miejsca, które jest złe. Zabierasz do lepszego miejsca. Nie idealnego. Nie ma miejsc idealnych. Zabierasz do miejsca najlepszego, jakie jesteś w stanie zaoferować.

Zamrugałam, spuszczając z tonu. A niech mnie, ileż w tym było prawdy.

Julian po raz kolejny miał rację. Powinnam przyjąć za pewnik, że w kwestiach personalnych orientuje się lepiej niż ja. Nie mogłam wskrzesić mojej matki, sprawić, żeby dzień przed poczęciem Hany poślubiła jej tajemniczego ojca, a potem wysłać ich do domku nad morzem. Ale mogliśmy znaleźć Hanę. Mogliśmy dopilnować, by była bezpieczna i nakarmiona, ponieważ zasługiwała przynajmniej na tyle. Każde dziecko zasługuje przynajmniej na tyle.

– W porządku. Rozumiem cię, ale ty musisz także zrozumieć mnie. Każdy nasz plan zakłada zbyt wiele. Ty zakładasz, że ją znajdziemy. Zakładamy, że Kai nie żyje, ale Hana tak. No i ma dziesięć lat. Możliwe, że zapoczątkowała już jakąś szaloną akcję uratowania samej siebie, tworząc z kimś więź, starając się znaleźć swoje miejsce. Nie możemy niczego planować, niczego nie wiedząc. – W moich słowach było tyle samo prawdy co w jego.

– Okej. To znaczy, że musimy się skupić na tym, co mamy. – Przytaknęłam głową, sądząc, że chodzi mu o akta, ale on dodał: – Na tobie i mnie. Myślę, że zaczyna się z nas robić prawdziwa drużyna.

Znieruchomiałam, ale on uśmiechał się już do mnie, promieniejąc jak pacynka w kształcie słońca. Co za dzieciak! Miał wielką skłonność do budowania gniazda i był w tym uroczy. Nie mogłam powstrzymać uśmiechu, ciesząc się, iż Julian rozumie, że rzeczywiście się staram.

Przerwałam kontakt wzrokowy, zanim przerodził się w radosne powitanie dzieci kwiatów, i przewertowałam kilka kolejnych kartek z zapiskami z wywiadów. Miałam nadzieję, że rzuci mi się w oczy coś, co ponownie nas naprowadzi na ślad Hany. Prawie na samym końcu znalazłam mapę.

Czas stanął w miejscu.

– Co? – zapytał Julian.

Nie byłam w stanie odpowiedzieć. Oddychałam tak ciężko, jakbym właśnie skończyła bieć. Wyciągnęłam z torby kopertę i jeszcze raz przeczytałam wiadomość od Kai.

*Wybieram się w podróż, Kali. Wracam do swoich korzeni.*

Empatyczny Julian stanął natychmiast przy mnie, położył mi rękę na ramieniu i zapytał:

– Wszystko w porządku?

Nie. Birdwine intensywnie pomarańczowym markerem narysował ich trasę wijącą się przez południową część Stanów. Przesunęłam po niej palcem, śledząc wędrówkę Kai. Czy każde mistyczne, pretensjonalne zdanie jej wiadomości trzeba odbierać dosłownie? Od kiedy Kai była dosłowna?

– Patrz – powiedziałam, chociaż Julianowi nic to nie mówiło.

– Na mapę? Czemu? Wiesz, gdzie jest Hana? – zapytał z niecierpliwością dorównującą mojej.

Podniosłam głowę i spojrzałam mu w oczy, oczy mojej matki.

– Jest w moim życiu – odparłam. – Hana jest gdzieś w samym środku mojego życia.



## Rozdział 9

„Tak jest lepiej” – myślę, kiedy za Joyą zamykają się drzwi. Nie płaczę. Płacz nie oddaje tego, co czuję. Nie ruszam się, żeby to, co czuję, nie wyszło ze mnie i nie zamieniło się w dźwięk. A nie wiem, jaki dźwięk. Leżę w bezruchu na łóżku, ale każda komórka mojego ciała kipi jedną myślą: chcę do mojej matki. Chcę do matki tak ślepo jak nowo narodzona mysz. Wewnątrz swojej cichej skorupy rzucam się i drżę. Moje ciało tak bardzo pragnie węszyć i szukać, przyssać się, być ciepłe i pełne.

Słyszę, jak pani Mack, Shar, Karice i Kim rozmawiają i trzaskają drzwiami. Wróciły z kolacji. Nie słyszę Candace, ale to normalne. Zawsze w milczeniu drobi za nimi. Jeśli wejdzie tu i popatrzy na mnie tymi swoimi mokrymi oczami, nie odpowiadam za to, co jej zrobię.

Wtedy rozlegają się wesole odgłosy towarzyszące przyjazdowi mamy Joyi. Słucham, leżąc sztywno i nieruchomo, jak rzeczy Joyi są pakowane do samochodu. Słyszę dorosłe głosy pani Mack i mamy Joyi. Jeśli wstanę, będę je mogła zobaczyć. Okno w naszym pokoju wychodzi na drogę. Ale leżę na łóżku, nawet gdy rozlega się trzask drzwi w samochodzie. Nie płaczę ani nie ruszam się, kiedy słyszę, jak silnik się zapala, kiedy słyszę, jak odjeżdżają, kiedy już nie ma Joyi, kiedy zniknęła w oddali razem ze swoją matką.

Jest dobrze po północy, gdy w końcu pękam. Budzę się sama w łóżku w tej najciemniejszej godzinie i przekonuję się, że policzki mam mokre od łez. Moje ciało kołysze się i drży i muszę dusić w sobie wzbierający we mnie krzyk. Odwracam się do ściany i wypuszczam go do poduszki. Ściskam poduszkę, ale ona nie odpowiada uściskiem. I tak w nią szlocham, gryzę ją, przyciskam do ust, aż niemal się nią duszę.

Odwracam się na drugi bok i piętnaście centymetrów od siebie widzę wpatrzona we mnie wyłupiaste oczy Candace. Zerka ponad krawędzią mojego łóżka jak aligator. Odsuwam się tak szybko, że mam wrażenie, jakbym zostawiła za sobą całą swoją skórę, i w gardle wzbiera mi krzyk. Zamykam usta, zatrzymując go za zębami. Siadam i piorunuję ją wzrokiem, pozwalając, żeby krzyk ulotnił się jako głośny, syczący wydech.

Candace nie rusza się, nadal kuca obok łóżka. W bladym, emitowanym przez budzik świetle widzę połyskujące białka jej oczu.

– Tak głośno buczysz w poduszkę, że nie mogę spać.

Zamiast „mogę” mówi po wsiokowemu „mogie”. Nie mówię ani jak ona, ani jak Joya. Nikt nie mówi tak jak ja i Kai. Nikt nie nosi kolorowych chust i nie

przyznaje się do gry na tamburynie. Ludzie Kai jedzą sardynki w sosie musztardowym i dyskutują o *Tao Kubusia Puchatka*. Wszyscy zajmują się sztuką i popełnianiem drobnych przestępstw: są muzykami z lepкими palcami, upalonymi malarzami, pisarzami produkującymi powieści i czeki bez pokrycia. Nawet Tick, ten rasistowski dupek, był poetą. Ludzie z plemienia Kai mają fajki wodne i dzwoneczki na palce, tak jak typowi Amerykanie mają podkładki pod szklanki. Jesteśmy Cyganami pośród innych Cyganów, zmieniającymi partnerów, miasta, będącymi w nieustannym ruchu, wymyślającymi się na nowo przez siebie i dla siebie nawzajem.

Nikt tutaj nie mówi jak ja, nie rozumie moich aluzji ani nie zna piosenek, przy których się wychowałam. Nie wyglądam jak nikt stąd. Nawet moja więź z Joyą opierała się tym, że tu nie pasujemy.

Pocieram twarz dłońmi i nagle wszystko okazuje się lepsze niż bycie samą. Przesuwam się, robiąc miejsce dla Candace. Unosi się na tyle tylko, by oprzeć brodę na skraju łóżka. Moja propozycja wydaje jej się podejrzana. To precedens. Spanie w moim łóżku zawsze wiązało się z namawianiem albo przekupstwem.

Przyciskam plecy do ściany.

– Wolę, żebyś zajęła siedemdziesiąt procent mojego materaca, niż czołgała się po podłodze i na mnie gapiła. – Próbuję to powiedzieć tak ostro, jak zrobiłaby to Joya, ale nos mam zawalony smarkami i głos mi drży.

Candace przez chwilę się zastanawia, po czym wślizguje pod kołdrę. Leży na plecach i patrzy w sufit.

– Wczoraj nawet gdybym się paliła, nie nasikałabyś na mnie. Płaczesz za Joyą.

– Nie płaczę za Joyą – odparłam i jest to na tyle prawdziwe, że brzmi jak prawda.

– No to czemu?

Komu jak komu, ale Candace nie zamierzam powiedzieć, że tęsknię za mamą.

– Może dlatego, że rano skopią mi tyłek. – Oczy Candace błyszczą w ciemności pełne pytań. – Shar, Karice i Kim. Nie odegrały się na Joyi. Teraz, gdy jej nie ma, zemszczą się na mnie. – Dodaję złośliwie: – Ciebie też pewnie stłuką na kwaśne jabłko.

Candace przełyka głośno ślinę, po czym szepcze:

– Myślisz, że zakradną się tutaj, gdy będziemy spać?

To ostatnie miejsce, w którym dobrałyby się nam do skóry. Pokój pani Mack znajduje się dokładnie pod naszym. Ale Candace nie jest wojowniczką i nie myśli strategicznie. Szeroko otwartymi oczami wpatruje się w drzwi. Łagodnieję i dodaję żartobliwie:

– W każdej chwili mogą tu wparować i nas zabić. Na twoim miejscu

spalabym pod łóżkiem.

Chichocze i odpręża się.

– Nie poradziłyby sobie ze mną – mówi. – Z wyjątkiem Kim.

– Kim jest wielka, ale to na Shar trzeba uważać.

Może i nie płaczę z powodu bójk, ale ona się zbliża. Dobrze mieć między mną a drzwiami kogoś żywego, nawet jeśli jest to Candace. A może dziś w nocy po prostu dobrze jest mieć blisko jakieś ciepłe ciało.

– Naprawdę się boisz? – szepcze Candace, tak jakby sam pomysł, że mogę cokolwiek czuć, był dla niej czymś nowym.

– Kto chce, żeby stłuczono go na miazgę? – pytam retorycznie.

– Mogłabym ci pomóc – mówi niemal wojowniczo. – Gdybyś chciała się ze mną zaprzyjaźnić.

Parskam. Candace wzdryga się na widok mojej uniesionej ręki. Wystarczy, że to robię, a ona się trzęsie i wycofuje jak zbity pies, tyle że pies jest przynajmniej kręgowcem. Candace jest zupełnie pozbawiona kręgosłupa.

– Chciałabym zobaczyć, jak jesteś moją przyjaciółką przy Shar – mówię.

– Wcześniej nie chciałaś – dąsa się. – Ledwie wolno mi było przebywać we własnym pokoju. Jedyne, co mówiła do mnie Joya, to „wynoś się”, a ty jej pozwalałaś.

– Joya to suka. Nie chcę nigdy więcej słyszeć jej imienia – oznajmiam zbyt głośno. Ku swemu zdziwieniu znowu zaczynam płakać. – Mówię poważnie. Nie chcę słyszeć jej imienia. – Płaczę tak bardzo, że nie mam pewności, czy Candace mnie rozumie.

Chyba jednak tak, bo pyta:

– No to nie masz nikogo, co?

Nie odpowiadam, a kąciki ust Candace opadają w zamyśleniu. Po chwili przysuwa się i obejmuje mnie swoimi gąbczastymi ramionami.

– No już – mówi, klepiąc mnie niezdarnie, jakbym była niemowlęciem. – No już, nie smuć się. No już.

Obracam się, zwracając zapłakaną twarz ku ścianie, i nie wyobrażam sobie, żebym kiedykolwiek miała się uspokoić. Leżę i szlocham z tęsknoty za mamą – moją najlepszą, pierwszą miłością – aż jestem sucha i lekka niczym dmuchawiec. Wiatr mnie uniesie i porwie, a Candace może wtedy pomyśleć życzenie.

Jeszcze bardziej się przysuwa, na łyżeczkę, jej kolana wciskają się w moje, brzuch napiera na moje plecy. Kołysze mnie i tuli, powtarzając raz za razem: „No już, no już”. Leżymy tak, aż w końcu mój płacz ustaje. Wpatruję się w ścianę i łapię powietrze. Kiedy tylko cichnę, Candace zapada w mocny, spokojny sen. W końcu ja także zasypiam. We śnie biegnę przez puste i niemające końca korytarze, szukając czegoś. Nie doprowadza mnie do tego żaden z długich korytarzy.



Nadal szukałam. Czasami tym zagubionym czymś była Kai, czasami mała dziewczynka z burzą czarnych loków i oczami w kształcie półksiężyców. Czasami sama nie wiedziałam, czego szukam. Wiedziałam jedynie, że muszę to znaleźć. Biegłam, a od ścian odbijał się echem odgłos moich stóp. Wtedy pomyślałam, że to coś może się znajdować nade mną, w świecie, który jest poza snem. Zaczęłam się unosić ku krawędzi mojego snu. Poczułam inne ciało, uspokajające mnie swoim oddechem i biciem serca. Próbowałam zapytać: „Czy to ty?”. I obudził mnie dźwięk własnego głosu.

Zdezorientowana otworzyłam oczy. Czułam intensywny zapach psa, a w gardle miałam sucho od dawnego płaczu. Rozpoznałam brzydką kratę; twarz miałam wciśniętą w oparcie szerokiej sofy Birdwine’a. Do pleców tulił mi się Looper. Obejrzałam się i spiorunowałam go wzrokiem. Zamachał ogonem i ziewnął, a jego pysk dzieliło zaledwie kilka centymetrów od mojej twarzy.

– Fuj, ale ci zionie z paszczy – oświadczyłam i zaczęłam się gramolić, żeby wstać. Looper przeciągnął się i położył na plecach na ciepłym miejscu, które właśnie zwolniłam. – Ach, te psy. – Podrapałam go po brzuchu.

Ciuchy miałam wygniecione i całe w złotobrazowej sierści, którą widać było zarówno na czarnej spódnicy, jak i białej koszuli. Super. Julian spał jak kamień na rozkładanym skórzanym fotelu. Wczoraj wieczorem zaproponowałam, że odwiozę go do jego samochodu, on jednak nie chciał. Wiedział, że i tak potem tu wrócę.

Zostaliśmy więc oboje. Uruchomiłam swój laptop i zalogowałam się na konto w chmurze. Porównałam swoje pliki z tym, co znaleźliśmy u Birdwine’a, rysując nowe trasy, sporządzając notatki, przeklinając ślamazarne łącze internetowe. Julian naprzemiennie sprawdzał, jak mi idzie, i sprzątał. Zamiótł gips i inne śmieci i ustawił meble na swoich miejscach. Nawet pozmywał. Teraz spał w pozycji szczęśliwego dziecka, na plecach i z rękami wokół głowy.

Podeszłam do niego i potargałam mu włosy; okazały się bardziej miękkie niż sierść Loopera. Wychylił się we śnie ku mojej dłoni, tak jak kwiat unosi się odruchowo ku słońcu. Zabrałam rękę, zanim zdążył się obudzić; byłam urzeczona tym, że choć spał, uznał, iż dotykająca go dłoń ma dobre zamiary. Jego gałki oczne poruszały się. Pozwoliłam mu jeszcze spać.

Nie miałam w sobie więcej delikatności, nie dzisiaj rano. Obudziłam się brzemienna w burze z piorunami i z silnym pragnieniem, by cisnąć je w kierunku Birdwine’a. Słysząc było lecącą w łazience wodę, co znaczyło, że wstał. I kąpał się, co wskazywało na pewną chęć powrotu do świata trzeźwości.

Na mnie jednak nie był gotowy. Miałam ochotę wparować tam, gdy był bezbronny, mokry i nagi, i zapytać: „Co to, kurwa, ma znaczyć?”. Ani razu nie zająknął się, że ma syna, nawet wtedy, gdy byliśmy kochankami. Jediną wskazówkę stanowiło zaangażowanie, z jakim szukał Hany. Od samego początku wyjątkowo mocno się tym przejmował. Kiedy w moim gabinecie mu

powiedziałam, że Kai wymyśliła siebie na nowo jako osobę bez córki, był taki empatyczny, mówiąc: „Rodzic nie potrafi tak zrobić”.

No cóż, on potrafił. Nie było to więc takie trudne.

I pomyśleć, że wczoraj wieczorem stałam nad nim roztkliwiona, niemal współczująca. Przypomniało mi się, jak smutny się wydawał, gdy mi powiedział, że złamałam mu serce. Jasne. Jemu i pewnie kilku jednorożcom; zrobiłam się cięta na postacie mityczne.

Teraz miałam ochotę stanąć z nim twarzą w twarz, żeby mógł zobaczyć, jak bardzo mam go dosyć. Potem pokazałabym mu swoje notatki i nowe linie i kropki, jakie umieściłam na jego mapie, i kazałabym mu ruszyć swoje posiniaczone dupsko i znaleźć moją siostrę. Potem mógł sobie iść, dokąd tylko miał ochotę. Nawet do piekła. Też dostałby ode mnie mapę, gdyby zaszła taka potrzeba.

Teczka Birdwine’a leżała na ławie. Wzięłam ją, ale za bardzo się trzęsała, żebym mogła cokolwiek przeczytać. Dopiero po pełnej sekundzie dotarło do mnie, że to moje ręce tak się trzęsą.

Musiałam wziąć się w garść. Byłam wściekła, rozczochrana i obudziłam się przepełniona tęsknotą za matką, a może tęsknotą za jakimkolwiek ciepłym ciałem w łóżku obok mnie. No cóż, temu drugiemu łatwo można było zaradzić.

W prysznicu ciągle lała się woda, Julian spał jak zabity, miałam więc chwilę. Poszłam do kuchni i zajęłam się parzeniem kawy. W ustach miałam taki smak, jakby cały ten zapuszczony dom wpełzł mi do nich i tam zdechł. Wczoraj wieczorem przeszukałam łazienkę i znalazłam szczoteczkę do zębów, co do której miałam pewność, że jest moja. Na wszelki wypadek wyszorowałam ją w kuchni płynem do mycia naczyń. Teraz ponownie z niej skorzystałam.

Następnie z szuflady z rupieciami wyjęłam taśmę samoprzylepną i usunęłam większość psiej sierści ze spódnicy i bluzki. Od razu poczułam się lepiej. Włożyłam buty i marynarkę. Przygładziłam włosy i związałam je na karku. Na twarz nałożyłam dwuminutową odmianę barw wojennych: matowa skóra, oczy obwiedzione czarną kredką i nieprzyjemne czerwone usta.

Przejrzałam się w małym składanym lusterku i otuchy dodał mi fakt, że w przybliżeniu wyglądam jak najostrzejsza wersja siebie. Na tyle dobrze, by rozprawić się z Birdwine’em. Na tyle nawet dobrze, by jechać stąd prosto do pracy. Zaletą tego, że nieustannie chodziłam w czarnych garsonkach, był fakt, że tylko Verona poznałaby, że noszę tę samą drugi dzień z rzędu. Miała dobre oko, jeśli chodzi o krój i metkę, a do tego cechowało ją charakterystyczne dla dwudziestoparolatków zainteresowanie życiem erotycznym innych osób. Ależ bym ją rozczarowała, gdyby zobaczyła włochatego stwora, z którym dzieliłam sofę. Od teraz będzie tylko lepiej. Najlepszym sposobem na pozbycie się resztek Birdwine’a z mojego organizmu było zaproszenie do niego innego ciała.

Odgłosy prysznicza ucichły. Na stole w kuchni nadal stał jego otwarty laptop.

Wybudziłam go i odwróciłam ekranem w stronę drzwi, tak żeby od razu to zobaczył. Kiedy szedł korytarzem, wlałam kawę do dwóch kubków, jednego zielonego, a drugiego z wymalowanymi stokrotkami i napisem „Nauczyciel roku”. Szkoda, że nie „Ojciec roku” albo „Najlepszy tata na świecie”. Miałam ochotę na odrobinę paskudnej ironii.

Przykuśtykał w starym T-shircie i dzinsach, które wyglądały na jeszcze starsze. Ciemne włosy miał mokre i zaczesane do tyłu, więc wyraźnie było widać wszystkie sińce i rany. Dzięki mrożonemu groszkowi opuchlizna wokół oka nieco zmaląła, ale za to pojawiały się kolory: czarny, fioletowy i spektakularnie śliwkowy. Na jego twarzy widać było udawaną potulność, ale oczy zdradzały, że jest nieufny i czujny.

Nie przeprosił za wczorajszy wieczór. Powiedział mi kiedyś, że nigdy nie przeprasza za picie. Przeprosiny sugerowały obietnicę poprawy i nieustannie przepraszał Stellę. Nie potrafił już znaleźć w sobie wiary koniecznej do wypowiedzenia tych słów, zmęczony obserwowaniem, jak mu to nie wychodzi.

Wtedy zobaczył zdjęcie w laptopie. Wybrałam najlepsze zbliżenie jego syna, stojącego ramię w ramię z mężusiem. Byli już tego samego wzrostu.

Birdwine zatrzymał się i spoważniał. Jeśli miałam jakieś wątpliwości co do tego, czy to jego syn, otrzymałam odpowiedź. Spojrzał mi w oczy, a jego palce uniosły się do skroni.

Wyciągnęłam w jego stronę kubek ze stokrotkami. Po chwili podszedł i go ode mnie wziął. Oparł się o blat naprzeciwko mnie. Milczał. Ja także. Wykorzystywałam tę jego policyjną sztuczkę. Nie czyniłam z tego tajemnicy; patrzyłam na niego wzrokiem boksera, pozwalając, aby cisza stawała się coraz bardziej napięta. Napił się kawy, przyglądając mi się zza brzegu kubka. Wiedział, co robię.

W końcu powiedział:

– W porządku. Zaczniemy od dzieciaka.

Och, świetny początek. Odezwał się pierwszy, a więc wygrałam; na swój sposób jednak mnie przepraszał. Ale pozostało pytanie: jakiego cholernego dzieciaka? Razem mieliśmy ich całe stadko: mój osierocony brat chrapiący na rozkładanym fotelu, moja zaginiona siostra, jego porzucony syn.

– Może zaczniemy od twojego? – zapytałam ostro, oskarżycielsko.

Pozwolił mi wygrać, ale widziałam, że już tego żałuje.

– Naprawdę? Bo ja wiem, gdzie on jest.

– Nie martw się, o Hanie porozmawiamy, gdy Julian się obudzi. Powinien być przy tym

– Okej. Ale nie chcę, żeby był przy tej rozmowie – rzekł Birdwine. Zabrzmiało to jak ostrzeżenie. Porozmawia ze mną o chłopcu, ale ustawiał timer.

– Dobrze. – Staralam się, by mój głos był bezosobowy, jakbym przepytywała

świadka. – Kiedy ostatni raz widziałeś swojego syna?

Spojrzał znacząco na ekran, następnie na mnie.

– Przed sekundą.

Okej, a więc świadek był wrogo nastawiony.

– Osobiście.

– Kiedy miał trzy lata.

– Ile lat minęło od tego czasu?

– Dziesięć.

W pogotowiu czekało już kolejne pytanie, ale odpowiedź Birdwine'a sprawiła, że się zawahałam. Dziwne. Dziesięć lat temu zaczął chodzić na spotkania AA. To chyba niewłaściwa kolejność: zapisać się do klubu AA, a potem przestać spotykać z synem. Większość ludzi przystępowała do programu dwunastu kroków po to, że móc utrzymywać kontakty z dzieckiem. Zmieniłam kurs.

– Czemu go nie widywałeś?

– Nie miałem zaproszenia.

– No i? – warknęłam. To było najmniej bezosobowe przesłuchanie w historii wymiaru sprawiedliwości. – Potrzebujesz zaproszenia? – poprawiłam się.

– Aha.

Birdwine dobrze sobie radził w roli wrogo nastawionego świadka. Da prawnikowi strony przeciwnej dokładnie to, o co się go prosi, ale nic ponadto. Niemniej nie znajdowaliśmy się w sali sądowej. To była kuchnia mężczyzny, którego swego czasu prawie kochałam. A wczoraj wieczorem byłam gotowa przynajmniej spróbować. Teraz miałam wrażenie, że ledwie mi się udało uchylić przed kulą.

– Dlaczego? – zapytałam i zabrzmiało to jak ryk osła, ostro i gniewnie. Nie odpowiedział, co jeszcze bardziej mnie rozeźliło. – Czemu się nie wytłumaczysz?

Wzruszył obojętnie ramionami.

– Nie rozumiem, po co miałbym to robić, Paula.

– Nie? A ja owszem. Przynajmniej zrozumiałabym twoje decyzje, nawet jeśli... – Urwałam. Reszta zdania stanęła mi w gardle. O mały włos nie powiedziałam: „Nawet jeśli nie umiem ich wybaczyć”.

Birdwine uśmiechnął się do mnie smutno i uniósł brwi. Miał rację. Nie było powodu.

Dałam sobie spokój z przesłuchaniem i dodałam bezbarwnym głosem:

– Powinieneś był mi powiedzieć. Wtedy. Kiedy byliśmy parą.

– Jasne. Dlatego, że tak to świetnie przyjmujesz. – To już było bardziej w jego stylu, a gdy mówił dalej, w końcu zrozumiałam, dlaczego mnie zostawił. – Nie mam fajnej historyjki na dobranoc dla laski mającej problemy z odrzuceniem.

– Ale tak wyglądała prawda. – Zrozumienie tego wcale nie złagodziło

mojego gniewu. Zresztą nie chciałam rozmowy, lecz przeprosin; świetnie bym się poczuła, gdybym ich nie przyjęła. – A podobno byłeś we mnie zakochany.

– Aha.

– No to powinieneś był mi powiedzieć, Birdwine, do cholery. Ja chyba też byłam w tobie zakochana.

– Wiem – rzekł z takim smutkiem, pewnością i znużeniem, że ogarnęła mnie przemożna ochota, aby go zranić, wybrać sobie jeden siniak i mocno nacisnąć go palcami albo ugryźć.

Podeszłam do niego, na tyle wysoka w szpilkach, by wcisnąć swoje usta w jego spuchnięte usta, wcale nie ostrożnie. Chociaż na pewno go to zabolało, jego ręka odruchowo powędrowała na moje biodro. Otworzył usta, zaskoczony bólem, i poczułam jego oddech: miętę i nutę starego bourbona.

Przerwałam pocałunek, ale się nie odsunęłam. Patrzyłam mu gniewnie w oczy.

– Niczego nie zaczynam.

– Wiem – odparł, mimo że jego ręka na moim biodrze przyciągała mnie do niego.

Skrzywiłam się.

– Powinieneś to przekazać swoim majtkom.

Pokazał mi diastemę, mimo że taki uśmiech z pewnością go bolał.

– Cholerna romantyczka z ciebie. – Z tak bliskiej odległości czułam delikatny, miedziany, cierpki smak krwi z wczoraj.

– Zrozum, że to było pożegnanie – powiedziałam, jakbym zamykała okno.

– Wiem – rzekł. Opuścił rękę i podszedł do ekspresu, żeby dolać sobie kawy.

Odezwał się dopiero, gdy stanął tyłem do mnie: – Nie tego chcę, ale nic nie mogę zmienić.

Nie wiedziałam, czy chodzi mu o chłopca, czy o mnie.

Nie miało to znaczenia. Tak czy inaczej miłość była krucha. Każda. W swojej pracy pomogłam wielu małżonkom, którzy dochodzili do siebie po niej, ogłupiali albo rozwścieczeni. Wielu z nich rozerwało swoje dzieci na pół i tę miłość także strzaskało. Nawet szalona Oakleigh z morderczymi kociakami kochała kiedyś Clarka Winkleya. Teraz on ryzykował skreśleniem karku, żeby przeczołgać się przez jej dach, nasikać do pudru i zamalować jej twarz na obrazie. Moi klienci, co do jednego, przyrzekali w obecności księży i rabinów, i sędziów i wszystkich swoich przyjaciół i krewnych. Stworzyli dom. Stworzyli dzieci. A potem „i żyli długo i szczęśliwie” zaczęło pękać, aż w końcu zupełnie się rozsypało.

Coś musiało jeszcze łączyć mnie i Birdwine'a, w przeciwnym razie nie czułabym się tak. Nie byłam bliska łez od czasu... nie pamiętałam nawet od kiedy. I wtedy sobie przypomniałam. Od czasu, gdy po raz ostatni widziałam Candace.

Jakieś uczucie względem niego nadal we mnie żyło i będę musiała je zniszczyć. W porządku, w niszczeniu jestem mistrzynią.

Zrobiłam krok w tył, ale okazało się to za mało. Przeszłam więc na drugi koniec kuchni, a on pozostał przy ekspresie. A więc Birdwine i ja kochaliśmy się kiedyś. No i co z tego? Oboje mieliśmy udział w zniszczeniu tego uczucia – on zbyt mało mówił, ja byłam zbyt cyniczna. A teraz proszę. On nadal milczał, a ja nadal byłam cyniczna na tyle, by wiedzieć, że głodne ciało pożywi się czymkolwiek.

– Wracamy do mejli zatytułowanych „Moje wyniki”? – zapytałam. Nie chciałam, żeby teraz odchodził. Jego poplątane życie sprawiało, że chciałam, aby to on zajmował się sprawą Hany. To było coś takiego jak moja praca *pro bono* polegająca na wyciąganiu z więzienia młodych awatarów mojej matki. Żaden inny prywatny detektyw na świecie nie byłby aż tak oddany.

– Od samego początku mówiłem ci, że tego właśnie chcę – powiedział spokojnie. Następnie uniósł brew i dodał drwiąco: – Ale ze mnie szczęściarz, że w końcu to otrzymam.

Lubiłam jego cierpkie poczucie humoru i w innej sytuacji bym się roześmiała. Pomijając pracę, Birdwine i ja skończyliśmy ze sobą tak, żeby znalazło się miejsce na „potem”. Potem zaczynało się teraz.

– Dzień dobry – odezwał się Julian.

Stał w drzwiach, a obok niego Looper z wywieszonym radośnie językiem. Mój brat wydawał się niemal równie zadowolony, ale zmieniło się to, kiedy Birdwine i ja odwróciliśmy się w jego stronę. Looper, niczego nieświadomy, poczłapał, aby precyzyjnie się przez swoją klapę i wyjść na podwórko. Julian pociągnął nosem, jakby w powietrzu nadal unosił się zapach wściekłości i feromonów.

– Birdwine, chyba jeszcze nie poznałeś oficjalnie mojego brata – powiedziałam. – To Julian Bouchard.

– Julian. – Birdwine zrobił krok w przód, niewzruszony jak sterta cegieł, i wyciągnął rękę.

Julian ją uściśnął, patrząc niepewnie to na niego, to na mnie.

– Och, przepraszam. W czymś wam przeszkodziłem. Powinienem być głośniejszy oznajmić swoje przybycie, ale Paula mówiła, że nie jesteście parą.

Milczałam.

– Rzekłbym, że to dość trafne stwierdzenie – odezwał się Birdwine.

Zaskoczyła mnie bezpośredniość Juliana. Mówił prawdę bez ogródek, nawet jeśli była krępująca. To kolejna nasza wspólna cecha, ale nie odziedziczyliśmy jej po naszym nieobliczalnym wspólnym rodzicu. Gen recesywny? A może osobno odziedziczyliśmy go po ojcach? Może Kai gustowała jednak w jednym typie.

– Och, przepraszam. Wyglądacie, jakbyście mogli być... parą. – Julian

spłonął się jak niezamężna ciotka, która przyłapała swoje szpice na migdaleniu się.

– Zjawileś się tutaj na sam koniec historii. Widzisz przewijające się napisy – powiedziałam szybko. – Możemy zabrać się do roboty? Pokaż Birdwine’owi mapę.

– Mapę? – Birdwine odwrócił się do Juliana.

– Nie powiedziałaś mu? Dlaczego? – zapytał Julian, po czym podeksytowany rzekł do Birdwine’a: – Wiem, dokąd Kai zabierała Hanę. To znaczy wiemy, gdzie pojedą dalej. To znaczy, gdzie by pojechały... to znaczy pojechały.

Zamotał się w doborze odpowiednich czasowników, ale Birdwine zrozumiał, o co mu chodzi.

– Nie, Paula mi o tym nie wspomniała – rzekł, patrząc na mnie z ukosa. On też był na mnie zły. Ale z jakiego powodu? Mógł się bronić, ale obrał trudniejszą drogę. – Ustaliliście trasę Hany? Jak?

Julian spojrział na mnie, ale ja umyślnie się odwróciłam i poszłam dolać sobie kawy.

– Może mu o tym opowiesz? – zapytałam brata.

– Okej. No więc wczoraj wieczorem Paula domyśliła się, dokąd jechała Kai.

Chłopak popatrywał niepewnie to na Birdwine’a, to na mnie. Wyjął z teczki mapę i rozłożył ją na stole. Birdwine stanął obok niego i swobodnym gestem zamknął swój laptop, po czym przesunął go na drugi koniec blatu. Tak jakby dzięki temu było wygodniej, a chłopiec widoczny na ekranie nie miał z tym nic wspólnego.

Julian częściowo zasłonił mi widok i miałam nadzieję, że będzie się streszczał. W przeciwnym razie w lodowatej atmosferze, jaka panowała między mną a Birdwine’em, mógł umrzeć z powodu hipotermii.

– Pojechał pan do Austin i śladem samochodu trafił pan do Dothan w Alabamie – zaczął Julian. Palcem wskazującym przesunął po narysowanej pomarańczowym markerem linii. – Tu wychowała się Kai. Tam urodziła się Paula. – Dalej sunął palcem. – Następnie udały się do Montgomery.

Ależ on się guzdrał. Ponieważ czym prędzej chciałam się wynieść z tego domu, włączyłam się:

– Przeprowadziłyśmy się do Montgomery z Eddiem. Potem mieszkaliśmy z Tickiem w Jackson w Missisipi. – Kiedy mówiłam, Julian przesunął palcem po mapie. Kai i ja sporo podróżowałyśmy, czasem przez kilka tygodni w okresie między chłopakami wiodłyśmy cygański tryb życia. Zmieniałyśmy miasta, nazwiska i środki transportu, zwłaszcza jeśli ostatni związek nie zakończył się w najprzyjemniejszy sposób. Ale jadąc z Haną, Kai pomijała nasze krótkie postoje i mężczyzn, którzy okazali się bardzo tymczasowi lub nic nieznaczący. Zabrała Hanę tylko do miejsc, w których mieszkaliśmy około roku. Do miejsc, gdzie miałyśmy adres i coś w rodzaju rodziny. – W Nowym Orleanie poznałyśmy

Anthony'ego. Widzisz?

– A niech mnie – odezwał się Birdwine.

– To jej życie – rzekł Julian. – Zabierała Hanę na wycieczkę po głównych przystankach swojego życia, po kolei. Od urodzenia do... czegoś.

– Następne jest Asheville z Hervém i tam ją zgubiłeś – oświadczyłam.

Birdwine kręcił głową.

– Cholera. Powinienem był ci pisać o jej kolejnych ruchach.

Nie mogłam mieć do niego żalu, że tego nie zrobił. Standardem było dawanie detektywowi listy znajomych osób i miejsc, tymczasem ja nie miałam pojęcia, jak wyglądało wtedy życie Kai. Myślałam o raku mózgu, urojeniach, silnych lekach. Wyobrażałam sobie szaloną ucieczkę przed opieką społeczną stanu Teksas ku mętnej przyszłości, nie ku naszej wspólnej przeszłości.

– To moja wina. Kazałam ci dzwonić tylko, jeśli coś ci się uda ustalić – powiedziałam, ale to było lodowate rozgrzeszenie.

Skrępowany Julian przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą.

– Myślicie, że ona jeszcze żyje? – zapytał.

Birdwine pokręcił głową, a spojrzenie, jakim obdarzył mojego brata, było smutne i zarazem bardzo łagodne.

– Facet, który kupił od niej auto w Dothan, mówił... – zawahał się, ale Julian nadal miał taki wyraz twarzy, jakby liczył, że usłyszy coś pozytywnego – ...że wyglądała jak żywy trup. Prawie jej nie rozpoznał na zdjęciu. Mówił, że wyglądała jak babcia tej Kai z listopada. Przykro mi.

Julian przełknął ślinę i odwrócił wzrok.

Birdwine kontynuował:

– W Dothan wsiadły do autobusu. W Asheville przestały korzystać z autobusów. Ktoś je podwiózł albo Kai kupiła inny samochód. Nie w salonie. Sprawdziłem. Mogła go znaleźć przez ogłoszenie w gazecie albo natrafić na jakiś złom z kartką „Na sprzedaż” za szybą.

– Albo kradziony. Albo przekonała jakiegoś faceta, żeby im go dał – wtrąciłam.

– Najgorszy scenariusz jest taki, że zaczęły podróżować autostopem. Tak czy inaczej zgubiłem je – rzekł, przeglądając kartki, które wydrukowałam wczoraj wieczorem. Kai obwoziła Hanę po swojej przeszłości, ale to była także moja przeszłość. Wypisałam to wszystko dla niego i narysowałam na mapie na niebiesko. – Ale teraz, widzicie, wiem już, gdzie były.

Zakres poszukiwań zawęził się od „gdziekolwiek na świecie” do podróży między konkretnymi punktami. Odwiedzała każde miejsce, w którym był inny chłopak, inna Kai, inna ja. Jak bardzo okrojona lub zmyślona okazała się wycieczka, na którą Kai zabrała Hanę? Na razie topografia trasy pokrywała się z prawdziwą przeszłością Kai, co samo w sobie było szokujące. Prawda nie



należała do historii opowiadanych przez moją matkę.

– Po Asheville Kai zamieszkała niedaleko Atlanty z Dwayne’em – kontynuował Julian. – Potem na południu Georgii. – Zarumienił się. – Tam się urodziłem. Ale Paula uważa, że to akurat mogła ominąć. Więzienie, no i mnie. Tak więc z Asheville do hrabstwa Paulding...

– A stamtąd tutaj – zakończyłam za niego. Nie było innej możliwości. Kai nie znała nowego imienia Ganeshy i zawsze porzucała kochanka, paląc za sobą wszystkie mosty. Zamierzała przywieźć Hanę tutaj. – Do mnie.

Birdwine pokiwał głową. Równie dobrze jak ja pamiętał wiadomość, jaką otrzymałam od Kai. *Śmierć to nie jest koniec. Ty będziesz końcem.*

Znaczenie tych słów było dosłowne, dokładnie takie, jak napisała. Miała jednak plan dla Hany. Chciała przywieźć moją siostrę do mnie. Było to desperackie posunięcie, ale sami bogowie wiedzieli, że jestem jej dłużniczką. Gdybym rzeczywiście okazała się końcem jej podróży, przyjąłabym Hanę bez żadnych pytań. Kai jednak się przeliczyła. Gdzieś w drodze między Asheville, hrabstwem Paulding a moim mieszkaniem w Atlancie skończył się jej czas.

– Biorę się do tego – oświadczył Birdwine.

– Świetnie. Julian, jedziemy. Twój samochód nadal stoi przed moją kancelarią.

Julian patrzył zdezorientowany to na mnie, to na Birdwine’a.

– Ale, chwileczkę, co się teraz stanie? Nie możemy jechać do domu. Jesteśmy tak blisko!

– Jesteśmy bliżej – poprawił go Birdwine. – Ale muszę teraz wykonać tysiąc telefonów i przeszukać tysiąc baz danych. Sprawdzić każdy szpital, każdy posterunek policji, każdą cholerną stację benzynową przy trasie, którą mogły jechać. Śmiertelnie chora kobieta podróżująca z małą dziewczynką na pewno pozostawiła jakieś ślady, ale realnie rzecz biorąc, odnalezienie ich zajmie kilka dni, a nawet tygodni.

– Nie wraca więc pan do Asheville?

– Więcej uda mi się działać tutaj. Dzięki licencji detektywa mam dostęp do wyszukiwarek, na widok których opadłaby ci szczeka, chłopcze, i umiem się posługiwać telefonem. Jeśli to zawiedzie, wtedy tak, osobiście prześlę jej potencjalne trasy, ze zdjęciami. Pokażę je każdemu, kto ma oczy. Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Ja też miałam taką nadzieję. Musiałabym wtedy przygotować znacznie obszerniejszą listę. Czy Kai zabrała Hanę do Dandy Mart i pokazała jej rząd automatów telefonicznych, z których skorzystałam, aby zniszczyć nasze życie? Czy takie automaty w ogóle jeszcze istnieją? Może zostały wydarte ze ściany i moja matka mogła pokazać Hanie jedynie dziury po nich. Właściwie do tego sprowadzała się ta podróż, patrząc na dziury, w których kiedyś mieszkaliśmy.

– Jeśli to mają być telefony i robota z komputerem, mógłbym zostać i pomóc – zaproponował Julian. – We dwóch zrobimy to szybciej. – Patrzył to na Birdwine’a, to na mnie, a w jego oczach widać było gorliwe wyczekiwanie.

– A co z twoim samochodem? – zapytałam, grając na zwłokę.

Nasza matka umarła w ubóstwie, podróżując pod nazwiskiem znanym tylko bogom. Zawężony obszar poszukiwań zwiększał nasze szanse na dowiedzenie się, co pokrzyżowało im plany, ale chodziło także o los Hany. Nadal była tym słynnym kotem w zamkniętym pudełku, jednocześnie martwym i żywym. Nie miałam pewności, czy to Julian powinien je otworzyć.

– Później go zabiorę – odparł. – Ale muszę pożyczyć ładowarkę. Mój telefon pada.

– Pomoc by mi się przydała, ale naprawdę nie mam pojęcia, co znajdziemy – powiedział ostrożnie Birdwine. Rozumiał, że Hana jest obracającą się w powietrzu monetą.

– Nie jestem głupi. Ale nawet jeśli Hanie jest teraz ciężko, odnalezienie jej samo w sobie będzie dobrą wiadomością – zjeżył się Julian. – Jest teraz zupełnie sama, a my jesteśmy jej rodziną.

Zwalczyłam w sobie chęć wymienienia z Birdwine’em znaczącego spojrzenia. Nie należałam do jego ekipy. Zwróciłam się więc łagodnie do mojego brata:

– Wiem, że jesteśmy jej rodziną, ale...

Odwrócił się do mnie. Oczy miał błyszczące.

– Kiedy ją znajdziemy, ona także się o tym przekona. Wiesz, co zrobiłem wczoraj wieczorem, gdy zasnąłaś? Pożyczyłem twój laptop i zacząłem wypełniać wniosek o przeniesienie na uczelnię Georgia State. Przejrzałem też ogłoszenia o poszukiwanych współlokatorach w Atlancie. Chcę, żeby wiedziała, że zmieniałem dla niej swoje życie, jeszcze zanim ją poznałem. Że chciałem być dla niej prawdziwym starszym bratem, jeszcze zanim zobaczyłem jej twarz i w ogóle.

Rozpoznałam to przekonanie o słuszności swojego postępowania. W tym chłopaku i we mnie rzeczywiście płynęła ta sama krew. Wtedy spojrzałam na Birdwine’a. To był odruch. Okazało się, że on także na mnie patrzy, myśląc to samo. Szybko odwróciłam wzrok. Zbyt łatwo byłoby wejść z powrotem w nasze dawne tory, zwłaszcza podczas poszukiwań mojej siostry. Pod warstwą gniewu czułam łączącą nas delikatną więź. Aby ją zniszczyć, potrzeba czegoś więcej niż zwykłej wściekłości. Nie mogłam go teraz wesprzeć w niczym, nawet w próbie zniechęcenia Juliana. Ten zresztą i tak nie zamierzał ustąpić.

Staralam się dawkować Julianowi rzeczywistość małymi porcjami, ale myśl o tym, że możemy zajść daleko, a mimo to nie odzyskać Hany, która żyje i, cóż, chce dołączyć do naszej rodziny, mogła się okazać gorzką pigułką nie do przełknięcia. Ten chłopak, który niedawno stracił rodziców, nie był gotowy na

kolejną stratę. Nawet wyimaginowaną.

Birdwine spróbował raz jeszcze:

– Mówię jedynie, że musisz być przygotowany. Ta historia może nie mieć szczęśliwego zakończenia.

– Nie szukam zakończenia historii – odparował Julian. – Szukam małej dziewczynki.

Jakakolwiek zainicjowana przez Kai katastrofa kolejowa zbliżała się w naszą stronę, on był gotowy stanąć pośrodku torów z rozłożonymi ramionami. Nie, nawet więcej. Ja czekałam, aż trafi nas najgorsze, a Julian szykował się na najlepsze. Ja się przygotowywałam na uderzenie, a on działał z myślą o przyszłości.

Może znowu mnie czegoś uczył.

Po raz pierwszy wzięłam udział w zabawie Juliana w „a co, jeśli”. W najlepszym wypadku Kai zawiozła Hanę do jej biologicznego ojca, a on się z tego ucieszył i bardzo zaangażował w opiekę nad córką. Pomyślałam, że to równie prawdopodobne co radosne skolonizowanie przez nią Marsa. Prawdziwa najlepsza wersja była taka, że Hanę zaopiekował się jakiś życzliwy przyjaciel albo kochanek, którego wybrała Kai, albo dziewczynka trafiła do opieki zastępczej, do jakiegoś porządnego miejsca. Najgorszy scenariusz? Spadła w ciemność razem z Kai i Joyą; wówczas nie będzie potrzebny żaden plan. Drugi najgorszy scenariusz? Mieszkała na ulicy albo z kimś, dla kogo stała się balastem lub ofiarą.

W każdym wypadku, oprócz „magicznego, kochającego biologicznego taty”, zamierzałam się ubiegać o opiekę nad nią. O ile żyła. Dlaczego więc nie robiłam planów zakładających najlepsze, tak jak Julian? Mogłam przecież załatwić sporo spraw: Poszukać domu niedaleko dobrej szkoły. Takiego ze ścianami, który mówił: „Mam dla ciebie miejsce”. Spotkać się ze współnikami i dać im znać, jak bardzo zmieni się wkrótce moje życie.

– W porządku – powiedziałam. – Jadę do pracy. W poniedziałek rozpoczynają się trudne negocjacje i muszę się przygotować. Jeśli... – Urwałam i spojrzałam znacząco na Juliana. – Kiedy znajdziemy Hanę, będę musiała wziąć wolne, więc teraz muszę zapracować na dobrą wolę moich współników. Julian, możesz mi co godzinę przesyłać informację o postępach?

Uśmiechnął się do mnie szeroko.

– Oczywiście!

Cały dzień minął mi na sporządzaniu propozycji ugody w sprawie Winkley przeciwko Winkley. Warunki były tak bardzo korzystne dla Oakleigh, że tak naprawdę nie była to ugoda. Była to salwa inicjująca wojnę i zapowiadało się na to, że wojna będzie długa, mroczna i krwawa. Kiedy Dean Macon ją zobaczy, albo się posra w gacie, albo salwuje ucieczką.

Julian przez cały dzień informował mnie o wszystkim na bieżąco. Doskonale. Chciałam trzymać rękę na pulsie, ale nie miałam ochoty na wiadomości

od Birdwine'a. Nawet na esemes składający się z czterech słów. Nawet na emotikonkę ze smutną buźką. Przynajmniej do czasu, aż słodycz i słabość, które odkryłam w sobie przy jego łóżku, obrócić się w popiół, zimny i lekki, który porwie wiatr.

Pojechałam do domu i nakarmiłam Henry'ego. Drapałam go po brzuchu, aż miał już dość i pacnął mnie łapą. W kabinie prysznicowej puściłam taką gorącą wodę, jaką tylko byłam w stanie znieść, i zmyłam z siebie cały miniony dzień. Wyszłam naga, a gdy się ubrałam, miałam wrażenie, że szykuję się na bitwę, a nie na przyjemny wieczór na mieście. Może i tak było.

Pozwoliłam włosom wyschnąć naturalnie, więc na plecy opadała mi burza loków i spiralek. Zdecydowałam się na dzinsy podkreślające ładny tyłek, który podarowała mi matka, a do tego obcisły T-shirt z napisem „Lucky”. Diamentowe wkręcane kolczyki zamieniłam na duże koła wykonane z wielu delikatnych łańcuszków, z których każdy miał na końcu maleńki granat. Makijaż ograniczyłam do minimum: świeżo wyglądająca cera, brązowy tusz do rzęs i jasne błyszczące usta. Z codziennej Pauli zostały jedynie buty, ale ich czerwone podeszwy stanowiły zaproszenie, nie ostrzeżenie.

Potrząsnęłam niewyschniętymi całkowicie włosami. Małe granaty na łańcuszkach zabrzczały jak dzwoneczki. Wychodziłam na miasto i jeśli choć jeden bóg przechadzający się nad ziemią miał miłosierdzie, wieczór zakończy się seksem.



## Rozdział 10

Mam jajecznicę, bułkę, dwa plastry bekonu, połówkę brzoskwini z puszki z kandyzowaną wiśnią na środku, która wygląda jak sutek. Ale nie mam dokąd iść. Nie zatrzymuję się jednak ani się nie rozglądam. Podchodzę do dużego stołu obok kuchni i siadam jak zwykle na jego końcu. Dwoje z czterech Latynosów już tu jest, ale pomiędzy mną a nimi znajduje się puste krzesło. Dawne miejsce Joyi jest naprzeciwko mnie, a obok niego trzecie puste krzesło, tak więc jestem otoczona pustką, a sama wyglądam jak środek tarczy.

Zanim zdążę cokolwiek zjeść, w drzwiach pojawiają się Shar, Karice i Kim. Zatrzymują się, przeczesują wzrokiem stołówkę, a potem Shar mnie dostrzega. Nie spuszczać ze mnie wzroku, udaje się powoli w stronę kolejki po śniadanie. Karice i Kim idą tuż za nią.

Kłótnie i urazy miały swój koniec w zadrzewionych częściach parków albo za budynkami gospodarczymi w szkole. Dobrze sobie radziłam, dziękuję bardzo, zarówno sama, jak i mając Joyę. Jestem wysoka, silna i wredna. Ale to? To jest wataha. Muszę wykazać się sprytem, inaczej skończy się to dla mnie naprawdę bardzo źle. Mają twarze hien, błyszczące oczy i uśmiechy tak szerokie, że widzę ich czerwone języki.

W odpowiedzi patrzę na nie poważna i spokojna. Jeśli wataha wyczuje strach, ich atak będzie szybszy i silniejszy. Nie mrugam, nawet gdy Shar zatrzymuje się, aby przejechać językiem po górnej wardze. Ma szerokie usta i duże białe zęby.

Nachylam się ku niej i w odpowiedzi pokazuję wszystkie zęby. Nie zamierzam stać się ich workiem treningowym. To nie leży w mojej naturze.

Obok mnie przemyka Candace. Trzyma tacę, głowę ma spuszczoną i idzie do swojego stołu. A więc tyle były warte jej zesłanocne „no już”. Siada i patrzy na mnie z ukosa, wkładając do ust cieniutki plaster bekonu. Składa go w harmonijkę.

Kiedy wataha usiądzie, pozwolę im zjeść większą część śniadania. Następnie wyjdę, przechodząc celowo tuż obok ich stołu. Jeśli nie ruszą w ślad za mną, rzucę jakąś uwagę, żeby je sprowokować. Zejdą za mną do piwnicy tego budynku. Za schodami znajduje się korytarz, który biegnie wzdłuż niedokończonego składziku przy pralni. Korytarz jest długi i wąski, więc nie mogą mnie otoczyć. Wycofam się nim i spróbuję jedną z nich załatwić, zanim jeszcze dotrzemy do pralni. Tam, pomiędzy półkami i wielkimi pralkami, mogę ostatecznie im się przeciwstawić. Nawet jeśli przegram, muszę je pobić na tyle mocno, żeby straciły ochotę na powtórkę.

Swój plan znam, ale nie jestem przygotowana na to, co one wymyślą; Shar skręca gwałtownie, omija kolejkę i podchodzi prosto do mnie. Kim i Karice zaraz za nią. Czuję, jak wydłuża mi się kręgosłup. Siedzę wyprostowana jak struna. Shar odsuwa dawne krzesło Joyi i siada na nim. Jej dwaj porucznicy stają za nią, każdy przy jednym ramieniu.

– Dzień dobry – mówię do Shar i tylko do niej, jakby ta walka odbywała się jeden na jednego. W jakimś sensie rzeczywiście tak jest.

– Jak myślisz, kiedy mama Joyi wróci do dragów? – zwraca się Kim do Karice nad głową Shar. Mówi w teatralny sposób, jakby nie widziały, że tutaj siedzę i wymieniam złe spojrzenia z Shar.

– Joya będzie zbyt zajęta puszczaniem się, żeby się tym przejmować – odpowiada Karice.

Nie wiedzą, że między mną a Joyą doszło do rozłamu. Mimo to czuję, że podnosi mi się ciśnienie. Nie chcę słyszeć, jak wypowiadają jej imię, tak jak w nocy nie chciałam, by wypowiadała je Candace.

Ignoruję Kim i Karice, szukając słabego punktu Shar. Pomijając wystające zęby, to ładna z niej dziewczyna. Będzie próbowała chronić twarz. Za nią widzę dwójkę Latynosów z tacami. Dostrzegają nas i niepewnie zatrzymują się obok wózka ze sztucami.

– O tak – zgadza się Kim. – Mama wyrzuci ją na zbity pysk.

Włosy Shar są krótkie, tworzące aureolę drobnych pierścionków, ale nie na tyle krótkie, żebym nie mogła za nie złapać. Spod włosów wystają uszy i widzę ślady po tym, jak Joya wyrwała jej kolczyki. Zrosły się, jedynie na końcu widać małą przerwę.

Kiedy nie reaguję na słowa Kim i Karice, Shar sięga szybko ręką ponad stołem i zabiera mi górę bułki. Zlizuje z niej połowę dżemu, a potem odkłada ją na miejsce. Unosi brew, jakby pytała, co zamierzam z tym zrobić, jednocześnie zlizuje z palców dżem.

– Nie widuję cię z tak bliska, Shar – mówię. – Nie miałam pojęcia, że twoje uszy przypominają pośladki. Wygląda to tak, jakby z uszu zwisały ci dwa obwisłe pośladki starej baby.

Shar wstaje tak gwałtownie, że szura głośno krzesłem po podłodze. Nachyla się nade mną, a razem z nią Kim i Karice. Przez jedną pełną napięcia sekundę myślę, że to się stanie właśnie tutaj, zaraz. Zaczynam także się podnosić, szykując się do improwizacji.

Wtedy na stojącym obok mnie krześle siada nie kto inny jak Candace.

– Cześć wam – mówi, a my patrzymy na nią zdumione.

Rumieni się i spuszcza głowę. Podciąga kolana, piętami opiera się o krawędź krzesła i obejmuje nogi chudymi ramionami. Trzyma bułkę oburącz i wygląda jak mała myszka z orzechem.

Dziwne. Kiedy przenoszę wzrok na wprost siebie, dziwię się jeszcze bardziej. Karice się wycofuje. Stoi za Shar, więc ta nie widzi jej odejścia. Karice robi dwa kroki w tył, trzy, a potem odwraca się i idzie do kolejki, jakby nagle potrzebowała brzoskwini z wiśniowym sutiem. Kim patrzy za nią i znowu na Candace. Moje szanse gwałtownie wzrosły.

Shar wpatruje się teraz w Candace z taką nienawiścią, że kręgosłup Candace staje się łukiem, jakby zamierzała się złożyć na pół. Myślę, że gdyby mogła, dalej by się składała, na czworo, a potem znowu na pół, aż stawałaby się coraz mniejsza, by w końcu zupełnie zniknąć.

Zamiast tego zerka znad kolan i mówi do Shar:

– Czy ty właśnie polizałaś jej śniadanie? – W jej głosie słychać autentyczną ciekawość.

Kiedy mija ich idąca do kolejki Karice, Latynosi wyczuwają zmianę atmosfery. Bójka, na którą się zanosilo, została przełożona, siadają więc z tacami na swoim końcu stołu.

– Moim zdaniem polizała swoje śniadanie – mówię i popycham tacę w stronę Shar.

Ta już ma coś powiedzieć, ale wtrąca się Candace:

– W spiżarni?

Kim, która do tej pory patrzyła niepewnie to na Shar, to na puste miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stała Karice, teraz odwraca się do Candace.

– Suko, nikt cię tutaj nie zauważa. Nie chcesz, żebyśmy my to zrobiły.

Shar opiera się o krzesło dziwnie milcząca. Rzuca spojrzenie za siebie, w prawo, gdzie powinna stać Karice, a potem robi to jeszcze raz. Rozgląda się, aż w końcu dostrzega Karice w kolejce po śniadanie.

Candace obraca bułkę w dłoniach, po czym gryzie mały kęs.

Teraz nikt nie patrzy na mnie. Choć przyjąłam pozycję wojownika, okazuje się, że jestem niewidzialna. To denerwujące. Osuwam się niżej na krześle.

Candace mówi do Shar:

– To miłe ze strony Pauli, że dała ci śniadanie. No już. Zabierz je do spiżarni.

– Odwraca się w moją stronę i dodaje: – Wiesz, Shar bardzo lubi tam jeść.

Shar zamyka usta i widzę, jak traci całą wcześniejszą brawurę. Tak bardzo mnie ciekawi poznanie rządzących tu mechanizmów. W hrabstwie Paulding nauczyłam się walczyć, zamiast uciekać. Od Joyi nauczyłam się szukać słabego punktu i uderzać w niego mocno i z marszu, nie bawiąc się w grę wstępną. Teraz obserwuję, jak Candace nie dopuszcza do walki dzięki sugestiom. Okazuje się to cholernie skuteczne, bo Kim robi krok do tyłu.

– To nie twoja walka – mówi Shar.

Candace obraca bułkę i znowu się w nią wgryza. To jej wkurzający nawyk jedzenia czegoś okrągłego. Odgryza małe kawałeczki, obracając w dłoniach, aż

jedzenie się zmniejsza, ale zachowuje okrągły kształt.

– Wiem przecież. To walka twoja i Joyi, no ale jej już nie ma. No tak. – Przysuwa swoje krzesło do mojego tak blisko, że niemal się przytulamy.

Na tyle wzbudza tym moje zainteresowanie, że porzucam swoje plany i wchodzę do jej gry. Przysuwam się jeszcze bliżej i mówię do Shar:

– Może powinnaś iść do spiżarni i zjeść trochę tego, co tak lubisz tam jeść.

Policzki Shar wypuszczają powietrze, jakby otrzymała silny cios.

– O co chodzi? – pyta ją wyraźnie skonsternowana Kim, ale Shar kręci głową.

– Skąd wiesz o... – mówi Shar do Candace, po czym milknie.

Szkoda, bo jestem niesamowicie ciekawa dalszej części tego pytania. Candace ma jakiegoś haka na Shar. Nie jestem tym zaskoczona, zważywszy na to, jak lubi się wszędzie kręcić i podsłuchiwać. Wiem o tym z własnego doświadczenia. Zadziwia mnie jednak jej gra – trzymała coś w tajemnicy, ale teraz robi z niej użytek, żeby mi pomóc.

Candace obraca bułkę, gryz, gryz, gryz, a Shar odsuwa na bok krzesło i odchodzi. Za nią udaje się Kim, zasypując ją pytaniami.

– Co się działo w spiżarni? – szepczę do Candace.

– Dużo. Wiesz, że Karice chodzi z tym wysokim chłopakiem, Arlym? No więc Shar była tam z nim, kiedy akurat się rozstali – szepcze Candace. Jej bułka jest już wielkości srebrnej jednodolarówki. – Karice i Arly się zeszli i ona nic o tym nie wie.

– A co masz na Karice? – pytam. Musi to być coś poważnego, skoro Karice porzuciła Shar w połowie szantażu.

– Nic – kłamie. Jej oczy stają się wielkie i okrągłe jak u niewiniątka.

– A właśnie, że masz – upieram się. I to coś gorszego niż kradzież chłopaka.

Candace zmienia temat.

– Widziałaś minę Shar, kiedy tu usiadłam? – Parska i zerka na mnie z ukosa, obracając w dłoniach bułkową monetę. Następnie wsuwa ją do ust i ssie, jakby to była wyjątkowo smaczna pastylka.

– Aha – odpowiadam z uśmiechem. Mam dla niej nieco cieplejsze uczucia. Jest tak, jakbyśmy razem przeżyły bójkę. Wygraną bójkę. Nie na tyle ciepłe, żeby widzieć w niej same zalety. Wiem, że Candace nie ma przyjaciół. Ma „coś za coś”. Pytam ją sympatycznym tonem: – Jest ktoś, na kogo nie masz haka?

– Kim, ale tylko dlatego, że jest nudna – odpowiada. – Ludzie są nieostrożni, a wszyscy tu żyjemy naprawdę blisko siebie. – Przetyka i patrzy na mnie. – Nie uwierzyłabyś, co ludzie sobie mówią. Robią się nieuważni, na przykład kiedy się kłócą. W ogóle nie pomyślą o tym, że ktoś mógł wejść do domku. Głośno mówią o swoich najbardziej mrocznych sekretach.

Czuję, jak wokół mojego żołądka zaciska się wielka silna pięść. Candace



patrzy na mnie swoimi oczami, które są tak jasnoniebieskie, że niemal zlewają się z białkami. Po plecach przebiega mi zimny dreszcz.

Słyszała, jak mówiłam Joyi o telefonie pod dziewięćset jedenaście? Myślę o tym, jak zakrada się na kolanach do mojego łóżka. Potrafi poruszać się bardzo cicho. Jej wielkie uszy zdają się wyłapywać dźwięki z kosmosu. Blefuje, tak jak z Shar, gdy zauważyłam jej reakcję na słowo „spizarnia”? Nie wiem. W tego rodzaju walce jest ode mnie lepsza; dla mnie to nowość.

– Chcesz kawałek mojego bekonu? – pytam słodko.

Candace uśmiecha się i bierze go ode mnie. Zwija w harmonijkę i wkłada cały do ust. Opuszcza wzrok, a jasne rzęsy wyglądają jak wachlarze. Każda komórka mojego ciała obraca się i zaciska. Ona wie. Wie. W tej chwili trzyma mnie w garści.

Bierze z talerza drugi plaster bekonu, bez pytania, i wgrzyza się w jego koniec. Śmiały ruch sprawdzający hierarchię.

Zastanawiam się nad tym, co mogę zrobić, ale wybór jest ograniczony. Może powinnam dać za wygraną? Mój czas tutaj dobiega przecież końca. Data wyjścia z więzienia Kai została już ustalona i jeśli wszystko dobrze pójdzie, za dwa miesiące powinnam być już z nią w domu.

Patrząc, jak Candace żuje mój bekon, uświadamiam sobie, że to się nie uda.

– Wiesz, co w tobie lubię, Candace? – pytam, wznawiając negocjacje. – Nie doniosłaś mi teraz na Karice. To naprawdę super. Niewiele dziewczyn potrafi trzymać język za zębami tak jak ja i Joya. Dlatego ja i Joya tak dobrze się dogadywałyśmy.

Zerka na mnie z ukosa i widzę, że błyszczą jej oczy. Stawka uległa zmianie. Oferuję jej swoją przyjaźń w zamian za milczenie, a moja waluta jest bardzo cenna. Może mnie zmusić do tego, bym była jej ochroniarzem i pozwalała jej spać w swoim łóżku, ale nie może mnie zmusić do tego, bym ją polubiła.

Kiedy się zastanawia, wrywam jej bekon. Odwraca się oburzona w moją stronę i przekonuje się, że moja twarz znajduje się bardzo blisko jej twarzy i mam stalowe spojrzenie. Przyjaźń wchodzi w grę, okej. Ale nie będę jej psem. Jeśli nie nagnie się trochę w tym swoim stylu walki, wrócę do swojego i złamię ją na pół.

Jej usta się wykrzywiają. Praktycznie słyszę, jak trybiki w jej głowie się obracają, dokonując ponownych kalkulacji. Jej środek płatniczy można wydać tylko raz, ale ja mogę bić ją na kwaśne jabłko raz za razem. Przekazuję jej to swoim wzrokiem i bezczelnym żuciem swojego bekonu. Z otwartymi ustami.

Spuszcza wzrok, ponownie skromna i wstydliva. Kiedy się odzywa, głos ma pełen wahania:

– Chcesz siedzieć w autobusie obok mnie?

– Jasne – odpowiadam.

Równie dobrze mogłyśmy splunąć w swoje dłonie i nimi klasnąć. Dojdzie

jeszcze do utarczek i drobnych negocjacji, ale ogólne warunki umowy zostały właśnie określone. Mogę z tym żyć przez ten krótki okres, jaki mi tu pozostał.

To znaczy wtedy tak myślałam. Dopiero po kilku miesiącach dotarło do mnie, jak bardzo zostałam wykorzystana. Z Candace byłby cholernie dobry prawnik. Na przykład gdy spotykała się z Jeremym o martwym spojrzeniu na schodach za świetlicą, nie wymieniała czynności seksualnych na słodkości; ona pragnęła jednego i drugiego, słodczy i dotyku. Lubiła Jeremy'ego, ale kazała mu płacić słodkościami za całowanie jej, bo miała na to ochotę, za dotykanie jej pączkujących piersi, bo miała na to ochotę, za to, że włożyli sobie nawzajem ręce w majtki. Na to wszystko miała ochotę.

Przy Candace poznałam podstawy tego typu negocjacji. Miała i słodczy, i chłopaka. Albo tak jej się przynajmniej wydawało. Nie wywodziła się ze środowiska, gdzie chłopak mógł ją lubić ot tak, dla niej samej. Miłość była czymś ukradkowym, za co się płaciło albo co się wyludzało; życie zapewniło jej ponurą wizję tego uczucia. Ale pragnęła go, i to bardzo. Niemniej nie rozpoznałaby go, nawet gdyby wpadło na nią i uderzyło ją w twarz. Do czego oczywiście dojdzie. Już ja o to zadbałam.

Ale czy ja byłam lepsza, nawet teraz? Chociaż dawno przekroczyłam trzydziestkę, to w szpilkach mówiących „pieprz mnie” wybierałam się właśnie do lokalu z bilardem, żeby poderwać nieznanego. Jeśli chodziło o Birdwine'a – to z tej spartaczanej miłości już dawno powinnam była się wyleczyć. A jednak czułam ją wczoraj wieczorem, dziś rano, cały czas. To było swędzenie głęboko w klatce piersiowej, zbyt głęboko pod skórą, żeby się podrapać czy uspokoić. Musiałam się go pozbyć. Na dobre.

Sympatyczny wieczór wspomnień z jakimś dawnym znajomym nie załatwiłby sprawy. Usunięcie Birdwine'a wymagało czegoś paskudnego i natychmiastowego, przyprawionego szczyptą niebezpieczeństwa, co zapewnia tylko nieznanomy.

Szłam do McGwigen's, oldschoolowej spelunki w centrum miasta, której udało się przetrwać podniesienie statusu okolicy. To był przyjemny spacer, nawet w szpilkach, zwłaszcza jeśli nie miało się nic przeciwko chodzeniu na skróty między budynkami. Ja nie miałam. Włożyłam rękę do torby i zacisnęłam na gazie łożawiącym. Kiedy szłam ciemną wąską ulicą pełną kubłów ze śmieciami, było to niczym powrót do przeszłości.

W mojej przeszłości nie było Hany, jej przeznaczenie czekało na razie za linią horyzontu. Jedyłą zagubioną dziewczyną byłam ja, napalona bardziej na bójkę niż pozbawiony hamulców seks. Wkroczyłam do dawnej, znajomej ciemności, do dawnej Pauli, tej, którą przywołał stukot moich obcasów na betonie i lekki smród zgnilizny. Pamiętałam ten głód. Mieszkał we mnie przed Williamem, przed Nickiem i bardzo długo przed cholernym Birdwine'em. Poznałam go

w wieku trzynastu lat, kiedy kochałam matkę o martwym spojrzeniu, która cuchnęła jak popielniczka i płakała, gdy piła wino. Wzmógł się, kiedy Kai umarła razem ze wszystkimi swoimi nazwiskami i wcieleniami. Została mi Karen Vauss, kobieta zwolniona warunkowo z więzienia, która rzadko na mnie patrzyła. Oddała w zastaw swoją mandolinę, zamieniła kolorowe spódnice i bose nogi na strój kelnerki i brzydkie ortopedyczne buty. Karen Vauss rzadko opowiadała historie i nie powiedziała mi, kim być. Ledwie była w stanie znieść mój widok.

Ale chłopcy owszem. Szybko się o tym przekonałam. Chodzili za mną, błagali mnie i pragnęli, a ja przez godzinę czy dwie mogłam ich mieć na własność. Pod każdym nowym spojrzeniem mogłam wymyślać nową siebie, mogłam nie być już głodna i samotna.

Znowu tego pragnęłam. Teraz. Czułam, jak w ślad za mną ciemną ulicą podążają duchy wszystkich dziewczyn, którymi byłam. Niemal słyszałam echo swoich dawnych kroków. Przez chwilę było to tak rzeczywiste, że aż się przestraszyłam. Zatrzymałam się i odwróciłam. Za mną była tylko cisza i ciemność. Szłam dalej.

Obściskiwałam się z chłopakami w pustych pokojach na imprezach, w szopach ogrodowych, w ubikacjach na stacjach benzynowych, na dachach domów, gdy tymczasem pod nami spali ich rodzice. Z jednym zrobiłam to pod ścianą w ciemnej ulicy, podobnej do tej, on się opierał o ścianę i nogi miał zgięte w kolanach, tak żebym mogła go opleść swoimi nogami.

Teraz potrzebowałam nowego męskiego ciała o innym kształcie, innym zapachu, żeby się od niego odepchnąć. Jeśli zrobię to wystarczająco mocno, uda mi się wyrzucić z siebie Birdwine'a. Pragnęłam nowych ust, których zapach zeszkrobie z mojego języka świeżą miętę wymieszaną z bourbonem.

Główne wejście do McGwigen's znajdowało się za rogiem, ale od tej strony były drzwi z przydymionego szkła, którymi wchodziło się na korytarz obok ubikacji. Wes, barman, musiał mnie zobaczyć na monitorze, bo gdy weszłam do głównej sali, zdążył już wyjąć tackę z bilami i właśnie otwierał piwo Corona. Zająłam stół na samym końcu, choć wiedziałam, że filc ma rozdarcie na dziesięć centymetrów. Ale miałam stamtąd dobry widok na bar i drzwi.

Moim jedynym ustępstwem na rzecz terazniejszości był telefon. Wyjęłam go z torby i wcisnęłam do tylnej kieszeni džinsów; poczuję, gdy zadzwoni Julian. A potem wyrzuciłam z głowy wszystkie myśli o rodzeństwie. Grając w dziewięć bil, badałam miejscowy towar. Na razie nic specjalnego, lecz było jeszcze wcześniej.

Starszy, siwowłosy facet na końcu wyglądał na bardzo zainteresowanego moją solową grą, ale albo był dwukrotnie ode mnie starszy, albo na tyle wyglądał. Mógł sobie popatrzeć, jak każdy turysta, ale nie zamierzałam zabierać go do domu. Cztery stołki dalej siedział kandydat rokujący nadzieje: czarnoskóry facet koło

czterdziestki, szeroki w barach, z głową ogoloną niemal na zero. Nasze spojrzenia się skrzyżowały. Wtedy uśmiechnął się, prezentując mi szparę między jedynkami. I to by było na tyle.

Jednym okiem obserwowałam cały czas drzwi. Zbyt mocno uderzałam w bile, ale podobało mi się to, zwłaszcza gdy wpadały do dołka. Lubiłam ten dudniący odgłos towarzyszący przemieszczającej się bili. Wszedł stały bywalec; skinęliśmy sobie głowami, niemniej nie byłam zainteresowana. Zapewne spotkałabym go ponownie. Od tyłu wszedł młody chłopak. Niezły, tyle że jeszcze miał mleko pod nosem. Wes nie dał się nabrać na podrobiony dowód i odesłał go do domu, do matki.

Szykowałam się do drugiej rozgrywki, gdy głównymi drzwiami wszedł facet z potencjałem. Biały, bardzo jasna cera, włosy w kolorze ciemnego blondu. W butach miał może z metr siedemdziesiąt pięć, szczupły i elegancki. W moim wieku albo zbliżonym. Omiótł spojrzeniem salę, a kiedy jego wzrok dotarł do mnie, mężczyzna uśmiechnął się. Szczerze, jakbym była dokładnie tym, czego szuka.

Miał twarz przystojnego chłopca, co wcale mi nie przeszkadzało: wąska żuchwa, wyrzeźbiony nos, jasna cera i jasne oczy – przeciwieństwo Birdwine'a. Już samo to przemawiało na jego korzyść. Ja także się uśmiechnęłam.

Zaczęłam grać i straciłam go z oczu, gdy jednak ustawiłam się do uderzenia w kilka bil w jednym rzędzie, zjawił się. Zajął stołek dokładnie naprzeciwko mojego stołu. Siedział tyłem do baru, żeby na mnie patrzeć. Spojrzał znacząco, a ja odpowiedziałam mu takim samym spojrzeniem, po czym obeszałam stół, by wykonać kolejne uderzenie.

Miał na sobie niczym niewyróżniającą się sportową granatową marynarkę, a pod nią koszulę w kratę z przeszyciami na górze, co wyglądało nieco westernowo. Do tego kowbojskie buty, ale nie sprawiał wrażenia, że jest facetem, który lubi spędzać czas na świeżym powietrzu. Włosy miał krótkie, więc mógł być pracownikiem korporacji. Zaczesał je do tyłu.

Spartaczyłam uderzenie i bile pozostały na swoim miejscu. Mężczyzna uniósł piwo w geście smutnego toastu. Odwzajemniłam się, a on odebrał to jako zaproszenie. Podszedł do mnie niespiesznie. Podobał mi się taki krok.

– Mogę postawić ci drinka? – zapytał, tak przesadnie przeciągając samogłoski, że aż się zaśmiałam.

– Najgorszy udawany akcent południowca, jaki miałam okazję słyszeć – oświadczyłam.

Uśmiechnął się szeroko. Zęby miał idealne. Białe i proste.

– No cóż, jeśli wejdiesz między wrony... – powiedział bez żadnego akcentu. Mógł pochodzić skądkolwiek. To także mi się podobało. – Więc jak będzie?

– Mam co pić – odparłam, pokazując na swoje do połowy pełne piwo stojące na rancie stołu. – Chcesz zagrać?

– Pewnie – rzekł i sięgnął po mój kij. Dłonie miał tak wypielęgnowane, że wyglądały, jakby robił manikiur. W niczym nie przypominały szorstkich, wielkich łapsk Birdwine’a. Nie zawracał sobie głowy ustawianiem na nowo bil, naprawił po prostu uderzenie, które sknociłam. Uznałam to za milczące potwierdzenie, że żadnemu z nas nie zależy dziś wieczorem na wygranej. – Jak masz na imię?

– W tej chwili Dama przy Barze – odparłam. – Ale mogę też być Przyjemnym Wspomnieniem.

– Ta druga opcja bardziej mi odpowiada. – Ponownie się uśmiechnął. Obszedł stół. Mówił cicho, żeby mnie zaintrygować. – Zmniejszyłoby moje szanse, gdybym powiedział, że moje imię to... – zlustrował mnie wzrokiem – ...Kowboj Będący Przejazdem?

– Nie. Nie przyszłam tu szukać męża. – Podobała mi się uczciwość zawarta w jego pseudonimie. Jasno dawał do zrozumienia, że interesuje go scenariusz z mijającymi się nocą statkami, co rekompensowało kostiumową koszulę i buty; nigdy nie widziałam równie nieprawdziwego kowboja. Księgowy będący przejazdem, może. Nie miał obrączki, ale wolałam się upewnić. – Nie szukam także męża innej kobiety.

– Nie jestem żonaty – odparł, po czym się poprawił: – To znaczy już nie.

W porządku. Uderzył w bile, a ja wzięłam do ręki butelkę i napiłam się łąpczywie, czując, jak bursztynowy płyn ociepla się, zanim dotrze do żołądka. Obserwowałam, jak mój nowy znajomy radzi sobie przy stole. Wbił dwie bile, po czym spudłował. Oddał mi kij. Kiedy się pochylałam, aby wykonać uderzenie, jego spojrzenie przesunęło się po moim ciele – balsam na pieczenie w mojej klatce piersiowej.

Zaczęliśmy taniec stary jak świat i dobrze nam znany. Nauczyłam się go tak, jak przyszła debiutantka ćwiczy *two step*. Nie zadałam żadnego więcej pytania. Mógł być bankowcem albo pomocnikiem kelnera, z Austin albo Albuquerque. Jego strój niczym się nie wyróżniał, z wyjątkiem pseudokowbojskiego sznytu, ale facet miał świeżo obcięte włosy i sporo pieniędzy musiał wydać na zęby. Podobało mi się to, że bardziej się troszczył o ciało niż o strój. Przedramiona miał ładnie umięśnione i podejrzewałam, że gdy zdejmę z niego marynarkę i koszulę, znajdę pod spodem ciało wyrzeźbione w siłowni.

Małe granaty zwisające z łańcuszków dzwoniły mi w uszach, kiedy moje ciało pochylało się w jego stronę, a potem odsuwało i obchodziło stół. Oboje w to graliśmy i czasem ja goniłam jego, a czasem pozwalałam jemu gonić siebie. To było tak znajome, że mężczyzna zaczął mi się wydawać kimś, kogo pamiętam. Dzięki tym ruchom stał się awatarem każdego członka bractwa studenckiego, z którym spotkałam się raz i którego nigdy więcej nie widziałam.

Ćwiczyłam ten taniec z chłopakami z drużyny piłkarskiej mającymi bary szerokie jak ściana. Z koszykarzami, wysokimi i wspaniałymi. Na spotkaniu integracyjnym podszedł raz do mnie nieśmiały szachista. Podobało mi się, że się trząsał ze zdenerwowania. Udałam się z nim do jego pokoju w akademiku i uczyniłam go królem wszystkich szachistów. Pamiętałam chłopaka, który studiował sztukę kulinarną i gotował dla mnie; taki sam taniec wykonywały jego sprytne dłonie i noże. Pozwoliłam mu zlizywać masło z moich palców. A teraz ten kowboj. Tak, znałam go. Znałam tysiące takich jak on. Był dzwonkiem rozbrzmiewającym w mojej pamięci.

Nikt z nas nie wbił dziewiątki, ale wyprostowałam się i odłożyłam kij na stojak. Już podjęłam decyzję. Ten facet się nadaje.

Uśmiechnął się szeroko, a jego spojrzenie stało się ostrzejsze i bardziej pożądlive.

Obszedł stół i wtedy usłyszałam inny dźwięk, tym razem prawdziwy: piknięcie i wibrację sygnalizujące nadejście esemesa. Zrobiłam krok w tył i sięgnęłam do kieszeni dzinsów.

– Chwileczkę, muszę to sprawdzić – powiedziałam. – To może być mój młodszy brat.

Przyjął pozę wyczekującą. Wiedzieliśmy, że mamy już za sobą grę wstępną; kusilo mnie, żeby wrzucić telefon do torby i później przeczytać esemes od Juliana. Akurat w tej chwili nie miałam ochoty na prawdziwe życie.

Ale podczas naszej ostatniej rozmowy zachowywał się jak pacynka Birdwine'a. W tle dudnił głos Birdwine'a, a Julian opisywał mi szczegóły ich wolno idących poszukiwań przesuwających się ku Georgii. Musieli sprawdzić każdą możliwą trasę, jaką mogły obrać Kai i Hana. To była mozolna i drobiazgowa praca i mój młodszy brat wydawał się sfrustrowany. Nie chciał się od niej odrywać, gdyż kolejny trop mógł się okazać tym właściwym. Albo jeszcze kolejny. Birdwine i ja, więksi realiści, wiedzieliśmy, że tego rodzaju poszukiwania mogą trwać tygodniami.

– Jutro znowu zadzwonię do pracy i powiem, że jestem chory, i wrócę tutaj – oświadczył mi na koniec.

– Mam po ciebie przyjechać i podrzucić cię do samochodu?

– Nie. Birdwine mnie podwiezie.

Powiedział tak o nim po raz pierwszy i ani trochę nie spodobała mi się nutka podziwu w jego głosie. Najwyraźniej zżyli się podczas wielu godzin wspólnej pracy. Tego mi tylko brakowało – pełnego dezaprobaty Juliana przyłączającego się do frakcji probirdwine'owskiej tego dnia, gdy ja stanęłam w opozycji. Co gorsza, auto Juliana stało na parkingu przed moją pracą. Nie chciałam być zbyt blisko, kiedy się tu zjawia.

Zapisałam wtedy plik i oznajmiłam:

– To dobrze, bo ja się wybieram do McGwiggen’s.  
– Och, a co to takiego? – zapytał mój prostoduszny brat.  
– Lokal do gry w bilard – wyjaśniłam, ale Birdwine wiedział, że to coś więcej. McGwiggen’s znany był z tego, że jego klienci mogli tam liczyć na dobry podryw; nie tylko Birdwine wiedział, jak zrobić użytek z pacynki.

Od tamtego czasu nie rozmawiałam z Julianem, a dzień z pewnością był dla niego stresujący. Odstawiłam więc na chwilę kowboja i przesunęłam palcem po ekranie.

Nadawcą esemesa nie był jednak mój brat, lecz Birdwine.

*Prześlesz mi numer komórki Juliana? Zapomniałem wziąć.*

Tylko słowa. Nic, co miałyby konsekwencje. Ale było tak, jakby moja naga stopa dotknęła jego klatki piersiowej, jakbym podbiciem wyczuła bicie jego serca.

Znieruchomiałam, a razem ze mną cały świat. Powietrze wydawało się nie ruszać i ja także nie ruszałam się w samym środku ciszy. Szum mojego ciała przycichł. Szafa grająca wydawała odległe, ciche brzęczenie.

Zjawiłam się tutaj, żeby wyczyścić swoją przeszłość z Birdwine’em, jednakże gdy się ze mną skontaktował, dotarło do mnie, że moja stopa dotyka czegoś żyjącego. Musiałam jedynie to nacisnąć, przydeptać i zabić.

Próbowałam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz poszłam do łóżka z nieznanym. To było na studiach, gdy Nick podczas seksu zaczął do mnie mówić „kochanie”. Miłość dało się zniszczyć, wbrew temu, co twierdzą poeci i komedie romantyczne. Zniszczyłam tę między mną a Williamem, a potem między mną a Nickiem; tak właśnie zrobiłam.

A potem nie dało się jej odzyskać. Pomyślałam o posiniaczonej twarzy Birdwine’a, o ciszy i o tym, jak niewiele słów zostało wypowiedzianych rano w kuchni. Miał syna. Syna, którego nie widywał, o którym nigdy nie wspominał. To nie była fajna historia na dobranoc dla laski z problemami z odrzuceniem, tak mi powiedział, i chyba nie potrafiłabym mu wybaczyć. Być może wybaczenie nie leżało w mojej naturze.

Skąd mam wiedzieć. Nie próbowałam.

– Gotowa, żeby się stąd zwinąć? – zapytał kowboj.

Zamrugałam, wracając do teraźniejszości. Świat znowu się poruszał. Teraz słyszałam Guns N’ Roses, ale moja wewnętrzna piosenka umilkła. Przestałam tańczyć. Posłałam mu uśmiech pełen żalu i pomachałam telefonem.

– Muszę odpuścić. Do niczego nie dojdzie.

– Słucham? – zapytał kowboj, a jego głos stał się nagle wyższy. Wkradła się do niego nuta wkurzenia. – Mówisz poważnie?

– Wyluzuj – powiedziałam. Nie interesowała mnie jego złość. Znowu myślałam o Candace. Nie o jej umiejętnościach czy skłonności do manipulacji, ale o jej pragnieniach. Przynajmniej wiedziała, czego chce. – Zajęłam mniej niż

trzydzieści minut twojego wieczoru i zapłaciłam za grę. Miłego życia.

Dopiłam piwo i wzięłam torbę.

– Chwileczkę, nie tak szybko – Przekonał się, że poza wkurzonego dziecka nie działa. Spróbował innej taktyki. Obszedł stół i zbliżył się do mnie. – Dobrze się bawimy, no nie? Nie kończmy tak tego. Kupię nam coś do picia albo, a co tam, możemy kontynuować wieczór u ciebie.

Chyba zbladłam, ale już wiedziałam, że podjęłam właściwą decyzję. Wcześniej wyobrażałam sobie, że nasze ciała splatają się ze sobą, lecz nie w moim lofcie. Nie potrafiłam sobie tego wyobrazić w żadnej innej scenerii bliskiej mojemu życiu. Nie chciałam zapachu wody toaletowej tego faceta na mojej pościeli, jeśli jakimś cudem uda się znaleźć Hanę.

– Muszę lecieć – rzuciłam.

Zaczęłam odchodzić, trzymając kciuk nad zielonym kółkiem pod nazwiskiem Birdwine'a.

– Żartujesz sobie? – zawołał za mną, znowu wkurzony. – Hej! Żarty sobie stroisz?

Szłam dalej, po czym zniknęłam w korytarzu prowadzącym do łazienek i tylnego wyjścia. Było tu na tyle cicho, że usłyszałam sygnał wybieranego połączenia. Cholerny Birdwine, każe mi się nagrać na pocztę głosową. Czekałam na piknięcie.

– No więc jestem w McGwiggen's – rzekłam bez żadnego wstępu. – Poznałam faceta. Mogłam stąd wyjść z nim, ale go splawiłam. Nie byłam nawet miła i nie masz pojęcia, jak bardzo chciałabym teraz skłamać. – Mówiłam głośno, przekrzykując muzykę. Wyślizgnęłam się tylnymi drzwiami na cichą uliczkę. – Mam ochotę powiedzieć: „Hej, Birdwine, jestem właśnie w pozycji na odwróconą kowbojkę”. Zraniłabym cię, nie narażając się na kiepski seks czy chlamydię. – O Boże, jak dobrze było tak do niego krzyczeć. Cholernie dobrze. Szkoda, że swego czasu nie przyszło mi do głowy, żeby zadzwonić tak do Kai; ile bym wtedy zaoszczędziła kasy na prezerwatywach i o ile krócej musiałabym chodzić na terapię. Nie słyszał mnie nikt z wyjątkiem rzędu oldschoolowych srebrnych kubłów na śmieci, gdzie dogorywały serwowane w McGwiggen's niedojedzone skrzydełka z kurczaka. Czuć było keczup i kości, a do tego psujący się sos majonezowy. – Porzuciłam go tak, jakbym była ci to winna. Dlaczego? Dlaczego wciąż to czuję, mimo że ewidentnie jesteś dupkiem? Mimo że...

Na uliczkę wylało się światło. Obróciłam się na pięcie i zobaczyłam, że idzie za mną kowboj. Zrobiłam krok w tył, kiedy drzwi zamknęły się za nim.

– Uciekasz przede mną. – To nie było pytanie, lecz stwierdzenie, zaborcze i zarazem dziwacznie dobitne.

Wcisnęłam przycisk kończący rozmowę i wrzuciłam telefon do torby. Obie ręce chciałam mieć na wszelki wypadek wolne. Żałowałam, że po wyjściu z klubu



nie wzięłam do ręki gazu łzawiącego, a teraz nie mogłam go przecież zacząć szukać. Wyprostowałam się i dzięki obcasom byłam od niego kilka centymetrów wyższa.

Kiedy się odezwałam, starałam się, by mój głos brzmiał chłodno.

– Powiedziałaś ci, że nic z tego. Wracaj do środka.

– Nie chcesz mnie wkurzyć – powiedział takim tonem, jakby miał coś stracić.

Dziwne, zwłaszcza że nie byliśmy sobie nawet winni drinka. W moim krwiobiegu zaczynała krążyć adrenalina. Czułam, jak od niej cała puchnę. Atmosfera stała się napięta.

Zrobił krok w moją stronę. Znajdował się między mną a drzwiami i gdybym próbowała go obejść, dałoby mu to sposobność. Jeśli umiał walczyć i gdyby wykorzystał siłę swoich mięśni, nie miałabym szansy. Ale facet taki jak on – wyprodukowane na siłowni mięśnie, licówki na zębach i świeżo obcięte włosy – mógł zacząć słabo, od uderzenia albo chwycenia. Od razu mogłabym go uderzyć w czułe miejsca. Unieruchomić na tyle, żebym zdążyła dostać się do środka.

Zrobił kolejny krok w moją stronę. Nie ruszyłam się z miejsca, bo wystarczy, że ofiara się ruszy, a drapieżca od razu za nią pobiegnie. W oświetleniu nad drzwiami jego włosy wydawały się żółte. Cień zasłaniał mu oczy, ale widziałam w nich błysk. Światło odbijało się od jego rzeźbionego nosa, wąskiej żuchwy. Eleganckiej. Znajomej.

Wtedy go rozpoznałam.

Nie był awatarem wszystkich członków bractw studenckich, z którymi obściskałam się za drzewami. Wydawał mi się znajomy, ponieważ był znajomy. Już go widziałam. Tylko raz, na obrazie. Nie poznałam go bez diabelskich rogów, czerwonych oczu i wąsika w stylu Hitlera.

Poderwałam męża Oakleigh.

– Clark? – zapytałam tak zaszokowana, że aż zrobiłam krok w tył i wpadłam na srebrne kubły na śmieci. Złapałam krawędź jednego z nich, żeby nie stracić równowagi. – Clark Winkley?

– Cholera – rzucił zły, że go rozpoznałam. Ale się nie wycofał.

Zrobił kolejny krok w przód. Zmienił się kąt padania światła i znowu widać było jego oczy: błyszcząco w nich coś paskudnego. Uznałam, że chce się na mnie rzucić, i cała się spięłam. Nie mogłam pozwolić na to, żeby udało mu się mnie złapać. Musiałam zadać mu cios wystarczająco silny, bym zdążyła uciec.

Ale on pozostał w miejscu. Zamiast mnie złapać, wsunął rękę do kieszeni marynarki, gdzie zwinął ją w pięść, obejmując coś. Wtedy zrozumiałam, dlaczego nie wykonał oklepanego ruchu praktykowanego przez każdego mężczyznę na świecie grającego kiedykolwiek w bilard z kobietą: nie pochylił się z tyłu za mną, żeby niby lepiej wycelować. Nie zrobił tego nie dlatego, że mój widok nie sprawiał

mu przyjemności. Po prostu nie chciał, żebym wyczuła broń.

– Clark, w tym wszystkim nie chodzi o mnie – powiedziałam najspokojniej, jak mogłam. W ustach nagle mi zaschło.

– Powinnaś była pójść ze mną do łóżka. Ale nie, musiałaś się zachować jak suka – oświadczył. Twarz ładnego chłopca miał wykrzywioną, nozdrza mu drgały. Przypomniało mi się, że to Oakleigh wybrała dla niego ten nos u chirurga plastycznego. Z kącików ust płynęła mu ślina, on jednak tego nie zauważał. – Jezu, każdy, kto miał cię okazję poznać, twierdzi, że jesteś dziwką. Powinnaś więc była tak się zachować.

Mogłam podziękować za to jego prawnikowi Maconowi. Ta pozbawiona jaj menda musiała rozpowiedzieć o tym, co nas kiedyś łączyło. Boże, ależ ci maluczcy faceci nie znosili przegrywać z kobietą. Zwłaszcza z kobietą, z którą sypiali. Tak więc jego adwokat nazwał mnie zdzirą, a w głowie Clarka zrodził się pomysł, by zaciągnąć łatwą prawniczkę do łóżka. A gdybym go zabrała do swojego loftu?

Ale by było. W poniedziałek zjawiłabym się na spotkaniu i przekonałabym się, że bezimienny kowboj z zeszłego tygodnia to strona przeciwna.

– Clark – rzekłam. – Nic się nie stało. Na razie. W tej chwili sprawa jest czysta. Pograliśmy trochę w bilard. Przekonałam się, że jesteś mężem mojej klientki, ty się przekonałeś, że jestem prawniczką Oakleigh. Rozeszliśmy się.

Wypowiedzenie imienia żony okazało się błędem.

– Nie. Nie, nie, do cholery – oświadczył, a w twarz trafiły mnie kropelki jego śliny. – Jesteście sukami i żadnej z was nie ujdzie to na sucho.

Czemu pozbawiłam go szczerzej nory, jaką było okno w domu Oakleigh? Pełnię szczęścia zapewniało mu śledzenie jej, ryzykowanie życia podczas wspinaczki na drzewo i dach, sikanie do kosmetyków. Kiedy mu je zamknęłam, przeniósł na mnie swoją uwagę. Całą uwagę. W McGwigen's zjawił się niecałe pół godziny po mnie. Wiedział, gdzie jestem, tak jak wcześniej wiedział, kiedy Oakleigh wychodzi z domu. Śledził mnie.

Od kilku dni czułam się obserwowana. Nawet Julian wyczuł to wczoraj przed domem Birdwine'a. Dziś wieczorem Clarkowi trafiła się pierwsza sposobność i ją wykorzystał. Uniosłam pojednawczo rękę, drugą nadal zaciskając na ubrudzonej krawędzi kubła.

– Clark, uspokójmy się trochę, dobrze? – mówiłam niemal śpiewnie, jak do groźnego psa, który zapędził mnie w róg. – Wiem, że jesteś zły.

– Suko, nic jeszcze nie wiesz.

Wyjął rękę z kieszeni.

I wtedy zobaczyłam krótkolufowy pistolet.

Nie wyglądał na prawdziwy. Czułam, że wzbiera we mnie absurdalny śmiech. Ten mężczyzna trzymał w ręku damski pistolet, srebrny, z rękojeścią z macicy perłowej. Małeństwo zbyt lekkie, by kieszeń marynarki wydawała się

obciążona, wyprodukowany po to, aby leżał między pudrem a miniaturowym pieskiem. Dokładnie taki pistolet, jaki spodobałby się Oakleigh. Jednakże ta błyszcząca zabaweczka była wycelowana w moją klatkę piersiową. Mogła mnie przebić na wylot. Mogła mnie zabić.

– Zaczekaj – wykrztusiłam, choć w moim gardle wzbierały inne słowa. Bezużyteczne. Chciałam mu powiedzieć, że nie mogę teraz umrzeć, nie przy tylu niedokończonych sprawach.

Hana nie została odnaleziona. Los Kai nadal był nieznany. Mój nowy brat będzie musiał się zmierzyć z kolejną stratą. Ostatnie słowa, jakie wypowiedziałam do Birdwine’a, to były te, które dopiero co nagrałam na pocztę głosową, pełne gniewu, surowe, nazywając go dupkiem.

Clark zaśmiał się chrapliwie. Przesunął pistolet do góry, aż wycelował go prosto w moją twarz. Błyszczał jak zabawka w jego eleganckiej dłoni.

Mały ciemny otwór na jego końcu zaglądał mi w lewe oko, obiecując zapomnienie. Ja także w niego zajrzałam i czas zwolnił. Zatrzymał się. W tym otworze zobaczyłam swój koniec, zobaczyłam, jakby to się już stało. Jakby to się stało dawno temu i jakby wciąż się działo.



## Rozdział 11

To niebezpieczny okres.

Na dworze świeci słońce, a przez okno wpada żółte światło. Kai jest w drodze do mnie. Tego ranka zobaczymy się po raz pierwszy od jej wyjścia z więzienia i odnoszę wrażenie, że jestem pełna promieni słonecznych i ledwie mogę wytrzymać w swojej skórze. Mimo to twarz mam pozbawioną wyrazu i pozostaję w bezruchu. Leżę obok bomby.

Mój materac ma kształt długiej, wąskiej doliny. Candace leży w głównym okopie, wpatrując się w sufit. To wgniecenie pośrodku ma swoją historię, ukształtowane przez wszystkie dzieci, które na nim spały. Lekka Candace nie zmieniła go, o czym mogę się przekonać podczas rzadkich okazji, gdy mam łóżko tylko dla siebie. W tej chwili nie wygląda jak bomba. Wygląda jak dziewczyna, która zaraz zaśnie na najlepszym miejscu.

Leżę na podwyższonej krawędzi po swojej stronie, plecami do ściany. Czuję dwa wgłębienia po tym, jak Joya i ja siadywałyśmy tutaj każdego dnia. Dowód na to, że tu byłyśmy, równie osobisty jak podpis pod graffiti czy odcisk palca. Kiedy po raz ostatni Joya wpasowała się w to miejsce, szykowała się do opuszczenia mnie.

– Jak wygląda? Twoja mama? – pyta Candace.

Wystarczająco często szperała w moim prywatnym kuferku, żeby obejrzeć zdjęcia mojej matki pod każdym możliwym kątem. Ale i tak odpowiadam, by ją zadowolić.

– Jest wysoka i blada. – Nie mówię, że jest piękna. Nie mówię: „Kiedyś stawiałam bosc stopy na jej bosych stopach, a ona obracała się, a ja wołałam: tańczymy, tańczymy!”. – Ma długie włosy. Albo miała.

Jest sobota rano i pani Mack wysłała pozostałe dziewczyny do świetlicy na telewizję, żebyśmy miały z Kai duży pokój tylko dla siebie. Candace chciała poczekać ze mną, a ja nie protestowałam. Nie będę się kłócić z nią ani nikim innym. Nie teraz.

Podczas wyznaczonych sędownie rozmów telefonicznych mama i ja poczyniłyśmy plany. Wiem, że szuka pracy i mieszkania, stara się spełnić wszystkie wymogi konieczne do tego, żeby mnie odzyskać. Niedługo zabierze mnie do domu. Każdy krok, który dzieli mnie od teraz do wyjazdu, pokonuję, stąpając po ostrzu noża z powodu tej szalonej dziewczyny, która wie wystarczająco dużo, by mnie zniszczyć.

– Moim zdaniem to dziwne, że twoja mama jest biała – stwierdza Candace.

– Aha – przytakuję.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, jak wyglądał twój tato. A ty? – mówi do sufitu.

Przez chwilę czuję złość, ale pozwalam, żeby minęła.

– Nie wiem.

Dzięki temu coś nas łączy. Candace miała tylko ojczyzna, z czego nie wyniknęło nic dobrego. Między innymi przez niego jej mamie odebrano prawa rodzicielskie i Candace może zostać adoptowana. Jest biała, ale to nastolatka pokancerowana przez życie w sposób krępujący dla innych. Ma marne szanse na adopcję.

– U kotów to jest dopiero dziwnie – stwierdza nagle. Obraca się na łóżku i kładzie twarzą do mnie. Teraz leży na drugim końcu materaca. Okop znajduje się między nami. Obie musimy być w gotowości. – Mama kotka jest, powiedzmy, że pręgowana. Ale może urodzić trzy kociaki i jeden będzie czarny, jeden żółty, a jeden w prążki, bo każdy ma innego tatę.

– Aha. No i? – pytam, nie nadążając za tokiem jej myśli.

– Może ty taka jesteś. Może jesteś tymi trzema kociakami na raz.

Czuję, że twarz robi mi się czerwona. Jestem przekonana, że na swój szalony sposób właśnie nazwała Kai dziwką, a mnie mutantem. Ale mówię jedynie:

– Ale by było super, gdybym dostawała potrójne alimenty. Byłabym bogata. Mogłabym pojechać do Disney Worldu i spędzić tam całe lato.

Candace liczyła na pyskówkę i moje żarty ją zirytowały. Mruga szybko, po czym przysuwa się do mnie. Jej oddech jest słodki i mleczny, jakby przed chwilą jadła budyń.

– Miałam sen – szepcze. – Dziś w nocy. Śniło mi się, że twoja mama zabrała nas obie. Pojechałyśmy z nią do domu, a ty pozwoliłaś mi wybrać kolor ścian w swoim pokoju. Dziwne, co?

Podstępne pytanie.

– To zależy. Jaki kolor wybrałaś? – Uchylam się.

Marszczy brwi.

– Chyba zielony?

– No to nie dziwne – odpowiadam.

– No ale musiałam spać w szufladzie pod twoim łóżkiem.

Teraz się uśmiecham. Czasami Candace potrafi być zabawna.

– Okej, to rzeczywiście dziwne.

– Szkoda jednak, że to nie jest prawda – szepcze jeszcze ciszej, a jej spojrzenie jest bardzo przenikliwe. Nie mówimy teraz o jej śnie. – Myślisz, że twoja mama mogłaby być rodziną zastępczą?

– Jedyne problem w tym, że nie sądzę, żeby pozwalano na to ludziom, którzy siedzieli w więzieniu – odpowiadam.

To wcale nie jedyny problem. Niemniej jedyny, o którym wzmianka wydaje się bezpieczna.

– Ale pozwolą, żebyś do niej wróciła, nie może więc być niebezpieczna dla dzieci – przekonuje Candace.

„Ale ja należę do Kai zgodnie z prawem” – mam ochotę powiedzieć. „Urodziła mnie i mamy tę samą krew i przeszłość. Trafiliśmy na sędziego, który zrobił wyjątek i nagiął zasady tylko z powodu łączącej nas więzi. A kim, u licha, ty jesteś?”.

Taka jest prawda, ale gdybym tylko dotknęła nią Candace, zaczęłyby parzyć. Nie chcę jej przypominać o tym, co nas dzieli. Zasadnicza różnica między nami jest taka, że ja do kogoś należę. Milczę, aż w końcu Candace sama sobie odpowiada:

– Zresztą ciekawiło mnie głównie to, czy ona by tego chciała, a nie czy by jej na to pozwolono. Czy to taka osoba, która chciałaby mieć więcej dzieci.

Ten temat jest zbyt niebezpieczny, więc go zmieniam.

– Wiesz, że nadal będziemy się widywać. – Karmię ją tymi samymi bzdetami, które chciała mi wcisnąć Joya. Mimo to muszę spróbować. Candace jest w posiadaniu broni, której może użyć tylko raz, ale jeśli i tak wszystko traci, to co ją przed tym powstrzyma?

Kai nigdy nie może się dowiedzieć, że to ja zadzwoniłam pod dziewięćset jedenaście, że to ja kosztowałam ją wolność. Dwayne także. Zależało jej na nim na tyle, żeby podczas trzech naszych telefonicznych rozmów po wysłaniu przeze mnie wiersza zapytać mnie, czy dostałam list od dawnych przyjaciół. Nigdy mi nie odpisał. Podczas czwartego telefonu w ogóle nie poruszyła tego tematu, więc zapytałam: „Co się stało z, no wiesz, tym wierszem o Ramie i Sicie?”. Długo milczała, po czym powiedziała: „O jakim Ramie? Nie pamiętam, żeby w tej historii pojawił się jakiś Rama”. Nigdy więcej nie wspomniała o Dwayne.

– A jeśli będziecie mieszkać daleko stąd? – pyta żałośnie Candace.

– Kai załatwi samochód albo chłopaka, który będzie go miał. Zawsze tak robiła.

Candace nachyla się jeszcze bliżej i mówi szybko i nerwowo:

– Tak sobie jednak myślałam, co by było, gdybym uciekła. Na początku byłoby zamieszanie, ale nikt by się tym długo nie przejmował. Szukano by mnie u mojej mamy, a po jakimś czasie przestano by szukać.

Widzę, w jakim kierunku to zmierza, więc mówię szybko, żeby wybić jej ten pomysł z głowy, zanim na dobre w niej zakiełkuje:

– Jesteś dzieckiem, Candace. Wszyscy świrują, gdy zaginie dziecko.

Obie wiemy, że to nie do końca prawda. Z powodu zaginięcia dzieci jej pokroju nie robi się takiego szumu jak w wypadku dzieci ludzi z klasy średniej czy bogatych. Ale Candace ma jasne włosy, wielkie oczy i jest chuda – a to telewizja lubi. Trochę rabanu by narobiono.

– Nie ucieknę od razu – wyjaśnia. – Zaprzyjaźnię się z Shar i Karice, aż wszyscy zapomną, że ty i ja byliśmy sobie bliskie. Potem ucieknę i będę się ukrywać, dopóki nie przestaną szukać. A potem przyjadę do was.

Bardzo się staram zachować spokojny i życzliwy wyraz twarzy. W środku aż mnie skręca na widok intensywności błagania w tych wielkich, świecących jak lampy oczach. Chcę wlać jej do głowy trochę rozsądku. Jej plan jest niemożliwy do zrealizowania, to fantazja, ale Candace nieszczęśliwie przejmuję się tym, jak działa świat, jeśli nie jest to w zgodzie z tym, czego pragnie.

– Będziemy to musiały przemyśleć, Candace. Będzie do nas przychodzić kuratorka Kai. Kuratorzy mogą się zjawiać w każdej chwili i trzeba ich wtedy wpuszczać. Jeśli cię zobaczą, odesłają ją z powrotem do więzienia, a ty i tak wylądujesz tutaj.

Zaczyna żuć dolną wargę. Po chwili namysłu mówi:

– No tak. Ale ty też. Może na zawsze. Po czymś takim już by cię nie chciała. Gdyby znowu trafiła do więzienia, i byłaby to twoja wina, założę się, że w ogóle by po ciebie nie przyjechała. Taka by była na ciebie zła.

A niech mnie, ta dziewczyna jest wyjątkowo przebiegła. Naciska największy siniak, jaki kryje się we mnie. Zmuszam się do uśmiechu.

– Nie mówię nie. Mówię, że musimy to wszystko przemyśleć. Na spokojnie. A poza tym założę się, że coś wykombinujemy, żebyś nas mogła odwiedzać.

– Na jak długo? – pyta Candace. – Kiedy?

W tym momencie słyszę odgłosy oznajmiające przyjazd Kai. Pukanie do drzwi. Stukot butów pani Mack o linoleum, gdy idzie, aby je otworzyć.

Powinam tu zostać, przynajmniej jeszcze chwilę. Powinam uspokoić Candace, dodać jej otuchy. Ale słyszę głos Kai, tutaj, teraz, a nie trzeszczący na drugim końcu kiepskiego połączenia, kiedy przyciskam do ucha starą słuchawkę. W pokoju pod nami słyszę jej srebrzysty głos. Nie mogę wytrzymać. Gramolę się z łóżka i przechodzę nad Candace, trafiając ją w brzuch kolanem tak mocno, że aż ją zatyka. Traktuję ją tak, jakby była rzeczą. Biegnę. Nie oglądam się, zbiegając po schodach na spotkanie z moją matką.

Stoi u ich szczytu rozpromieniona. Dzięki niej nie widzę szarych ścian z płyt gipsowych, starych poduch i zapadających się granatowych sof. Jest tylko moja matka otulona tkaninami w kolorach słońca: pomarańczowymi, żółtymi, złotymi. Włosy jej urosły i opadają jej teraz na niewielkie piersi. Patrzy na mnie i się uśmiecha.

Z ostatnich dwóch stopni rzucam się jej w objęcia.

– O rety – mówi i śmieje się.

Wiruje ze mną, a wokół nas jej długie ciemne włosy; jej spódnica owija się wokół moich nóg.

Nieważne, że jej ciało wydaje się inne, bardziej miękkie i gąbczaste w pasie.

Nieważne, że pachnie inaczej, papierosami i tanim szamponem. Jej ramiona to nadal jej ramiona. Jej oczy to nadal jej oczy, mimo że płyną z nich teraz łzy.

– Jesteś taka ładna! Jesteś taka ładna! – powtarza. – I taka wysoka!

W tej chwili nie jestem w stanie rejestrować niczego innego. Niczego. Pani Mack wychodzi, a ja nawet tego zauważam, jakby się teleportowała.

Kai przywiozła plastikowy pojemnik na jedzenie i kiedy ściskamy się i niemal razem tańczymy, uderza mnie nim w plecy. To naleśniki, ze skórką pomarańczową. Są zimne i wchłonęły cały sos, przez co zrobiły się miękkie. Ale i tak siadamy obok siebie na granatowej sofie i jemy je palcami. Kai ciągle mnie dotyka. Nie potrafi utrzymać lepkich od soku palców z dala od mojej twarzy, włosów. Milczy, ale ja z pełnymi ustami opowiadam jej o naszych planach. Nie mówię o przeszłości ani nawet o tym, co dzieje się teraz. Dzisiaj mówię jedynie o tym, co pięknego nas czeka. Słucha mnie uważnie i oto jestem gawędziarką opowiadającą o przyszłości, która w połowie składa się z nadziei, w połowie z marzeń, jest pewna i wspaniała. Kai na przemian śmieje się i płacze. Właściwie łzy płyną po jej policzkach cały czas. To najcudowniejsze godziny, jakie pamiętam od lat.

Czas jeszcze nigdy nie płynął tak szybko. Chcę go spowolnić, zatrzymać, pozostać tutaj, w tym pokoju, gdzie w telewizji leci stara kreskówka, a długa noga mamy dotyka mojej. Kai czuje to samo, bo mówi:

– W poniedziałek wrócę tu w porze kolacji, pamiętaj. A potem znowu w środę i znowu, znowu, aż pewnego dnia, już niedługo, zabiorę cię do domu.

Uśmiecham się do niej promiennie i ponad jej ramieniem dostrzegam Candace. Kuca na górze schodów i kuli ramiona. Brodę opiera na kolanach i przygląda się nam. Jej oczy lśnią, bladoniebieskie jak śnieg. I czuję, jak radość balansuje na krawędzi zniszczenia. Widzę koniec wszystkiego.

To spojrzenie to były trzy sekundy mojego życia. Potem Candace wycofała się poza zasięg mojego wzroku, a ja odwróciłam się do Kai. Ale moment, gdy nasze spojrzenia się skrzyżowały, wrył się w moją pamięć na zawsze.

Zrozumiałam wtedy, jak pewny jest czas. Nieustannie się poruszał, a ja razem z nim. Ciągnął się albo płynął zbyt szybko, ale zawsze był w ruchu. Aż zaprowadził mnie do słowa, do kuli, do oddechu, który to kończył.

Zaprowadził mnie do tej bocznej uliczki. Do męża Oakleigh.

Wpatrywałam się w małą czarną dziurę, a źrenice Clarka były dwiema kolejnymi małymi czarnymi dziurami, takimi samymi. We wszystkich trzech znajdowała się obietnica szalonej pustki. Jego dłoń zadrżała i zacisnęła się na rękojęści, a czas płynął tak wolno, że widziałam, jak porusza się każdy najmniejszy mięsień w jego palcach. Światło odbijało się od jasnych włosków na jego dłoni. Były piękne jak żywe strumienie światła.

Potrafiłam powiedzieć tylko: „Zaczekaj, zaczekaj”, pragnąc jeszcze jednej



sekundy.

Zaczekał.

Clark miał wyrzeźbione na siłowni ciało i białe równe zęby. Co prawda przekroczył granicę, ale przemoc była dla niego nowością. Zawahał się, a ja zyskałam czas na jeszcze jedną rzecz.

Mogłam ponownie powiedzieć „Zaczekaj”, „Proszę” albo „Nie”, ale to by go nie powstrzymało. Wiedziałam, że to nie może być nic osobistego. Nie obchodziło go to, że nie znajdę Hany. Że nie będę czuwać nad Julianem. Że nigdy nie powiem Birdwine’owi, iż w mrocznym oku pistoletu zobaczyłam wyraźnie wszystkie jego wady i porażki i zrozumiałam, że nie zmienią one tego, jak bardzo jest mi drogi, niezbędny, jak dobry i szlachetny.

Clark spadł z jakiejś krawędzi; koziółkował, lecąc w dół, a ja nie byłam w stanie zatrzymać go swoją troską o moje pozbawione znaczenia życie ani sprawić, by dostrzegł, jaką sieć połączeń przecina w tej chwili. Nie byłam dla niego nikim rzeczywistym. To również zawdzięczałam Candace: jasność – jego czyny skierowane przeciwko mnie nie miały nic wspólnego ze mną i cokolwiek osobistego powiem, nie będzie go to obchodziło. Tak więc w tej krótkiej chwili, gdy się zawahał, zapomniałam o sobie i oświadczyłam:

– Oakleigh ma coś na ciebie.

Opuścił lekko brodę, a ja kupiłam sobie kolejny oddech, choć napięcie, z jakim trzymał palec na spuście, wcale nie zmalało. Czarne oko pistoletu wpatrywało się dokładnie w moje lewe oko. Próbowalam ominąć je wzrokiem, by widzieć jego, ale trudno było patrzeć na cokolwiek innego niż ten nedorzeczny srebrny pistolet.

– Co? – zapytał, jakby mnie nie dosłyszał.

– Ma coś, co cię zniszczy.

Napięcie w palcu zmalało. Wyprostował się. Wyraźnie go tym zainteresowałam.

– Mów, inaczej cię zastrzelę.

I tak zamierzał to zrobić. Widziałam to w jego oczach.

– Materiał filmowy – odparłam. – Stoisz przed barem. Zapewnisz Oakleigh materiał filmowy, na którym strzelasz do jej prawniczki.

Tak trudno było oderwać wzrok od czarnego oka pistoletu. Ale dałam radę. Udało mi się sprawić, że moje spojrzenie pomknęło ku niedużej kamerze przemysłowej umieszczonej nad drzwiami McGwigen’s.

Odruchowo się obejrzał, podążając za moim wzrokiem. A wtedy ja też się ruszyłam, nacierając na niego z pochyloną głową. Kiedy starałam się uchylić przed torem lotu kuli, czułam się tak powolna, jakbym próbowała zatonać w betonie.

Jego ręka wykonała nagły ruch i usłyszałam głośny huk tak blisko, że mnie ogłuszył. Oślepił mnie błysk lufy. Nie wiedziałam, czy mnie trafił. Nie potrafiłam

tego określić. Nie wiedziałam nawet, czy żyję, dopóki się nie potknęłam i nie wbiłam mu obcasa w but.

Wrzasnął i usłyszałam drugi wystrzał, przypominający odgłos otwierającego się szampana, stłumiony niekończącym się echem pierwszego wystrzału. Moje kolano wędrowało już do góry. Moje ręce sięgały do jego oczu.

Usłyszałam brzęk upadającego pistoletu, a potem poczułam na szyi rękę Clarka. Zachowywaliśmy się jak zwierzęta walczące o przeżycie. Moje kolano trafiło go mocno w jądra i zgiął się w pół. Wbiłam paznokcie w jego bladą twarz. Ktoś wołał; rozdzierający krzyk rozrywał mi gardło od środka, więc to musiałam być ja.

Puścił mnie; jego ciało decydowało za niego o ucieczce, natura brała nad nim górę, tak jak nade mną. Pod paznokciami czułam coś mokrego i mięsistego. Pchnął mnie; jego pięści były niczym dwa młotki bijące w moją klatkę piersiową. Poczulałam, że odrywam dłonie od jego twarzy. Poleciałam do tyłu na kubły ze śmieciami. Wpadłam na nie i dwa przewróciły się z głośnym brzękiem. Wylądowałam między nimi.

Usłyszałam własny krzyk, a kiedy podniosłam głowę, on oddalał się wolnym, chwiejnym biegiem, zgięty, trzymając się za jądra. Nie przestawałam krzyczeć, było to niczym potępieńcze wycie. Nie rozumiałam, jak to możliwe, że ludzie w klubie mnie nie słyszą.

Gdy tylko o tym pomyślałam, drzwi z przydymionego szkła otworzyły się i ze środka wypadł Wes. Oczy miał wielkie jak spodki. Zaraz za nim pojawiła się Grace, druga barmanka. Była ostrą dziewczyną z tatuażami pokrywającymi niemal całe ciało. Musiałam wyłączyć wydobywający się ze mnie dziki krzyk, jakbym wyłączała radio, w którym leci akurat kiepska piosenka. Wes rozejrzał się szaleńczo, po czym puścił się biegiem za Clarkiem. Ten go zobaczył i przyspieszył, nadal zgięty w pół.

Usiadłam między przewróconymi kubłami. Miałam bose stopy. Tak mną cisnął, że poleciałam bez butów. Moje dłonie zaczęły przesuwac się po moim ciele, jakby z własnej woli, próbując się przekonać, czy mam jakieś ślady po kuli. Dotknęłam twarzy, włosów, szyi, klatki piersiowej. Na końcu ulicy usłyszałam hałas i kolejny krzyk. Wes powalił Clarka.

Gardło bolało mnie od potępieńczego krzyku i czułam ból w klatce piersiowej, tam, gdzie uderzył mnie pięściami. Byłam cała obolała od upadku na śmietniki. Niedaleko mnie leżał pistolet, błyszczący jak zabawka. Zobaczyłam też buty. Obok mnie klęczała Grace, chociaż nie zauważyłam, kiedy zdążyła podejść.

– O mój Boże, Paula, zobaczyliśmy was na monitorze. Billy wezwał policję.  
– Billy był menedżerem klubu.

– Krwawię? – wychrypiałam. – Postrzelił mnie gdzieś? Leci mi krew?

– Nie – odparła. – Nie, ale, Boże, masz strasznie potargane włosy.

Wtedy dotarło do mnie, że jestem w szoku, ponieważ zaczęłam się śmiać.

– Kto to jest? – zapytała Grace. – Spotykasz się z nim?

Pokręciłam głową i cały świat zawirował.

– To był ten tysiąc pierwszy facet.

Słyszałam, jak Wes wrzeszczy:

– Leż, dupku!

Grace pomogła mi wstać. Wes siedział na plecach Clarka i przyciskał jego zakrwawioną twarz do ziemi. Clark rzucał się pod jego ciężarem jak wściekła flądra. Kiedy stałam, pulsowanie w lewym biodrze przybrało na sile, ale ból wydawał się daleki i mało ważny. Interesujący fakt, na który zwróciłam uwagę. Buzowała we mnie krew, każda żyła była częścią bieżni, wszystkie czerwone krwinki przepychały się, by dotrzeć do mety jako pierwsze.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Grace.

Czułam się lepiej niż dobrze. W moim ciele nie było żadnych ran postrzałowych. Wygrałam. Zobaczyłam, jak ucieka. Teraz, w tej właśnie chwili widziałam, jak leży przyparty zakrwawioną twarzą do ziemi i, mój Boże, ależ to było przyjemne uczucie.

Zza szklanych drzwi wyłonił się Billy. Omiótł spojrzeniem całą scenę i pobiegł pomóc Wesowi.

– Chodźmy do środka – powiedziała Grace i pociągnęła mnie w stronę drzwi.

Zrobiłam krok w bok, niemal na skos. Dotarło do mnie, że zamierzałam podejść do Clarka i kopnąć go w głowę. Ale Grace mnie objęła i powstrzymała. Złapałam się jej, chwielejąc się, i moja dłoń pozostawiła czerwone ślady na jej koszuli. Opuszki palców miałam pomalowane jego krwią.

Grace zabrała mnie do środka i posadziła w pomieszczeniu biurowym. Kilka minut później usłyszałam syreny, i ten dźwięk także mi się podobał. Brzmiało to tak, jakby prawo, mój stary dobry przyjaciel, jechało do mnie przez miasto drogą sprawiedliwości.



Biuro na tyłach McGwigen's było pomalowaną na biało, pozbawioną okien kanciapą; podejrzewałam, że rozpoczęło życie jako szafa. Czekałam tam, kiedy wpadł zdyszany Birdwine; w jego oczach widać było błysk szaleństwa. Omiótł spojrzeniem całe nieduże pomieszczenie: zajmowałam jedyne miejsce siedzące, czyli tanie czarne krzesło na kółkach stojące za biurkiem z Ikei, na którym stał stary komputer.

– Cześć – powiedziałam głosem schrypniętym od dziwnego wrzasku. Jeszcze nigdy tak bardzo nie ucieszył mnie jego widok.

– Och, cześć – odparł. Przez chwilę stał niepewnie, po czym przeczesał wielką łapą potargane włosy, wyraźnie próbując wziąć się w garść. Kiedy znowu się odezwał, jego słowa zabrzmiały celowo lekko: – No więc przyjechałem cię uratować. Ta-daaa.

Uśmiechnęłam się, ale po chwili spoważniałam.

– Przepraszam, że nazwałam cię dupkiem. – Chciałam to odwołać, zanim zawali się na nas budynek, słońce przemieni się w nową albo zabije mnie ostatni fragment stacji kosmicznej Skylab. Nie chciałam, żeby wiadomość, którą mu nagrałam, gniewna i surowa, była ostatnimi słowami, jakie do niego powiedziałam. Na twarzy Birdwine’a pojawiła się konsternacja, więc dodałam: – Na poczcie głosowej. Nazwałam cię dupkiem.

– Och, no tak. *De nada*. Odebrałem wiadomość jakieś piętnaście minut temu. Zanim się rozłączyłaś, usłyszałem tamtego faceta, i było coś w tonie jego głosu... Wiedziałem, że wszystko się pochrzało. Zadzwoiłem do ciebie cztery razy, ale ciągle włączała się poczta głosowa. Przyjechałem więc zdenerwowany, a tu pełno radiowozów. Ludzie wymieniali twoje nazwisko, mówili o strzałach, o napadzie. Fakt, że nazwałam mnie dupkiem, spadł dość nisko na liście moich priorytetów. – Kiedy opowiadał, wyglądał, jakby mu było niedobrze. – Grace mi powiedziała, że tu jesteś, uraczyła mnie dwudziestą pierwszą wersją. Naprawdę nic ci się nie stało?

– Powinieneś zobaczyć tego faceta – odparłam.

– Bardzo bym tego chciał – powiedział ponuro Birdwine.

Wsunęłam stopy w neonowo pomarańczowe crocysy pożyczone od Grace. Moje buty zabrała policja. Następnie wstałam, krzywiąc się, i popatrzyliśmy na siebie z zakłopotaniem.

– Czy twoje usługi ratownicze obejmują podwózkę do domu?

Spojrzał na mnie, unosząc podejrzliwie brwi, próbując wyczytać coś z mojej twarzy. W jego oczach malowało się tyle ostrożności i nieufności, że aż pękało mi serce. Ale tylko zapytał:

– Jesteś już wolna?

– Tak, czekałam, aż odwiezie mnie jakiś gliniarz.

Sanitariusz pogotowia oczyścił moje zadrapania i obejrzał mnie, ale nie pozwolił mi na zbyt intensywne macanie. Nic mi się nie stało, miałam jedynie spektakularne sińce po wylądowaniu na kubłach. Technik pobrał próbki spod moich paznokci, natomiast detektyw o nazwisku Martinez spisał moje oświadczenie, krótkie, zapewne dlatego, że piłam. Chciał, żebym zjawiła się jutro na posterunku i złożyła dłuższe wyjaśnienia, poza tym chcieli mi zrobić zdjęcia. I tak mieli lepszego świadka w postaci nagrania z kamer. Kamera na korytarzu pokazała, jak Clark za mną wychodzi. Kamera nad drzwiami zarejestrowała większą część walki, poza tym policja zabezpieczyła broń.

Zdążyłam się trochę uspokoić i mój prawniczy umysł zaczął już obmyślać,

w jaki sposób przyspilię Clarka Winkleya do ściany. Próbował mnie zastrzelić, prawda? Sporządzony przeze mnie projekt ugody wyglądał teraz dziecinnie łagodnie. Mogłam temu zaradzić. Ależ by się to podobało sędziemu, choć wątpiałam, by prawnik pozwolił tej mendzie stawić się przed obliczem sędziego, nie wspominając o ławie przysięgłych. Szybko podpiszą ugodę, a potem Clark będzie mógł się skupić na swojej sprawie karnej i czekającym go nieuchronnie moim pozwie.

– Samochód mam po drugiej stronie ulicy – rzekł Birdwine.

– Wołałabym się przejść. Trochę się przeciągnąć.

Cofnął się, nie mając pewności, jak bardzo jestem dosłowna.

Musieliśmy wyjść przez główną salę, ponieważ ulica za tylnymi drzwiami została odgradzona policyjnymi taśmami. Podziękowałam Grace, Wesowi i Billy'emu i przekazałam Martinowi, że nie musi mnie odwozić.

A potem Birdwine i ja wyszliśmy razem w ciemną noc. Adrenalina dawno przestała działać, ale nie ścieło mnie z nóg. Czułam spokój. Podobało mi się uczucie towarzyszące spacerowi w stronę domu, jakby to do mnie należał ten wieczór, jakby udało mi się uciec od wszystkiego, co może mnie skrzywdzić. Chodnik miał pęknięcia i dziury, ale latarnie świeciły tak jasno, że nietrudno było je omijać. Ulicą przejeżdżały samochody, wprawiając w ruch gorące powietrze późnego lata.

Przechodziliśmy od jednego kręgu ciepłego światła do drugiego. Dzielilo nas dwadzieścia centymetrów i nie chciałam tego naruszyć. Julian, bezpośredni i uroczy, już dawno by to zrobił; pożałowałam nagle, że nie jestem do niego bardziej podobna. Czułam, że Birdwine'a przepelnia energia. Zbyt intensywna, żeby utrzymać ją w zamknięciu; wyciekała z jego potężnego ciała, kłując przestrzeń między nami. Uderzał piętami w chodnik tak, jakby czymś go mocno wkurzył. Milczał, ale ja nie byłam w tym dobra. Nie wiedziałam, jak mu powiedzieć, że w obliczu prawdziwego końca fakt, iż wiem o nim to, co najgorsze, miał niewielkie znaczenie.

W końcu się odezwał, a jego głos okazał się spokojniejszy niż język ciała.

– Rzeczywiście jestem dupkiem. Ale nie jestem kiepski w swoim fachu.

– Nie uważam, że jesteś kiepski w...

– Uważasz. Na pewno. Widziałaś mój dom. Wiesz, że zawsze jestem splukany. Ale jestem dobry w tym, co robię. Dostaję zlecenia, Paula. Dostaję zlecenia nawet od osób, które nie chcą ze mną sypiać.

– Okej, okej. – Zaśmiałam się. – Jesteś dobry w wielu dziedzinach.

Ponownie spowaźniał.

– Jestem non stop splukany, ponieważ mniej więcej jedna trzecia moich dochodów wędruje do funduszu powierniczego. Dla chłopaka. Mojego syna. Na studia albo jakąś awaryjną sytuację, na to, na co będzie potrzebował. Nie dlatego,

że sąd mi tak nakazał. Dziesięć lat temu zdecydowałem, że będę tak robić, i trzymam się tego. Nie jestem cholernym palantem. – Zerknął na mnie z ukosa, po czym poprawił się: – Trochę jestem palantem. Ale nie takim, jak ci się wydaje.

Skręciliśmy w prawo i zbliżaliśmy się powoli do mojego budynku. Kiedy broń wycelowana była w moje lewe oko, wybaczyłam mu wybory, jakich dokonał w przeszłości, i zaakceptowałam wszystkie jego niedoskonałości. Ale informacja o odkładaniu pieniędzy odsłoniła dla mnie wszystko, co w nim najlepsze. Niektórych ludzi coś takiego by nie ruszyło, ale oni prawdopodobnie zawsze mieli wystarczająco dużo pieniędzy. No i nie widzieli jego domu. Ja wiedziałam, jak wygląda skromne życie. Kiedy byłam mała, Kai i ja byliśmy niemal bezdomne. Przez cały pierwszy rok studiów, zanim udało mi się zdobyć stypendium, zarabiałam na życie kelnerowaniem. Dla mnie to, co robił Birdwine, miało wielkie znaczenie.

– Nie uważam cię za cholernego palanta – powiedziałam. – Nie jesteś mi winien żadnych wyjaśnień. Niczego nie jesteś mi winien. Bez względu na to, co się stało z twoim synem, jak to się wszystko rozegrało, jest to straszne i smutne. Nie jest ci z tym łatwo. To oczywiste. Robisz to, co najlepsze w takiej sytuacji. Nie musisz mi o tym mówić, ponieważ cię znam.

Nie patrzył wtedy na mnie, lecz pokonał dzielącą nas przestrzeń. Wziął mnie za rękę i uściśnął tak mocno, że niemal mnie to zabolowało.

Całe życie wyczekiwałam przebaczenia. Nie otrzymałam go, więc nie wiedziałam, co czuje Birdwine. Ale wielokrotnie to sobie wyobrażałam. Tak bardzo tego potrzebowałam. Aby Kai – albo jakakolwiek osoba, która poznała to, co we mnie najgorsze – powiedziała, że mimo to jestem kochana, dobra i wartościowa.

Dałam Birdwine'owi to, czego zawsze sama pragnęłam, a on odwrócił ode mnie twarz. Zobaczyłam jego odbicie w szklanej ścianie budynku, który mijaliśmy. Oczy miał jak czarne studnie, a kąciki ust mu opadły. A potem spuścił głowę i, trzymając mnie za rękę, szedł w milczeniu niemal całą przecnicę.

– Ma na imię Caleb. Nie wie o moim istnieniu – zaczął w końcu, omijając dziury w chodniku. – Dowiedziałem się o nim dopiero wtedy, gdy miał trzy lata. To znaczy wiedziałem. Wiedziałem, że była w ciąży, kiedy mnie zostawiła. Powiedziała mi bez ogródek, że to nie moje dziecko. Pozwoliłem jej nawet przyspieszyć rozwód, żeby zdążyła wyjść za Martina przed narodzinami dziecka. To jego nazwisko widnieje w akcie urodzenia.

Wstrząsnęło to mną. W takim razie Martin był prawnie ojcem; w Georgii jego prawa znacznie przewyższały prawa Birdwine'a.

Przełknęłam ślinę i rzekłam cicho:

– No cóż, skłamała. Można powiedzieć, że się sklonowałeś. Ten facet, za którego wyszła, wie?

– Musiałby być głupi. Wie, jak wyglądam. Spotkałem go parę razy, kiedy bzykał się z moją żoną. – Trzeba przyznać, że w jego głosie słychać było tylko cień gorczy.

Czy Martin poślubił Stellę w ciemno, wiedząc, że dziecko może nie być jego? Nie tyle ryzyko, co decyzja: będzie kochał bez względu na to, jak upadnie moneta. Może tak właśnie wygląda prawdziwa miłość. Tak ją postrzegał Julian, adoptowany chłopak, który opowiadał mi o drużynach i ratunkach. Szukał już mieszkania, załatwiał sobie przeniesienie na inną uczelnię, zmieniał życie dla zaginionej dziewczynki, która była wirującą w powietrzu monetą. Dzisiejszego wieczoru chciałam być trochę bardziej podobna do niego. Nie, nie ślepa na to, jak trudne i okropne bywa życie; słodycz niełatwo było znaleźć, a jeszcze trudniej zatrzymać. Zresztą chodziło mi tylko o to, by po nią sięgnąć.

– Jak się dowiedziałeś? – zapytałam Birdwine’a. Chciał mówić, a długo był z tym zupełnie sam. Chciałam, by wiedział, że możemy ze sobą rozmawiać.

– Od cipowatej koleżanki Stelli, która nas znała, kiedy jeszcze byliśmy razem. Była druhną na naszym ślubie. Przysłała mi list, w którym napisała, że godzinami się zastanawiała i modliła, aż w końcu zdecydowała, że mam prawo wiedzieć. To było mniej więcej dziesięć lat temu – wyjaśnił i teraz rzeczywiście słychać było w jego słowach gorczy, tysiąc razy większą i bardziej dojmującą, niż kiedy mówił o romansie żony.

Czasowo mi się to zgadzało. Dziesięć lat temu Birdwine zapisał się na pierwsze spotkanie AA.

– Wtedy właśnie zobaczyłeś Caleba?

– Tak. Mieszkali już na Florydzie. Pojechałem tam i obserwowałem ich z ukrycia. Przez ponad tydzień, ale oni mnie ani razu nie widzieli. Wiesz, jaki jestem. Cholera, Paula, dobrze to wyglądało. Wyglądali na szczęśliwych. Wcale tego nie chciałem. Liczyłem, że zobaczę coś, dzięki czemu będę mógł wkroczyć do akcji. Ale ich pierwsza córka zaczęła właśnie chodzić, a mój chłopak, Caleb... Usłyszałem, jak mówi facetowi w budce z lodami, że jest starszym bratem. Nie umiał wypowiedzieć „r”, ale w jego głosie była duma. Co drugie wypowiedane przez niego słowo brzmiało „tatuś”. „Tatusiu, popatrz na mnie”. „Tatusiu, podnieś mnie”. I Martin go podnosił. Stella nosiła małą, a w tym czasie mój syn siedział na barkach Martina.

– Cholera – powiedziałam. Druhna, którą nagle zaczęło gryźć sumienie. Czekala trzy lata, odkąd Stella wydała wyrok, wybierając Martina przed narodzinami dziecka, gdy o prawdzie zaświadczy biologia. Nie istniał dobitniejszy sposób na to, by powiedzieć mężczyźnie, iż nie uważa się go za wystarczająco dobrego dla twojego dziecka, mimo to zapytałam, ponieważ musiał wiedzieć, że go wysłucham i że ta opowieść niczego nie zmieni. – Kiedy Stella ci powiedziała, że jest w ciąży, nie zastanawiałaś się? Nie dokonałeś obliczeń?

Pokręcił głową tak energicznie, że czułam to w naszych złączonych dłoniach. Było to kłamstwo wypowiedzane całym ciałem, a może jedynie wyparcie, bo kolejne wypowiedziane przez niego słowa zawierały prawdę:

– Chciałem jej wierzyć. Chyba po prostu zdecydowałem, że jej uwierzę i już. Byłem bardzo, ale to bardzo zajęty piciem. Poczulem ulgę, kiedy powiedziała, że jest pewna.

Birdwine uniósł drugą rękę w geście, który mówił, że jej za to nie obwinia.

Może ja też nie powinnam? Wyobraziłam sobie Stellę w ciąży trzynaście lat temu. Żonę wraka człowieka, gdy wpadał w ciąg. Wtedy pił codziennie i ledwie był w stanie pracować. Poznała mężczyznę, na którym mogła polegać, trzeźwego. Zależało jej na Martinie na tyle, by złamać przysięgę małżeńską. Kiedy się okazało, że jest w ciąży, mogła dokonać wyboru. Miałam okazję widzieć Birdwine'a w jego najgorszym wydaniu, więc to rozumiałam. Ciekawe, co ja bym zrobiła na jej miejscu.

To było niewłaściwe pytanie. Znałam swoją głupią odpowiedź: rzuciłabym solidnego rudzielca i zostałabym z mężem.

– Myślisz, że kiedyś go poznasz? Caleba. Może gdy będzie dorosły? – zapytałam. Nie miałam pewności, czy to było właściwe, ale nic nie było czarne albo białe. W tym wypadku operowaliśmy różnymi odcieniami szarości. Być może nie różniło się to zbytnio od tego, co Kai zrobiła dla Juliana. Po raz pierwszy zastanowiłam się, czy Julian wychowywał się, wiedząc, że został adoptowany. Chyba tak można było wywnioskować z tego, co opowiada o swojej rodzinie. Syn Birdwine'a nie wiedział. Czy Caleb został porzucony czy skradziony, uratowany czy uwolniony? Nie miało to znaczenia, ponieważ Birdwine kręcił teraz głową.

– Chyba że będzie potrzebował szpiku kostnego albo nerki – rzekł.

– No cóż, oby nigdy nie potrzebował wątroby – rzuciłam, a on się skrzywił.

– Tak, cios poniżej pasa. Ale wiesz, że to prawda.

Dotarliśmy do mojego budynku. Puściłam rękę Birdwine'a i odwróciłam się twarzą do niego. Stałam tyłem do ściany. Jego twarz skąpana była w żółtym świetle przenikającym przez drzwi do holu.

– Kiedy zacząłem chodzić na spotkania AA, złożyłem sobie obietnicę. Że jeśli przez rok uda mi się zachować trzeźwość, pojedę i poznam Caleba. Powiedziałem sobie, że wtedy będę wart tego, żeby mnie poznał. Założyłem fundusz powierniczy, żeby wiedział, że cały czas był dla mnie ważny, no nie? Gdyby tylko udało mi się być trzeźwym przez rok, tak sobie powtarzałem.

Pokręciłam głową.

– Spora presja podczas wychodzenia z nałogu.

– Oj tak. Raz wytrzymałem dziesięć miesięcy. Kiedy miał dziewięć lat. Zacząłem nawet planować, co mu powiem, co powiem Stelli... Obudziłem się dwa tygodnie później w Meksyku. – Wzruszył z żalem ramionami, po czym dodał: –



Powiem ci, co dobrego wynikło z naszego rozstania, jeżeli mogę tak powiedzieć. Chodzi mi o to, co zaszło w kuchni, kiedy zobaczyłaś jego zdjęcie. Dałem sobie spokój z tym pomysłem. Mogę być dziesięć lat trzeźwy, a i tak nie pojedę się z nim spotkać. Musiałbym mu powiedzieć, że jego matka jest oszustką i kłamczuchą, a jego tata złodziejem. Skoro nie wywróciłem jego życia do góry nogami, gdy miał trzy lata, jak mógłbym to zrobić teraz, gdy jest nastolatkiem? Kiedy nadejdzie czas na studia, albo wcześniej, jeśli coś się wydarzy i będzie tego potrzebował, środki z funduszu przekażę Stelli. Wyjaśni to, jak będzie chciała. – Pochylił się, by na mnie spojrzeć. Jego oczy znalazły się nagle bardzo blisko moich. – Nie mówię ci tego ze względu na nas. Nie zamierzam starać się nie pić przez rok, traktując cię jak nagrodę. Zresztą skończyłem z piciem. Już tak mówiłem, ale tym razem nie ma żadnych warunków. Skończyłem i już. Mam nadzieję... wierzę... że teraz mówię poważnie.

– Ja też mam taką nadzieję. – Nawet jeśli mu się nie uda, nie przestanie próbować. Wiedziałam to, ponieważ go znałam.

Wyrzucił w górę rękę i oświadczył:

– I wiesz, że cię, cholera jasna, kocham. No i?

Spojrzałam mu w oczy.

– Dlaczego mnie kochasz? – Wiedziałam, czego chcę, ale jednocześnie tego nie chciałam, ponieważ wiedziałam, że mogę go skrzywdzić. Nie chciałam być ładną pięścią, na którą się nadzieje. Oparłam się o ścianę tuż obok domofonu. – Jeśli zamierzamy w to wejść, musi to być coś więcej niż dobry seks i twój masochizm.

Nie miałam pewności, czy mi odpowie. Nie miałam pewności, czy ma jakiś powód, a z jego oczu tak cholernie trudno było cokolwiek wyczytać. Ale wtedy się uśmiechnął.

– Dlatego że każdy na tej gównianej planecie wypowiada piękne słówka, żeby wydawać się kimś dobrym, gdy tymczasem robi różne paskudne rzeczy – rzekł. – Ty jesteś inna niż wszyscy.

To była dobra odpowiedź. Fajnie, że tak powiedział. Wpatrywałam się w jego oczy, raz jedno, raz drugie, intensywniej, niż patrzyłam w oczy Clarka i wylot lufy. Lewe oko Birdwine'a było spuchnięte i czarnofioletowe. Kiedy uniosłam ku niemu twarz, zobaczyłam, jak rozszerzają mu się źrenice. Teraźniejszość była nadal poplątana, owszem, ale w czerni jego oczu zobaczyłam wyraźnie swoje odbicie. Byłam dla niego kimś prawdziwym. Widział każdą moją wersję, także tę najgorszą, i wiedział o wszystkich potwornościach, których się dopuściłam. Co więcej, wiedział, do czego jestem zdolna, a mimo to patrzył na mnie tak, jakbym była dobra i wartościowa.

– Chodź na górę – powiedziałam. W tych słowach kryła się obietnica, że chodzi nie tylko o seks. Ale on czekał, milcząc. Nawet nie mrugnął powieką, aż

moje oczy stały się suche i swędzące. W końcu dodałam: – Tak. Okej. Tak. Cholernie cię Kocham.

– O tak – rzekł, po czym wstukał kod otwierający drzwi. Nie przypominałam sobie, że bym mu go podawała, więc musiał patrzeć, jak go wbijam, i zapamiętać. Co za facet.

W windzie milczeliśmy i w ogóle się nie dotykaliśmy. Czekaliśmy, chcieliśmy poczekać, aż znajdziemy się u mnie. Tam mieliśmy drzwi, które mogliśmy za sobą zamknąć, i żadnych ścian. Weszliśmy na antresolę i posiedliśmy się tam nawzajem, gdy tymczasem Henry drzemał na komodzie i głośno mrucał.

Byliśmy tacy ostrożni. Nie mogło być inaczej. Dotykaliśmy się delikatnie przez wzgląd na nasze obrażenia. To nie był seks taki jak zazwyczaj. To było coś nowego i łagodnego, a kiedy poruszaliśmy się w jednym rytmie, miałam widok na rozciągającą się przed nami panoramę Atlanty; wyglądało to tak, jakby miasto się rozświetliło na tle ciemności tylko i wyłącznie dlatego, żeby nam było przyjemnie.

Został w moim łóżku. Nigdy wcześniej nikomu na to nie pozwoliłam, ale nie chciałam, żeby mnie zostawiał. Nie dzisiaj. Spał, obejmując mnie, nie mogłam jednak zasnąć. Myślałam o swojej matce. Myślałam o tym, że spojrzę w lufę wycelowanej w nią broni, gdy lekarz jej powiedział: „Kilka tygodni, o ile szczęście pani dopisze”.

Postanowiła przywieźć Hanę do mnie, ale zdecydowała się na okrężną trasę, próbując odnaleźć drogę do przyszłości przez naszą przeszłość. Miała nadzieję, że szczęście jej dopisze.

Leżąc w ciemnościach, w objęciach Birdwine’a, nie miałam wątpliwości, że Kai nie żyje. Nic innego nie powstrzymałoby jej przed dowiedzeniem mi siostry. Wcześniej wiedziałam, że jej śmierć jest bardzo prawdopodobna; w dniu, w którym otrzymałam zwrot czeku, założyłam, że jest nieuchronna i bliska, a potwierdził to Birdwine, znajdując jej rzeczy w mieszkaniu w Austin. Teraz czułam to całą sobą.

Czas Kai dobiegł końca i nigdy nie stanie ona w progu mojego mieszkania, nigdy nie weźmie mnie za rękę, nigdy nie powie jakichś mistycznych bzdur w stylu: „Spójrz, Kali Jai, masz młodszą siostrę. Dałam jej imię na cześć Hanumana, boga małpy, ponieważ jest o wiele silniejsza, niż zdaje sobie z tego sprawę”. Płakałam cicho, ale Birdwine musiał wyczuć drżenie w moim ciele. Przytulił mnie mocniej i poczułam, jak chowa twarz w moich włosach.

Tak właśnie wyglądało przebaczenie na drugim końcu? Tak trudno jej było wybaczyć mi udział w naszym rozłamie, ponieważ dużo winy leżało po jej stronie. Całe jej życie było jak naładowany pistolet pozostawiony odbezpieczony na środku stołu. Gdy byłam dzieckiem, wzięłam go ze stołu, bawiłam się nim i kosztowałam ją Juliana. Jego nieobecność nas zniszczyła.

Wcale się nie zmieniła. Kiedy tylko zwolnienie warunkowe dobiegło końca, znowu ruszyła w podróż, ufając, że przeznaczenie wesprze jej plany, nie mając

żadnego zabezpieczenia. Nawet gdy się dowiedziała, że umiera. Powinna była przywieźć Hanę prosto do mnie.

Może to był jedyny sposób, w jaki potrafiła to zrobić: obwieźć moją małą siostrę po najlepszych fragmentach naszej wspólnej przeszłości. Być może musiała sobie przypomnieć, kim dla siebie byliśmy, kiedy obracała mnie na swoich stopach, a ja wołałam: „Tańczymy, tańczymy!”. Kiedy największą pociechę zapewniał mi zapach pomarańczy i dymu z ogniska w jej ciemnych włosach. Kiedy my dwie byliśmy jedynym, co się na tym świecie nie zmieniało.

Za taką Kai teraz szlochałam.

Gdy się obudziłam, Henry leżał na środku porzuconej przez Birdwine'a poduszki i spał mocno. Z dołu dochodził zapach parzonej kawy i dobiegał cichy odgłos stukania w klawiaturę, a więc Birdwine nie odszedł daleko. Na podłodze nadal leżała jego ciemnozielona koszulka z logo lokalnego browaru. Była porozciągana i miękka ze starości. Wciągnęłam ją przez głowę i podeszłam do balustrady.

Birdwine, bosy, w samych dżinsach, siedział w fotelu biurowym i czytał coś na ekranie mojego laptopa, a na biurku stał parujący kubek.

– Zrobisz mi kawę? – zawołałam.

Spojrzał na mnie; jeszcze nigdy nie widziałam jego oliwkowej twarzy tak bladej.

– Co się stało? – zapytałam, od razu się spinając. – Na litość boską, co znowu?

– Chyba ją znalazłem. – Spojrzał na monitor i dotknął go, po czym ponownie uniósł głowę. – To policyjny raport sprzed czterech miesięcy. Myślę, że to może być Hana.

– Co takiego? – zapytałam. – Jak?

– Chciałem zająć się pracą, ale nie chciałem wychodzić, kiedy śpisz. Bez notatek, które mam w domu, nie mogłem rozpocząć od miejsca, gdzie ja i Julian przerwaliśmy. Mógłbym coś przeoczyć. Zacząłem więc od drugiej strony. Paula, myślę, że ją znalazłem.

– Gdzie ona jest? – zapytałam, zaciskając dłonie na balustradzie tak mocno, że paznokcie mi pobladły.

– Tutaj – odparł i machnął ręką w kierunku panoramy miasta. Słońce wspinało się powoli po linii horyzontu, zalewając wszystko nowym światłem. – Moim zdaniem jest tutaj, w Atlancie.



## Rozdział 12

Candace siedzi na masce starego chryslera zaparkowanego przed naszym domem. Moim i Kai. Wracam do domu w powietrzu tak wilgotnym, że aż wydaje się lepkie, gdy już z daleka widzę jej sylwetkę. Ona nie należy do tego miejsca. Podpiera się na dłoniach i macha nogami, kopiąc w zderzak. Jest tu taka obca, taka inwazyjna, że wyróżnia się z otoczenia, jakby była utkana z innych, jaskrawych kolorów. Czuje się tak swobodnie, jakby się urodziła tutaj, na tej ulicy. Jakby do niej należała, moja ruina na chudych nogach.

Biegnę, moje ciało zbliża się do niej z własnej woli. Ciężki plecak uderza mnie po plecach. W kościach czuję zimne przerażenie, a kiedy się zbliżam, wzbiera we mnie agresja. Candace ma w ustach okrągły lizak. Widzę wystający patyczek, widzę wybrzuszony policzek.

Szyba od strony kierowcy opuszcza się i głowę wystawia Jeremy, jej chłopak z martwym spojrzeniem. Woła coś do niej, pokazując w moją stronę. Ona patrzy na mnie i przestaje wymachiwać znoszonymi tenisówkami z postrzępionymi i rozwiązanymi sznurówkami. Nie zeskakuje z maski, nie biegnie, nawet się nie cofa. Czeka na mnie pogodzona z losem.

Stąd wiem, że to już się stało.

Gdzieś niedaleko przegowiec amerykański wywrzaskuje *staccato* swoją miłosną pieśń, a słońce grzeje mi plecy. Biegnę do Candace, ponieważ do środka wejść nie mogę. Nie wiem, czy kiedykolwiek tam wejdę.

Candace patrzy na mnie swoimi pozbawionymi emocji oczami, gdy zatrzymuję się przed nią i zrzucam plecak. Uderzam ją w twarz, jeszcze zanim plecak zdąży wylądować na asfalcie. Okładam jej twarz i głowę otwartymi dłońmi z taką wściekłością i zaangażowaniem, jakbym miała sto rąk.

Garbi się, zasłania twarz, ale nie ucieka. Kuli się i wygląda jak ozdoba maski samochodu. Czeka, aż skończę. Ona nie rozumie; ja nigdy nie skończę.

– Hej, no już! Przestań! – krzyczy Jeremy. Gramoli się z samochodu, ale go ignoruję i dalej ją okładam. Ja płaczę i ona płacze. Jej lizak spada na maskę i zsuwa się. Kątem oka widzę pomarańczową plamę na asfalcie. Wtedy Jeremy łapie mnie od tyłu i zaczyna odciągać.

– Głupia... głupia... – syczę do Candace, zbyt mocno ściskana ramionami Jeremy'ego, żeby krzyczeć. Nie powinno jej tu być. Nie wolno im tutaj być. Kiedy Jeremy mnie odciąga, wierzgam nogami, próbując kopnąć ją w twarz.

– Nie rób jej krzywdy! – woła do niego Candace, prostując się.

Cała nasza trójka jest zamrożona w pozbawionej czasu przestrzeni. Candace

ma potargane włosy, a oczy pełne łez. Jeremy mnie trzyma, mój oddech napiera na jego ręce. Nie puszcza mnie, dopóki nie czuje, że uchodzi ze mnie cała energia i nie chcę już jej bić.

Bo i po co? Jest po wszystkim.

Kai i ja mieszkamy tu od niecałego miesiąca. Wróciła z więzienia inna, ale czy tak się nie działo za każdym razem? Nowe miejsce, nowa Kai. Dotąd zawsze się zmieniałam, aby pasować do jej historii, byłam jang dopasowaną do jej jin. Ale teraz używamy naszych prawdziwych imion i nazwisk; zobowiązują ją do tego warunki zwolnienia warunkowego. Karen Vauss mniej śpiewa, opowiada mniej historii, pije więcej wina niż którakolwiek z wcześniejszych Kai. Karen Vauss jest zbyt załamana i zmęczona życiem, żeby machnąć ręką na warunki i uciec.

Słabnę w ramionach Jeremy'ego i myślę: „Jakoś to z nią załatwię”. Mogę siedzieć w milczeniu na sofie i odezwać się dopiero wtedy, gdy zrobi to Kai. Mogę i tak właśnie zrobić, ponieważ moja zmieniająca się matka jest jedyną stałą w moim życiu. Zniszczyłam to, posłałam nas do osobnych instytucji, ale teraz mam ją z powrotem. Chcę, by wiedziała, że mogę patrzeć na Marviną wzrokiem smutnej sieroty, jeśli tego właśnie oczekuje. Marvin jest właścicielem taniej restauracji, w której pracuje Kai. Na koniec dnia zaczął jej wręczać bułki z bekonem dla mnie i wiem, że pewnego ranka, niedługo, obudzę się i zobaczę, jak w piżamie i boso je te bułki przy naszym stole. Mogę jej pomóc to zrealizować, jeśli tylko mi wybaczy.

Przyrzekam to sobie, mimo że przeraża mnie wizja spotkania się z Kai, która czeka na mnie w środku. Możliwe, że prawda już ją zmieniła. W porządku. Składam obietnice każdemu bogu, który kiedykolwiek chodził po ziemi: jeśli mi wybaczy, dopasuję się do niej, bez względu na to, co wymyśli.

Jeremy mnie puszcza i cofa się, a ja stoję na ulicy przed samochodem i próbuję przestać płakać. Candace zeskakuje z maski i podnosi lizak. Usuwa z niego źdźbło trawy i kawałek liścia. Widzę na jej bladej twarzy odciski swoich dłoni.

– Powinnaś była zabrać mnie ze sobą – mówi, jakbym była w stanie to zrobić, nawet gdybym chciała. Wkłada brudny lizak do ust. W jej oczach widać nieufność, brak skruchy i coś jeszcze. Coś, czego nie potrafię odczytać.

– Zjeżdżaj z mojej ulicy – mówię, ocierając dłonią ostatnie łzy.

– Nie jest twoją własnością – oświadcza, ale to nie jest przytyk. Stwierdza jedynie fakt. – Nic tu nie jest waszą własnością.

Ma rację. Jesteśmy najemcami. Wynajmujemy ponure mieszkanie w suterenie w domu, który jest największym szkaradzieństwem w okolicy. Czyny jest niski, zwłaszcza jak na Morningside, dzielnicę, w której nie czujemy się u siebie. Pełno tu ludzi z jasnymi włosami, którzy kupują rasowe psy i dbają o trawniki. Ale jest bezpiecznie i szkoły są tu dobre.

– Musimy jechać – mówi Jeremy do Candace, niespokojnie przestępując

z nogi na nogę.

Zwraca się tylko do niej, jakbym w chwili, gdy przestałam ją bić, przestała się także liczyć. Ja również patrzę tylko na Candace, jakby Jeremy przestał istnieć w chwili, gdy mnie puścił.

– Zamierzałam zadzwonić – mówię. To nieprawda.

Miałam nadzieję, że kiedy wyjadę, Candace o mnie zapomni. Że zajmie się szantażowaniem Shar i Karice, by były jej przyjaciółkami, albo zamieni Jeremy’ego na kogoś, kto oprócz słodyczy ma trawkę. Gdyby to jednak zawiodło, łudziłam się, że nie będzie w stanie mnie znaleźć. Oświadczyłam pani Mack, mojej kuratorce i pracownicy opieki społecznej, że nie chcę, by przekazały komukolwiek moje dane kontaktowe. Odpowiedziały mi, że mam do tego prawo. Ale Candace jest bardzo dobra w węszeniu, zakradaniu się i przykładaniu wielkiego ucha do każdych mijanych drzwi, a jej lepkie od słodyczy palce z upodobaniem grzebią w rzeczach nienależących do niej. Znalazła mnie i kazała Jeremy’emu skołować jakiś samochód, żeby mogła tu przyjechać i mnie zniszczyć.

Wzięłam się w garść. Nie zamierzam już przy niej płakać. Nie mam nawet ochoty znowu jej uderzyć. Candace to studnia bez dna. Mogę do niej wrzucić bezbrzeżny smutek albo agresję. Mogłabym wrzucić do niej miłość, gdybym miała jej w nadmiarze. Połknęłaby wszystko; zniknęłoby to w jej pustych, czarnych ustach, ale nic by jej nie wypełniło. Bez końca spadałoby w głąb jej bezkresnych, głodnych czeluści.

– Co tu jeszcze robicie? – pytam ją.

Candace posyła Jeremy’emu spojrzenie, a on ponownie wślizguje się na fotel kierowcy. Zamyka drzwi i wbija martwy wzrok przed siebie. Patrzę, jak unosi szybę, kręcąc przy tym ręką.

– Uciekliśmy – mówi Candace. – Jeremy wiezie mnie do Kalifornii.

Zerkam na niego przez przednią szybę; ciekawe, jakie jego zdaniem odgrywają role. Romea i Julii? Bonnie i Clyde’a? Może niechlujni chłopacy tacy jak on w ogóle nie czytają, więc nie wie, że to wszystko się źle skończy. Czy on w ogóle ma prawo jazdy? Chyba nie ukończył jeszcze szesnastu lat, ale nie mam pewności. Nawet jeśli wolno mu już siadać za kółkiem, na pewno nie kupił tego samochodu.

Uderzam w maskę i mówię:

– Wylądujecie przez to w poprawczaku.

Candace kręci głową.

– Ukradliśmy go jakimś Meksykanom. Nielegalni nie zgłaszają kradzieży.

– Ja zgłaszam, Candace – przypominam sfrustrowana. To była jej karta przetargowa, jak więc możliwe, że teraz nie dostrzega w tym ironii? – Ja dzwonię pod dziewięćset jedenaście i zgłaszam.

Skutek tej groźby jest taki, że podchodzi bliżej.

– Ty mnie nie zabrałaś, ale mimo to ja zabiorę cię.

– Dokąd mnie zabierzesz? – pytam, nic nie rozumiejąc. – Do Kalifornii?

Kiwa głową i zaczynam rozumieć, że mówi poważnie. Bardzo się postarała o to, żeby zniszczyć mi życie; lewe ucho ma czerwone od mojego uderzenia. Teraz mnie zaprasza na wspólną wycieczkę?

– Mam nadzieję, że zdechniesz w Kalifornii – mówię zimno. – Nie, mam nadzieję, że zdechniesz po drodze i w ogóle tam nie dojedziesz.

Podnoszę z ziemi plecak i przerzucam go przez ramię. Ruszam w stronę domu.

Woła za mną:

– Szkoda, że nie widziałaś swojej mamy, kiedy jej powiedziałam. Ona też uderzyła mnie w twarz. – Tymi słowami mnie zatrzymuje. Kai w każdym wcieleniu jest przeciwniczką przemocy. Czarującą osobą, która całuje szczenięta w pyszczki. Candace podchodzi do mnie i stoimy razem na trawniku przed domem. – Są tam lwy morskie, wiedziałaś? Wylegują się na tej samej plaży co ludzie. Widziałam to na filmie na lekcji przyrody. Można do nich podejść, a one się nie boją. Nie chcesz tego zobaczyć? Nie chcesz do nich podejść?

Wtedy ją rozumiem. Nie powiedziała Kai z zemsty czy zwykłej złośliwości. Zrobiła to dlatego, że ja jestem Maciemamą, a ona nigdy nie będzie mogła dołączyć do mojego plemienia. Zrobiła to po to, żebym do niej dołączyła. Niesłychane, ile brzydoty może się kryć w prostym pragmatyzmie.

– Nie znoszę lwów morskich – kłamię. Kai, która mieszka w tym domu – Karen Vauss – jest zgorzkniała i zaściankowa, więc ja też taka będę i wtedy mi wybacz. Nie widzę nowych nas na plaży.

– Tam, gdzie jadę, zobaczę mnóstwo rzeczy – oświadcza Candace.

– Nie znoszę oglądać mnóstwa rzeczy – kłamię. Karen Vauss rzadko wychodzi z domu, więc ja także nie będę tego robić.

Odchodzę w stronę bocznych drzwi, które prowadzą w dół, do naszego mieszkania.

– Hej, mam poczekać? – woła za mną Candace i w jej głosie słychać teraz nutę desperacji. – Na wypadek gdybyś jednak musiała jechać?

Nie odwracam się. Nie słucham jej, ponieważ nie będę musiała jechać. Myślę sobie: „moja matka wie”, więc najgorsze już się wydarzyło.

Otwieram drzwi i patrzę na ciemne schody.

Mogłabym przywdziać maskę i skłamać. Moje słowo przeciwko słowu Candace. Kai nie będzie chciała, żeby to była prawda, a nic nie pomaga kłamstwu tak jak pełen nadziei słuchacz.

Słyszę, jak podczas uruchamiania silnika rozlega się głośny ryk. Tłumik nie działa albo zaraz odpadnie. To ryk kolejnej zagubionej dziewczyny mającej nadzieję, że uda jej się odjechać na tyle daleko, by zobaczyć lwy morskie. Albo

wjechać do oceanu. Albo zjechać prosto z krawędzi świata.

Czuję tak wielką ulgę, słysząc, jak odjeżdża, że wiem, iż nie będę kłamać. Kłamstwa i Kalifornia nie są prawdziwe. Jedynym wyjściem jest prawda.

Stało się więc to, co było nie do pomyślenia – Kai wie, że zniszczyłam nam życie. Teraz muszę zejść na dół i zobaczyć, co będzie dalej.

Schodzę po schodach i od zmienionej przyszłości dzieli mnie tylko kilka stopni. Jest nią ściana, cała biała, niezapisana przez Kai. A jeśli mnie uderzy? Nigdy dotąd tego nie zrobiła. I nigdy nie pozwoliła, żeby uderzył mnie którykolwiek z jej chłopaków. Przyjmę to spokojnie, tak jak Candace. Zasłużyłam na to. Zasłużyłam na każdą pokutę, a na koniec uzyskam przebaczenie.

Właściwie to chcę, żeby mnie ukarała. Przyjęłabym karę z pochyloną głową. A potem Kai weźmie mnie w ramiona. Powie: „Skarbie, skarbie, wszystko będzie dobrze”. Nie dzisiaj, ale pewnego dnia, kiedy skończy się moja kara i uzyskam przebaczenie, powie do mnie te słowa. Wiem, że tak się stanie, dlatego że my razem jesteśmy siłą napędową naszych wcieleń.

Na klatce schodowej jest ciemno, ale nie tak ciemno jak w dużym pokoju. To połączenie salonu i jadalni z aneksem kuchennym, czyli rządkiem mebli wzdłuż jednej ściany. Okna są tylko z jednej strony, wąskie, poziome, pod samym sufitem. Przez cały dzień z przerwami padało. Słońce chowa się za grubą warstwą chmur. Szukam jej w tym półmroku.

Byłam nawet szczęśliwa w tym krótkim czasie, gdy tu mieszkałyśmy.

Siedzi na sofie. Piła wino w kolorze fioletowym, które kupuje się w wielkim dzbanie z okrągłym uchwytem. Na ławie stoi szklanka, a na jej dnie resztki wina. Trzyma papierosa, który spalił się aż do filtra i zgasł, a ona tego nie zauważyła. Między palcami ma tutkę nietkniętego popiołu.

Stawiam plecak przy drzwiach i słysząc to, Kai podskakuje. Prostuje się, a długa tutka popiołu łamie się i kruszy. Większe fragmenty spadają na jej bluzkę, a mniejsze unoszą się w powietrzu, szare i nic nieważące. Jej spojrzenie odnajduje mnie, ze śladami łez na policzkach i spoconą z wysiłku towarzyszącego biciu Candace. Nie patrzy mi w oczy.

Moim zdaniem bardzo się starała nie uwierzyć Candace. Może jej się udało, ale nie w stu procentach. Odczytuje z mojej twarzy potwierdzenie. Prawda ma w sobie wielką moc i została już wypowiedziana w tym pokoju.

Jest jeden oddech, który trwa całe stulecie, a potem nie ma już dla mnie nic. Żadnej myśli, żadnego uczucia. Jej spojrzenie ześlizguje się ze mnie i wbija w znajdujące się za mną schody.

Przechył świata zmienia się. Czuję to. Cała planeta porusza się pod moimi stopami. Ziemia jest wodą, a ocean niebem. Wszystko, co wcześniej było zakotwiczone, teraz się unosi. Ja także, bezradna w morzu opowieści, bez prądu i bez wiatru.



– Mamo – zaczynam, ale mi przerywa.

– Och, witaj, skarbie. – Jej oczy zamieniły się w zielone kamienie. Jej jasna, błyszcząca, pozbawiona wyrazu twarz wygląda jak wyrzeźbiona w marmurze. – Chcesz zjeść jakiś owoc?

– Mamo – zaczynam raz jeszcze. – Ja...

– Są banany i chyba zostało jedno jabłko – mówi, znowu wchodząc mi w słowo.

Wyczuwa filtr między palcami i wkłada go do popielniczki, która i tak jest już pełna niedopałków. Kiedy się wprowadziłyśmy, czuć tu było charakterystyczną dla suterren stęchlizną. Teraz całe mieszkanie śmierdzi dymem papierosowym. Strzepuje popiół, który nadaje szarą barwę jej kolorowej spódnicy, po czym wyjmuje z paczki nowego papierosa i zapala. Jej spojrzenie ponownie prześlizguje się po mnie i tym razem zatrzymuje się na kuchni.

– Kai – ponaglam.

Chcę, żeby się na mnie złościła. Potrzebuję tego. Mogłaby mnie uderzyć w twarz, mocno, tyle razy, ile ja uderzyłam Candace. Więcej razy. Mogłaby mnie ścisnąć tak mocno, aż wycisnęłaby ze mnie całe powietrze. Chcę, żeby krzyczała i wymachiwała rękami, żeby była jedną wielką wściekłością. Chcę, żeby była czymś, co ma szansę minąć.

Staję na linii jej wzroku, ale jej spojrzenie od razu ucieka w bok. Kai wstaje, przechodzi do aneksu kuchennego i zaczyna kroić mi jabłko.

Nie przypominam sobie, żeby moja matka raz jeszcze spojrzała prosto na mnie.

Jestem pewna, że to zrobiła. Na pewno zdarzyło się tak, że przez przypadek jej spojrzenie i moje ciało znalazły się na jednej linii. Mieszkanie nie było duże. Ale w mojej pamięci jej wzrok wolał powietrze niż mnie, i tak upływał rok za rokiem. Wątpię, żeby postronny obserwator dostrzegł jakąś zmianę, ale ja wiedziałam, jaka jest prawda. Zostałam zamknięta poza granicami historii mojej matki, a im dłużej tam przebywałam, tym większe wyrzuty sumienia mnie dręczyły i tym większa ogarniała mnie wściekłość.

Przeobraziłam się więc w osobę, której celem jest jej dręczenie. Paula zdzira, awanturnica, drobna przestępczyni, buntowniczką. Wracalam do domu o czwartej nad ranem, cuchnąc facetem i piwem, a ona i tak omijała mnie wzrokiem. Nigdy nie kazała mi się zmienić, a poszarpane krawędzie tysięcy ostrzy wyrzutów sumienia i wściekłości, piłujące moje kości, stały się muzyką w tle, wiecznie obecnym szumem. Kiedy przeprowadziłam się do Indiany, znowu się przeobraziłam: stałam się kobietą, która na złość matce robi to, co trzeba. Pozwoliłam, aby mówiły za mnie czeki. Kwota na nich z każdym rokiem stawała się większa, ale zadawała to samo gniewne pytanie. Sześć miesięcy temu Kai w końcu mi odpowiedziała: *Wybieram się w podróż, Kali. Wracam do swoich*

*korzeni; śmierć to nie jest koniec. Ty będziesz końcem. Ponownie się spotkamy i przyjdzie czas na nowe opowieści.*

Typowa, mówiąca zagadkami Kai, a jej słowa prześlizgiwały się po mnie jak jej spojrzenie. Dlaczego nie mogła powiedzieć: „Hej, przepraszam, ale umieram i przyjeżdżam do Atlanty. Chcesz swoją młodszą siostrę?”

Jedyną nową opowieścią, jaką teraz miałam, był policyjny raport sprzed czterech miesięcy, na który natrafił Birdwine. Napisano w nim, że stary, szkaradny buick ze zgniecioną maską jechał zygzakami przez Morningside. Pewna porządna obywatelka zobaczyła ten samochód, zupełnie nieprzystający do okolicy. Wypatrzyła także dziecko na tylnym siedzeniu i to, że za kierownicą tego jadącego od krawężnika do krawężnika auta siedzi kobieta. Nic nie zrobiła. Na policję zadzwoniła dopiero wtedy, gdy samochód przejechał po raz drugi, a ona się przestraszyła, że ktoś robi rekonesans na jej ulicy.

Wysłano radiowóz, ale zanim dojechał, buick zdążył zjechać z drogi i uderzyć w drzewa rosnące przed domem jakiegoś uczciwego obywatela. Do wypadku doszło dwie przecznice od domu, w którym znajdowało się nasze dawne mieszkanie. Jeśli dla Kai był to ostatni przystanek w wycieczce po przeszłości, miała pecha. Cały dom został zburzony, a na jego miejscu powstał wielki sklep z „rękodziełem” made in China.

Kierująca pojazdem – według znalezionych przy niej dokumentów Karen Porter z Nowego Orleanu – była oszołomiona i dezorientowana. Uderzyła głową w kierownicę. Ją i jej dziecko karetka zabrała do szpitala Grady, gdzie stwierdzono, że wstrząśnienie mózgu to najmniejszy problem pacjentki. Znajdowała się w ostatnim stadium raka płuc z przerzutami praktycznie do wszystkich organów: mózgu, kości i jamy brzusznej. Dziecko, które skrzywiło rękę w nadgarstku, zostało zabrane przez opiekę społeczną. Kobieta została w szpitalu, gdzie rzadko odzyskiwała przytomność. Sześć dni później zmarła.

Pogodziłam się z tym, że Kai nie żyje. Szłochałam bez końca w ramionach Birdwine’a, kiedy wpatrywaliśmy się w panoramę miasta. Jeśli ta kobieta rzeczywiście była Kai, to została już skremowana; opieka społeczna, nie będąc w stanie zlokalizować żyjących krewnych, zrobiła to pod koniec maja.

Informacje te zdobył Birdwine; on zajął się kobietą, ja zaś wzięłam na cel dziecko. Uznał, że opieka społeczna będzie bardziej otwarta na pytania dotyczące dziesięcioletniej dziewczynki, jeśli zadam to ja, nie on. Byłam jej krewną, kobietą i rzetelną członkinią palestry, a on zwolnionym ze służby policjantem, mężczyzną, trzeźwym od niecałego tygodnia.

Przez większą część dwóch dni przedzierałam się przez niekończący się łańcuszek automatycznych menu po to tylko, aby połączyć się z osobą, która przekierowywała mnie do kogoś innego, a ten ktoś nieuchronnie odsyłał mnie z powrotem do menu albo, jeśli miałam farta, na pocztę głosową. Kiedy tylko

miałam taką możliwość, nagrywałam słodką jak miód wiadomość, pozostawiając po sobie ślad w postaci niemałej liczby telefonów.

Nieobeznanego z biurokracją Juliana szybko dopadła frustracja. Rzucił pracę w pizzerii na przedmieściach i teraz odbywał staż u mnie, szukając czegoś nowego w centrum. Otrzymał zgodę na przeniesienie na uniwersytet Georgia State i bez przerwy podsyłał mi linki do położonych w pobliżu dobrych szkół domów, które miały ogrody i co najmniej dwie sypialnie. Wszystkie miały także domki gospodarcze albo mieszkania w suterenie. Implikacja była taka, że będę mieć lokatora, który pomoże w opiece nad Haną. Chciał, żebyśmy oboje wtargnęli z naładowaną bronią do siedziby opieki społecznej.

Kazałam mu wziąć na wstrzymanie. Pozostawałam słodka jak cukierek i cierpliwa, nawet gdy rozłączano mnie po pół godzinie spędzonej na czekaniu na połączenie z odpowiednim departamentem. Zarzucałam dużą, ale bardzo delikatną sieć. Jeśli to była Hana – a miałam nadzieję, że tak – chciałam, by jej kurator miał o nas dobre mniemanie. Obiecałam Julianowi, że jeśli do poniedziałku rano nikt się z nami nie skontaktuje, po lunchu nie wrócę do kancelarii. Pojedziemy do siedziby opieki społecznej i odegramy role dobrego i złego policjanta, zależnie od okoliczności grożąc pozwami i rozdając łapówki. Ale najpierw miał mi pozwolić spróbować drogi pokojowej.

Zbliżała się pora lunchu w piątek, gdy do mojego gabinetu weszła spłoszona Verona.

– Kobieta z opieki społecznej – poinformowała mnie. Oczy miała wielkie jak spodki.

Wiedziała, jak ważny jest ten telefon – cała kancelaria wiedziała. W środę zaprosiłam Nicka na drinka i opowiedziałam mu, jak przez ostatnie pół roku zmieniła się moja sytuacja rodzinna. Nick nie tylko okazał się wielkoduszny, ale powiedział, że mogę liczyć na jego wsparcie. Wiedziałam, że tak będzie. Znaliśmy się od kilkunastu lat, a do tego niedawno prawie dałam się postrzelić klientowi – działając dla dobra firmy. Sprawa Winkley przeciwko Winkley wyglądała bajecznie, zarówno w kwestii warunków ugody, jak i rozgłosu. Oakleigh całowała mnie po piętach; dzięki mnie jej życie usłane było teraz różami. Była dupkiem, jasne, ale moim dupkiem, a Nick promieniał, rozplývając się nad tym, ilu swoim zepsutym, bogatym przyjaciółkom nas poleci, kiedy nieuchronnie nadejdzie pora na rozwód.

Nick był niepoprawnym plotkarzem, co w tym wypadku okazało się zaletą, gdyż tylko raz musiałam się uzewnętrznić. Drżenie w głosie Verony świadczyło o tym, że był szybki i skrupulatny.

Zapisałam wniosek, nad którym pracowałam, odsunęłam od siebie laptop i poleciłam:

– Super, połącz mnie z nią.

– Nie, ona nie dzwoni – odpowiedziała pełnym dramatyzmu szeptem. – Ta kobieta jest tutaj. W recepcji. Teraz.

Poczułam, że unoszą mi się włoski na karku. Wystarczająco dużo wiedziałam o agencjach rządowych, by się domyślić, że coś takiego nie należy do zwyczajowych procedur. Zachowałam jednak neutralny wyraz twarzy.

– Super, przyślij ją do mnie. – Starłam się, żeby to zabrzmiało beznamiętnie. Nie chciałam ośmielać Verony, która zachowywała się, jakby to był reality show, w którym ona odgrywała niedużą, ale znaczącą rolę. Boże, to pokolenie milenijne.

– Nie jest umówiona. Zaproponowałam jej kawę i przybiegłam tutaj.

– W porządku. Przyrowadź ją tutaj, a potem przełoż moje połączenie konferencyjne.

Wstałam zza biurka i zerknęłam do wiszącego za sofą wielkiego lustra. Fryzurę miałam nienaganną i nie zdążyłam zjeść szminki. Wyglądałam jak profesjonalistka, a kiedy wróciła Verona, wyglądałam także jak osoba sympatyczna i spokojna. Rozluźnione usta, opuszczone brwi, brak napięcia w ramionach.

– Sharon Watson do pani – zaanonsowała Verona, wpuszczając atrakcyjną Murzynkę, kręłą i wysoką, mniej więcej w moim wieku.

Nie nagrałam się na automatyczną sekretarkę nikomu o tym nazwisku. Coraz bardziej byłam zaciekawiona. Pani Watson miała na sobie niedrogą granatową garsonkę i sznur pereł tak dużych, że nie mogły być niczym innym jak kostiumem. Miała także perłowe kolczyki, płaskie i szerokie jak srebrne jednodolarówki. Granatowe czółenka były praktyczne, ale ładne, tak jak jej krótko obcięte włosy.

– Dziękuję, Verono – rzekłam tonem, który miał ją odprawić. Wycofała się powoli. Czekałam, aż zamknie za sobą drzwi, po czym podeszłam do swojego gościa i wyciągnęłam rękę.

– Dzień dobry, jestem Paula Vauss.

Ujęła ją i odparła:

– Och, wiem, kim jesteś. A ty znasz mnie.

Nie znałam. Dopóki się do mnie nie uśmiechnęła i nie zaprezentowała dużych, lekko zachodzących na siebie zębów. Wtedy ją poznałam.

– Witaj, Shar – rzekłam najspokojniej, jak mogłam. Dwadzieścia lat starsza, z innym nazwiskiem, ale to była Shar. Była moją przeszłością, ale znajdowała się także tutaj i teraz. To była ona, tyle że wyższa, bardziej korpulentna i z przezroczystym aparatem na zębach. Aparat nie zakończył jeszcze swojego dzieła, co nie przeszkadzało jej w uśmiechaniu się szeroko na widok malującego się na mojej twarzy szoku. Musiałam bardzo się starać, żeby nie zadrżał mi głos, gdy zapytałam: – Pracujesz w opiece społecznej?

– Tak. Wiele z nas tak kończy – odparła. Nie byłam pewna, kogo ma na myśli, mówiąc „nas”. Musiała wyczytać to z mojej twarzy, gdyż dodała: – Dzieci

z domów dziecka. Kiedy system się sprawdzi, często spłacamy dług. – Zmierzyła mnie wzrokiem, moje gładkie włosy i eleganckie szpilki, po czym rozejrzała się znacząco po gabinecie. Ponownie zaprezentowała duże zęby i dodała: – Ty jednak nie.

Poczułam, że mój uśmiech zaczyna się robić rekini. Nie widziałam Shar, odkąd ta miała trzynaście lat, ale nadal lubiła prowokować.

Oparłam się temu. Nie zamierzałam opowiadać o swojej pracy *pro bono*, a potem kazać przynieść linijkę, żebyśmy mogły zmierzyć swoje dobre uczynki. Nie tylko dlatego, że z pewnością przegrałabym z kobietą, która pracowała w opiece społecznej. Czymś ważniejszym było dowiedzenie się, po co tu przyszła. Jej wizyta musiała mieć związek z Haną. Niemożliwe, żeby chodziło o wspomnianie dawnych czasów. Nie teraz, zresztą Shar, którą pamiętałam, nie była ani trochę sentymentalna.

Powiedziałam więc słodko:

– Na to wygląda. Usiądź, proszę. – Zamiast na krzesła dla klientów pokazałam na sofę i usiadłam obok niej. Nie chciałam, żeby dzieliło nas biurko, co mogła odczytać jako antagonizm lub protekcjonalność. Siedziała wyprostowana, ale uznałam, że powodem tego jest prawidłowa sylwetka, a nie postawa bojowa. Miałam problem z rozszyfrowaniem Shar. – Zmieniłaś nazwisko. Kiedyś nazywałaś się...

– Roberson.

– Zgadza się. Więc wyszłaś za męża?

– Ano tak. – Shar miała torbę na ramię na tyle dużą, by mogła służyć jako teczka, gdy więc usiadła, postawiła ją na podłodze. Teraz z bocznej kieszeni wyjęła telefon i pokazała mi zdjęcie. Stała w towarzystwie wysokiego czarnoskórego mężczyzny z wąsami i brzuszkiem. Otaczali ich trzech chłopcy w różnym wieku. – Masz męża, Paula?

– Nie. Ani męża, ani dzieci. – Nie potrafiłam określić, czy rzuca mi kolejne wyzwanie, ale nie była to arena, na której czułam potrzebę rywalizowania.

– No cóż, wygląda na to, że na swój sposób dobrze sobie radzisz – zaśmiała się.

Zaskoczyła mnie tym. Zabrzmiało to wesoło, niemal życzliwie, a ja nadal szukałam ukrytego motywu jej przyjścia. Kiedy nasze drogi skrzyżowały się po raz ostatni, byłyśmy śmiertelnymi wrogami. Oczywiście byłyśmy wtedy dziećmi.

– Zjawiałaś się tutaj z powodu moich telefonów? – zapytałam. Ale to było zbyt ogólne. – To znaczy mojej siostry? Nie pamiętam, żebyś zostawiła ci nagraną wiadomość.

– No cóż, jestem chyba jedyną osobą w hrabstwie Fulton, do której nie zadzwoniłaś. Zostawiłaś mnóstwo wiadomości. Teraz jestem kierowniczką, nie kuratorką, ale ty jesteś dawnym dzieckiem systemu próbującym odnaleźć w nim

młodsze rodzeństwo. Kiedy tylko usłyszałam twoje nazwisko, to chociaż sprawa ta nie leży w moich kompetencjach, musiałam sprawdzić, czy to ta Paula, którą pamiętam. Na stronie internetowej kancelarii znalazłam twoje zdjęcie. Od razu wiedziałam, że to ty. Jesteś jeszcze wyższa, ale twarz masz identyczną jak przed laty. Pomyślałam: patrzcie no! Kolejna pani Mack, której się udało.

Rozmawiała ze mną takim tonem, jakby to była wizyta towarzyska. Chyba tak właśnie się robiło, zanim się przeszło do meritum. Nick był w tym zdecydowanie lepszy niż ja. Mimo to postanowiłam spróbować.

– Pamiętam. Pani Mack nazywała nas panienkami.

– Była dla mnie bardzo dobra – kontynuowała Shar. – Nie sądzę, żebyś ją znała tak dobrze jak ja. Ty miałaś mamę, na którą czekałaś, i ona nie próbowała stawać między wami. Inaczej rzecz się miała z nami, dziećmi do adopcji. Zwłaszcza z takimi jak ja; trzy razy zawieszono mnie za bójki. Utrzymywała ze mną kontakt nawet wtedy, gdy byłam już pełnoletnia. Zanim zmarła, zdążyła zostać matką chrzestną mojego najstarszego syna.

– Och. Przykro mi. Wygląda na to, że była dla ciebie naprawdę dobra – powiedziałam z zakłopotaniem. Na twarzy Shar malowało się wyczekiwanie, może chciała w zamian usłyszeć skróconą historię mojego życia po opuszczeniu domu dziecka. Zamiast tego zapytałam: – Utrzymujesz kontakty z kimś jeszcze z dawnych czasów? – Zauważyłam, że mówię trochę inaczej, tak jak wtedy, gdy mieszkaliśmy w jednym domku.

Ciekawe, czy moja obecność ją także cofała do przeszłości. Akcent miała taki jak pracujące na kierowniczych stanowiskach kobiety wszystkich ras w Atlancie, podobny do mojego, chodziło jednak o strukturę zdań. Rytm jej słów był piosenką z czasów, kiedy byłyśmy panienkami pani Mack.

– Ja i Kim dalej się przyjaźnimy. Bardzo szybko urodziła dziecko. Dziewczynkę. Ma dwanaście lat i to prawdziwa petarda. Dwa lata temu Kim wyszła za mąż za porządnego faceta. Mają synka. Słodkiego małego grubaska. Ma takie okrągłutkie kolanka i łokcie. Jak na niego patrzę, to tęsknię za czasami, kiedy moi chłopcy byli tacy mali. Nie na tyle jednak, żeby zafundować sobie powtórkę.

Czułam zaciekawienie, wbrew sobie i temu, co Shar sprowadziło do mnie.

– A Karice? Z nią też masz kontakt?

Spoważniała. Wzruszyła ramionami w sposób, który nie znaczył „nie wiem”. Wiedziała, ale nie zamierzała o tym mówić. Potrafiłam czytać między wierszami: Karice nie żyła, zaginęła albo jej życie było zrujnowane. Spadła ze świata.

– Joya tak samo – powiedziałam. I także wzruszyłam ramionami.

Poczułam, że coś nas łączy. Kiedy po raz ostatni nasze historie się ze sobą spletały, znajdowałyśmy się na krawędzi świata. Wszyscy się tam znajdowaliśmy. Maciemamy i dzieci do adopcji, chłopcy i dziewczęta, czarni, biali, brązowi i wszelkie inne odcienie. Wszyscy byliśmy porzuceni, zagubieni albo uratowani

i dlatego należeliśmy do jednego plemienia, mimo że wtedy o tym nie wiedzieliśmy. Shar i ja byliśmy wśród dzieci na krawędzi, zbyt młodych, by czuły, że się chwieją. Nie lubiłam wtedy Kim, ale ucieszyłam się na wieść, że dobrze sobie radzi w życiu. Nie przepadałam za Karice, a Shar nienawidziła Joyi, nie przeszkodziło nam to jednak w tym, abyśmy czuły teraz nic porozumienia. Shar i ja? Obie utraciliśmy osoby, które kochałyśmy, i obie nie spadłyśmy z tej krawędzi.

Zważywszy na naszą przeszłość, nie mogłam się jednak powstrzymać: moje spojrzenie pomknęło ku jej dużym perłowym kolczykom. Szybko uciekłam wzrokiem, ale Shar przyłapała mnie na tym i roześmiała się.

– Och, chcesz zobaczyć?

Chciałam.

– No jasne.

Okazało się, że to klipsy. Zdjęła je. Szpary zniknęły, ale na środku zobaczyłam delikatne jasne blizny.

– Chirurgia plastyczna – wyznała. – Trzeba było wyciąć stare blizny, co bolało jak sto pięćdziesiąt. Drogie? Jak cholera. Ale odkładałam pieniądze i robiłam to, kiedy miałam dwadzieścia lat. Nigdy nie zapomniałam, jak mi powiedziałaś, że moje uszy wyglądają jak pośladki starej baby.

Opuściłam wzrok na leżące na kolanach dłonie.

– Byłam strasznym gnojkiem.

– Ty i ja, i każda dwunastolatka na świecie. To będzie cud, jeśli Kim nie rozszarpie swojej córki na kawałki. Cieszę się, że mam chłopaków – powiedziała Shar, nadal się uśmiechając. – Przykro mi z powodu Joyi, ale przynajmniej twojej drugiej przyjaciółce się poszczęściło.

Dopiero po chwili dotarło do mnie, o kim mówi.

– Candace? – zapytałam. – Nie utrzymuję z nią kontaktu.

Zaskoczyłam tym Shar.

– Byłyście jak papużki nierozłączki.

Nie mogłam udzielić jej odpowiedzi, która byłaby prawdziwa i jednocześnie nadawała się do uprzejmej rozmowy, rzekłam więc tylko:

– Wiem, że uciekła.

– Tak. Uciekała wiele razy, ale zawsze wracała. Candace i ja razem opuściłyśmy dom dziecka. Cóż, to długa historia, a ja mam po południu kilka spotkań. Ale powinnaś kiedyś poszukać jej w internecie. Teraz to Candace Cherries. Jest trochę znana.

– Z występowania w pornołach? – zapytałam. Nie wiedziałam, co może robić innego z takim imieniem i nazwiskiem. Wcale by mnie to nie zaskoczyło, lecz status gwiazdy porno nie pasował do zadowolonego tonu Shar.

– Po prostu ją wygoogluj – oświadczyła, kończąc temat, ale nie wstała.

No to koniec rozmowy towarzyskiej. Wyprostowałam się lekko.

– Chodzi więc o Hanę – oznajmiłam.

– No jasne, że tak – odparła Shar. – Kiedy dotarło do mnie, że to ty, ujmijmy to tak, że przesadnie się tym zainteresowałam. No więc mów. Dlaczego uważasz, że ta dziewczynka jest twoją siostrą? Jest bardzo spokojna. Nie powie trzech słów, jeśli wystarczy jedno, ale powiedziała, że nie ma rodzeństwa. Mnie i wtedy, gdy trafiła do systemu.

– Tobie? – zapytałam, nachylając się ku niej. – Poznałaś ją?

– Przyjechałam tu prosto po spotkaniu z nią – odparła Shar, a ja od razu się zerwałam i podeszłam do biurka, żeby otworzyć laptop. – Nie powiedziałam jej o tobie. Wyjaśniłam jedynie, że jestem kierowniczką i sprawdzam parę rzeczy. Nie ma sensu robić dziecku nadziei, jeśli to nie jest dziewczynka, której szukasz. Ale jeśli... – Urwała, ponieważ przyniosłam jej laptop, na którego ekranie widniało jedno z zeskanowanych zdjęć Hany karmiącej kaczki razem z Kai. Przez chwilę panowała cisza, po czym Shar rzekła: – A niech mnie, to ona. – W jej głosie słysząc było zdumienie.

– Jesteś pewna? – zapytałam. Mimo moich wysiłków zapanowania nad sobą głos mi drżał.

– Jasne, że tak. O wpół do dwunastej pożegnałam się z nią.

– A więc jesteś pewna.

Ręce mi zdrętwiały. Twarz także, kiedy Shar skinęła głową.

To była Hana, a Karen Porter to była Kai. A Karen Porter została zamieniona w popiół. Wiedziałam, że Kai nie żyje, i to było takie konkretne i określone. Nie tylko nie żyła, ale została zredukowana do tego, co się nie spaliło. Popiół w kartonie. Kai by się to nie podobało.

Jednocześnie była Hana, żywa i może nawet bezpieczna – i musiałam się z nią zobaczyć. Teraz. Nie, musiałam zadzwonić do Juliana. Albo – nie wiedziałam, co mam zrobić.

Spojrzałam na Shar, nagle bezradna w obecności kobiety, która niecałą godzinę temu widziała moją siostrę.

Dotknęła twarzy Kai na ekranie.

– Pamiętam ją.

Zamrugalam.

– Widziałaś Kai? Ale w tej sprawie matka była... – Urwałam.

– O Boże, nie, przepraszam – rzekła głośno, niemal przerażona. – Nie, nie, Karen Porter umarła. Kilka miesięcy temu. Strasznie cię przepraszam. Chodziło mi o to, że pamiętam ją, bo ją widziałam przed laty. Kiedy przyjechała cię odwiedzić.

To był drugi szok, którego doznałam w ciągu dwóch minut, ale to przecież oczywiste, że pamiętała Kai. Kiedy moja matka była w trakcie szukania pracy i mieszkania, odwiedzała mnie cztery razy w tygodniu. To musiało zapaść



w pamięć dziewczynie takiej jak Shar. Nie mogłam myśleć o Kai. Nie teraz, gdy Hana została odnaleziona, żyła i znajdowała się tak blisko.

– Co mam zrobić? – zapytałam.

Niekoniecznie chodziło mi o sam proces adopcyjny. Chciałam wiedzieć, co robić w sensie egzystencjalnym, lecz Shar poruszyła lekko ramionami i oderwała dłoń od ekranu. Sięgnęła do dużej torby, wyjęła notes i teczkę. Napisane było na niej: „Hannah Porter”. Otworzyła ją i położyła na stoliku. Nachyliła się nad notesem i zaczęła pisać.

– Najpierw przekażę ci dane do kontaktu bezpośredniego – oświadczyła, spisując nazwiska, numery telefonów i adresy mejlowe. – Porozmawiam z kuratorką Hany, każę jej jak najszybciej skontaktować się z tobą. Zadzwonisz do opiekuna prawnego Rogera Delany’ego. Nie znam go dobrze. Jest nowy. Ale terapeutka, doktor Patel, jest bardzo dobrym lekarzem. Pracuję z nią od wielu lat. Specjalizuje się w traumie, a zważywszy na to, że Hannah straciła matkę...

– Ona ma na imię Hana – wtrąciłam, nie chcąc słyszeć końca zdania. Wiedziałam, co Hana straciła. Ja też straciłam matkę, przed laty, ale także cztery miesiące temu i ponownie, kiedy kilka dni temu szlochałam w ramionach Birdwine’a. To się stało dawno temu; działo się także teraz.

– Tak właśnie powiedziałam.

– Nie, ty mówisz Hannah, a ona ma na imię Hana. – Moja siostra została nazwana na cześć boga z mojego panteonu. Shar wpatrywała się we mnie, jakby wyrosła mi druga głowa, a do mnie dotarło, że nie mam pojęcia, co dzieje się z moją twarzą. Kompletnie straciłam nad nią kontrolę.

– Och, hej, no to świetnie – rzekła skonsternowana.

– Dokąd trafiła Hana? – zapytałam. Głos miałam taki, jakbym się krztusiła.

– Do doskonałego miejsca! – zapewniła Shar. – Znam panią Beale. To emerytowana nauczycielka. Hannah jest jej siódmym wychowankiem, a obecnie jedyną podopieczną. – Ciągle nie mogłam powstrzymać okropnych grymasów, jakie pojawiały się na mojej twarzy, i Shar urwała. Jej głos stał się chłodniejszy, nieco bardziej powściągliwy. – To nie jest rozwiązanie na stałe. Hannah będzie mogła zostać adoptowana. Odniosłam wrażenie, że szukasz tej dziewczynki dlatego, że ją chcesz.

– Chcę – odparłam natychmiast. Chyba obie poczułyśmy ulgę, słysząc prawdę wibrującą w tym jednym słowie. – To się dzieje tak szybko. – Cholerny Julian, miał rację, a ja nie byłam przygotowana. – Mamy tylko jedno łóżko. Hana będzie potrzebować łóżka. I pościeli. Z postaciami z filmów, które lubią dziesięciolatki, a ja nie mam o tym żadnego pojęcia.

Teraz to Shar miała dziwną minę. Nie potrafiłam jej rozszyfrować.

– Zawsze tak jest, kiedy w twoim życiu pojawia się dziecko – powiedziała. – Nie będziesz gotowa na sto procent. Ale zamierzamy cię przygotować.

– Kiedy mogę ją mieć? – zapytałam, ponownie zmieniając nagle temat.

– Mieć? – Uniosła brwi. – To trochę potrwa. Będziemy musieli wprowadzić standardowe procedury weryfikacyjne, odwiedzić cię w domu i dać jej czas na to, żeby terapeutka przygotowała ją do tej zmiany. Co ważniejsze, musicie się poznać. Więc trochę to potrwa. Ale odwiedziny? Jeśli zadzwonisz do tego prawnika, Delany’ego, jeśli obie porozmawiamy dzisiaj z jej kuratorką, na poniedziałek lub wtorek powinno się udać wcisnąć cię do sądu rodzinnego. W przyszłym tygodniu mogłabyś zacząć ją odwiedzać. – Spojrzała na mnie surowo i dodała: – Jeśli tego chcesz.

– Tak, chcę – powtórzyłam i, a niech mnie, jakże dźwięczna była to prawda. Po czym poprawiłam się: – Oboje ją chcemy. Mam brata. Ona też ma brata.

– Tak, poinformowałaś nas o tym w tych swoich piętnastu tysiącach wiadomości – skwitowała Shar i znowu zobaczyłam na jej twarzy tę minę. Tym razem ją rozszyfrowałam. To była duma.

Odnosiłam teraz wrażenie, że mój uśmiech jest równie szeroki jak jej, i w oczach czułam gorąco, mimo że nie płakałam. Pomyślałam, że prędzej wyłupię sobie oczy i wrzucę je do ognia, zanim rozplączę się przy Shar Roberson. Ale, Boże, tak bardzo się cieszyłam, że mi pomaga.

– Dziękuję ci. Nie masz pojęcia, ile to dla mnie znaczy. – Bzdura. Wiedziała.

– No dobrze, to weźmy się do listy spraw do załatwienia – oświadczyła dziarsko. – Naprawdę muszę jeszcze wrócić do biura.

Pochyliłam się nad notesem i wypunktowałyśmy wymagane procedury. Biurokracja na pewno wszystko będzie spowalniać, ale zmierzałyśmy we właściwym kierunku. Pierwsze, co powinnam zrobić, to skontaktować się z opiekunem prawnym Hany i jej terapeutką, a Shar zaaranżuje telekonferencję z kuratorką.

Po jej wyjściu usiadłam na sofie. Byłam w szoku. Poznam swoją młodszą siostrę. W przyszłym tygodniu. Nie miała pojęcia o moim istnieniu, a Kai, łączący nas most, była popiołem. W pudełku. Gdzieś.

Wyobraziłam ją sobie na półce w jakimś państwowym magazynie, jak w końcowej scenie filmu o Indianie Jonesie. Zobaczyłam ją zagubioną, anonimową, jej pudełko ustawione obok rzędów innych prostych, białych, identycznych pudełek z popiołami osób, po które nikt się nie zgłosił. Wiedziałam, że jej tam nie zostawię. Znajdę ją i stamtąd zabiorę. Ale nie dzisiaj. Najpierw musiałam spotkać się z Haną, która była cała i żywa.

„A jeśli Hana mnie nie polubi” – pomyślałam, a potem się zaśmiałam. Zawsze miałam gdzieś, czy ktoś mnie lubi, czy nie. To, co teraz czułam, stanowiło dla mnie nowość. Cholerna Kai i jej długa droga do domu.

Zaniosłam laptop z powrotem na biurko, razem z informacjami kontaktowymi i listą spraw do załatwienia. Do godziny siedemnastej musiałam

wykonać kilka telefonów, a potem zająć się kwestiami domowymi. A jeśli Hana lubi psy? Będzie nam potrzebny ogród. Dobre szkoły. Nie wiedziałam nawet, do której klasy chodzi dziesięcioletnie dziecko. Do piątej? Musiałam znaleźć pośrednika handlu nieruchomościami i przyjrzeć się cholernym linkom od Juliana.

Patrząc przed siebie, uznałam, że powinnam zatrzymać loft. Większość ludzi z dochodami takimi jak moje posiadała dwa domy lub mieszkania. Miałabym go na schadzki z Birdwine'em. Trudno oczekiwać, aby na noc zostawał u nas obcy mężczyzna z problemem alkoholowym. Nie w sytuacji, gdy tuż za rogiem czaić się będzie opieka społeczna. Mało tego – będę mieć dziecko w domu.

Nie byłam w stanie przełknąć śliny. Nie byłam też w stanie wziąć do ręki telefonu, by zapoczątkować to wszystko. Hana mnie nie знаła. Nie wiedziała nawet o moim istnieniu.

Wtedy do mnie dotarło, że przede wszystkim muszę zadzwonić do Juliana. On nadal tkwił w zawieszeniu, poza tym na pewno okaże się bardzo pomocny. Rzuci wszystko i natychmiast do mnie przyjedzie. Był mi potrzebny, żeby wypełnić powietrze pogodną paplaniną, pozytywnym myśleniem i wiarą, że wszystko się ułoży. Ale i tak nie byłam w stanie sięgnąć po telefon.

Powiedziałam Shar prawdę. Pragnęłam tego. Pragnęłam Hany. Mimo to nie potrafiłam zacząć.

W końcu przysunęłam laptop i wstukałam do wyszukiwarki „Candace Cherries”.

Pierwszy wynik odsyłał do strony Candacecherries.com. Kliknęłam.

Całą stronę główną zajmowało zdjęcie czegoś z kategorii technik mieszanych. Nie wiedziałam, czy to rzeźba, czy obraz. Wisiało na ścianie, ale na pewno było trójwymiarowe. Była to postać człowieka; prawą połowę twarzy wycięto z jednego z obrazów z lat siedemdziesiątych, przedstawiających wielkookie płaczące sieroty. Lewą połowę stanowiła drewniana maska plemienna, pęknięta, z nierówną, poszarpaną krawędzią. Do tej części doklejony był warkocz zrobiony z włosów wyglądających na naturalne. Przewiązany był sfatygowaną różową wstążką. Ciało składało się z pordzewiałych kawałków metalu: sprężyn, rur, łańcuchów i starych pasków do zegarka. Tworzyło to przedziwny patchwork.

Nad tą osobą unosiły się w powietrzu przytwierdzone metalowymi drutami gołębie, aż do błękitnego nieba, które wyglądało jak pomalowane drzewo wyrzucone na brzeg. Gołębie ukradły tej postaci dłonie i coś czerwonego, postrzępionego, co mogło być sercem, językiem albo jakimś innym ważnym organem. Te pierzaste sukinkoty wyglądały na zadowolone z siebie. Całość była prymitywna, emocjonalna i niepokojąca. I naprawdę niezła.

Pasek menu dawał mi spory wybór: metodologia, recenzje, harmonogram wystaw, galeria *on-line*, biografia. Kliknęłam w ostatnią zakładkę i pojawiła się Candace.

Była tak chuda, że wyglądała jak lalka z pomponem zamiast głowy, a jej chudość podkreślały kurze łapki wokół jasnoniebieskich oczu. Była w dżinsach, a na ramionach miała udrapowane agresywnie brzydkie ponczo. Notka biograficzna mówiła, że mieszka w Wyoming, ma hodowlę koni i partnerkę od dziewięciu lat. Widniała także informacja dotycząca tego, gdzie wystawiano jej prace i jakie zdobyła nagrody i stypendia. Pod koniec pojawił się cytat z recenzji, która wychwalała między innymi jej twórcze podejście do rzeczy znalezionych. Prychnęłam. A więc Candace nadal grzebała w rzeczach innych ludzi. Pod notką umieszczono więcej zdjęć, kilka w towarzystwie partnerki, bardzo wysokiej Indianki o skórze koloru miedzi i z kurtyną czarnych włosów opadających na plecy. Wyglądała na twardzielkę i na większości zdjęć obejmowała Candace opiekuńczym gestem.

A więc Candace miała swój typ. To było niepokojące.

Zaczęłam oglądać jej szalone dzieła. Zwierzęta i ludzi zrobionych z resztek i różnych popsutych rzeczy. Interesujące eksponaty.

Okej, no więc byłam przerażona tym, że poznam swoją siostrę. Przerażona tym, kim będzie i co się stanie, gdy wreszcie się spotkamy. Przerażona tym, że jej życie zostało już zniszczone.

Ale skoro nawet Candace udało się gdzieś zacumować... Wróciłam do notki biograficznej, żeby przyjrzeć się jej twarzy.

Owszem, wyglądała na osobę z poważnymi zaburzeniami żywienia, niemniej żyła. Zajmowała się czymś, co było dla niej ważne. Dla innych ludzi także; na wielu eksponatach w galerii znajdowały się dopiski „sprzedane”. Kochała kogoś, a ten ktoś kochał ją, i to już od niemal dekady. Sądząc po czerwonym sznureczku zawiązanym na nadgarstku, znalazła nawet jakąś formę wiary.

Kto by pomyślał? Cholerna Candace.

Zamknęłam stronę i wzięłam do ręki telefon, żeby zadzwonić do Juliana.



## Rozdział 13

Mam dziewiętnaście lat, kiedy Kai opowiada mi historię, ostatnią, jaką od niej usłyszałam. Prawie już śpię w swoim pokoju w naszym mieszkaniu w suterenie w Morningside. Moje drzwi się otwierają i wybudzam się. W drzwiach stoi Kai, podświetlona od tyłu włączoną lampką. Jej twarz jest ciemnym owalem z połyskującym czerwonym pieprzykiem: żarzącym się camelem.

– Co się stało? – pytam zaspana.

Zaciąga się długo papierosem, po czym wypuszcza dym i zaczyna mówić.

*Zdarzyło się to dawno temu i dzieje się teraz. Ganesha i jego matka bawią się nad rzeką, kiedy nadjeżdża bogaty szlachcic. Parvati jest piękna; chłodzi stopy między kamieniami. Mały Ganesha pluska się obok niej w płytkiej wodzie, rozpryskując ją swoją małą słoniową trąbą. Krople wody połyskują w jej ciemnych włosach niczym klejnoty, kiedy rozkłada naszykowane na lunch owoce i krakersy.*

*Szlachcic, Kubato, chowa ten skromny posiłek z powrotem do jej kosza, zapraszając, aby oboje posilili się w jego domu.*

Siadam, trąc oczy. Nie jestem w nastroju na opowieści. Nie chcę słuchać zwłaszcza tej historii o matczynej miłości, nie teraz, gdy mam już spakowany worek marynarski. Leży przy drzwiach obok mojego kuferka żołnierskiego i kilku kartonów. Przeprowadzam się do Indiany razem z moim przyjacielem Williamem. Wyjeżdżamy wcześniej rano. Dużo wcześniej, niż ona zazwyczaj wstaje.

*Chcąc jej zaimponować, Kubato urządza ucztę i zaprasza na nią wszystkich okolicznych szlachciców. Siedzą w rzędach przy jego stołach, ale Parvati i jej syna Kubato sadza na poduszce obok siebie, na podeście. Wręcza jej kielich pachnącego wina.*

– *To wino – mówi Kubato – czekało na twoje usta sto lat w złotej szkatule wyłożonej słodkim drewnem. Każdy kieliszek wart jest tyle co roczny dochód.*

*Parvati bierze od niego puchar, ale nie pije.*

– *Myślę, że jest dla mnie za drogie.*

*Więc Ganesha sięga po kielich, a następnie wypija całe wino, chciwie, aż po policzkach spływają mu czerwone krople. Oblizuje się, po czym wyciąga przed siebie długą trąbę i zanurza ją w każdym kielichu i dzbanie. Wciąga wino do trąby, następnie przyklada jej koniec do ust i wypija wszystko jednym wielkim haustem.*

*Patrzy na swoją matkę i oświadcza:*

– *Ale ja wciąż jestem głodny.*

Kai cały wieczór piła wino. Jest bardzo pijana. Gdybym nie znała tej opowieści niemal na pamięć, miałabym problem ze zrozumieniem jej bełkotu.

Historię o uczcie małego Ganeshy poznałam jako dziecko. Nie pamiętam nawet, kiedy ją usłyszałam po raz pierwszy.

*Kubato każe sługom przynieść półmiski z pieczonym jagnięciem i warzywami. Ryż jest miękki od świeżej oliwy, żółty i pachnący od drogiego szafranu.*

*Słudzy przynoszą półmiski najpierw Parvati, ale ona mówi:*

*– O nie, dziękuję. To dla mnie zbyt drogie.*

*Ganesha sięga jednak do półmisków i opróżnia je, jeden po drugim. Zjada całe mięso, łącznie z kośćmi, mnóstwo pieczonych jabłek, sto tysięcy rzep i cebul, żółtego ryżu tyle, że wystarczyłoby do wykarmienia całej armii przez rok. Zlizuje nawet tłuszcz z półmisków.*

*Następnie patrzy na matkę i oświadcza:*

*– Ale ja wciąż jestem głodny.*

Przez całe popołudnie Kai widziała, jak się pakuję. Mojemu lewemu uchu powiedziała, gdzie znajdę kartony. Miejscu tuż nad ramieniem zaoferowała swój gruby płaszcz ze sklepu z używaną odzieżą. Moje włosy poprosiła o przyniesienie jej spod szafki pod zlewem otwartego dzbanka czerwonego wina. Ani razu na mnie nie spojrzała. Ani razu nie powiedziała, że bym nie jechała. Nie jestem w nastroju na jej mistyczne brednie.

*Bogaty szlachcic robi się zły, ale przepelnia go jeszcze większa determinacja, aby zaimponować Parvati. Odsyła pozostałych gości, a potem przynosi, sam, srebrny półmisek. Na nim znajdują się warstwy delikatnego ciasta przełożonego orzechami i miodem.*

*Mówi:*

*– To miód od ciemnych pszczoł, które mają niebieskie prążki i ludzkie włosy. Kiedy użądł, człowiek natychmiast umiera. Tysiąc ludzi umarło podczas zbierania słoika, kropla po kropli. Proszę. Wszystko kazałem wlać do ciasta przeznaczonego dla ciebie.*

*Parvati uśmiecha się i mówi:*

*– Dziękuję, ale to dla mnie zbyt drogie.*

*Ganesha owija trąbą swoją matkę, po czym bierze z półmiska ciasto. Wkłada całe do buzi i przełyka.*

*– Wciąż głodny! – woła. – Och! Jestem taki głodny!*

Siedzę skulona w piżamie. Pozwalam Kai, aby opowiadała wezglowiu łóżka. Pozwalam, aby opowiadała moim spakowanym majtkom i swojemu płaszczowi.

*Bogaty szlachcic zabiera ich przez kuchnię na zewnątrz, do silosów za domem, i oświadcza:*

*– Oto moje magazyny, wybudowane po to, aby nakarmić moją rodzinę, kiedy nadejdzie głód. Mam tyle ziarna i oliwy, że wystarczy, aby wykarmić wszystkich moich ludzi przez siedem lat. Bez względu na to, jak kiepskie okażą się zbiory, ci,*

*których kocham, będą grubi i nakarmieni.*

*Ganesha wbiega szaleńczo do silosów, wpycha do buzi wszystkie worki, słoje i skrzynki, przełyka wszystko, co widzi, aż na brudnej podłodze nie zostaje nawet ziarnko ryżu.*

*– Wciąż głodny! – woła.*

*Kubato zaczyna ogarniać rozpacz, ale to człowiek tak dumny, że mówi:*

*– Widzicie to żyzne pole? Jest moje. Jestem właścicielem wszystkich pól jak okiem sięgnąć, ryżu i łąk, na których pasą się owce, lasów pełnych zwierzyny i każdej rzeki. Moje jest nawet morze i wszystkie pływające w nim ryby.*

*Więc Ganesha otwiera szeroką buzię...*

*– Nie tak to idzie – oświadczam matce. Wydłuża tę historię, dodaje kolejny wątek. Zanim Ganesha zjada cały zapas zboża, Kubato ma płakać, lamentować i błagać Parvati, by mu pomogła, zanim zostaje zrujnowany. Wtedy Parvati wyjmuje z kosza owoce i krakersy i karmi Ganeshę, wkładając mu do ust kawałek po kawałeczku. Ten od razu się najada, a potem kuli się w jej ramionach i zasypia.*

*– Óóó, to ja opowiadam – mówi Kai, chwiejąc się w drzwiach.*

*– Znam tę historię – oświadczam. – Daj Ganeshy krakersa i pozwól mi spać.*

*– On nie dostaje krakersa – protestuje. – Nie znasz każdego zakończenia każdej historii.*

*Tak więc Ganesha otwiera wielką buzię i zaczyna połykać pola i lasy, wypija wodę ze wszystkich jezior i rzek, a kiedy są suche, zaczyna pić słoną wodę z oceanu, razem z rybami, kalmarami i wodorostami.*

*Nawet w trakcie jedzenia jęczy:*

*– Och, jestem głodny. Och, jestem głodny!*

*– Daj mu cholernego krakersa, Kai. – Odrzucam kołdrę i staję przed nią wściekła, w majtkach i koszulce.*

*– Ganesha zjadł cały świat i wszystkich ludzi – oświadcza. Zgubiła rytm opowieści. – Bogaty szlachcic unosił się nagi w powietrzu, a Ganesha powiedział: „Widzisz to słońce? To moje mango. Mógłbym je rozgryźć, gdybym chciał”.*

*– To nawet nie jest ta sama historia. – Niemal już wrzeszczę. – To Hanuman próbuje zjeść słońce jak mango, nie Ganesha!*

*Ale ona nie przestaje mówić:*

*– Tak więc Ganesha przegryzł słońce i zjadł obie połowy, ale wciąż jest głodny i zjadł Saturna.*

*Teraz naprawdę opowiada bzdury.*

*Na desce w nogach łóżka leżą naszykowane na jutro ciuchy. Chwytam dzinsy.*

*– Gdzie jest Parvati, co? Nie powiedziała nawet, że świat jest zbyt drogi, a Ganesha już go zjadł. – Siadam na skraju wąskiego łóżka i wciągam dzinsy. – Nie zgodziła się nawet zjeść kawałka słońca. Może słońce jest dla niej zbyt maślane,*

co? Ominęłaś to. Jesteś pijana i zgubiłaś Parvati.

– Ganesha zdążył ją zjeść. – Kai się śmieje. To pijacki rechot. Wyjmuję spod łóżka drewniaki. Kai zaciąga się szybko papierosem, po czym wydmuchuje dym, mówiąc jednocześnie: – Zjadł własną matkę, a bogaty szlachcic mówi: „Nie dbam o słońce. Świat jest pełen planet, wybiorę sobie jakąś inną”.

Wkładam drewniaki i mijam ją, kierując się ku drzwiom.

– Nie tak to idzie – burczę, dudniąc drewniakami.

– Potem Ganesha pierdnął i wypuścił z siebie Saturna, ale znowu go zjadł – ciągnie Kai. Wyszła za mną i słyszę, jak w kuchni wlewa do szklanki wino.

Zatrząskuję za sobą drzwi wejściowe i odchodzę w ciemność. Na pewno jest jakiś chłopak, który na mnie czeka. Zawsze jakiś czeka. Właściwie jest ich całe mnóstwo i muszę tylko dokonać wyboru. I wrócić przed świtem, żebym mogła wyjechać z Williamem.

Kiedy wracam, Kai śpi. W każdym razie drzwi do jej pokoju są zamknięte. Za nimi panuje cisza. Śpi, kiedy wyjeżdżam. Nie dała w końcu Ganeshy owoców i krakersów, które go nasyciły i pozwoliły mu zasnąć. I już nigdy nie da.

Nigdy nie powie: „Nie wiedziałaś” albo „Byłaś tylko dzieckiem”, a tym bardziej nie przyzna się do swojego udziału w naszym upadku. Ja nigdy nie powiem: „Jeśli twoje życie jest jak naładowana broń, twoje dziecko w końcu z niej wystrzeli”, aby potem jej wybaczyć. Ona nigdy nie będzie krzyczeć ani płakać, nie uderzy mnie ani nie będzie błagać o wybaczenie.

Jak wszystkie prawdziwe historie ta mojej matki nagle się urywa. Nie ma morału ani epilogu, a ja nie wierzę w reinkarnację. Każdy ptak, który na mnie narobi albo śpiewa za moim oknem, jest tylko ptakiem.

Czas biegnie tylko w jednym kierunku, a ja razem z nim ku mojej młodszej siostrze.

Zastępcza matka, pani Beale, mieszka na wąskiej ulicy zabudowanej małymi parterowymi domkami z lat pięćdziesiątych. Są kwadratowe i równe i wyglądają jak rzędy zębów. Szukam domu, w którym mieszka Hana. Nie jestem tchórzem, ale zapłaciłabym swoją stawkę godzinową, żeby był ze mną Birdwine. Podwójną Julianowi, który jest kontaktowy i uśmiech przychodzi mu naturalnie. O Boże, ależ on mnie zawojował. Wparował do mojego życia, aż jego fizyczna bliskość stała się przyjemnością równie niewidzialną jak obecność Henry’ego. To samo robi z Haną, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj jadę sama i znajdę się w sytuacji, w której moje atuty nie okażą się przydatne.

Zdaniem terapeutki Hany tak właśnie powinniśmy zacząć, skoro jeszcze tydzień temu dziewczynka sądziła, że jest jedynaczką. Julian i ja potrafimy to zrozumieć; nie chcemy jej sobą przytłoczyć. Jadę ja, a nie Julian, dlatego że znałam matkę, którą straciła. Poza tym jej pierwsza dekada życia wyglądała podobnie do mojego wyluzowanego, skupionego na Kai dzieciństwa. Doktor Patel twierdzi, że



Hana jest otwarta na poznanie nas. Mieszka u pani Beale od kilku miesięcy i jest pogrążona w żałobie. Nie zdążyła jeszcze zapuścić korzeni.

Doktor Patel powiedziała mi przez telefon, że mam być ciepła, ale nie nachalna. Uprzejma. Zainteresowana. Nie powinnam inicjować kontaktu fizycznego. Mam poczekać, aż ona przyjdzie do mnie.

Wolę takie podejście; w końcu jestem kociarą. Ale dobrze, że ktoś potwierdził moje przeczucia i że Julian się tego dowiedział. Możliwe, że zanim dopuścimy go do Hany, będzie musiał wziąć udział w warsztatach zatytułowanych „Dziesięć kroków prowadzących do przytulania”.

Przed sobą po prawej stronie widzę dom z numerem sto piętnaście. Ten kwadratowy budynek z czerwonej cegły z czarnymi okiennicami i białymi obwódkami jest pewnie pierwszym prawdziwym domem Hany. Na pewno ma tutaj swój pokój. Ma drzwi i prawo, by je za sobą zamknąć. Werandę pokrywa świeża warstwa farby.

Na ustawionej na niej huśtawce siedzą trzy osoby: dwójka dorosłych, a między nimi Hana. Nie wygląda dużo inaczej niż na zdjęciu zrobionym zimą. Nie znam towarzyszących jej ludzi, ale wiek i przynależność etniczna mówią mi, że po lewej stronie Hany znajduje się doktor Patel, a po prawej pani Beale.

Hana siedzi skulona. Dłonie ma złączone na kolanach, a nogi skrzyżowane w kostkach. Jej stopy nie sięgają podłogi.

Z jej twarzy trudno cokolwiek wyczytać, ale ta dziewczynka i ja mamy tak samo wykrojone usta. Rozpoznaję również sposób, w jaki je układa, jakby trzymała w buzi kulkę buntu i obracała ją, by lepiej wyczuć smak. Wcale nie jest taka spokojna, na jaką wygląda.

Rzuca spojrzenie na samochód, po czym szybko wbija je w dłonie. Czuję, jak moje usta układają się w taki sam kształt jak jej. Znam tę minę. Miałam ją non stop przez kilka tygodni, kiedy trafiłam do domu dziecka. Byłam w połowie dziewczyną, w połowie skorupiakiem, zupełnie nieprzenikniona.

To dopiero początek. Nikt nie powiedział, że będzie łatwo.

Moje spoczywające na kierownicy dłonie są gorące i spocone. Gaszę silnik i dmucham na ręce, żeby je schłodzić. W pracy muszę się mierzyć z zaciekłymi prawnikami, gniewnymi sędziami, ławnikami, którzy zazwyczaj mnie nienawidzą, i radzę sobie. Mało tego, stawiałam czoło szalonemu Clarkowi Winkleyowi i jego pistoletowi. A jednak teraz moje dłonie się pocą i drżą. Wycieram je szybko w dzinsy; dzisiaj nie ma mowy o onieśmielających czarnych garsonkach. Założyłam buty na płaskim obcasie i swój ulubiony dzianinowy T-shirt w kolorze dyni, zmechacony ze starości. Włosy mam zaplecione w luźny warkocz, a usta pomalowałam na różowo.

Kiedy gaszę silnik, doktor Patel wstaje. Jest młodsza, niż mogłabym się spodziewać, sądząc po jej spokojnym, niskim głosie. Ma długi kucyk, a język jej

ciała mówi, że się nie niepokoi. To dobrze. Pani Beale wygląda, jakby wygrała casting na rolę siwowłosej babci, sympatycznie i zwyczajnie, od siwego koka po brązowe ortopedyczne buty. Kiedy wysiadam z samochodu, kładzie na ramieniu dziewczynki pokrzepiającą dłoń i to mi się podoba.

Hana siedzi, wpatrując się intensywnie w swoje dłonie, które zaczyna ścisnąć i wykręcać, gdy się zbliżam.

Pani Beale wstaje, pociągając dziewczynkę za sobą. Hana marszczy brwi, a wzrok ma wciąż opuszczony. Jest ubrana w żółtą sukienkę w kwiatki, niezbyt pasującą do jej oliwkowej karnacji. Garbi się, przez co jej brzuch wydaje się jeszcze bardziej okrągły. Niedługo wyrośnie z tej sukienki, która kończy się sporo nad jej kolanami. Nogi ma chude, a kolana wystające.

Kiedy dochodzę do schodów, pani Beale robi krok w przód i wyciąga rękę. Już ma coś powiedzieć, ale wtedy jej wzrok zatrzymuje się na mojej twarzy. Przez ułamek sekundy wygląda na skonsternowaną, a potem wyraźnie blednie.

– Cholera jasna! – mówi.

Słowa te brzmią szokująco w pomalowanych koralową szminką ustach uroczej starszej pani. Terapeutka i ja przyglądamy jej się podejrzliwie.

Hana także podnosi wzrok na panią Bealy, a następnie podąża za jej pełnym zdumienia spojrzeniem.

– Dzień dobry – mówię. Oczy Hany, bardzo podobne do oczu mojej matki, wytrącają mnie z równowagi równie mocno jak oczy Juliana, gdy zobaczyłam je po raz pierwszy. Teraz robią się wielkie jak spodki i widać w nich zaszokowanie. Jej usta się otwierają. – Jestem Paula Vauss – przedstawiam się.

W oczach Hany wzbierają łzy.

– Wcale nie – mówi. Głos ma cichy i schrypnięty, jakby w zeszłym tygodniu chorowała na grypę i jeszcze nie wydobrzała. Po jej policzkach spływają dwie wielkie łzy i dociera do mnie, że głos jej się łamie, ponieważ Hana płacze. – Jesteś Kali – oświadcza. – Jesteś Kali i jesteś prawdziwa.

A potem pędzi w moją stronę i ledwie mam czas rozłożyć ręce – zbiega po schodkach werandy i rzuca się na mnie. Jej twarz uderza mnie w mostek, po czym Hana obejmuje mnie mocno, a ja ją.

– Przepraszam – odzywa się jej zastępcza matka, oblewając się pąsowym rumieńcem. – Ale pani... pani naprawdę jest prawdziwa.

Terapeutka przenosi spojrzenie z pani Beale na mnie, a potem ona także mówi bardzo cicho:

– Cholera jasna.

Nie jestem w stanie nic powiedzieć. Coś się ze mną dzieje. Chociaż nie, to już się stało. Zaczęło się dziać, kiedy ciało Hany zderzyło się z moim. To zwierzęce i dziwne czuć swój kształt sprzed wielu lat i jej kształt właśnie odbijający się teraz o moje nogi i brzuch.

Czuję wilgoć, jej łzy i smarki moczą mi koszulkę i docierają do skóry, i jest tak, jakbym przytulała kawałek siebie. To jestem ja, a jednocześnie to coś zewnętrznego, niezależnego. Ma własny oddech i własne bicie serca, ale przez tę niemającą końca chwilę nie potrafię powiedzieć, gdzie się kończy ona, a gdzie zacznę ja, gdzie kończy się moja historia, a zaczyna jej.

– Jesteś prawdziwa – mówi zduszonym głosem, ponieważ twarz ma ukrytą w mojej piersi. – Mama mówiła. Mama mi mówiła, że jesteś prawdziwa.

– No pewnie, że jestem – szepczę, próbując zrozumieć, co ona ze mną zrobiła. Przyszła sobie i objęła mnie w posiadanie, a mimo to nie odnoszę wrażenia, że skapitulowałam. Z kapitulacją wiąże się podjęcie decyzji. Tutaj chodzi o coś bardziej elementarnego.

Ponad jej ciemną głową patrzę najpierw na panią Beale, a potem na terapeutkę. Stoją osłupiałe.

– Proszę wejść i zobaczyć – odzywa się pani Beale. – Musi pani to zobaczyć.

Hana mnie puszcza, ale jakimś cudem moja dłoń odnajduje jej dłoń. Jesteśmy oddzielnymi bytami, a jednocześnie tworzymy jedność. Nasze splecione dłonie są łączącą nas pępowiną. Przechodzimy przez salon, który umarł i został zabalsamowany w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym roku, wchodzimy do przedpokoju i mijamy wyłożoną różowymi płytkami łazienkę.

Potem Hana otwiera drzwi i wchodzimy do małego pokoju znajdującego się na samym końcu domu. W końcu niemal zakłopotana puszcza moją dłoń, która teraz wydaje się zimna i dziwnie naga. Nadal czuję kształt jej małej ręki, ale teraz jesteśmy rozdzielone, każda ma własny kształt.

– Tutaj śpię – mówi.

Już nie płacze. A więc to jej pokój, a pościel jest po prostu w kwiatki. To jest jej pokój i cały jest mną. Moja twarz pokrywa ściany. Widzę co najmniej pięćdziesiąt moich podobizn, pod każdym kątem, swoją twarz na szczupłym, wysokim ciele. Jestem poprzyklejana od podłogi do sufitu, obramowuję łóżko i komodę, zakrywam drzwi szafy.

Widzę siebie na grzbiecie konia, na chmurze, odzianą w kości, odzianą w sari. Widzę wszystkie swoje miny – jestem wściekła, zakochana, smutna i radosna. Fruwam, walczę, śmieję się i tańczę. Na niektórych zdjęciach jestem sobą i mam karnację koloru miedzi, na innych jestem ciemnoniebieska lub granatowa. Czasami mam dwie ręce, czasami cztery albo sześć, a jeden rysunek sugeruje, że mam ich tysiąc, ułożonych jedna za drugą.

Kari rysowała mnie dla Hany. Nie tylko niedawno. Niektóre obrazki są tak stare, że papier zdążył pożółknąć i widać pęknięcia na brzegach. Kolory są wyblakłe albo rozmazane.

– Mama mówiła, że jedziemy cię znaleźć – szepcze Hana. Patrzy na wiszące na ścianie obrazki. – Ale ona była chora...

Nadal się obracam i teraz widzę także Ganeszę: okrągły brzuch, głowa słonia, ponieważ Kai nie wiedziała, jak wygląda Julian. Dotykam rysunku, na którym siedzi na swojej myszy, a siodło jest w kolorze wyblakłej czerwieni.

– On także jest prawdziwy – informuję Hanę. Kai także jest tutaj. Jako Sita, jako Parvati, jako ona sama, tańczy w długiej jedwabnej spódnicy w kolorach słońca.

Obok łóżka dostrzegam jeden z nowszych rysunków. Moja twarz u Kali ubranej w dzwonki. Siedzę na białym wzgórzu, a w ciemnych włosach mam pełno dmuchawców. Obok mnie siedzi mała małpka. Mała małpka z twarzą mojej siostry.

– Kali walczy z demonem – mówię i słyszę, jak Hana wzdycha.

– Znasz tę historię?

Odwracam się do niej.

– Znam. Znam wiele opowieści o Kali i o Ganeshy, a nawet kilka o Hanumanie. Założę się, że ty znasz kilka, których ja nie słyszałam. Założę się, że ja znam kilka, które dla ciebie będą nowe. – Oczy Hany są wielkie i błyszczące, a nos czerwony od płaczu. Dociera do mnie, że pani Beale wycofała się do przedpokoju. Doktor Patel także i teraz stoi w drzwiach, by dać nam trochę przestrzeni. – Opowiedzieć ci jakąś?

Hana wzrusza ramionami, ale siada na łóżku, a jej kolana skierowane są w moją stronę.

Ja także siadam, na drugim końcu łóżka. Ponownie zamknęła się w sobie, lecz jej usta mają łagodniejszy wyraz, no i coś się zaczęło. To się stało w chwili, kiedy wylądowała całym ciężarem na moim brzuchu, a jej łzy zmoczyły moją skórę. Nie widzę przyszłości, niemniej ona już się zaczęła.

Za kilka tygodni pojedziemy po prochy Kai do Clay Creek w północnej części Georgii, cała nasza trójka, i wysypimy je do wodospadów. Julian będzie chciał ją pochować, ale mu to wyperswadujemy. Kai nigdy nie odpocznie, jeśli nie będzie w ruchu.

Za kilka miesięcy po raz pierwszy w życiu ubiorę choinkę, ponieważ Julian tego chce, a Hana będzie zadowolona; nigdy jej nie miała. Za dwa lata zobaczę, jak przygląda się mojemu ciału, a potem niespokojnie przesuwa dłońmi po swoim, i powiem jej: „Och, to tylko dziecięcy tłuszcz, ładna dziewczynko. Niedługo zrobią ci się z niego cycuszki”, a ona obleje się rumieńcem i każe mi się przymknąć.

Za pięć lat usłyszę, jak płacze w łóżku, bardzo późno, więc zostawię ciepłe i śpiące ciało mojego męża i położę się obok niej, przytulę ją, a ona będzie szlochać i pytać, dlaczego Jamie już jej nie lubi. Dziesięć miesięcy później wyciągnę ją z imprezy, pijaną w cztery dupy, i dostanie szlaban na resztę życia. „Nienawidzę cię” – zawoła, a ja odkrzyknę: „Nie ma za co”. Potem będę trzymać jej włosy, kiedy będzie wymiotować.

Za osiem lat Julian pomoże jej pisać eseje na studiach. Za szesnaście lat nadal będę mieć na tyle niezły tyłek, żeby ściągnąć z wieszaka spodnie od smokingu; włożę je, aby ją poprowadzić do ołtarza w małym kościele w Boho, do którego jest przywiązana, i uznam, że powinnam to była przewidzieć, gdy przytaszczyłam do domu choinkę.

Kiedy ksiądz zapyta: „Kto oddaje tę kobietę?”, posłusznie wypowiem swoją kwestię: „Jej brat i ja”.

To będzie kłamstwo. Nigdy jej nie oddam, nikomu. Zawsze będzie mieszkać w samym środku mojego serca.

Ale teraz tego wszystkiego nie widzę. Czuję jedynie, że coś się zaczęło, kiedy siedzimy na przeciwległych końcach łóżka, nasze kolana się nie dotykają, ale są zwrócone ku sobie. Otaczają nas wspólne opowieści, które uformowały nasze życie.

– Niech no pomyślę. Opowiedzieć ci historię, którą znasz? Czy nową? – pytam. Przesuwam wzrokiem od obrazka do obrazka. Większość znam. Słyszałam je albo sama przeżyłam.

Hana zerka na mnie, po czym odwraca wzrok. Wzrusza ramionami, jakby w ogóle jej to nie obchodziło. Ale potem mówi:

– Może coś, czego nie znam.

Przez chwilę się zastanawiam.

– Co powiesz na historię z czasów, gdy byłam mała?

– Jak mała? – pyta.

– Bardzo mała. Dużo mniejsza niż ty, więc to historia, która wydarzyła się dawno temu, ale dzieje się nadal. – Kiedy słyszy znajome słowa, w jej oczach pojawia się blask. Te słowa przypominają nam, że jesteśmy owocami tego samego dziwnego pnącza. Nachyla się w moją stronę, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, że to robi. – To opowieść o tym, jak otrzymałam swoje imię. Jeśli ci o tym powiem, opowiesz mi o tym, jak dostałaś swoje?

Rozważa tę propozycję, po czym mówi:

– Opowiadaj.

– Dawno temu, właśnie teraz, przyszłam na świat – mówię swojej młodszej siostrze. – Przyszłam na świat sina.



## Podziękowania

W pierwszej kolejności pragnę podziękować osobie, która kupiła tę książkę. Dzięki tobie mam pracę, którą kocham. Dzięki tobie postaci z mojej głowy mogą żyć także poza nią. Kiedy się spotykamy, mówisz o nich tak, jakby były naszymi wspólnymi przyjaciółmi (albo wrogami); nie potrafię wyjaśnić, jakie to cudowne uczucie. Jeśli jesteś jedną z tych osób, które przekazały moje książki w ręce innych czytelników – albo jako szaleniec, który kocha książki tak bardzo, że je sprzedaje, albo jako czytelnik, który wybrał ją do klubu książki albo sprezentował swojej przyjaciółce na urodziny – no cóż, ta książka istnieje dzięki tobie. Mam nadzieję, że cię to cieszy. Mnie tak – jestem szczęśliwa i pełna wdzięczności, i trochę w tobie zakochana.

Mądry, bystrooki redaktor to prawdziwy dar, pozostaję więc dłużniczką mojego wspaniałego agenta, Jacques'a de Spoelbercha, a dodatkowo dziękuję za poznanie mnie z Carolyn Marino. To prawdziwa miłośniczka książek. Mam wielkie, wielkie szczęście, że mogę z nią pracować w wydawnictwie William Morrow i liczyć tam na wsparcie tak niesamowitych osób, jak: Liate Stehlik, Lynn Grady, Jennifer Hart, Emily Krump, Tavia Kowalchuk, Mary Beth Thomas, Carla Parker, Rachel Levenberg, Tobly McSmith, Kelly Rudolph, Chloe Moffett i Ashley Marudas.

Trzy lata temu zaczęłam uczęszczać na zajęcia do Decatur Hot Yoga do pięknej i niezwykle giętkiej Astrid Santany. Często rozpoczyna zajęcia od opowiedzenia jakiejś klasycznej historii o bogach panteonu hinduskiego, ale strukturę zdań i dobór słów, a nawet niektóre symbole czerpie z tradycji ustnej Południa. To dziwne i nieodparte połączenie. Dzięki Astrid zaczęły mi się śnić te historie, a potem zaczęłam je czytać. W mojej głowie przecinały się postacie Pauli i Kali i powieść skręciła ostro w kierunku wschodnim. Kurtynę długich, ciemnych włosów i uśmiechające się oczy w kształcie półksiężyców podarowałam Kai – gdyby tylko Kai była choć w połowie tak życzliwa i wielkoduszna!

„NIGDY WIĘCEJ O WAS NIE PISZĘ! O was, czyli prawnikach” – marudziłam prawnicze Sally Fox, kiedy się szamotałam w sieci zagadnień prawnego-sądowych. Ona rozplątywała ją z niewyczerpaną cierpliwością podczas koktajli w Paper Plane; podziwiam ją zarówno jako osobę, jak i profesjonalistkę. To ruda kobieta o oczach łani, ładna i filigranowa, i zje twoją wątrobę na surowo w imieniu swoich klientów. Zapoznała mnie z Constancją Davis i Markeithem Wilsonem, prawnikami specjalizującymi się w sprawach karnych, którzy pomogli mi zaplanować rozmaite przestępstwa moich bohaterów. Ci, którzy nas

podsluchiwali podczas lunchu, najpewniej chodzą teraz na terapię.

Sarah Smith od lat pracuje z wychowankami rodzin zastępczych i domów dziecka, a jako osoba niepełnoletnia sama przeszła przez ten system. Stanowiła nieocenione źródło informacji i pomysłów; wdzięczna jestem za jej czas i fachową wiedzę i śpię trochę spokojniej, wiedząc, że niektórzy wyżej wymienieni wychowankowie tutaj, w Atlancie, mają po swojej stronie taką kochającą, serdeczną i odważną rzecznikę.

Sarah i wszyscy trzej prawnicy znają się na swoim fachu – wszystkie niemądre błędy należą do mnie.

Moje środowisko pisarskie czyni mnie lepszą i odważniejszą. Kocham tych ludzi, nawet kiedy bezlitośnie każą mi wyciąć tysiąc tak bardzo dla mnie cennych słów. Prawdę mówiąc, zwłaszcza wtedy. Wymieniam ich w kolejności naszego poznania się: Lydia „Łącz, Jedź, Śledź” Netzer, Jill „Lekarstwo” James, Anna Schachner albo Sara Gruen i Karen Abbott, albo Karen Abbott i Sara Gruen (zależnie od tego, kto opowiada tę historię), Caryn Karmatz Rudy, Reid Jensen, Alison Law i Czcigodny Doktor Jane Myers.

Dziękuję wam, kochana rodzino, za to, że mnie wspierasz. Kiedy jestem żaglem, wy zapewniacie mi wiatr; kiedy jestem kałużą łez, wy delikatnie ją osuszacie. Kocham was, Scotcie, Samie, Maisy Jane, Bobie, Betty, Bobby, Julie, Danielu, Erin Virginio, Jane i Allison.

Jestem dozgonnie wdzięczna za wsparcie, akceptację i łaskę, jakie otrzymuję w swojej społeczności w Pierwszym Kościele Baptystów w Decatur. Byłabym smutniejszą, chłodniejszą, bardziej złośliwą osobą i pisarką bez niej i bez tych małych społeczności, które uformowały mnie przez minione półtorej dekady: Slanted Sidewalk, STK i Fringe. Szalom.

Tytuł oryginału: *The Opposite of Everyone*

Copyright © 2016 by Joshilyn Jackson

Published by arrangement with William Morrow, an imprint of HarperCollins Publishers.

All rights reserved.

Copyright for the Polish edition © 2016 by Burda Publishing Polska Sp. z o.o.

02-674 Warszawa, ul. Marynarska 15

Dział handlowy: tel. 22 360 38 42

Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 360 37 77

Tłumaczenie: Monika Wiśniewska

Redakcja: Joanna Ziolo

Korekta: Maria Talar, Anna Żółkiewska

Skład i łamanie: Beata Rukat/Katka

Redakcja techniczna: Mariusz Teler

Projekt okładki: Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN

Zdjęcie na okładce: Nikki Smith/Arcangel Images

ISBN: 978-83-8053-126-0

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

[www.burdaksiazki.pl](http://www.burdaksiazki.pl)

Skład wersji elektronicznej: [pan@drewnianyorwer.com](mailto:pan@drewnianyorwer.com)



